

Jestem Łowczynią i wygram ten turniej,
bez względu na wszystko

POTWOREM
RODZISZ SIĘ
ALBO
STAJESZ

Przełożyła
AGNIESZKA BRODZIK

TANVI BERWAH

ODYSEYA

TANVI BERWAH



POTWOREM
RODZISZ SIĘ
ALBO
STAJESZ

Przełożyła
AGNIESZKA BRODZIK

ODYSEYA
Kraków 2023

Dla Mini, która lubi kalamarnice i kraby.

I dla taty, który pierwszy raz zabrał nas nad ocean.



Stworzenia Sollonii

Aquabaty: Żyjące w wodzie gady, które mogą latać na krótkie dystanse. Ich „skrzydła” składają się z mięśniowych membran rozciągniętych na służących za podpory kościach. Na końcach znajdują się szpony służące za kończyny, zaś z przodu także szczypce. Aquabaty są groźnymi i krwiożerczymi zwierzętami, nad którymi bardzo trudno zapanować. Ich nazwa pochodzi z plotki o tym, że podobne do nich stworzenia, nazywane *bats* (z angielskiego „nietoperze”), żyją głęboko pod ziemią, chociaż nikt ich nigdy nie widział.

Fawkesy: Stworzenia w kształcie rombu o miękkiej muszli, które mieszkają w jaskiniach pod brzegiem oceanu. Rzadko wychodzą ze swoich muszli do wody, ale gdy już to robią, pokazują sześć smukłych odnóży, każde z chowanym szponem, a także dwa rogi tuż nad oczodołami. Mimo demonicznego wyglądu nie są szczególnie agresywne. Obdarzone instynktem obronnym, w chwili zagrożenia mogą wydzielać smolistą substancję, która zapala się przy kontakcie z powietrzem.

Flonery: Małe gady mieszkające na lagunach i w starorzeczach. Mają płaskie kończyny, którymi wiosłują, a także twardą muszlę, w której mogą schować swoje ciało w całości prócz puszystych uszu, co odróżnia ich muszlę od kamieni. Chociaż są niegroźne i przyjacielskie, chronią swoje młode i jeśli wyczują zagrożenie, potrafią rzucić się całym ciałem na wroga z taką siłą, że mogą pogruchotać kości.

Gorgony: Okrągłe, pokryte łuskami stworzenia z ciemnozieloną krwią. Mają macki z lepкими poduszczkami, którymi oplatają ofiarę, by zabić ją za pomocą elektrowstrząsów.

Koziorożec: Jedno z największych stworzeń znanych ludzkości na Ofirze. Pokryte łuskami ciała koziorożców w górnej części przywodzą na myśl ogromne górskie kozy, a ryby w dolnej. Mają wielkie rogi w kształcie korkociągów. Ich przednie kończyny są zwieńczone pazurami, a płetwy ogonowe, o średniej szerokości stu metrów, służą za tylne nogi. Po bokach ich ciał znajdują się płyty skóry, które koziorożce potrafią rozsunąć i wykorzystać do zachowania równowagi w czasie silnego wiatru. Te stworzenia zazwyczaj trzymają się na uboczu, jednak w walce wykazują się znaczną zapalczywością.

Kraby koszące: Ogromne dziesięcionogie skorupiaki. Zazwyczaj srebrne lub miedziane, z błyszczącą skorupą. Niezwykle szybkie na lądzie, a w wodzie jeszcze szybsze. W przeciwieństwie do mniejszych braci mają szczypce o brzegach ostrych jak brzytwy, których mogą używać zarówno do ataku, jak i poruszania się.

Maristagi: Jedne z najsilniejszych, najszybszych stworzeń na świecie. Są zwinne, pokryte łuskami, dwunożne. Ich przednie kończyny są krótsze, a tylne mocniejsze, wyposażone w błony pławne i wysuwane szpony. Długie i przywodzące na myśl ster ogony maristagów pomagają w pływaniu. Ich oczy są pokryte błoną. Przy szyjach mają wysuwane płetwy w kształcie żabotów, a w nich kolce jadowe, które maristagi mogą wystrzeliwać z ogromną prędkością na dość duże dystanse. Poroże o licznych odnogach służy tym dumnym stworzeniom do walki i okazywania dominacji.

Mureny: Podobne do węży podwodne zwierzęta ze śliską skórą. Żyją w dużych, trwale spletanych koloniach. Jeśli jedno ze zwierząt zachoruje i umrze, ginie cała kolonia. Oddzielona od kolonii murena może nadać skórę wokół szyi, żeby wydać się przeciwnikowi większą.

Raptory: Bardzo agresywne podwodne stworzenia słynące z ostrych ciosów. Są małe, a ich ciało jest osmiokątne z czterema drobnymi kończynami.



Jeden

Polujemy, gdy reszta świata śpi. To ryzyko, które może nas kosztować życie. Ryzyko, którego musimy się podjąć.

Budzę brata, a on tylko mamrocze zaspany:

– Odwal się.

– Już czwarta. Ojciec powiedział, że o tej porze powinniśmy być już na plaży.

Emrik ściska swój materac niczym krab uparcie trzymający się kamienia. A potem, gdy już zedrę z niego koc, warczy:

– Wynoś się z mojego pokoju.

Jego but z hukiem uderza w drzwi, które udaje mi się w ostatniej chwili zamknąć. Przyciskam plecy do kamiennej ściany, zimno mnie uspokaja.

Kilka minut później Emrik wychodzi z pokoju. Jesteśmy podobnie ubrani: czarne spodnie i dopasowana biała koszula z kołnierzykiem aż po podbródek. Buty uformowane dokładnie na kształt naszych stóp. Pod tym wszystkim mamy na sobie kombinezony wodne z nitką niebki. Rodzeństwo Łowców.

Jego dłoń zaciska się na gałce.

Dobrze jest denerwować się przed polowaniem.

To oznacza, że jesteśmy czujni, nie głupi.

– Korral – mówi ochryplym głosem. – Ktoś jeszcze nie śpi?

Włosy sięgają mu za ramiona, są niemal tak długie jak moje. Podtrzymująca je pojedyncza spinka błyszczy w rozproszonym świetle. Zanim zdążę się odezwać, on już zna odpowiedź: w ciszy niesie się echem astmatyczne pokasływanie Lirii.

Myśl o krztuszącej się powietrzem młodszej siostrze nie pomaga nam w spokoju wspiąć się po krętych schodach i opuścić bezpiecznej przestrzeni naszego domu. Za to przypomina nam wyraźnie, dlaczego polowanie musi przebiec idealnie, dlaczego nie możemy pozwolić, by tej nocy maristag nam uciekł.

Właśnie to robimy, żeby przetrwać.

Łapiemy maristagi, hodujemy je, trenujemy ich potomstwo, żeby było zdolne do życia na łądzie, a potem sprzedajemy wyższej kaście Ziemców startujących w Wyścigu Chwały. Wszystko to, ryzykując życie.

A potem odważamy się żyć. Aż do następnego polowania.

Świat na zewnątrz jest skąpany w czarnym atramencie, a konstelacja Ognistego Statku kusi nas, migocząc na czerwono i żółto. Nadlatuje wiatr znad oceanu, niosąc ze sobą sól i sztorm, a w tej samej chwili niebo przeszywa błyskawica.

Razem z Emrikiem pędzimy w stronę plaży. Składa się na nią cały pas szarego piasku z tej strony wyspy. Chociaż ocean bez ostrzeżenia podgryza całe jej połacie, często jest tutaj pełno szabrowników zeskrobujących metalowe odpryski zarguniny z niskich wapiennych łuków, które wystają z wody i piasku.

Wyteżając wzrok w poszukiwaniu szabrowników, muszę ominąć kałużę.

– Niebka? Kto marnuje niebkę w pełnym słońcu?

Czy ten ktoś nie wie, jak trudna jest ekstrakcja galaretki i jak bardzo jest nam potrzebna jako ochrona przed słońcem? Chociaż otacza nas woda, nasza wyspa jest wysuszona, a my się na niej pieczemy.

Emrik patrzy na kałużę niebki i marszczy brwi. Wykrzywia się blizna na jego prawym oku, spływająca niczym wściekła ła.

– Mniej ludzi, którymi trzeba się będzie przejmować.

Gdy docieramy do miejsca, gdzie wapienny klif wygina się w kształt litery U, słychać niski pomruk. Potwór budzi się ze snu. Horyzont, pochłonięty przez ciemność, jeszcze nie zaistniał.

W dole, poniżej ząbkowanej krawędzi skały, z kotłującej się wody wystają kamienie przywodzące na myśl niebieskoszare kły. Drętwieje mi twarz smagana zimnym wiatrem sztormu. Każdy oddech zdziera mi płuca. Kamieniste podłoże pod stopami jest śliskie od martwych pełzaczy i porostów, obmywa je ciągle woda. Muszę ostrożnie stawiać każdy krok.

– Powinnaś się trzymać z dala od oceanu – mówi Emrik.

Rozpala się we mnie gniew. Lata wspólnych polowań, a on wciąż mi nie ufa.

– Dlaczego?

– Popatrz na ten sztorm.

Przecież sam i tak nic nie zdziałasz. Gryzę się w język. Nie ma sensu się kłócić tuż przed wejściem do wody.

– Tym bardziej przyda ci się wsparcie.

– Trzymaj się z dala od wody, Koral. Będiesz mi potrzebna, żeby wytaszczyć maristaga. – Zacisnął szczęki, jego twarz się wyciągnęła, kontury zrobiły się ostre jak brzytwa. Czarny tatuaż na lewej stronie jego twarzy się wykręca, podobnie jak u mnie. Emrik w ciemności wydaje się okrutny. Chyba obydwójce się tacy wydajemy.

Jest ode mnie starszy o trzy lata, ale w czasie polowania moglibyśmy uchodzić za bliźnięta.

Nie zauważam ani jednego maristaga w czarnej toni – nie najlepiej jak na ostatni dzień sezonu polowań.

– Widzisz jakiś ruch?

Nasza rodzina od pokoleń prowadziła szczegółowe zapiski na temat maristagów. Nikt nigdy nie spotkał tych stworzeń poza powtarzającym się co rok przyływem. Znikną przed wschodem słońca i nie wrócą przez najbliższe dziesięć miesięcy.

Ich zegary biologiczne nigdy się nie mylą.

Maristagi z poprzedniego polowania zachorowały i zdechły. Emrik utrzymuje, że to nie jego wina, że jak zawsze przefiltrował dokładnie wodę, a infekcja musiała wziąć się z czegoś, co stworzenia wyniosły z oceanu. Teraz została nam tylko jedna samica. Bez samca nie będziemy mieli żadnego potomstwa, żeby sprzedawać je przez resztę roku.

Mistrzynie będzie udawać, że nic się nie stało, uśmiechnie się i odeśle nas z zasiłkiem, który wystarczy najwyżej na miesiąc. Tymczasem po cichu po wyspie rozniesie się ostrzeżenie: żadnych pożyczek dla Łowców, żadnej pracy.

Będziemy przymierać głodem. Tak jak w tym roku, gdy skończyłam osiem lat.

W tamtym okresie Liria była zbyt chora, żebyśmy żyli cały rok tylko z oszczędności.

– Chowają się przed burzą – stwierdza Emrik i tym samym odrywa mnie od okropnych wspomnień. – Nas dwoje wywoła popłoch. Zostań tutaj.

– Dobra, idź tam umrzeć.

Patrzy na mnie spode łba i to wystarcza za odpowiedź. Rozbiera się z kombinezonu, uzbraja w zarguninową pałkę i zanim zdążę się pożegnać, rozplywa się w wodzie. Potem jest tylko cieniem poruszającym się tak szybko, że można by go chyba pomylić z maristagiem.

Tak szybko, że znika.

Niebo zaczyna się rozjaśniać, zbliża się złowrogi wschód. Emrika nigdzie nie ma. Czyżby ocean go pochłoniął?

Nie zgiń, Emriku, bo cię zamorduję.

Wzmaga się wiatr, syczy przez wodę. Nie zostało nic prócz sieniej zasłony nieba, przeciętej

groźnym czerwonym światłem brzasku, który barwi kotłującą się pianę fal kolorem gnijących tkanek.

Świat się wycofuje, spowity upiorną ciszą.

I wtem powietrze przeszywa gorączkowy krzyk, rozprzestrzenia się ostry zapach siarki.

Pamiętam tamten moment, gdy pierwszy raz zobaczyłam maristaga.

W szkole uczą nas o dziesięciu Wyspach Ofiru i superoceanie, Panthalassanie, zajmującym całą resztę przestrzeni. W jego czarnych odmętach żyją stworzenia będące ucieleśnieniem zła. Fawkesy, które wydzielają dziwną, smolistą substancję, zajmującą się ogniem przy zetknięciu z powietrzem. Raptory z zębami jak piły, które wycinają fragmenty łądu, żeby przepuścić ocean i podążyć za ofiarą. Aquabaty, skrzeczące z jednego końca świata na drugi.

I maristagi, żywe koszmary poruszające się na łądzie równie szybko, co w wodzie. Te zwinne stworzenia są dwunożne, ich przednie kończyny są krótsze, silniejsze i zakończone pazurami, którymi chwytają ofiary i rozrywają im mięśnie. Ich głowy wieńczy ogromne poroże. Ich łuski są świetliste, a krew ma zielony kolor.

Prawdziwy horror zaczyna się wtedy, gdy w maristagu wzbiera gniew.

Miałam wtedy pięć lat. Trzymali mnie z dala od stajni. Pamiętam, że widziałam, jak coś podskakuje pod gładką taflą oceanu, jak dokoła zbiera się piana. Zapatrzyłam się i stałam jak słup soli, obserwując, jak blask przypominający błysk metalu na słońcu się unosi. Pojawiła się głowa. Żabot uniósł się gwałtownie dokoła, posyłając jadowite kolce niczym harpuny.

Jeden *niemal* mnie dotknął.

Wrzasnęłam.

Maristag zniknął.

Stworzenie kotłuje się w wodzie, pośród zimnej szarości wapienia widzę zapierającą dech w piersi zieleń. Ostre jak brzytwa falbany wokół jego szyi podniosły się, wystrzeliwując śmiertelne kolce. A do jego silnego ciała przywarł, zaginając płetwę grzbietową, szarpnięciem unikając jadowitych harpunów, mój brat Emrik – rozpaczliwie wpijając palce w łuski maristaga.

Nagle moje ręce zmieniają się w kamienie.

Spodziewałam się, że będę musiała zmyć Emrikowi głowę za przeciąganie polowania aż do wschodu słońca.

A nie patrzeć na jego zapasy z przeklętym maristagiem w *wodzie*.

Maristag jest wspaniałą rozmazaną plamą jaśniejszej zieleni, która raz po raz gwałtownie przebija powierzchnię kotłującej się wody. Emrik, uwięziony między żabotem i rogami, nie ma żadnej kontroli nad stworzeniem. Jeden fałszywy ruch, jedno zdradzieckie poślizgnięcie się i już po nim.

Po moim głupim bracie.

Widziałam ciała tych, którzy poznali gniew maristaga.

Nie chciałam, żeby stał się jednym z nich.

– EMRIK! – wrzeszczę i macham rękami. – TRZYMAJ SIĘ!

Skaczę do lodowatej wody.

Wbija się we mnie tysiąc zimnych szpilek, walcząc o przejęcie panowania nad moim ciałem, żeby je rozerwać na strzępy. Fale są silne i ciemne. Jednak ja znam te wody; wychowałam się w nich. Przecinam prąd, szybko i gładko, zmuszając wodę, by się rozstąpiła. Jeszcze sekunda i do niego dotrę. Płynę coraz bliżej i bliżej, wyłaniając się na powierzchnię po jeden rwany oddech.

Maristag szarpie szyją. W powietrze znów tryska jad pachnący kwasem siarkowym. Zakrzywione w tył kły zamykają się wokół ręki Emrika.

Mój brat wyje.

Do wody spływają spirale krwi.

Pałka wymyka się z dłoni Emrika.

Próbuję krzyknąć i słona woda wdziera mi się do gardła. Moja szczeka piecze, jakby była z metalu.

Maristag wpadł w szal. Obracam się z powrotem w stronę wapienia. Imbirokorzeń. Potrzebuję imbirokorzenia. Maristagi mają uczulenie na ciemną skórę rośliny. Niebka wiję się wokół kamienia niczym fluorescencyjne węże, dając trochę światła i płacząc się z gęstą, wysoką trawą kołyszącą się

niczym duch. Gorączkowo chwytam garść imbirokorzenia, lecz zbyt mocno się trzyma. Potrzebuję czegoś, czym mogłabym go przeciąć.

Płuca mnie pieką i muszę wypłynąć. W oddali w ocean trafia piorun, fala płynie w stronę skał. Zapieram się.

Mimo to woda uderza we mnie niczym blok żelaza.

Gdy tylko się uspokoi, przyciskam stopę do kamienia i ciągnę za krzak imbirokorzenia. *Za mało, za mało.* Palce mam już czerwone, roślina się wyslizguje. *To nie zadziała i Emrik zginie.* Krew na rękach. *No, zerwijcie się już!*

Ostatnia myśl wydostaje się z moich ust w postaci gromady bąbelków powietrza.

Ból przecina mi ręce.

Krzak wreszcie puszcza i uderzam plecami w przypominające młot fale. Zwijam się w kłębek, unoszę na powierzchnię. Jeden głęboki oddech i znowu się zanurzam, by wpłynąć w zakrwawioną wodę po swojego brata.

Maristag czepia się imbirokorzenia. Szarpie się gwałtownie. Luźna warstwa tkanki, która tworzy drugą skórę na opalizujących łuskach, świeci się eteryczną zielenią, cieknie krew.

Mój brat jest na wyciągnięcie ręki.

– Płetwa ogonowa! – woła zduszonym głosem Emrik. – Nie puszczaj!

Maristag zamyka żabot, szykując się do wystrzelenia kolejnych kolców. Prosto w moją twarz.

Rzęzę, woda wpływa mi do ust.

– Puść, Emrik! Inaczej zginiesz! – Uderzam imbirokorzeniem w szyję maristaga, celując w delikatne miejsce, w którym pokazuje się żabot, a zwierzę obłąkańczo zarzuca głową. Wodę przecina bolesny skrzek. Wyrwam krwawiącą rękę Emrika z chwytu maristaga i mam nadzieję, że ten odgłos darcia pochodził z ciała potwora, nie mojego brata.

Za naszymi plecami maristag stawia na sztorc drugi zestaw płetw. Płetwa grzbietowa rozkłada się wzdłuż kręgosłupa i znika w połowie długości. Zamieram, czekając na atak, lecz zwierzę odwraca się i spogląda na ocean.

Nie ma czasu do stracenia. Fale są wysokie, a Emrik wciąż krwawi. Przyciskam go do siebie i płynę.

Wyczołgujemy się na brzeg, z trudem łapiąc powietrze. Ręce mi się trzęsą z wysiłku, palce drżą, jakby coś żywego dusiło się w środku.

– Czy ty...

– Dlaczego to zrobiłaś? – przerywa mi Emrik, którego krzyk załamuje się w połowie zdania. Jego ciało całe jest pokryte piaskiem, co nadaje brązowej skórze szary odcień.

Dyszę i czuję narastającą we mnie panikę, kiedy moje sumienie rozumie coś, zanim ja to pojmę.

– Co takiego zrobiłam? Uratowałam ci życie?

– Mówiłem ci, żebyś złapała płetwę ogonową! Ja byłem bliżej grzbietowej! – W jego opuchniętych oczach widać czerwone zabarwienie. – Mogliśmy go dorwać!

Nasza niebka się zmyła, przez co staliśmy się podatni na szybko jaśniejące niebo, jednak Emrik jest w znacznie gorszym stanie. Z rany na ręce wypływa krew, wsiąkając w rozerwany kombinezon i ciemniejący piasek. Wygląda, jakby był zielony. Jego klatka piersiowa gwałtownie się unosi i opada, a potem, zupełnie bez ostrzeżenia, mój brat wymiotuje. Odskakuję. On chwytając mój nadgarstek jak imadło.

– Miałaś ze mną współpracować! Przez ciebie maristag mi się wyrwał! Koral, to był już ostatni!

– Nie, wcale nie. – Odwracam się w stronę oceanu. Maristag, wspaniale zielony, krąży coraz dalej i dalej od brzegu. Jego rogi unoszą się i zanurzają w wodzie.

Dzisiaj był ostatni dzień polowania.

Maristagi odpłynęły.



Dwa

I co teraz zrobimy? – rzeźi Emrik.

Widać czerwony rozbłysk, po czym parzący wschód słońca przecina horyzont. Odwracam się do Emrika. Widzę, że przyciska dłoń do skały, pod jego skórą wyraźnie rysują się ciemne żyły.

– Musimy iść, Emrik – szepczę.

On przeklina pod nosem. Próbuje się podnieść. Chwieje się. Próbuje jeszcze raz. Czerwony horyzont znika za jego ciemnymi włosami. Będzie na mnie krzyczał? Będzie mnie ganił?

Oczy mojego brata się zaszklily.

Pachnie siarką. Pachnie ruiną.

Wszystko w porządku? Pytam go samym ruchem głowy, bo język mi skołowaciał. Skała, na której stoję, jest ostra jak zęby. Wgryza mi się w podeszwę stopy. Ale nie mogę się ruszyć. Cała moja odwaga odpłynęła razem z maristagiem. Staram się nie odrywać wzroku od Emrika. Cierpimy po każdym polowaniu. Krwawimy. Tego można się spodziewać. Nie da się pojmać dorosłego maristaga i wyjść z tego bez szwanku.

Jednak tym razem jest coś innego w tym, jak Emrik się zatacza. Traci dużo krwi i jego skóra robi się trupioblada.

– Koral... – Jego głos cichnie. Słysząc w nim niepewność. Potem Emrik przeciąga palcami po karku i podnosi rękę do oczu. Na samym środku dłoni znajduje się mała czarna szpilka pokryta krwią.

Nagle robi mi się niedobrze.

– Musimy cię zabrać z powrotem do domu – mówię, chwytając go za ramię, zanim znowu straci równowagę i padnie twarzą między ostre kamienie. Emrik nie protestuje. Tak samo dobrze jak ja zna wpływ jadu maristaga na ludzki organizm. Delirium pierwszego dnia, gorączka drugiego, potem tydzień śpiączki. I wtedy koniec.

Kładę sobie jego rękę na ramionach i wspólnie tocymy się w stronę domu. Emrik robi się coraz cięższy, jego głowa kołysze się w moją stronę.

– Nie zasypiaj! – przekrzykuję dudniący mi w uszach strach.

Emrik krwawi.

Zapadam się pod ciężarem brata. Jego krew spływa mi po porwanej koszulce.

Z plaży na ganek naszego domu świat został naznaczony jego krwią. Czuję na dłoniach łaskotanie prażącego słońca, nawet kiedy chwiejnym krokiem wchodzimy z Emrikiem w cień.

– Ojcze! Mamo!

Ganek zachodzi mgłą i padam na kolana. Pojawia się mama, potem natychmiast wpada z powrotem do środka i krzyczy. Kilka sekund później pomaga jej ojciec.

– Coście narobili? – pyta ostro.

Nagle czuję się mniejsza niż kiedykolwiek.

– Ojcze, on został użądłony.

Mama bierze twarz Emrika w dłoń, próbując go ocucić. Panikuje, woła do ojca, żeby coś poradził.

– Biegnij po antidotum dla brata, zanim zamknie się apteka! – warczy do mnie ojciec.

Nie daje mi pieniędzy. Ja nie proszę.

Potem pędzę do miasteczka.



Wstaje nowy dzień i powietrze gęstnieje od słonej morskiej wody oraz ryb, jeszcze mocniej przez przypyływ i wciąż przetaczającą się burzę. Opuszczam główną arterię, żeby wkroczyć w najstarszą część naziemnych kwater mieszkalnych. Osiedla Najemców na wyspie Sollonia są wryte w kamieniu, wyżłobione w skalistym terenie. Mieszka tutaj sześć tysięcy ludzi, a ponieważ nie są osłonięci przed złym słońcem, radzą sobie dzięki tatuazom z piaskowego tuszu i niebkowej galaretki. Na powierzchni nie ma żadnej ochrony przed promieniowaniem, Ziemcy zabrali do siebie wszystkich najlepszych naukowców. I właśnie dlatego w umyśle każdego Najemcy niechęć do Ziemców narasta niczym algi.

Mijam zatłoczone ulice, przy których stoją budynki zaciemnione okiennicami i markizami, a które w moich oczach są jak niewyraźne obrazy malowane farbami wodnymi. Muszę trochę zwolnić, kiedy niszczące budynki zaczynają podtykać mi pod nogi rury wystające niczym łokcie i kolana. Co mam powiedzieć w aptece? Nie spłaciliśmy jeszcze długu. Gdy byliśmy tam ostatni raz, właściciel nas odesłał. Ale Emrik może umrzeć w ciągu tygodnia.

Znowu przyśpieszam. Z daleka dobiegają do mnie krzyki.

Nagle pojawia się przestraszona twarz.

– Przepraszam – wypalam, uciekając w bok, żeby uniknąć zderzenia. Czwooro chorowitych ludzi. Rodzina. Chowają się pod brudną brązową chustą. Pewnie nigdy nie mieli domu. To nie takie rzadkie w tych stronach. Domy są zalewane, zajmowane przez stworzenia. Gdybyśmy nie byli uznanymi Łowcami, nas też czekałby taki los.

Kiedy docieram do lady w aptecę i uderzam w nią dłońmi, nie mogę dobyć głosu. Każdy oddech to ogień w płucach. Właściciel kręci łysą, wytatuowaną głowę.

– Coś narobiła? Wybiłaś dzisiaj w oceanie wszystko, co żywe?

– Potrzebuję antidotum na jad maristaga – chrypię. Wciąż czuję szczypiący posmak słonej wody w gardle. – Szybko. Proszę. To pilne. Mój brat... – Znowu próbuję mówić, ale mogę już tylko na niego patrzeć. Mój umysł przestaje pracować. *Wiem o tym.* Mój niepokój rośnie, żołądek wypełnia się bawełną i nic nie mogę na to poradzić.

– A masz srebro? – pyta.

– Tak – odpowiadam odruchowo, zanim zdążę się ugryźć w język. Nerwowy spazm wstrząsa moją twarzą. Mam nadzieję, że właściciel tego nie zauważy.

Mężczyzna stęka i znika za brudnymi zasłonami.

W kącie rozgrzanego pomieszczenia pali się tani воск. Zegar leniwie odmierza sekundy. Zaciskam pięści. Moje zakrwawione białe rękawy są teraz umazane tłuszczem z lady.

Mężczyzna w końcu wraca, dysząc ciężko, i wysypuje leki na blat, spada deszcz opakowań w kolorze miedzi.

– Trzy srebrne monety.

Przełykam ślinę, palce pomarszczone od wody zaciskają się na ciepłej ladzie.

– Zapomniałam, że właściwie to teraz ich nie mam. Wypadły mi, gdy tutaj biegłam. Musiały...

– Nie ma srebra, nie ma leków – warczy. – I tak już mi za dużo wisicie!

– Proszę – mówię błagalnym głosem. Wiem, że wydaję się oszalała. Zapędzona w kozi róg. Ale naprawdę potrzebuję dzisiaj tego antidotum. Nie ma innego wyjścia. Mam mniej niż godzinę, zanim delirium Emrika wymknie się spod kontroli. Mógłby kogoś skrzywdzić. Mógłby skrzywdzić *siebie*.

Pod wpływem mojego błagania mężczyzna zupełnie zmienia swoje nastawienie.

– Koral Łowczyni – mówi z pogardą zarezerwowaną dla mojej rodziny, subkasty Najemców. – Może twoi przyjaciele Ziemcy pozwolą ci wejść do swoich aptek?

Emrik na moim miejscu przeskoczyłby przez ladę i złożył mężczyźnie skórę. Tak kiedyś zrobił, gdy przyszliśmy po leki dla Lirii.

Ja mówię jedynie:

– Zapłacę podwójnie. Tylko daj mi antidotum.

– Nie zapłaciłaś nawet żelaznego kamyka przez ostatnie dwa miesiące, a teraz niby proponujesz podwójną stawkę?

– Co tydzień musimy płacić za leczenie mojej siostry! Wiesz o tym! Wszyscy o tym wiedzą! – krzyczę, mój własny głos odbija mi się echem w głowie. Mam mroczkę przed oczami. Jeśli nie zdobędę antidotum, ojciec wyrzuci mnie z domu. Ale tym się nie przejmuję. Chodzi o Emrika. Będzie się zastanawiał, gdzie jestem. Dlaczego mu nie pomagam.

– Sprzedajesz Ziemcom i nawet nie dostajesz za to pieniędzy? – woła ktoś z zewnątrz. – Przykre.

Tatuaże ciernistych pnączy zaczynają się na ich czołach i znikają pod kołnierzykami. Po czerwonych opaskach na rękach poznaję, że to członkowie ulicznego gangu – zbierają zakłady na Wyścigi Chwały. Ich lider szczyrzy zaostrome zęby w wykrzywionych ustach.

Każdego dnia próbują nas sprowokować, nienawidzą Łowców, bo widzą w nas sprzedawczyków na usługach Ziemców, chociaż zaczynaliśmy jako zwyczajni strażnicy rybaków Najemców w pierwszych dniach osady.

Zupełnie jakby sami nie chodzili walczyć z innymi Najemcami w imię wsparcia ulubionych woźniców Wyścigów Chwały. I po co? Dla jedzenia? Pieniędzy? Jasne, my też tak robimy. Przynajmniej nie stawiamy na śmierć innych ludzi. Krew się we mnie gotuje. W Dromie ludzie *umierają*. Stratowani. Rozerwani na strzępy. Przeszyci ostrymi elementami rydwanów. Rozczłonkowani przez maristagi.

Śmierć w Dromie zawsze jest gwałtowna.

Oczywiście dla większości ludzi to największa szansa życia.

Śmierć w Dromie się wybiera. To nieśmiertelność.

Dla Najemców puenta jest oczywista: gloria tego świata nie jest dla ciebie.

Można by pomyśleć, że w imię solidarności te uliczne bandziory przestaną czepiać się innych.

Mama twierdzi, że taka już ludzka natura – walczyć o dominację i bogacić się na niedoli innych. Moim zdaniem chodzi o zimny dotyk pieniędzy.

W końcu co my właściwie wiemy o byciu człowiekiem?

To nie tutaj narodziła się ludzkość.

Tutaj ludzkość przybyła umrzeć.

– Dostaniesz srebro za informacje – ciągnie lider grupy. – Opowiedz nam o najszybszych maristagach w tym roku. Które nasza frakcja powinna obstawić w Wyścigu Chwały?

Kiedy w odpowiedzi tylko mrugam, na wpół przerażona odmową farmaceuty, na wpół wściekła za to wtrącanie się, inny dodaje:

– Założę się, że jej brat zna odpowiedź. – Chłopak ma twarz mocno poparzoną słońcem i gęsto pokrytą bliznami. Patrzy mi w oczy, prowokując, bym zaprzeczyła.

– Gdzie teraz jest? – pyta lider, a w jego brudnych dłoniach błyszczy srebro. – Ach, no tak, słyszałem, że nie żyje. Szkoda, co? Zawsze dawał nam cynk. Niech Wodny Koń ma nad nim pieczę, niech płynie po oceanie gwiazd.

– ZAMKNIJ SIĘ! Wcale nie umarł! – wypalam, przestraszona modlitwą o zmarłych. Moja odmienność jest szczególnie wyrazista przy tych Najemcach. Mówię zbyt podobnie do Ziemców, po czym od razu można poznać, że miałam przywilej uczęszczania do szkoły. Zwracam się farmaceuty: – Nie umarł. Proszę...

– W czym problem, co? – przerywa mi chłopak. – Jeśli przestaniesz polować, nie będzie więcej maristagów. Nie będzie maristagów, nie będzie turnieju, a bez turnieju – szczyrzy zęby – nie będzie chwały, którą trzeba chronić przed Najemcami. I twój braciszek by żył.

Tym razem nie potrafię się powstrzymać.

– Winisz nas? Myślisz, że pozwoliliby nam robić cokolwiek innego? Jeśli nie my, znajdą do tego inną rodzinę. Jesteśmy Najemcami tak samo jak wy, bez względu na to, co sobie myślicie.

Mężczyzna patrzy na mnie spode łba.

– Każdy dokonuje wyboru.

– Ziemcy zmuszają nas do wykonywania tej pracy, to żaden wybór. Ale wiesz, co jest naprawdę

kwestią wyboru? – Słyszając mój ton, przestają się uśmiechać. Widzę, jak w liderze wzbiera gniew, lecz już zaczęłam i zamierzam skończyć. – Zbieranie zakładów i dopingowanie przemocy dla czystej zabawy.

Nie odpowiadają mi członkowie gangu – odpowiada ktoś, kto ma nad moim życiem większą kontrolę, niż sobie do tego momentu zdawałam sprawę.

– Wynoś się z mojej apteki. – Farmaceuta kładzie wielgachne dłonie na ladzie, zakrywając miedziane opakowania.

– *Proszę* – mówię, lecz zbyt późno.

– Masz się za jakąś Ziemię? – pluje. – Zadzierasz nosa?

– To nie było do ciebie!

– Właśnie to różni nas od Łowców w tamtym domu. My na zewnątrz jesteśmy jednością.

A teraz wynoś się i nie wracaj.



Tutaj, na głównej arterii, słyhać wyraźnie fale uderzające o wapienny klif. Ludzie pędzą obok mnie, dzieci biegają we wszystkie strony, a domokrażcy sprzedają puszyste firjagody, papkowane opalfruity i syczące homary. Na lodzie leżą równe rzędy błyszczących ryb, wszystkie mają ten sam wyraz pyska: szok i zmęczenie.

Kakofonia. Chaos.

Sollonia.

A ja jestem w samym jej środku, otoczona przez obcych ludzi, i zaczynam ściągać na siebie uwagę. Na początek chytre szeptki, potem nieskrywane spojrzenia i wycelowane we mnie palce.

Myślę intensywnie. Nie mogę wrócić do domu bez antidotum. *Myśl*. Emrik na mnie liczy. Co, jeśli pójdę do apteki Ziemiaków? Będę udawać, że Rada Ofiru pozwala nam korzystać z darmowych leków, bo nie mogą stracić Emrika jako Łowcy?

To mogłoby się udać.

Powinno się udać.

A co, jeśli się nie uda?

Wtrąca mnie do więzienia.

A potem będą *musieli* wyleczyć Emrika Łowcę...

– Koral!

Dwie dłonie chwytają mnie za rękę i szarpia. Przechyliam się na bok i wpadam w wycięte w skałę wejście do sklepu z owocami morza. Chwilę później zasnuwa mnie płachta białoszarych łusek. Na chwilę zasłania cały świat. W końcu kroki koziorożca z jego ogromnym ogonem dudnią w dalszej części głównej arterii, a ludzie zaczynają się wyłaniać z kryjówek.

Sollonia ma pięć koziorożców – gigantycznych amfibi, które są w połowie kozami, w połowie rybami. Stacjonują w każdym kącie wyspy, a jedna zawsze patroluje arterię i *stara się* pilnować, by stworzenia oceaniczne zostały tam, gdzie powinny. Ta amfibia – którą prowadzi równie przysadzisty uzbrojony strażnik z zarguninowym kijem tak wielkim, że drapie nim ulicę – góruje nad każdym budynkiem. Wystarczyłoby, żeby jednym z dwóch potężnych rogów lekko trąciła człowieka, a ten wzleciałby w powietrze. Zamiast kopyt jak u kozy amfibia ma pazury, które mogą zadrapać wszystko, zryć wszystko i przekopać się przez *wszystko*. Płetwy na końcu jej ciała, będące jednocześnie kończynami, są twarde jak głazy, do tego mają sto metrów szerokości, więc zwierzę po lądzie porusza się równie dobrze, co pod wodą.

Stoję przyciśnięta do filaru u mojego boku, zostawiam na nim krwawy odcisk dłoni. Adrenalina powoli słabnie, inaczej niż czyjś uścisk na mojej ręce. Odzywają się instynkty, jestem gotowa, żeby się bronić.

– Mógł cię wykopać do innego wymiaru! Czy nurkowanie w oceanie, jakby to był żart, to jeszcze za mało? Naprawdę chcesz zginąć? – odzywa się ktoś.

– Crane – chrypię do najlepszej przyjaciółki. – Prawie cię zabiłam.

– Chyba śnisz. – Naciąga mocniej chustę na twarz, kości rysują się pod materiałem i widać

tylko oczy. – Mam nadzieję, że Emrik żyje, bo...

– Żyje! Kto rozpuścił plotkę, że nie żyje?

– Wszyscy w Magazynie o tym gadają. Pomyślałam, że znajdę cię w aptece. – Trzymaj mnie na wyciągnięcie ręki. – Dziwisz się? Popatrz na siebie.

I patrzę. Moja biała koszula jest pokryta szlamem i krwią, poplątane włosy częściowo opadły i przykleiły się do policzka.

Crane podaje mi miedziane opakowanie leków.

– Ten bufon jeszcze się chwalił, jak to nic ci nie dał. Więc oczywiście załatwiłam, co trzeba.

Moje serce dudni jak oszalałe.

– Trzy srebra, Crane. Nie mogę tego przyjąć – odpowiadam, ściskając pigułki tak mocno, że celofanowa owijka staje się moją drugą skórą, a krew sączy mi się z dłoni.

– Właśnie, że możesz. Teraz mnie na to stać. Najdroższy ojciec zeszłego wieczoru wysłał swój comiesięczny dowód miłości.

– Czekaj, a co ty robiłaś tak wcześnie w Magazynie?

Crane unosi brew pod ciasno zawiniętą chustą.

– A Emrik nie potrzebuje przypadkiem tego antidotum od razu?

Nawet się z nią nie żegnam, tylko biegnę z powrotem do domu.



Trzy

Powietrze w holu drży od ciszy obserwującego drapieżnika.

Szkoda, że nie ma tutaj mojego brata. Ale śpi teraz, owinięty w gazę. Podanie antidotum było boleśnie powolne, zanim zdążyłam wrócić, rozwinęło się już delirium. Ojciec postanowił wytknąć mi zwłokę, zamiast być wdzięcznym, że w ogóle możemy pomóc Emrikowi.

Czuję się tak, jakbym miała więcej siniaków niż zdrowej skóry, ale nie dysponujemy środkami przeciwbólowymi. Ból skacze mi po ciele, raz rozwija się w jednym, raz w innym miejscu.

Nikt się nie odzywa.

Rozpaczliwie pragnę pominąć noc i obudzić się rankiem, gdy wszystko już będzie naprawione.

W maleńkim holu nie ma żadnych ozdób, podobnie jak w całym domu, nie licząc jednego z moich niebieskich porcelanowych wazonów w kącie. Umieszczone w nim kwiaty już więdną. W niszy w ścianie stoi słoik z wodą, a w niej dwie małe rozgwiazdy są jedynym źródłem światła, które przygasa i rozżarza się rytmicznie zgodnie z pulsowaniem ich ciał. Dzisiaj żadna ze szklanych lamp, które robi Emrik, nie jest zapalona. Jesteśmy pogrążeni w żałobie.

Przeżywam każdy kęs jedzenia, jakby był ostatnim.

Pamiętam to uczucie z czasów, gdy miałam osiem lat.

Przeżywam zbyt głośno. Przeciagam stalową łyżką po stole, żeby to zagłuszyć.

Ojciec posyła mi ostre spojrzenie.

Przestaję.

Wraca cisza. Duszona na wolnym ogniu.

Czuję kłujący ból w dłoni. Wypada mi łyżka. Próbuje ją złapać, ale wtedy wyginam w pół papierowy talerz, rozsypując cenny fioletowy ryż. Łyżka bezceremonialnie ląduje na podłodze.

– Był tylko jeden... – zaczynam i urywam. Na twarzy mamy maluje się albo współczucie albo rozczarowanie. – Nawet zanim interweniowałam, tylko jeden. Ze względu na burzę. – Ból w dalszym ciągu pulsuje mi w palcach, odciski ciągną, jakby miały zaraz pęknąć. – Nie uwolniłam go celowo. – Staram się zachować spokój w głosie. – Zaciśnął szczęki na ramieniu Emrika. To był naprawdę duży okaz. Nie mogłam... Nie chciałam, żeby Emrik odniósł jeszcze większe obrażenia – kończę słabo.

Mama obserwuje przestrzeń między nami. Nie wiem, o czym teraz myśli. Gdy wróciłam, Liria znowu kaszłała, a mama była zbyt zajęta zajmowaniem się nią, więc ja musiałam zaopiekować się Emrikiem.

– Leela – odzywa się ojciec. – Co powiedział tamten farmaceuta w zeszłym tygodniu?

Mama bierze głęboki oddech. Chowa kosmyk za ucho. Jak zawsze ma przedziałek na środku, a brązowe włosy wydłużają jej okrągłą twarz. Na samej granicy czoła ma okrągłe tatuaże, które kończą się na skroniach. Nic nie mówi. Nie musi. Poprosiliśmy z Emrikiem farmaceutę, żeby poczekał jeszcze miesiąc przed pójściem do magistratu Najemców. Jednak nie chciał odpuścić.

– Powiedział, że się zastanowi – kłamie. – Pomogło to, że Crane zapłaciła.

Z pokoju Lirii niesie się kaszel.

Mistrzynie wie, że Liria jest zbyt chora, żeby polować. Ponieważ nie ma nazwiska Łowczyni, nie może dostawać leków, które my z Emrikiem otrzymujemy raz w roku przed rozpoczęciem sezonu. Nie możemy narzekać. Dostajemy więcej niż większość Najemców.

Z trudem przełykam jedzenie.

– Tak, bo tego nam właśnie trzeba. Poniżyć się na oczach tych z Opalowej Nory. – Ojciec patrzy zimnym wzrokiem oczu osadzonych w poważnej, chudej twarzy. Wiem, co widzi: bezmyślną dziewczynę, która zaryzykowała dobrobyt całej rodziny.

Powinam była przejąć kontrolę nad maristagiem. Powinam była oderwać go od Emrika *i jeszcze* sprowadzić go do stajni.

– Varman, ona nie... – zaczyna mówić mama, lecz ojciec jej przerywa.

– Powiedz jej to, co usłyszałem od ciebie dzisiaj rano.

To ten jego ton, który zazwyczaj pojawia się tuż przed tym, jak wyżywa się na mamie, zmienia mój strach w gniew. Jeśli myśli, że może znowu zwracać się do niej w ten sposób, grubo się myli.

Potem odzywa się mama.

– Medyk powiedział, że problem z płucami Lirii to nie astma. To przypadłość podobna do tej, która dotyka ludzi w pobliżu Kar Atish. Nie jest pewien, dlaczego zachorowała, tak daleko od tamtego miejsca.

Kar Atish to miasto-wyspa na wschodzie od nas, gdzie znajdują się kopalnie zarguniny i srebra. Stamtąd biorą się pieniądze i osłony przed słońcem, szczególnie dla Ziemców. Ludzie w Kar Atish mają szklany wzrok. Żaden obcy nie chce się zatrzymać na tej wyspie żuźlowych ulic na dłużej niż kilka godzin. Tak mówią.

– Jej leczenie musi się zmienić. Będzie droższe.

– *Droższe?* – wtrąca ojciec. – Ten nowy lek, który mamy wypróbować, kosztuje dwieście siedemdziesiąt srebrnych monet! To dla nas wyrok śmierci!

Patrzę to na ojca, to na matkę, próbując sobie wyobrazić, jak zapewnimy Lirii bezpieczeństwo, skoro nie mamy żadnych maristagów do sprzedania w tym roku.

Czekam, aż powiedzą, że to nieprawda.

Nic z tego.

Czując wzbierające we mnie mdłości, pytam:

– Co robimy?

– Zapiszesz się na liście kandydatek na żony, żebyśmy dostali dodatek i po pierwsze spłacili dług.

Dwa lata temu gdy karmiłam maristagą, ten zaatakował mnie swoimi rogami. Uderzyłam w ziemię niczym kamień rzucony w ścianę klifu i przez kilka chwil nie mogłam się ruszyć, nie mogłam myśleć, kolory zlewały się ze sobą. Miałam tylko blade pojęcie o tym, że wydarzyło się coś złego.

Właśnie tak się teraz czuję.

Matka nachyla się w moją stronę, przykłada dłoń do mojego ramienia.

Udaje mi się wydukać tylko jedno słowo.

– Nie.

– Nie pytałem cię o zdanie – rzuca ojciec.

– Kiedy ty w ogóle pytałeś, czego chcemy?! – wrzeszczę i wstaję. Stół się przewraca, resztki obiadu rozlewają się po podłodze.

– Koral! – woła mama.

– Czyli zrobisz, co zechcesz, nawet jeśli miałoby to kosztować twoją siostrę życie? – pyta ojciec. – Przecież nie jesteśmy w stanie zapłacić nawet za pieprzone środki przeciwbólowe. Tamten człowiek będzie tutaj za tydzień po pieniądze. Nic nam nie zostało! Zaciągnie nas do sądu. Jeśli stracimy stajnię, skończymy na ulicy.

To jak cios prosto w splot słoneczny. Może w tym domu nie ma prądu ani mebli czy choćby bezpośredniego przyłącza wody, nie licząc tego w stajni, ale przynajmniej daje nam bezpieczeństwo. Chroni nas przed ostrym słońcem i okrutnym oceanem. Przed stworzeniami, które zabiłyby nas, zanim zdążylibyśmy zaczerpnąć tchu.

– Nie to chciałam powiedzieć.

Wzrok ojca tężeje, jego głos staje się jeszcze niższy.

– Jeśli tego nie zrobisz, właśnie to mówisz.

– A ty co zrobiłeś? – Gorące, wściekle łzy płyną mi po twarzy, lecz dłonie mam zbyt drżące, by je zetrzeć. – Co ty robisz w czasie, gdy my z Emrikiem raz po raz ryzykujemy życie w oceanie? Coś ty w ogóle kiedykolwiek zrobił, ojczu?

Podnosi rękę i wtedy staje między nami mama.

– Varman, nie! To jeszcze dziecko! Nie wie, co mówi.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wiele musiało ją to kosztować odwagi. Moja matka to złamana kobieta. Ojciec wini ją za wszystko: kiedy nie mamy wystarczająco dużo jedzenia, kiedy maristag wpada w szal, kiedy Liria kaszle tak dużo, że obawiamy się o jej życie. Za wszystko. Mama próbuje unikać tematu i zaprzeczać, ale my wiemy swoje. Widzimy ją z pochyloną głową, z opuszczonymi ramionami, jak zgadza się na każde żądanie ojca, nigdy nie podnosi głosu.

A jednak postawiła się przeciwko człowiekowi, który ją zniszczył, żeby chronić mnie. To pewnie ten szczegół, ten bunt matki, sprawia, że ojciec się opanowuje.

Ma oczy nabiegłe krwią, pulsuje mu tętnica na czole.

Chcę, żeby zniknął.

Chyba wyczytał to z mojej twarzy, bo rzuca:

– Idź do swojego pokoju! Natychmiast!



Gdybym poszła do swojego pokoju, pewnie bym coś zniszczyła. Dlatego idę do Lirii.

Jest ubrana w jedną z moich starych koszulek oraz patchworkową spódnicę uszytą przez mamę. Siadam na krawędzi łóżka, które również kiedyś należało do mnie. Moje zmęczone mięśnie czują upragnioną ulgę, gdy wreszcie pozostają na dłużej w jednym miejscu.

– Dlaczego ciągle masz takie włosy? – pyta ze smutkiem Liria. Patrzy na mnie wielkimi oczami spod krótkiej ciemnej grzywki. Nie ma jeszcze tatuaży. – Czy ty przypadkiem nie umierałaś?

– Nie, prawie umieranie to działka twojego bardzo odważnego brata.

Liria chichocze, bo tak naprawdę nie wie, jakie to bliskie prawdy. Zaraz jednak odwraca się w bok i próbuje powstrzymać kaszel.

– Namalowałam coś nowego – mówi cicho, żeby ukryć ochrypy głos. – Crane wczoraj przyniosła mi świeże farby.

– Masz to tutaj? – Sięgam do stolika, w którym trzyma swoje obrazy. Udało nam się z Emrikiem zdobyć go na czarnym rynku. Stoi na nim jeden z niebieskich wazonów, które robię, ozdobiony ulubionymi muszlami Lirii. Ojciec chciał go rzucić do oceanu, kiedy zdał sobie sprawę, skąd go wzięliśmy, ale pozwolił go zostawić dla wygody Lirii.

Jak na standardy Najemców nasz dom jest marzeniem, chociaż składa się z maleńkich pokoików. Łatwiej unikać nadziania się na kościste krawędzie. Dom stanowi również groźbę Rady Ofiru, przypominając nam, czym się zajmujemy i jak kruche jest nasze miejsce w wielkim świecie.

Ojciec uwielbia udawać, że nasza namiastka luksusu nie jest okupiona koniecznością polowania do końca życia. Dlatego inni Najemcy widzą w nas zdrajców. Nazwisko Łowców zawsze w tym świecie oznaczało samotność.

Liria się wtula, obejmując mnie w pasie jedną ręką i kładąc mi na ramieniu głowę.

Robiła tak jako małe dziecko – zanim zachorowała. Razem z Emrikiem przemycaliśmy ją nocą na zewnątrz. Szliśmy na plażę, żeby pogadać, pobiegać, pośmiać się, oglądać czerwonożółte gwiazdy Ognistego Statku błyszczące na niebie niczym drobne jak szpilki płomienie świec. Noc jest czasem, kiedy wyspa Sollonia jest podatna na kaprysy amfibii, na przykład maristagów, więc istnieją pewne restrykcje, ale jest to też moment, kiedy można odetchnąć i pozwolić, by powietrze do woli całowało naszą skórę.

Kartkuję rysunki.

– Narysowałaś Sanktuarium?

Na oficjalnej granicy miasta, na końcu piaszczystej mierzei, stoi relikwiarz przeszłości Ofiru: Sanktuarium Empirejskie. Ten błyszczący czarny behemot jest jednym z Cudów Świata. Znajduje się w tym samym miejscu, w którym tysiąc lat temu się rozbił, wioząc podróżników, naszą Starszą

Empirejską. Teraz kulisty budynek złożony przez historyków i robotników z elementów wraku służy częściowo za muzeum. Niestety, wiedza o technologii służącej do napędzania statku odeszła wraz ze Starszą.

Uderza mnie myśl, jak dziwnym konceptem jest szansa. Co, gdyby Sanktuarium rozbiło się gdzieś indziej? Gdyby wpadło prosto do oceanu? Między głodne drapieżniki?

Czy ja bym w ogóle istniała?

Ta myśl mnie otrzeźwia.

– Piękny – mówię z uśmiechem do Lirii.

– Tylko ty jedna to rozumiesz! – wykrzykuje, prostując się, a w jej oczach płonie radość. – Emrik stwierdził, że to dziwna chmura.

Razem śmiejemy się z niezwyklej uwagi brata.

Następnym rysunkiem jest szkic Dromu. A raczej jego wyobrażenie, bo Liria nigdy nie widziała Wyścigu Chwały.

– Myślisz, że tym razem mi się uda?

Kiedy cztery lata temu odbywały się ostatnie zawody, miała tylko trzy lata, była bardzo delikatna i chora.

– Mam nadzieję. – Wyścig Chwały jest najważniejszym wydarzeniem Rady Ofiru. Tak wiele się wtedy dzieje: celebracje, parady, przyjęcia. Pomijając oczywiście zakłady i zabijanie. Dziesięcioro Ziemców ryzykuje życie, powożąc bezwzględniymi maristagami, które mają ich życie w swoich szczękach. A jedno z nich zostanie Czempionem lub Czempionką i wygra taką ilość złota, jakiej nie potrzebowałby przez całe życie.

Tego rodzaju zwyczajstwo zmienia los rodziny na kilka pokoleń.

Jak by to było mieszkać w podziemnej willi? Mieć wszystko, czego dusza zapagnie?

Nie musiec walczyć w oceanie?

– A co z Najemcami? – pyta Liria, od razu wyciągając mnie z powrotem na powierzchnię.

Wzruszam ramionami.

– My oglądamy wyścig.

To jedna z niepisanych zasad, których nikt nie kwestionuje, a już tym bardziej nie łamie: Najemcy nie biorą udziału. Pamiętam, że widziałam w Magazynie pomarszczony historyczny manifest o Wyścigu Chwały i nigdzie nie było napisane, że Najemcy nie mogą się ścigać. Jednak robią to tylko Ziemcy.

– Szkoda. Ty byś wygrała, gdybyś wzięła udział – mówi moja siostra z przekonaniem dziecka, które żyło z dala od słońca.

Wzdycham i oglądam kolejny rysunek. Serce podjeżdża mi do gardła.

– Niedokończone – piszczy Liria i wyciąga rękę po szkic.

Zabieram go poza zasięg jej dłoni.

– Co to jest?

To autoportret, poznaję po grzywce. Dziewczyna unosi się pod powierzchnią oceanu. Jej oczy są zamknięte.

Liria patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co się dzieje, gdy umierasz?

– Nie wiem.

– Myślisz, że ja umrę?

– Słucham? Nie. Dzieci nie umierają. Tylko starzy ludzie.

– Ale jestem chora.

– No, oczywiście można zachorować. Ale nie umrzesz, dopóki nie skończysz stu lat. Nie opowiadałam ci o Gorzknicy? Ma właśnie tyle.

Skąd jej się to wzięło? Serce mi pęka przy każdym oddechu.

Liria wzrusza ramionami. Czuję coraz silniejsze napięcie.

– Okej – mówi, a potem dodaje z absolutną nonszalancją: – Wiedziałaś, że można mieszać różne pigmenty, żeby tworzyć nowe kolory?

– Nie! – Udamę zaskoczenie. – Naprawdę?

– Tak, możesz tworzyć wszystkie kolory, jeśli masz trzy podstawowe.

Przyglądam się jej odrętwiałym dłoniom, zapadniętym policzkom, powoli poruszającej się klatce piersiowej.

Wtedy przychodzi mama. Za każdym razem, kiedy się pojawia, wyczuwam jej obecność. Jest... *ciepła*. Nie ciepła jak ziarniste powietrze, które drapie skórę. Ciepła jak ognisko nad oceanem w zimne noce.

Podaje Lirii środek nasenny, chociaż mała płacze o „jeszcze kilka minut”.

Układamy ją do snu, a mama daje mi znak, żebym wyszła na zewnątrz.

W cichym korytarzu staje przed lustrem i czesze sobie włosy. Czubek jej głowy sięga mi jedynie podbródka. Raptem kilka lat temu podskakiwałam za nią na plaży, zbierając muszle, i sięgałam jej do pasa.

Jesteśmy do siebie podobne w taki sposób, jak większość matek i córek. Jednak pełne usta, duże oczy i delikatne rysy twarzy mamy sprawiają, że wygląda czarująco. Widzisz ją i myślisz: dom i bezpieczeństwo. Ja jestem raczej pokręconą kopia, która za bardzo się stara.

Zastanawiam się, o czym chce ze mną porozmawiać. Czyżbym znowu zapomniała umyć sztućce? Jednak nie – wczoraj przefiltrowaliśmy trochę wody. Na dzisiaj już nie wystarczy. Resztkę musimy zachować do stajni, dla ostatniej maristagi, która nam została. Chociaż na co nam ona teraz, nie mam pojęcia. Jest dziwnym okazem. Żaden Ziemca nie chce jej do Wyścigu Chwały. Uważają, że jest przeklęta.

– Nigdy więcej nie mów w ten sposób do ojca – odzywa się mama.

Zszokowana już mam coś odparować, lecz powstrzymuje mnie pustka w jej głosie. Cięży mi jej zmęczenie. Gładzi mnie po głowie; moje włosy są kruczoczarne, chociaż ona i Liria mają brązowe.

– Już tak wiele robicie. Ty i Emrik.

Patrzy mi w oczy.

– Ziemcy widzą w nas poskramiaczy maristagów, a wszystko, co wygląda jak władza w rękach Najemcy, burzy im krew w żyłach. Ale to lęki i frustracje naszego ludu powinny cię martwić. Margines marginesu to bardzo niebezpieczne miejsce, nigdy o tym nie zapominaj.

Kiedyś myślałam, że rodzice przesadzają, opisując to, jak jesteśmy odbierani przez innych Najemców. Jednak gdy zaczęłam chodzić do szkoły, wszystko stało się jasne jak słońce. Nie ma tam dla nas miejsca. Tylko tutaj, między sobą.

– Pamiętasz, o czym kiedyś najczęściej śniłaś?

Chociaż ze wszystkich stron napiera na mnie ciemność, mamrocę:

– O lataniu.

Mój ton sprawia, że mama również się uśmiecha.

– Nigdy więcej nie dasz ojcu szansy na to, by znowu wyładował na tobie swój gniew. Rozumiesz? I obiecaj mi dzisiaj, że nigdy nie przerwiesz swojego lotu.

Może mówić enigmatycznie, ile tylko zechce, żądania ojca i tak już wyrły mi się w głowie. Przekonałam się dzisiaj, jak skończymy bez pieniędzy. Gdyby Crane nie pojawiła się na czas...

– Jak zapłacimy za dalsze leczenie Lirii, mamo? Jak spłacimy długi?

– Nie pozwolę, żeby jedna z moich córek zniszczyła samą siebie dla drugiej. – Teraz w jej tonie pobrzmiwa determinacja i gniew. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałam. Dalsza rodzina i przyjaciele mówili mi, że mama kiedyś potrafiła się śmiać i tak otwarcie wyrażała swoje myśli, że wszyscy się denerwowali, a ojciec patrzył na nią, jakby dała mu cały świat; zakochał się w niej, bo nie bała się głośno wypowiadać swojego zdania.

Teraz to brzmi jak mityczne opowieści o Empirejskiej Starszyźnie.

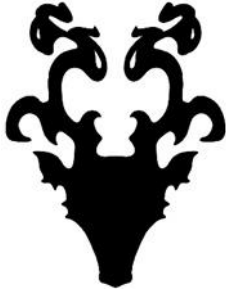
W moich wspomnieniach zawsze pozwalała ojcu na wszystko. Jemu się wydaje, że ja o tym nie wiem. Jednak siniaki na ciele matki są trudne do przeoczenia, kiedy ją ściskasz, a ona wydaje zduszony okrzyk bólu.

Nagle to rozumiem. Rozumiem, co moja matka robiła przez te wszystkie lata.

Nie odzywam się.

I właśnie ciche cierpienie matki sprawia, że podejmuję decyzję. Nie złożę podania o przydzielenie mi męża, ale też nie zamierzam zwyczajnie się poddać – jak ojciec.

Mimo wszystkich jego starań nie nauczyłam się poddawać.



Cztery

Wychodzę z domu, zanim Emrik się obudzi. Może jest fizycznie osłabiony, ale pewnie doszedł do siebie na tyle, by się wściec na wieść, że idę na czarny rynek Magazynu. Oficjalnie to porzucony magazyn. Dlatego, oczywiście, Najemcy mogą tam na krótki okres przechowywać zatechłe dobra i spierać się między sobą, nikomu nie przeszkadzając. Jednak jak ze wszystkimi innymi rzeczami pozostawionymi w spokoju przez Ziemców, to w gruncie rzeczy nielegalne targowisko i melina kryminalistów. Schronienie dla rebeliantów.

Dlatego *muszę* mieć pewność, że Emrik tam za mną nie podąży.

Wślizguję się w sieć pokrytych smołą osiedli Najemców. Przecinana strumieniami wody i pokryta warstwami martwych chrząszczy alejka prowadzi w głąb terenu, na który rodzice zabraniają swoim dzieciom wstępu. Naturalnie czarne ściany zdobią wulgarne graffiti, blaknące symbole buntowniczej grupy Arki Wolności, a także resztki smoły z fabryk grafenu.

Ale nie mogę unikać Opalowej Nory, jak nazywają to miejsce Ziemcy. Mieszka tutaj Crane, a raczej jej ojciec Ziemca zostawił ją tutaj, kiedy się urodziła, a jej matka-Najemka zmarła przy porodzie. Jego zdaniem rola ojca ogranicza się do wypłacania miesięcznych alimentów, a ona w zamian ma go nigdy nie szukać.

Ulica zmienia się z wysłużonej ścieżki w zbieraninę matowych kamieni wciśniętych byle jak na kanały odpływowe. W powietrzu unoszą się okropne, gryzące zapachy. Domy tutaj są gołymi jaskiniami, nie mają nawet okiennic jak na innych osiedlach.

Sąsiadka Crane woła do mnie:

– Widziałas mojego syna? Poszedł do sklepu na rogu.

Uderza mnie to niczym fizyczny cios. Jak zawsze.

Jej syn to Najemca, który pewnego dnia po prostu zniknął. Zapewne został rzucony do oceanu przez siły Ziemców za coś, co zrobił, cokolwiek to było. Może powiedział coś przeciwko Radzie. Może wiedział coś, czego nie powinien. Może uczynili z niego kozła ofiarnego. A my mamy o tym nie rozmawiać. Chyba że chcemy być następni.

Łowcy grają w tę grę zwaną śmiercią, lecz zawsze zawracamy z samej krawędzi. Nigdy nie straciłam nikogo bliskiego. Nie wiem, jak to jest spojrzeć w otchłań i starać się sobie przypomnieć, co istniało wcześniej.

– Przykro mi, Remide – mówię starszej kobiecie po raz setny. – Nie widziałam go.

– Niedługo wróci... – Wycofuje się za aluminiową płytę, która służy za drzwi.

Powinnam coś powiedzieć. Pocieszyć ją. Gdyby to się przydarzyło nam i mama została sama, chciałabym, żeby ktoś okazał jej litość.

Potem jednak zauważam plakat przyczepiony do drzwi Crane.

To zaproszenie Arki Wolności z jednym hasłem odbitym grubą czcionką: *Żadnych bogów, żadnych Ziemców*. Można było przewidzieć, że Crane będzie lubiana nawet przez rebeliantów. Zrywam plakat i dopiero wtedy pukam do drzwi.

Crane otwiera ze zmarszczonym czołem. Włosy ma zebrane na czubku głowy, zgarnięte z twarzy, więc jej wyraziste brwi wydają się jeszcze bardziej kanciaste niż zwykle. Większość prawej strony jej twarzy pokrywa tatuaż w kształcie litery C. Pewnie dopiero wstała z łóżka, a jednak w jej

uszech już błyszczą kamienie.

– Czego chcesz w środku nocy? – pyta, ziewając.

Przeciskam się obok niej.

Pokój został wyryty w litej czarnej skale wyspy. Jest praktycznie pusty, nie licząc płaskiego kamienia, który wyłowiliśmy z oceanu i który służy teraz Crane za stolik. W tej chwili znajduje się na nim gliniana miseczka po brzegi wypełniona soczystymi pomarańczami. Sięgam po cząstkę ociekającą lepkiem syropem. To prawdziwy luksus.

– Jego służący powiedział, że miał dobry humor. Nawet zaproponował dodatkowy bilet do Dromu, gdybym chciała.

– Wyścig Chwały naprawdę wszystkich dobrze nastraja, co? Nawet tego anonimowego ojca Ziemię – mówię.

– Kto wie, może jeszcze usłyszymy, że twój ojciec wreszcie faktycznie robi to, co do niego należy, i nie wini twojej matki za to, że jemu brakuje mózgu.

Chociaż cała sprawa jest ponura, uśmiecham się.

– A skoro już o tym mowa – rzucam. – Wybieram się do Magazynu. Potrzebujemy pieniędzy.

Nie ma takiej rzeczy, której nie dałoby się znaleźć na czarnym rynku Magazynu. O pożyczki nie jest trudno. Nawet o leki – zawsze można coś przemyścić na pokładzie promu do Chandrabad, gdzie przy Uniwersyteckim Centrum Medycznym rozwinął się cały światek nielegalnych medykamentów.

Żeby się tam dostać, muszę przejść przez Terrafort bez wzbudzania podejrzeń, a do tego potrzebna mi jest Crane.

Na jej twarzy pojawia się cień, którego nie poznaję.

– Akurat *ty* nic nie musisz.

– Farmaceuta powiedział, że za tydzień przyjdzie po dług. Nie wydaje mi się, żeby Ziemia zostawił ci dość srebra, żebyś mogła nas spłacić i jeszcze zadbać o siebie.

– Pewnego dnia Varman sam weźmie się za robotę. Albo Emrik zacznie dokonywać lepszych wyborów. To się jednak nie stanie, jeśli ciągle będziesz po nich sprzątać.

Czuję się dotknięta. Ja niestety nie mam dobroczyńcy, który mimo fatalnych wyborów życiowych przynajmniej dbałby o to, żebym nie była głodna i nie musiała pracować nawet jednego dnia w całym swoim życiu, albo opłaciłby farmaceutę.

– Nieistotne, czyja to wina – warczę. – Ważne, że mama i Liria będą cierpieć.

– Jeśli nadal będziesz żyła dla wszystkich innych prócz siebie, nigdy nie wydostaniesz się z tej wyspy.

Soczysta słodycz pomarańczy zmienia się w moich ustach w piasek. Przyszłam tutaj prosić Crane o pomoc, nie o wykład.

Czy to takie łatwe wyjechać na planecie, która składa się głównie z wody i zaledwie dziesięciu kawałków lądu na przestrzeni tysięcy kilometrów w każdym kierunku?

Istnieją na to tylko dwa sposoby: wziąć ślub, jak mówił ojciec, albo uciec.

Jak widzę, co się dzieje z mamą, prędzej wskoczyłabym do kłębowiska raptorów w oceanie, niż wzięła ślub. A ucieczka? Ha, to nawet nie jest realny wybór

Stałabym się zwierzyną łowną.

Ale nawet załóżmy, że udałoby mi się zbiec – jak miałabym żyć bez mamy i Lirii? Mamy, której całe życie kręci się wokół nas, która dla nas została przy moim okropnym ojcu. I Lirii, najmłodszego dziecka w naszej rodzinie, która każdego dnia przypomina nam, że wciąż jesteśmy ludźmi zdolnymi do miłości.

Co by Emrik począł beze mnie? Wystarczy pomyśleć o tym, co się wydarzyło wczoraj.

– Koral – odzywa się piskliwy głos Agaty, opiekunki Crane, która stoi w drzwiach. Nawet w domu ma głowę i twarz owinięte chustą. Chyba zauważyła napięcie między Crane i mną, bo próbuje zmienić temat. – Wybierasz się później na rejestrację do Wyścigu Chwały, dziecko?

– Właśnie dlatego tutaj jestem, Agato – kłamię z uśmiechem. Rejestracja to ostatnia rzecz, którą chciałabym się teraz zajmować, jednak powiem wszystko, byle wyciągnąć Crane z domu. – Lepiej chodź ze mną. Inaczej pójde sama. – Niech teraz powie „nie”. Zobaczymy, jak na odmowę zareaguje

Agata. Pewnie pomyśli, że się kłócimy, a potem będzie się martwić, że zamiast tego Crane spędza więcej czasu z rebeliantami. A nikt tego nie chce.

Jej ściągnięte brwi mówią wszystko, co muszę wiedzieć, jeszcze zanim Crane otworzy usta.

– Dobra, pójdę.



Sollonia zwęża się na środku, w kierunku północno-zachodnim od naszego domu. Tam, po zachodniej stronie wyspy, znajduje się gładkie zbocze klifu będącego częścią samotnego szczytu. W środku jest ujście dziury, którą zmieniono w dom Ziemców, Terrafort.

Wejście do Terrafortu w połowie znajduje się pod ziemią, między dwiema okazałymi wieżami, na których umieszczono syreny, żeby mieć oko na ocean. Sprężynowa brama, wykonana w całości z zarguniny i podwójnie wzmocniana, przypomina zadaszenie. Jeśli pewnego dnia Ocean Panthalassan przybędzie, żeby odebrać dług od ludzkości za zniszczenie tej planety, brama wytrzyma jego siłę, ochraniając wszystkich znajdujących się w środku.

Przez nią wchodzi się na plac o wysokim sklepieniu. Nie ma takiego miejsca w mieście, gdzie nie czułoby się wzroku szczytu, chociaż dziewięćdziesiąt procent Terrafort jest pod ziemią; poziomy ciągną się głęboko w dół, dając schronienie całej społeczności Ziemców na Sollonii.

Najemcy pracujący w usługach i handlu znoszą swoją pracę pod ziemię.

Jak zawsze w Terraforcie czuję się mała. Nie widzę już nieba, nawet jeśli bez niebki jest groźne. Jedyne zachodnia strona daje możliwość ujrzenia przeblysku zewnętrznego świata – przez panoramiczne okno z grubą ochronną szybą, która ma o zmierzchu wpuszczać światło. Przestrzeń Najemców jest twarda, prosta, o konkretnym przeznaczeniu – u Ziemców wydaje się bardziej miękka, bardziej ludzka.

Na placu kłębią się ludzie wyczekujący rejestracji na Wyścig Chwały. Wszędzie jest pełno turystów, pełnych nadziei uczestników z innych wysp, a gdziekolwiek spojrzysz, z jakiegoś błyszczącego baneru uśmiecha się do ciebie z wyższością tegoroczny ulubiony woźnica.

Dorian Akayan, syn znamienitego Ziemcy, potomek pierwszego człowieka, który wyszedł z Sanktuarium.

Ubrany w karmazynowo-srebrną kurtkę wygląda, jakby topił się we własnym zarozumiałstwie, jakby on uratował cały świat, a my jesteśmy tutaj tylko gośćmi.

Bardzo długo nie chciałam tak o nim myśleć, ale wygląda na to, że Ziemca zawsze będzie Ziemcą.

Jestem zajęta łypaniem na wiszący najbliżej baner, kiedy wpadam między Ziemców. Nie da się od razu nie zauważyć, jak inne wiodą życie ci mieszkający pod ziemią: bez względu na kolor skóry *lśnią*, ich kości są albo zbyt ostre, albo zbyt gładkie, nie ma na nich śladu ran odniesionych po zbyt długim przebywaniu na słońcu, nie ma żadnych nierówności po złamanych i źle zrośniętych kościach, nie mają byle jak zszytych oczu, nie mają tatuaży. Zamiast tego noszą ciężkie perfumy, którymi psikają żywokolorowe tuniki i suknie, gęste włosy, jedwabne wstążki, biżuterię z koralikami. W tym morzu twarzy wszyscy chodzą wyprostowani. Oczywiście, że tak; w Terraforcie nie zaczął się żaden potwór, by pożreć całe rodziny. Nic nie sfrunie z nieba, by wzbić się z kimś w szponach. Ludzie się śmieją. Nie przejmują tym, czy blokują komuś przejście. Najemcy schodzą z drogi, nawet jeśli ciągną za sobą ciężki wózek z towarami.

Właśnie w ten sposób utrzymujemy pokój.

Nikt nie chce powtórki z Pierwszej Wojny. W tej chwili leki Lirii kosztują zbyt wiele, ale żadne z nas by nie żyło dość długo, by zachorować, gdyby nasze społeczeństwo wróciło do tego, czym było – gdyby konało z głodu i izolacji, znajdując się na granicy zakończenia historii ludzkości na tej planecie, jeszcze zanim na dobre się zaczęła.

Ten plac jest wyspą samą w sobie. We wszystkich kierunkach wiodą ulice, a przy nich stoją sklepy i gospody. Pod naszymi stopami rozchodzą się wibracje kół wózków i ciężarówek w mieście poniżej, niemal kamuflując syczenie stacji podziemnej na tyłach placu. W rzadkim powietrzu unoszą się zapachy owoców morza i wypieków.

Na zewnątrz Najemcy i Ziemcy przebywają tak blisko siebie wyłącznie w czasie Wyścigu Chwały. Właśnie dlatego strażnicy – ich metalowe maski z szerokimi przyłbicami i czarne uniformy – wtapiają się w cieniu w każdej alejce. Z placu pod ziemię prowadzi kilka tuneli. U każdego wejścia znajdują się ciasne mieszkania Najemców.

– Przestań się tak gapić – rzuca Crane. Bierze mnie pod rękę i prowadzi przez plac, nie przepaszając potrąconych Ziemców.

Za oknem-ścianą nad Agorą rozpościera się blask zdobionych lamp odbijający się od srebrzystego znaku ulicznego. Wokół tarasu z tyłu wyrosły warsztaty, sklepy z używanymi rzeczami i spożywcze, otoczone przez wysoką kolumnadę. Rok temu, kiedy sytuacja nie *wydawała się* tak trudna, razem z Crane zebrałyśmy nasze oszczędności, żeby kupić niewielką przestrzeń. Udało nam się łatwo dogadać, bo wcześniejsza właścicielka, Ziemka, zmarła śmiercią samobójczą i nikt nie chciał tego miejsca.

To bardzo niepewny interes; Crane sprzedaje w warsztacie nasze wytwory – niebieską porcelanę i szklane lampy – a ja z Emrikiem przejmuję interes tylko w dni bazarowe, kiedy nie ma szkoły dla dzieci Ziemców i mamy klientów, których łatwiej przekonać, udając, że pomagamy koleżance. Nie zarabiamy na tym więcej niż około piętnastu żelaznych monet co dwa miesiące. Jednak nie mamy z Emrikiem robić co innego z rzeczami, które tworzymy. Nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku to marnowanie czasu i pieniędzy... Dobrze jest mieć się czym zająć i nie siedzieć w domu z ojcem.

Crane otwiera okiennice, a ja odpowiadam na przypadkowe pytania innych rzemieślników i pracowników na temat Wyścigu Chwały, jakbym to ja zajmowała się jego organizacją. Muszę przyznać, że nie tylko przeczytałam część archiwalnych i teraz już nielegalnych dokumentów w Magazynie, ale też jestem z rodziny Łowców, więc wiem więcej o turnieju niż ktokolwiek z nich.

– Jesteś pewna? – powtarza Crane. – Dawno cię tam nie było, Koral. Teraz jest inaczej.

– W Magazynie nigdy nie jest dobrze, szczególnie dla Łowców.

– Tak, ale – odwraca wzrok – jesteś coraz bardziej rozpoznawalna. I nie potrafisz zachować zimnej krwi, jeśli chodzi o rebeliantów.

– Walczę z maristagami. Wydaje mi się, że poradzę sobie w nieprzyjemnej sytuacji.

Skoro mam już świadków swojej obecności w Agorze, Crane przejmuje sklep.

Wymykam się tylnym wyjściem i wychodzę na taras. Po kilku minutach wsuwam palce w ledwo zarysowane pęknięcie na końcu. Ciągnę za ukryte drzwi i wchodzę do Magazynu.

Atakują mnie kartony, morska trawa i wysuszone pnącza. W kącie siedzi kilka osób i mamrocze. Moje kroki dudnią głośno w pustce i tamci patrzą na mnie z niepokojem. Podnoszę ręce w poddańczym geście.

– Nyn bazaar – mówię, co znaczy *czarny rynek* w lokalnym dialekcie Najemców.

Dają mi znak, żebym przeszła dalej, i wracają do przerwanej rozmowy.

Na podłodze leżą puste butelki i puszki. Pod ścianę wepchnięto części rydwanów, masztów i błyszczący metal, na wypadek gdyby strażnik Ziemców natknął się na wejście. Jednak za zakurzoną zasłoną powiewającą w jednym kącie i za krótką alejką tętni życiem sollonijne targowisko, w samym środku królestwa Ziemców.

To tutaj żyją rebelianci z Arki Wolności. Nie obchodziło mnie to, przynajmniej do czasu kiedy Crane zaczęła ich słuchać, a ja musiałam ją stąd wyciągnąć. Nie spodobała im się moja interwencja. Po tym wydarzeniu moje i Emrika wizyty w tym miejscu stały się wyjątkowo rzadkie.

W powietrzu unosi się gęsty dym, w ciemności rozbrzmiewają ściszone rozmowy. Po kręgosłupie spływa mi upiorne wrażenie bycia obserwowaną. Patrzę przed siebie. Nie obracam się. Nie patrzę. Wszyscy tutaj wszystkich znają. Dlatego najlepiej trzymać głowę nisko i nie sprawiać kłopotów. Kiedy już trafisz na czarną listę Magazynu, pożegnaj się ze swoimi pieniędzmi, swoją reputacją i każdą formą pomocy, po jaką tutaj przysłaś. A jeśli jesteś kimś, kto żyje dzięki codziennym transakcjom, pakuj się i skacz do oceanu. Nawet słońce nie powoduje takiego cierpienia jak pusty żołądek.

Z jednej strony stoją zarguninowe bloki. Morski metal zrewolucjonizował życie na tej

planecie – jego śladowe ilości wymieszane z materiałami budowlanymi tworzą ochronę przed słońcem. Ziemia go nie potrzebują, pod ziemią są bezpieczni, lecz Najemcy płacą, ile tylko mogą – nawet za nielegalnie wydobywaną i zeszkrobioną zarguninę. Niektórzy za walutę mają metal, inni jedzenie, może nawet nerkę.

Są tutaj też inne rzeczy spoza zasięgu. Słoiki niebkowej galaretki drugiej klasy, jedwabne ubrania i srebrna biżuteria. Papryka chili, warzywa, strączki – pożywienie roślinne przeschłupane ze szklarni handlarzy Ziemi. Nie umieram z głodu, przynajmniej jeszcze nie, lecz na ich widok i tak się ślinię. Rośliny, które rosną na wyspie, są w najlepszym wypadku bezużyteczne, a w najgorszym trujące.

A potem to zauważam: w kącie właśnie odbywa się spotkanie Arki Wolności.

Arka Wolności zaczęła funkcjonować jako sekcja grupy handlarzy, którzy walczyli w Radzie Ofiru o miejsce na Wielkim Bazarze. Z czasem ewoluowała w ruch polityczny, lecz pozbawiony lidera, podzielony na frakcje. Niektórzy żądali reform społecznych, inni krwi. Ostatecznie zostało to, co jest teraz: garstka chuliganów i rozczarowanych mówców. Są niespokojni i niepokorni, ale nie mogą na poważnie podważyć status quo. Jednak mimo to kiedy stają się zbyt odważni i próbują publicznie wystąpić, odpowiedź Ziemi jest zaciekle i wtedy cierpią nie tylko ci, którzy nazywają siebie Arkistami, ale każdy Najemca.

Patrzę na nich, jak pilnie słuchają mężczyzny stojącego na podwyższeniu. Mają takie same maski i srebrne opaski udające łańcuchy. Nie zauważyłam wcześniej tej ich zbiorowej tożsamości.

To już nie jest przetrwanie, oni prosperują.

Czy właśnie to miała na myśli Crane?

Rozglądam się. Niewiele mi to daje. Jednak nawet w ciemności nikt nie wydaje się zaniepokojony tym jawnym wystąpieniem.

– Koral! – woła Gorzknica. – Co ty tutaj robisz?

Tak naprawdę wcale się tak nie nazywa, ale uwielbia jeść gorzką morską trawę, która rośnie niedaleko pnączy niebki. Chociaż jako handlarka zarguniny na czarnym rynku jest znacznie bardziej niebezpieczna, niż mogłoby sugerować jej imię. Pewnie nawet nie pamięta tego prawdziwego; jak głoszą plotki, ma ponad sto lat.

– Skąd oni się wszyscy wzięli? – Wskazuję Arkę Wolności. – I jaką teraz bajeczkę próbują sprzedać? Znowu jakieś bzdury o poszukiwaniu podwodnych miast, jeśli Ziemia nie da nam lądu?

– Jeśli Ziemia mogą wiercić w skałę, żeby żyć pod ziemią, dlaczego nie może istnieć Atlantyda? – odpowiada Gorzknica, używając nazwy, którą rebelianci wysprejowali na wapiennych łukach, kiedy pięć lat temu próbowali sprzedać tę ideę.

– Bogów zostawiliśmy w starym świecie. Powinniśmy zostawić też bajki.

– Taka sarkastyczna. – Gorzknica uśmiecha się do mnie protekcyjnie. – Oni tylko starają się przetrwać, wiesz?

– Nie, to ja staram się przetrwać. Oni tylko próbują narobić wszystkim kłopotów, organizując się w ten sposób. Nie będziemy mieli z czego odbudować naszego życia, jeśli znowu dojdzie do jakiejś wymyślnej rebelii.

– Tego cię nauczyła szkoła Ziemi? – Staruszka macha ręką. Jej palce są poczerniałe, kolor wspina się po rękach, miesza z tatuażami. To skutki jej pracy i stanowią wyraźny kontrast dla burzy białych włosów.

Przełykam ślinę.

– Nie mylą się.

Gorzknica śmieje się z politowaniem.

– A co ty tu jeszcze właściwie robisz?

– Potrzebuję...

– To ty nie wiesz? – Ściąga twarz jeszcze bardziej, jej zmarszczki robią się wyraźniejsze.

– O czym? – pytam, szczerząc zęby. – Co u ciebie słychać, Gorzka? Proszę. – Wyciągam rękę z gorzknicami. – Uwielbiasz je. Wiem o tym.

Jej twarz od razu łagodnieje.

– Potrzebuję pożyczki. I to szybko.

– Tak właśnie podejrzewałam. – Wzdycha i odkłada pudełko, po czym ciągnie mnie na tyły zagraconego sklepu.

– Co robisz? – Moja dłoń odnajduje scyzoryk, który przy sobie noszę, szczególnie w Magazynie.

– Odłóż to, zanim zrobisz sobie krzywdę, dziecko. – Gorzknica prychnie i wysuwa stołek. Siada przy głośnym trzasku stawów. – I tak masz już kłopotów po uszy. – Jej ton sprawia, że zamieram. – Pokłóciłaś się z Arkistami?

– Kim?

– Gangiem ulicznym, który przyjmuje zakłady na północnej stronie głównej arterii? Ci chłopacy to członkowie Arki Wolności.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Potem sobie jednak przypominam.

Każdy ma wybór.

Handlarka kręci głową, widząc, że się zorientowałam.

– To nie była prawdziwa kłótnia. Zwykła gadka na ulicy to nie jest coś, za co warto mnie tak osaczać, Gorzka. – Mimo nonszalanckiego tonu nie potrafię zapanować nad dudnieniem serca.

W oddali słychać krzyki i pohukiwania Arki Wolności.

Gorzknica zwleka chwilę z odpowiedzią. W tym czasie powietrze w niewielkim pomieszczeniu gęstnieje i zatyka mi uszy, nie dopuszczając zamieszania z zewnątrz.

– Przyszli, gdy już zakończyli swoje sprawy na powierzchni – mówi cicho. – Rozpuścili różnego rodzaju kłamstwa. – Nie pytam, skąd wie, czy ich słowa były kłamliwe, ale wątpię, by to miało jakieś znaczenie. Głęboko w kościach czuję, że chyba nic nie ma już znaczenia.

Mimo to następne słowa Gorzknicy tną jak nóż.

– Nie możesz liczyć na żadną pożyczkę ani żaden handel w Magazynie. Trafiłaś na czarną listę.



Pięć

Chwiejnym krokiem wracam do domu, wciąż otumaniona po tym, jak Gorzknica była tak uprzejma wbić mi nóż w brzuch. Ręce mi się trzęsą. Crane zaproponowała, że mnie odprowadzi, ale nie chciałam, żeby była świadkiem tego, co się miało teraz stać.

Nastrój w ciemnym korytarzu od początku nie był radosny, jednak cokolwiek matka zdołała wyczytać z mojej twarzy, sprawiło, że zaciska mocniej chwyt na trzymanej w dłoni szczotce.

– Błada jesteś – mówi mama. – Zjedz coś.

Emrik opada na ścianę, przykładając do piersi rękę w temblaku. Jego włosy to rozpuszczona płatanina suchych pnączy.

Próbuję dobrać odpowiednie słowa, lecz nie ma już ucieczki.

Do korytarza wchodzi ojciec, ubrany w garnitur w stylu Ziemców, jakby się dokądś wybierał – co nie jest możliwe. Cztery lata temu powiedział, że jestem dość duża, żeby polować, i to tyle. Od tamtej pory nie przepracował ani jednego dnia, nie licząc prezentowania Mistrzynie wyszkolonych maristagów.

Zauważa mnie.

– Przystaniesz to wreszcie przeciągać?

Czyżby usłyszał już, co się stało? Drugi raz w ciągu dwóch dni to moja wina, że w tym roku prawdopodobnie umrzemy z głodu. A przynajmniej ci z nas, którzy wystarczająco długo pożyją.

Każde z nich osnuwa rozpacz, a mnie ból zalewa pierś.

Nie otrzymamy pomocy z Magazynu. Miesięczny zasiłek Mistrzynie spłaci nasz obecny dług, ale stworzy kolejny, w biurze Rady. A potem koniec. Na Sollonii albo pracujesz i dokładasz się do wspólnego dobra, albo nie dostajesz żadnych zasobów. To będzie nasz drugi dług. Szanse na to, że Rada odrze nas z tytułu i sprowadzi nowych Łowców, są wyższe niż kiedykolwiek. Każde zamykające się nam przed nosem drzwi odbijają się echem w mojej czaszce.

W kącie słychać głos mamy, wzywający mnie do lotu.

Potem mówię coś bez zastanowienia, ale to nasza ostatnia szansa. Jedyna, której mogę się chwycić.

– Biorę udział w Wyścigu Chwały. Wygram i przyniosę nam złoto.

Tylko na twarzy ojca nie maluje się szok; szczypie się w nasadę nosa, to wszystko. Liria wciąga gwałtownie powietrze, zasłania dłońmi usta i zaczyna kasłać. Mama potrzebuje kilku minut, żeby ją uspokoić.

– Jak niby zamierzasz się tam dostać? Nie rób niczego głupiego. – Ojciec ściąga brwi, jakby nagle zamiast włosów wyrosły mu płetwy. – Wyścigi z maristagami. – Prycha. – Jeden z nich prawie zabił Emrika.

– Masz na myśli tego maristaga, który *nie* zabił Emrika, bo ja go uratowałam?

– Daj spokój, ojczy... – zaczyna brat, lecz przerywa mu mama.

– Emrik, bądź cicho – rzuca, po czym mówi do mnie: – Twojemu ojcu chodzi o to, żebyś nie była nierozsądna. Najemcy nigdy nie byli woźnicami.

– Umrze, jeśli wejdzie do Dromu – stwierdza ojciec. – To nie jest miejsce dla niej. Te potwory i ci... ci Ziemcy. Myślisz, że bukmacherzy będą ryzykować, że Najemca wprowadzi zamęt w Dromie?

Nie, ona nas ściągnie w dół jak... – Wciąga gwałtownie powietrze i milknie.

Mija napięta, przyprawiająca o mdłości sekunda, po czym ojciec wychodzi.

Twarz mamy opowiada najstarszą historię na świecie: jest zbyt zmęczona, żeby się kłócić.

Zwraca się do Lirii:

– Chodź, sitara, czas na twoje leki.

Liria ogląda się na mnie z progu pokoju, jej oczy są wielkie, pełne zachwytu i strachu.

Zostajemy tylko ja i Emrik.

– Muszę ci mówić, jaki to zły pomysł, czy sama o tym wiesz? – rzuca.

– Masz lepszy?

– Eee, no, bądź poważna.

– Jestem całkiem poważna.

– Żaden Najemca nie przekroczył tej granicy. Ty również nie możesz.

– Nie obchodzi mnie to! Musimy się tym zająć. Tak to działa!

– Tak, *my!* Ty nie musisz nic robić sama. Musi istnieć jakieś inne wyjście. – Blizna pod jego okiem, wąż rozdarty przez strumień, wydaje się przesuwac.

Wpatruję się w niego, nie mrugając oczami, zupełnie jak zrobiłby to ojciec, gdyby tutaj był.

– Na przykład jakie? Umrzeć z głodu? Zapomniałeś, co się stało ostatnim razem?

Emrik się wzdyga. Nie da się nie zauważyć błysku w jego oku. Tak samo jak ja nigdy nie zapomni tego, co się stało osiem lat temu.

Dwa maristagi oszalały w niewoli.

A kiedy oceaniczne jelenie robią się obłąkane, żadna siła Ofiru nie zdoła nad nimi zapanować.

Ten większy, zielono-brązowa bestia, uderzył z całej siły rogami w drzwi swojego boksu, a wzmocnione, wytworzone w laboratorium drewno roztrzaskało się niczym szkło. Z pianą w pysku, z zakrzywionymi siekaczami, które później zabiły naszego stajennego, przebił się też przez drugie drzwi, uwalniając towarzysza. Rzucali się i rozbijali po całej stajni.

Zabili mniejsze maristagi – w tym własne potomstwo – oraz kilku treserów.

Ojciec i Emrik byli w stanie krytycznym. Ja miałam połamane nogi, bo uwięziło mnie ogrodzenie, i do tego rany od drutu kolczastego. Wszędzie była krew, tak dużo krwi, że miesiącami wydawało mi się, że czuję jej zapach. Maristagi przedarły się przez Sollonię, miażdżąc każdego głupca, który nie wziął ich na poważnie. Wróciły do oceanu, zostawiając za sobą ciała i ślady krwi, a wraz z nimi odeszły resztki naszego szczęścia.

Przez cztery miesiące żywiliśmy się algami. Widać było mi kości nadgarstków przebijające się przez skórę, która nabrała koloru kwaśnej śmietany. Nie byliśmy w stanie polować i nadrobić strat.

Emrik patrzy na mnie spode łba.

– Rozkopujesz groby, żeby zyskać argumenty. Nigdy nie pozwolą Najemcy dołączyć do wyścigu, nawet jeśli nie wszystkie miejsca będą zajęte – mówi zjadliwym tonem, który mnie zaskakuje. Ciągłe się z bratem kłócimy, akurat to nic nowego. Ale ta ostrość już tak.

I to sprawia, że moja panika nabiera gwałtowności. Podnoszę głos, zanim zdążę zrozumieć, co się dzieje.

– Jeśli nie chcesz pomóc, nie pomagaj. Pozwól mi zrobić to, co chcę.

Zanim zaczniemy się awanturować jak w dzieciństwie, wychodzę z pokoju, słysząc w uszach głośnie dzwonienie.

Pędzę po schodach na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, i wzbiera we mnie poczucie, że zaraz się przewrócę.

Na piętrze przytłacza mnie nagle światło i potykam się, wyciągając ręce do balustrady.

Stąd widzę krawędź klifu. *Chłopaki Ziemiaków śmieją się ze mnie, a ja chowam się pod ziemią, zakrwawiona, spanikowana.* Oddycham z trudem, próbując otrząsnąć się ze wspomnienia. Gdy brakuje protestów ojca i Emrika, siła rażenia mojej decyzji uderza we mnie niczym wysoka fala.

Dlaczego to powiedziałam? Nie mogę wziąć udziału w Wyścigu Chwały.

Emrik ma rację; nie pozwolą mi się zarejestrować.

Sama myśl o próbie zgłoszenia się wzbudza we mnie zażenowanie.

– Nikt cię nie obchodzi, prawda? – Emrik dogania mnie, lecz nie wchodzi na ganek, pół jego ciała zlewa się z cieniem. Pewnie znowu zapomniał nałożyć niebkowej galaretki. – Jeśli w tym domu jest ktoś, kto powinien się ścigać, to ja.

On mówi poważnie. Niesamowite.

Naprawdę wierzy w to, że powinien się ścigać za mnie, chociaż ma złamaną rękę, a jego wykrzywiony nos zalał fioletem tę połowę twarzy, która nie jest pokryta bliznami albo tatuażami.

– Wejść do środka, zanim dorwie cię maristag, Emrik.

– Nie obchodzi cię, co oni z nami zrobią, prawda? – woła za mną.

– Może moglibyście choć raz sami siebie uratować – odpowiadam, stojąc tyłem do niego i zaciskając dłonie w pięści, żeby się nie trzęsły. Emrik i ja zawsze byliśmy dręczeni przez chłopaków Ziemców w szkole i radykałów Najemców poza nią. Nie pasujemy właściwie do żadnej społeczności, a to jeszcze bardziej pogłębi podziały.

Ale nie mogę się wycofać. Nie teraz.

Emrik albo Liria. Jeśli mam być zmuszona wybrać jednego członka mojej rodziny, zawsze będzie to Liria.

Po mojej prawej huczy ocean. Pod krawędzią wapienia woda jest biała od piany. To potwierdza, że maristagi odeszły. Oczywiście aquabaty, gorgony i raptory wciąż czyhają na ludzkie ofiary, ale one trzymają się brzegu. Zazwyczaj. Dzisiaj już zdążyli przybyć turyści z całego Ofiru, gospody i hotele są wypełnione po brzegi.

Po tak wielu latach Wyścig Chwały to coś więcej niż turniej, to uświęcona tradycja Ziemców.

A ja planuję zakłócić tę tradycję.

Jednak nie mogę dać ojcu i Emrikowi satysfakcji, nie wycofam się.

Tablica z brązu wisząca nad bramą wskazuje właścicieli stajni:

ŁOWCY Z SOLLONII

Łowcy z Sollonii. Zupełnie jakby istnieli jacyś inni Łowcy. Jednak nam nie wolno ani naliczać zapłaty wyższej niż określona suma, ani cieszyć się gwarancją, że ta profesja nie zostanie nam odebrana, gdy tylko Rada tak postanowi. Tylko jedna rodzina ma oficjalne pozwolenie na polowanie i nazywa siebie Łowcami, ale na innych wyspach są inne stajnie pracujące dla Rady, żebyśmy my mieli dobre warunki. Oni hodują jelonki, które Rada wysyła z naszej stajni, kiedy u nas nie ma już miejsca. A co, jeśli im też każą polować? Nie możemy się czuć zbyt bezpiecznie.

Przemierzam puste boksy. Kiedyś to było odizolowane miejsce, jednak ojciec i mama, za pozwoleniem Mistrzynie, zrewolucjonizowali sprzedaż. Można odwiedzić stajnię i przejechać się na maristagach przed zakupem, za odpowiednią opłatą. Mistrzynie wyszczerzyła zęby i poczochnęła mi włosy, kiedy przysłała inaugurować nowy system.

– To dla kraju, oczywiście. Maristagi to tak ważna część naszej tradycji, prawda? – powiedziała.

Teraz stajnia ponownie jest zbyt cicha, zbyt zimna. Zazwyczaj biegają tędy treserzy, trzymając pałki, gotowi zapanować nad maristagami, które najbardziej lubią walkę o dominację.

Maristag ma silny instynkt obronny. Szkolenie go zajmuje lata i zaczyna się od dostarczania dużych ilości jedzenia, żeby stworzenie wiedziało przynajmniej tyle, że nie umrze z głodu. Maristagi są humorzaste, nie tolerują nadmiaru dotyku i wolą własne towarzystwo. Możesz szkolić maristaga, jeśli ci na to pozwoli. Właśnie dlatego Wyścig Chwały odbywa się tylko raz na cztery lata.

Echo moich kroków wydaje się nawiedzone. Brakuje mi maristagów.

Są piękne, nawet jeśli ich brutalność pojawia się bez ostrzeżenia; zanim wciągniesz powietrze, zatopią w twoim ciele pazury; zanim się obejrzysz, wbiją ci kły w gardło. Właśnie taka jest dziwna natura tego świata, jego zjadliwość się skrada. Czego planeta nie może zrobić sobie, rozładowuje na nas, najeźdźcach. Być może właśnie to się stało z Emrikiem, sądząc po tym, jak uparcie nie chce dostrzec, że zbliżamy się do katastrofy. Stał się wystarczająco beztroski, by uznać, że przetrwamy, *bo tak*.

Nie mogę pozwolić, żeby to przytrafiło się mnie.

Boksy są dokładnie wyczyszczone. Pachną nie tak, jak powinny. Do drzwi przykleiła się ostra

woń wybielacza i innych chemikaliów. Czegoś miedzianego.

Brom Warden, chłopak Ziemców, którego znam ze szkoły, był naszym ostatnim klientem. Kupił trzy maristagi, bo nie potrafił się zdecydować na jednego. Cały tydzień kręcił się po stajni, mamrotał coś do siebie i zadawał te same pytania, po czym w końcu się poddał. Ciekawe, jak to jest mieć nadmiar wyboru. Szkoda, że nie kupił wszystkich; wtedy śmierć pozostałych dwóch samców nie sprowadziłaby na nas takich kłopotów.

W ciszy rozlega się ciche pociąganie nosem. Stukanie w kamienną podłogę. Potem znowu nic. Wstrząsa mną dreszcz.

Na palcach podchodzę do końca boksów. W ostatnim znajduje się nasza jedyna maristaga. Samica jest wyrzeźbiona z brutalną efektywnością, jej profil ostry jak diament, nawet jadowity żabot wokół głowy, całe szczęście teraz opuszczony, zachwyca geometryczną precyzją. Jej czarne rogi to jedynie dwuzębny widelec, chociaż równie majestatyczne co u każdego innego przedstawiciela jej gatunku. Jednak gdy postawić ją obok drugiego maristaga, od razu widać różnicę: ma głęboki, usmolony kolor złota niczym metal błyszczący w odmętach ciemnego oceanu, jedynie czarno-zielone brzegi jej łusek wskazują na to, że w ogóle jakieś ma. W przeciwieństwie do maristagów urodzonych w oceanie nie ma drugiej warstwy tkanki, lecz również inaczej niż u tych urodzonych na lądzie jej pacholecy kolor nigdy nie schował się za zielenią, gdy dorosła.

Nie sprzedała się nawet wtedy, gdy ktoś potrzebował maristaga w ostatniej chwili.

Wszyscy dostrzegają w niej siłę, lecz ta odmienność ich zniechęca. Nawet małe wątpliwość rodzi strach. Mówią, że jest pechowa.

Zwieńczone pazurami przedramię spoczywa na kracie drzwi. Samica wpatruje się w tylną bramę, na obrzynek nieba. To nie tylko spojrzenie, to fiksacja.

Na zewnątrz ocean uderza o wapień. Nawet jeśli zaryzykuję i ją wezmę, nie jest wyszkolona. Nie mogę wygrać Wyścigu Chwały z rydwanem ciągniętym przez niewyszkolone zwierzę. Mogłaby stracić panowanie nad sobą. Rozbiłabym się jeszcze przed rozpoczęciem turnieju.

Moje nadzieje czmychają, jeszcze zanim się do końca uformują.

W oddali rozchodzi się echo dźwięku muszli concha. Południe na Sollonii.

Rejestracja na Sto Pięćdziesiąty Wyścig Chwały oficjalnie rozpocznie się za godzinę.

Już mam wyjść, kiedy maristaga charczy. W pustce świat pęka i pochłania cały ocean. Jest wszystkim, co mam. Trąca kraty, które trzymają ją w boksie. Jej złote umaszczenie błyszczy, opalizując niczym sztorm, lecz to oczy zatrzymują mnie w miejscu. Są czarnymi dziurami pośród łusek. Otchłaniają, w której się pograżam. *Głodem*. Jej kły stukają o siebie, dość ostre, by rozdrzeć świat.

Czeka.

Ta otchłań zaczyna mnie przerażać.

A tysiąc oceanów szepcze mi do ucha: *tak*.

To ja w naszej stajni zajmuję się wychowywaniem młodych i już jako dziecko nauczyłam się rozpoznawać siłę maristaga. Zawsze wiedziałam, jak silną presję wywierać w czasie wyścigu, na którego postawić i który z woźniców spadnie ze swojego rydwanu przed rozpoczęciem ostatniego wyścigu.

Zbliżam się do niej.

Wyciągam ją ze stajni. Zarguninowy kij przytroczony do moich pleców wydaje się strasznie zwracać na siebie uwagę. Samica jest tak silna jak najsilniejszy z kiedykolwiek sprzedanych przez nas maristagów i staje przede mną wyprostowana – osiemnaście dłoni. Jednak jest niższa niż większość przedstawicieli jej gatunku.

Przyzwyczała się do mnie. Osobiście ją karmiłam. To nie to samo, co jakbym ją szkoliła, ale nakarmiony maristag jest bardziej skory do współpracy niż ten nieustannie szczuty zarguninową bronią.

Uderza mnie myśl, że nigdy nie nadaliśmy jej imienia. I tak zawsze musieliśmy oddawać maristagi.

– Cześć – mamroczę. – Jak mam cię wołać?

Maristaga się wycofuje, nie niepokojąco, lecz by znowu otaksować mnie spojrzeniem. Wyciągam nieśmiało rękę, próbując nie przerwać kontaktu wzrokowego. Na łędzie maristagi oddychają przez naczynia włoskowate pokrywające całe ich ciało i nigdy nie brakuje im tchu, co oznacza, że jeśli jeden z nich straci kontrolę nad sobą i stanie się agresywny – już po tobie.

Ocean ich wzywa, ich krew jest wciąż zielona.

I samica nagle go wyczuwa, lepiącą się do powietrza słoną wodę. Odślania kły, z jej gardła wydobywa się niski pomruk.

Robię krok do tyłu, lecz cały czas do niej mówię, kusząc ją swoim głosem. Ona mi ufa, bo gdyby nie ufała, już by mnie przecięła w pół swoim porożem.

– Helios? – Niemal wybucham śmiechem. Gdybym zabrała na rejestrację maristagę o imieniu Helios, kazaliby mi zapłacić karę za przerywanie turnieju głupim żartem. – Nie – odpowiadam jej. – Nie słońce. Nie jesteśmy słońcem, prawda?

Unosi głowę. To ciemne złoto, słaby blask, który nie jest groźnym umierającym słońcem lecz nową, dopiero wschodzącą pięknością. Plamki złotej zieleni ukryte pod czarnymi kamieniami jej łusek wyglądają jak przebłyśki nadziei.

– Złota Burza – mówię. – Będziesz się nazywać Złota Burza z Sollonii.

– Jest taka piękna.

Wciążam gwałtownie powietrze.

Otoczona przez ciemność, w progu boksu moja siostra patrzy na mnie z przechyloną głową, jakby jej obecność tutaj była najnaturalniejsza na świecie.

Zamieram. Jeśli Złota Burza straci kontrolę pod wpływem tej niespodziewanej wizyty... *nie*.

– Liria – szepczę gorączkowo. – Nie rób tego. Zatrzymaj się.

Przystaje, zawisa nad progiem, niepewna.

Dbam o to, by nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, i powoli zbliżam się do siostry. Dopiero po odejściu w głąb stajni, na znacząco bezpieczniejszą odległość, oddycham z ulgą.

Liria patrzy na mnie przygasającymi oczami.

– Naprawdę zamierzasz stanąć do wyścigu?

– Byłoby niegrzecznie z mojej strony tego nie zrobić, skoro mam już swoją maristagę.

– Niegrzeczne jest zostawienie mnie samej z naszym bratem. – Wygina usta w podkówkę i zbiera w rękach materiał spódnicy. Mimowolnie wybucham śmiechem. Obecność Lirii w stajni jest widokiem tak dziwnym jak Terrafort nad ziemią. – Jak to możliwe, że mama w ogóle cię wypuściła?

– Nie wypuściła.

Patrzę na nią wymownie.

– Liria!

– Głupia jesteś! Emrik zawsze był głupi! Dlaczego ja nie mogę też być głupia? – Zanosi się tak gwałtownym kaszlem, że zapominam o wszystkim i padam na kolana.

– Wszystko w porządku? – Zbieram ją w ramiona, a ona mnie ściska, rżąc. Nie da się z nią walczyć. Nie da się z nią klócić. – Jeśli się o mnie martwisz, nie powinnaś. Jestem silna i jeśli ktokolwiek na tej wyspie umie się ścigać na maristagach, to właśnie ja.

Liria się odsuwa, jej twarz pokrywają plamy.

– Obiecuj mi, że nie pozwolisz, by maristaga cię skrzywdziła, dobrze?

– Obiecuję. Będzie dobrze.

Ściska mnie lekko. Pachnie swoimi lekami. Lekami, których potrzebuje, żeby przeżyć. Wstrzymuję dreszcze i chwytam ją mocniej, skupiając się na innej woni: oleju z wodorostów, który mama wciera we włosy. Ten zapach to zapach domu.

Zabieram ją przez tylne drzwi i kładę do łóżka.

– Wygrasz, Koral – mówi siostra, zamykając oczy. – Wiem to.

Przynajmniej jedno z rodzeństwa wciąż we mnie wierzy.

Wracam do stajni, powstrzymując łzy.

Może wcześniej mogłabym się wycofać, ale nie teraz. Nie po tym, jak Liria we mnie uwierzyła. Sprawdzam Złotą Burzę na plaży, za stajnią, daleko poza zasięgiem wzroku domowników. Nie

ma sensu denerwować ojca. Idziemy, chociaż wyczuwam, że maristaga chciałaby się przebiec aż do oceanu, gdyby to zależało od niej. Gdy już udowodni, że nie będzie sprawiać problemów, wspinam się na jej grzbiet.

Zza poroża świat wydaje się ogromny. Czarny ocean uderza dziko o krawędź ładu. Mój umysł czepia się kurczowo wrażenia ostrych brzegów łusek wpijających mi się w ścięgna. Agresywny wiatr tnie mi oczy niczym napięte nitki, aż muszę intensywnie mrugać.

Jeszcze czuje mrowienie głodu swojej natury. Kolec na jej kręgosłupie wpija mi się w przeponę. Poprawiam swoje ułożenie i daję jej znak, żeby weszła w cwał. Wierzę, że mnie posłucha, chociaż wcale nie mam pewności, czy mi ufa.

Jednak ufa.

Złota Burza pędzi jak błyskawica, niczym wąż uciekający przed drapieżnikiem w głębokiej wodzie. Przez jedną wspaniałą, zaczarowaną chwilę jestem w niebie – szybuję z rozpostartymi skrzydłami, a moja wiara przeobraża się w przestwór nadziei oświetlony blaskiem tysiąca słońc. *Mogę* to zrobić. *Mogę* wygrać.

– Wystarczy – szepczę, odsuwając się od jej rogów. – Spóźnimy się.



Sześć

Białe słońce płonie, barwiąc główną arterię. Jednak ekscytacja Wyścigu Chwały płonie jaśniej. Niczym kły morskich bestii powietrze przecinają krzyki i śmiechy.

Na budynkach wiszą banery frakcji – zasłaniając na razie ruiny wyspy – twarze przeszłych Czempionów i Czempionek patrzą z góry na wszystkich, jakby chciały powiedzieć: *właśnie tam jest wasze miejsce, na dole, żebyście mogli nas podziwiać*. Dzisiaj cały dzień odbywa się wspaniałe świętowanie, które trwa aż do nocy.

Gdyby nie gorgony i aquabaty, grożące wejściem na ląd, może moglibyśmy żyć nocami, z dala od niebezpiecznego słońca. Jednak jego niewidzialna krzywda jest znacznie bardziej znośna od szponów tnących ciało na strzępy.

Zaciskam mocniej dłoń na lejcach z miedzianego drutu. To szczególnego rodzaju więzy, które otaczają ciało maristagi, zabezpieczając żabot. Tutaj, w tłumie, są szczególnie potrzebne. Złota Burza zaczyna się denerwować. Odslania kły, skupia wzrok.

Dobiegające mnie krzyki natychmiast zmieniają się w ciosy pięściami i kopniaki. To żadna niespodzianka, że wielbicieli wyścigów już ze sobą walczą. W przeciwieństwie do gangów ulicznych, które zbierają zakłady, ci tutaj są nieprzewidywalnie agresywni. Ich zatargi sięgają czasem nawet trzydziestu lat wstecz, kiedy kilku fanów przegrywającego woźnicy rzuciło na tor puszki i doprowadziło do tego, że ten będący na prowadzeniu doznał wstrząsu mózgu.

Tłum wokół bójki faluje, rozsuwając się i zsuwając zgodnie ze skalą ciosów. Im bardziej zaciekle walczy, tym większą sprawia frajdę obserwującym.

Mija mnie jakiś dzieciak z nadmuchiwanym maristagiem przywiązany sznurkiem, po czym od razu się potyka i wrzeszczy, gdy zdaje sobie sprawę, że obok niego stoi prawdziwy maristag. Jego obsypani kolorowym proszkiem przyjaciele pędzą do niego, krzycząc do wszystkich, żeby przyszedli obejrzyć bójkę, a potem żeby przyszedli zobaczyć maristaga. Nie pierwszy raz ktoś wskazuje na mnie palcem. I nie ostatni. Jeden z dzieciaków rzuca w powietrze garść zielonego proszku, lecz uciekam przed obłokiem, kładąc na pysku Złotej Burzy dłoń w obronnym geście. Samica oburzona chrapie, ale idzie wyprostowana obok mnie, jakby robiła to całe życie; nic nie świadczy o tym, żeby traciła nad sobą kontrolę.

Być może ma już dosyć ciągłego przebywania w zamknięciu.

Chociaż to i tak nie będzie miało znaczenia, jeśli się zmarowi.

Przeciskanie się wąskimi, pokrytymi smołą alejkami osiedla Crane stanowi nie lada wysiłek. Ludzie się na nas gapią. Złota Burza się wzdryga. Nawet w cieniu gęsto upakowanych kamiennych budynków, gdzie musi przekręcać głowę na bok, żeby nie drapać rogami ścian, błyszczą niczym jedwabisty atrament. Docieramy do tylnych drzwi Crane, które wychodzą na niewielkie podwórk. Crane jest w kuchni, właśnie podejmuje głośną próbę ugotowania czegoś na celebrację.

Otwiera drzwi, ubrana w zieloną koszulę z kołnierzykiem i długą spódnicę w kratę. Wygląda jak kobieta Ziemiców – nie licząc smugi pasty na policzku.

– Czyżbym była tak podekscytowana Wyścigiem Chwały, że mam zwidy, czy obok ciebie stoi maristaga?

– Zostawię ją na twoim podwórku, żeby ojciec nie miał głupich pomysłów i nie wypuścił jej,

aby pokrzyżować mi plany. A potem zgłoszę się na Wyścig Chwały.

Crane zaciska usta.

– W takim razie musimy wymyślić, jak sprawić, żeby faktycznie cię przyjęli – mówi beznamiętnie.



Drom ma cztery wejścia. Jedno dla Mistrzyni, jedno dla woźniców, jedno dla publiki i jedno prowadzące na arkadę wychodzącą prosto na tor. Arkada to miejsce, gdzie przyszli woźnice zbierają się przed rejestracją.

Z setek chętnych tydzień wcześniej wybiera się dwudziestu szczęśliwców w drodze anonimowej selekcji. Każdy, kto postanowi się wycofać, może to zrobić i wtedy jest zastępowany kimś innym. Z tych dwudziestu w drodze losowania wybiera się finalistów. O ile ktoś nie jest potomkiem sławnego woźnicy, jak Dorian Akayan, z potwierdzonym miejscem, o swoim udziale dowiaduje się w czasie oficjalnego ogłoszenia, które odbywa się dzisiaj rano.

Oczywiście zdarzały się próby oszustwa, lecz nieliczne – tak czy inaczej, żadna się nie powiodła – i nigdy nie ze strony Najemców. Dla Ziemcy, o ile nie jest koronowanym Czempionem lub Czempionką, przyłapanie na oszustwie oznacza towarzyską banicję za „zachowywanie się jak Najemca”.

W wejściu stoją czterej strażnicy Helix Stratis – uzbrojony oddział ochraniający Wyścig Chwały – w niebiesko-rdzawych mundurach.

Jeden z nich mnie zauważa. Moja twarz jest częściowo schowana za szalem uniformu służby, który załatwiła mi Crane.

– A ty skąd się tu wzięłaś? Wszyscy są już w środku.

Nagle zapominam języka w gębie.

Każdego dnia ludzie podejmują decyzje pozornie niemające wpływu na ich życie. Jeśli jednak patrzysz w prawo zamiast w lewo, nie wiesz, kogo spotkasz, a kogo przegapisz. Jeśli wybierzesz drogę z dala od głównej arterii, unikniesz koziorożca, ale możliwe, że trafisz prosto w szczypcę aquabata. Jeden wybór może pchnąć nas w kierunku, z którego możemy już nigdy nie zawrócić.

W tym momencie stoję przed wyborem. Mogę się wycofać, życie będzie toczyło się tak, jak powinno, a ja nie będę musiała stawiać czoła śmierci w Dromie.

Wrócę do domu i będę patrzeć na nieunikniony rozpad mojej rodziny. Jednak *to* się nie wydarzy.

– Ojciec jednego z uczestników chce potwierdzenia w sprawie maristaga, którego zabiera na turniej. Mają niezdiscyplinowane stado.

Strażnik od razu robi krok do tyłu, a inni za nim, marszcząc jednocześnie brwi; ich dłonie wędrują do ogłuszaczy, jakby miało ich zaatakować stado maristagów.

– O, proszę – mówię dla emfazy, wskazując Broma stojącego z ponurą miną w kącie.

Strażnicy patrzą na Ziemcę w środku, a potem znowu na mnie. Jeśli postanowią go zawołać i dopytać, to koniec. Cokolwiek bym powiedziała, jakkolwiek bym błagała, zostaną uwięziona za próbę oszukania Ziemcy. Ci strażnicy mnie znają. Nie mogę już uciec.

Potem jeden z nich kiwa głową.

– Dobra, wejdź.

Maskuję zaskoczenie i szybko ich wymijam.

Arkada jest wypełniona po brzegi. Tu krążą sfrustrowani treserzy, tam medycy mamrocą pod nosem i kręcą głowami, a służący w postaci Najemców – niektórzy z nich to wyraźnie bukmacherzy – przewijają się w tłumie, nasłuchując wszystkiego, co mogłoby świadczyć na korzyść lub niekorzyść któregoś z uczestników wyścigu.

Za nimi słychać ludzi tłoczących się w Dromie mimo trwającej tam właśnie inspekcji wyposażenia oraz układu miejsc siedzących.

Jak zwykle wszystko wymyka się spod kontroli.

To niemal jak trans, to dzikie dudnienie ekscytacji i płynący pod nią rozedrgany prąd,

poruszający się w tej przestrzeni falami.

Czuję, że tuż poza zasięgiem mojego wzroku jeden ze strażników Helix Stratis śledzi moje ruchy. Śpieszę się w stronę stanowiska służby na tyłach. Większość pracujących Najemców kręci się wśród Ziemców, sprawdzając, czy wszyscy są zadowoleni i czy niczego im nie brakuje. Z tyłu powinny stać dwie osoby, ale jedną z nich Crane zamknęła w swoim domu. Ja zajmuję jej miejsce.

Naprzeciwko, po drugiej stronie pomieszczenia, znajduje się zdobiona skrzynka pilnowana przez dwóch kolejnych Helix Stratis. W środku jest dwadzieścia zgłoszeń, lecz za kilka minut na oczach wszystkich zebranych losowo zostanie usuniętych dziesięć.

Potem skrzynkę przekazuje się Mistrzynie, która przewodzi małej ceremonii. Jedno po drugim zostaną ujawnione nazwiska woźniców. Nikt nie wie, jak to się dzieje, ale z czasem się okazało, że dziesiąte miejsce jest przeklęte. Przez niemal sześć wieków Wyścigów Chwały tylko trzech woźniców wybranych na samym końcu zdołało wygrać turniej.

Słysząc czyjś okrzyk, dość głośny, by przebić się przez ogólny hałas świętowania, a Najemcy szybko sprawdzają, czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik.

– Za siedem minut rozpocznie się rejestracja. – odzywa się Najemca obok mnie. – Gotowa?

– Poważnie? – szepczę. – Ręce mi się trzęsą.

– Ogarnij się – rzuca Crane z twarzą zakrytą takim samym szalem jak mój. – Nie weźmiesz skrzynki, jak ci się będą trząść ręce.

– Dzięki, bardzo pomogłaś.

Ale ma rację. Duszę w sobie emocje, żeby nie przejęły kontroli nad ciałem. Staram się zapanować nad oddechem. Mój plan się nie powiedzie, jeśli nie zdołamy razem z Crane przekazać skrzynki, podmieniając jedną z kart na taką z moim nazwiskiem. Nie możemy pozwolić, żeby ktoś uznał, że się nie nadajemy do tego zadania, i przekazał je komuś innemu.

Rzecz w tym, że Ziemcy mają się za niepokonanych. A Najemca musi tylko zasłonić twarz szalem i już jest tylko kroplą w morzu, a nie jednostką.

Już otwieram usta, żeby powiedzieć Crane, że nic mi nie jest, ale jej oczy zamierają. Co zrobiłam nie tak? Czy ktoś idzie w naszą stronę?

– Nie każdy jest nim, jak mniemam – odzywa się głosem tak ponurym jak jej mina. – Fajnie byłoby akurat jego nazwisko usunąć.

O nie, on już tutaj jest? Nie, proszę... Przez podwójne drzwi pewnym krokiem wchodzi Dorian Akayan. Jest ubrany w nieskazitelne czarne spodnie i koszulę z wypolerowanymi spinkami, prawdziwy obraz doskonałej wyższości. Wszystko na nim zostało dobrane tak, by dopełnić surowy, budzący podziw wizerunek. Gdyby ciąż marmur najostrzejszym z ostrzy, powstałby właśnie Dorian.

Mam nadzieję, że się potknie.

Szkoda, że nie mogę być na jego miejscu.

Chciałabym wiedzieć, nawet teraz, dlaczego zwyczajnie zniknął.

Dorian patrzy prosto na mnie, zupełnie jakby usłyszał moje myśli. Jego płomienne włosy opadają falami wokół twarzy. Minęły dwa lata, a on nadal nie nauczył się zgarniać ich do tyłu. Staram się trwać w bezruchu, nie reagować, a on się odwraca. Oczywiście mnie nie rozpoznaje. Jednak i tak czuję, jak rozpala się we mnie rozczarowanie.

Ciekawe, czy razi jego dumę fakt, że jest woźnicą tylko dzięki mojej dyskrecji; wiem o pęknięciu w jego fasadzie.

Crane dalej mamrocze coś wulgarnego o domniemanym Czempionie. Gdybym jej wtedy nie powstrzymała, znalazłaby go i przeciągnęła przez główną arterię.

– Wiesz co, bardzo bym chciała, żebyśmy się na nim *nie* skupiały – mówię.

Crane prychnęła, ale, całe szczęście, milknie.

Bije zegar wodny. Już czas, żeby wyjąć ze skrzynki dziesięć zgłoszeń. Służący i treserzy krążący w tłumie wycofują się pod ściany i nagle energia się zmienia. Teraz wszyscy są skupieni.

Najpierw podchodzi Dorian, staje na uboczu. Jego legenda już działa. Wszyscy zebrani głośno wiwatują, w tym strażnicy Helix Stratis. Zaczynają skandować jego imię. Nawet Najemcy się dołączają. Dorian najwyraźniej jest ulubieńcem całego świata.

Wymieniamy z Crane znaczące spojrzenia.

Nie mija wiele czasu i dziesięć losowych zgłoszeń opuszcza skrzynkę, w środku zostaje dziesięć nazwisk szczęśliwców, w tym jedno oznaczone złotem, Doriana. Ruszamy z Crane. Cały czas mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Zupełnie jakby Dorian wiedział, kto się ukrywa pod szalem. Zerkam na niego i...

O nie. On mnie *naprawdę* obserwuje. Śledzi wzrokiem.

Ale przecież nie wie, *nie może* wiedzieć.

To taka głupia sprawa. Mam tylko podnieść skrzynkę. Nikogo nie krzywdzę. A jednak skupia się na mnie cały tłum. Strażnik rusza w moją stronę. Jeszcze chwila...

Stop.

Wciążam i wypuszczam powietrze przez usta. Nikt nie próbuje mnie otoczyć. Strażnicy są tam, gdzie byli.

Powoli rozprostowuję palce i poprawiam chwyt, odliczając każdy oddech, jak nauczyła mnie mama.

Crane unosi brew. *Wszystko w porządku?*

Kiwam nieznacznie głową.

Niesiemy skrzynkę na zewnątrz przez boczne drzwi, do Dromu. Ceremonia ma się odbyć w jego okrągłym końcu, dokładnie sto kroków od wejścia do arkady. Mistrzynie, jej trzech pomocników stanu oraz Przedstawiciel Komitetu Wyścigu siedzą tam przy długim stole na tymczasowym podium. Już wszystko gotowe i kiedy skrzynka zostanie umieszczona na swoim miejscu, dołączą do nas, śmiertelników, w słońcu.

Crane robi krok do przodu, przesuwając się nieco. W ten sposób zasłania mnie przed wzrokiem innych pracowników na torze.

Wydaje się, że docieramy do podium w ciągu zaledwie kilku sekund.

Nie mam czasu na wahanie. Gdy stawiamy skrzynkę na stole, koperta schowana pod rękawem, z moim nazwiskiem, ociera się o skórę. Wszyscy są pogrążeni w świętowaniu i nikt nie zauważa, kiedy podmieniam jedno ze zgłoszeń.



Siedem

Drom jest największym budynkiem na całej planecie. Ma kształt wydłużonego prostokąta z jednym końcem płaskim, połączonym z Wieżą Mistrzyni, a drugim w postaci łagodnego okręgu, w całości wykonanego z błyszczącego białego marmuru, którego każdy bloczek idealnie wygładzono, by odbijał światło dnia. Budowniczkowie musieli być jasnowiedzami – jak inaczej wytłumaczyć fakt, że stworzyli coś tak kolosalnego, nie znając efektu finalnego?

Wokół toru wyścigu wznoszą się ogromne zbocza służące za miejsca do siedzenia. Górna część, z której można oglądać cały turniej bez zakłóceń, jest zarezerwowana dla Ziemców. Niższa jest podzielona na kolory frakcji, na wypadek gdyby fani zechcieli zacząć bójkę. Nikogo to oczywiście nie powstrzymuje.

Bilet, który wysłał Crane jej ojciec, pozwala mojej przyjaciółce zająć miejsce na niemal najwyższym krańcu niższego obszaru.

To by było na tyle w kwestii jego szczodrości.

Obsługa opuszcza arkadę, znika też metalowa obręcz ze zgłoszeniami, lecz Ziemcy dalej grzmią, szykując się do wyjścia i zaprezentowania siebie jako woźniców Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały.

Tym razem, bez uniformu służącej, moja obecność tutaj wywołała poruszenie. Słyszę pełne niedowierzania szeptki Ziemców, widzę ich groźne spojrzenia i zmarszczone brwi. Przynajmniej nikt się nie śmieje. Jeszcze.

Pośród hałasu słyszę też nerwowy chichot – cisza niepokojąco napiera na ściany mojego umysłu. Pewność siebie, z jaką tutaj przyszedłam, zaczyna się kruszyć.

Szkoda, że nie ma ze mną Crane.

Teraz dociera do mnie, że znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Moje nazwisko jest na jednym ze zgłoszeń. Nawet gdybym się wycofała, jest tam moje nazwisko. Jednak czy nadal zachowają dekorum, jeśli zamiast jednego z nich wywołają Najemkę?

Z głośników na zewnątrz rozlega się polecenie, by ludzie odeszli z toru, który biegnie dokoła przegrody zwanej Kolcem. Poruszenie brzmi jak zamieszki na małą skalę, bo jest dość odważne, zważywszy na fakt, że Mistrzyni już na pewno jest na miejscu.

– Ty jesteś Łowczynią? – mówi ktoś.

To jeden z tych, co mają nadzieję.

Dlaczego się do mnie odzywa? Czyżby wiedział? Ale skąd? Gdyby miał wątpliwości, powiedziałby coś wcześniej. Prawda?

– Tak – odpowiadam ostrożnie, powstrzymując ochotę, by sprawdzić, czy strażnicy wciąż pilnują drzwi.

– Jestem Judas Pereira – przedstawia się chłopak. – Pierwszy raz odwiedzam Sollonię. Jeśli czas pozwoli, chciałbym zobaczyć twoją stajnię. – Z ciepłymi oczami i opadającymi brązowymi włosami jego twarz wydaje się dziwnie skromna jak na Ziemcę.

Zza jego pleców patrzy na nas dziewczyna Ziemców, marszcząc brwi. Znam ją ze szkoły. Nazywa się Arlene Bashir. Nawet z tą miną ma uderzająco piękną twarz, najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek widziałam: oczy czarne jak granaty, wysokie łuki brwi i usta, które moja babcia

porównałyby do płatków kwiatów.

– Pewnie – dukam.

Zanim chłopak zdąży coś jeszcze powiedzieć, otwierają się frontowe drzwi. Do arkady wlewają się promienie słońca, mocniejsze od lamp, i na moment mnie oślepiają.

Moje oczy przyzwyczajają się do jasnego światła, a krew uderza mi do głowy.

Nawet stąd widzę tor zasypany serpentynami, brokatem i kolorowymi proszkami – niezbity dowód na trwające cały dzień świętowanie.

Kiedyś brałam udział w ceremonii rejestracji z drugiej strony, razem z Crane. Siedziałyśmy tam, objadając się opalfruktami i kandyzowanymi firjagodami. Ziemcy jeden po drugim wychodzili dumnym krokiem, by uroczyście przystąpić do Wyścigu Chwały.

Pierwsza wychodzi Arlene Bashir. Jej imię dobiega z głośnika umieszczonego dokładnie nad drzwiami. Dziewczyna kroczy dumnie pośród rozproszonego aplauzu, rozlegającego się zarówno tutaj, jak i na zewnątrz.

Wypuszczam powietrze i staram się opanować drżenie.

Potem wychodzi drugi Ziemca. Ubrany cały na czarno, jakby chciał zaprzeczyć swemu nazwisku: Isidore Grae.

Trzeci.

Czwarty.

– Piąty... – Dwoje Ziemców w oczekiwaniu odruchowo wychodzi do przodu i zatrzymuje się. Nikt nie wywołuje ich nazwisk. Nikt nie wywołuje *żadnego* nazwiska.

Stawiałam czoła śmierci zarówno na lądzie, jak i w oceanie. Traciłam kontrolę i popełniałam błędy, które mogły mnie kosztować życie. Maristagi rzucały się na mnie ze swoimi ostrymi zębami i spiczastym porożem. Jednak wciąż tu jestem. Mam nerwy ze stali. Strach, który czuję, niepokój wijący mi się w umyśle, to moja zbroja. Jeszcze siebie nie zawiodłam. Powinam sobie ufać.

– Ale co, jeśli... – woła Ziemka, lecz głośnik zagłusza jej wątpliwości.

– Koral z Sollonii.

Dorian spogląda w moją stronę. Na jego twarzy na moment pojawia zaskoczenie, jego marmur mięknie. Po latach udawania, że nie istnieję, jego reakcja jest tak silna, tak nagła, że krew napływa mi do policzków.

Judas patrzy na mnie, zszokowany, lecz jego brwi marszczą się jeszcze mocniej, kiedy jakiś Ziemca krzyczy:

– Co takiego?

Głos grzęźnie mu w gardle.

Przepraszam, chciałabym powiedzieć. Dla ciebie to sposób na zyskanie szacunku. Lecz dla mnie to kwestia życia i śmierci. Życia mojej siostry.

Przeciskam się między stojącymi nieruchomo Ziemcami. Mają sklezione usta. Mijam ich jak posągi. Każdy mój krok grozi katastrofą – jeden z nich może odzyskać życie i złapać mnie za kołnierz, a strażnik może strzelić mi w głowę.

Serce skacze mi w piersi.

Wciągam powietrze.

Wypuszczam.

Arlene i pozostałych trzech woźniców stoją sztywno pod podium, gapiąc się na mnie z jawną wrogością. Zbyt szybko zajmuję miejsce na końcu kolejki. Składam dłonie na plecach. Unoszę podbródek, wpatrując się prosto w podium.

Mistrzynie Aiala Minos obrzuca mnie taksującym spojrzeniem. Jeśli moja nieoczekiwana obecność sprawia jej kłopot, ona tego nie okazuje. Jej spokojna poza jest niczym bryła lodu. Czubek jej głowy jest owinięty jasnoszarym materiałem ze srebrnym haftem. Niżej błyszczą krystalicznie białe włosy okalające wąską twarz, która przypomina przezroczysty papier naciągnięty na sine żyły. Jest ubrana w tradycyjne sari wykończone srebrem i złotem tak bladym, że mogłoby być białą. Jej kij, zwieńczony wyrazistym czerwonym kamieniem, leży z przodu stołu.

Przez minutę nic się nie dzieje.

Potem Mistrzynie macha dłonią i Przedstawiciel Wyścigu kontynuuje wywoływanie nazwisk.

Los zdecydował, że szóste miejsce będzie należeć do Doriana Akayana.

Chłopak staje obok mnie. Zerkam na niego odruchowo. On otwarcie na mnie patrzy. Jego oczy na plakatach są jak błyszczące orzechy, lecz teraz wydają się ciemne.

Szybko uciekam wzrokiem.

Nie potrafię poznać, o czym myśli. Moje wnętrzości zwijają się w gnijącą trawę morską.

Dorian przygotowywał się do wyścigu od zawsze.

Ja sama mu w tym pomogłam.

Jak niby miałabym go pokonać?

Jeden po drugim, woźnice stają w szeregu. Kiedy podchodzą ostatni – Saran Minagi oraz Judas Pereira – Przedstawiciel odkłada zgłoszenia z powrotem na stół. Patrzy prosto na mnie.

Zbieram się w sobie w przygotowaniu na to, co się zaraz stanie.

– Co to ma być? – woła pomocnik stanu, zdejmując okulary. Mruży na mnie oczy. – W jakim celu się tutaj znalazłaś, Koral Łowczyń?

Zawsze mówią moje imię razem z nazwą profesji, żeby przypomnieć mi, że Najemców należy identyfikować według tego, do jakiej należą grupy. Przez naszą pracę i wyspę, do której jesteśmy przywiązani. Nasze rodziny nie dostają indywidualnych nazwisk. Taki przywilej mają Ziemia. Ich nazwiska nie służą temu, by usprawiedliwić ich istnienie. Nasze tak.

– Czy to jest jakaś sprawa Łowców? W takim razie gdzie jest drugi Łowca? Twój brat? Dlaczego jesteś tutaj sama?

Mistrzynie patrzy na mnie bez mrugania.

Ocean gdzieś w oddali jakby zamilkł. Drom pogrąża się w niezwykłej ciszy. Nikt nie szura, żadne dziecko się nie śmieje, żaden obecny się nie kłóci. Nikt nie oddycha.

– Jestem tutaj sama, Radny. Przybyłam na Wyścig Chwały. Jak rozumiem, w turnieju nie biorą udziału zespoły, więc mój brat nie może do mnie dołączyć.

Jeden z woźniców przeklina, zdumiony moją beczelnością.

Mistrzynie patrzy na mnie łagodnie, lecz czterej mężczyźni są wyraźnie skonfundowani. Zbijają się w gromadę i łypią na mnie groźnie, by mieć pewność, że nie zacznę ich lekceważyć.

Czuję się odsłonięta. Jeśli się ruszę, na pewno zatopię się w ziemię pod moimi stopami.

Przez chwilę nikt nic nie mówi. Wzmaga się wiatr, śpiewa okrutnie. Chciałabym odejść. Zwyczajnie zniknąć. Nigdy wcześniej nie czułam się tak mała. Gapią się na mnie, jakbym była pierwszym maristagiem, który wyszedł z oceanu, jakbym dzierżyła brutalność tego świata.

– Jesteś Najemką – mówi pomocnik stanu, mrugając szybko oczami. To niemal pytanie.

– Jestem.

Przy stole słychać szelest, szepty, widać ściągnięte brwi.

– Ten przypadek nie ma precedensu – dodaje pomocnik stanu. W jego głosie brzmi niepewność, lecz to dziwny rodzaj niepewności. Nie jest pewien, czy chce być niepewny.

– Tak – dodaje drugi pomocnik Ziemia. – Odbywający się raz na cztery lata Wyścig Chwały jest naszą tradycją, jedną z bardzo niewielu w historii ludzkości. Chodziłaś do naszej szkoły, prawda? – zwraca się bezpośrednio do mnie. – I jesteś doskonałą Łowczynią. Właśnie tym powinnaś być. To zaszczyt sam w sobie. Dlaczego wyciągasz rękę po więcej?

Biała, poznaczona bliznami twarz pomocnika stanu zmienia kolor na odmrożoną czerwień. Te słowa musiały go zabołec. Nawet członkostwo w Radzie nie zmienia twojego prawdziwego położenia w świecie. Spogląda na mnie – nie ciepło, lecz zdecydowanie nie z tą kwaśną irytacją co wcześniej.

– Umiesz powozić?

– Osobiście brałam udział w hodowli maristagów – odpowiadam. – Jeśli na tej wyspie jest ktoś, kto umie się na nich ścigać, to właśnie ja. – Od razu żałuję swojego tonu, lecz ktoś śmieje się pod nosem. Czuję mrowienie we krwi.

– Prawdziwym duchem Wyścigu Chwały jest woła walki – odzywa się Mistrzynie.

Z jakiegoś powodu fakt, że staje po mojej stronie, przyprawia mnie o dreszcz.

– Zasady to zasady – ciągnie. – Panie Przedstawicielu. Co mówią zasady o rejestracji?

Wywołany Przedstawiciel Wyścigu się prostuje. Widocznie zazwyczaj nie bierze udziału w procedurach. Każdy, kto ma więcej niż siedem lat i chodził do podstawówki, zasady Wyścigu Chwały zna na pamięć.

– Rejestracja pozostanie otwarta do czasu, aż dziesięć żetonów wróci do Komitetu Wyścigu, albo do ostatniego promienia słońca tego dnia, w zależności od tego, co nastąpi pierwsze.

– Zgadza się.

Zasady są zardzewiałe, jednak istnieją i pierwszy raz są na moją korzyść.

– Składający się z trzech wyścigów turniej jest rozłożony na kilka dni. Limit wieku wynosi od szesnastu do dwudziestu lat. W wyścigu bierze udział dziesięciu woźniców – recytuję. Wszyscy na mnie patrzą, zaskoczeni, że się wtrącam. Kontynuuję: – Nigdzie nie jest napisane, że nie-Ziemcy nie mogą brać udziału. Pierwszy Wyścig Chwały nawet nie miał spisanych zasad.

Okoliczności pierwszego Wyścigu Chwały wcale nie miały być chwalebne.

Podróżnicy z Sanktuarium – Starszyzna Empirejska – przybyli tutaj tak dawno, że z przeszłości pozostały jedynie fragmentaryczne mity, a prawda przepadła w oceanie.

Wiem jednak, że Starszyzna Empirejska to giganci swoich czasów. Przylecieli ze swojego zniszczonego świata na nasze wyspy, licząc na lepszą przyszłość. Stali się świadkami wielkich wojen o zasoby, ale też dali najlepszy dar naszemu duszającemu się światu: zaawansowaną medycynę. A potem nastąpił wiek renesansu, w którym jedna grupa spadkobierców skonsolidowała wiedzę. Stali się Ziemcami, którzy zawłaszczyli sobie bezpieczeństwo jaskiń w samotnej górze – później Terrafort.

Wyłobili sobie miejsce, by żyć pod ziemią, odkryli sposoby na polepszenie warunków, zbudowali statki morskie, chociaż podróż na powierzchni wody jest niebezpieczna. To był czas artystów, architektów i inżynierów – legend o złotym wieku, który nigdy nie wrócił.

Przydzielili też role wszystkim pozostałym: Najemcom.

Na każdej z dziesięciu nadających się do zamieszkania wysp wyznaczono Mistrzów. Jeńców z Pierwszej Wojny rzucono do walki z maristagami, by w ten sposób upamiętnić brutalność tego nowego świata i pokazać, co się dzieje, kiedy nie możesz stanąć z nim do równej walki. Przetrwiał jeden. Oswoił maristaga i pojechał na jego grzbiecie – a ciągnęły się za nim długie, siwiejące włosy. Później nazwano go Pierwszym Czempionem. Swoją odwagą zasłużył sobie na ułaskawienie.

A na jego cześć rozpoczęto tradycję Wyścigów Chwały.

Po tym pierwszym wyścigu będącym karą ujarzmienie maristaga stało się alegorią ujarzmienia tego świata.

Opowiada się tylko tę ostatnią część historii, pozbawioną takich idei jak wojna i walka. Jednak nie jest łatwo ukryć prawdę przed Łowcami, potomkami Pierwszego Czempiona, który był uzdolnionym zaklinaczem maristagów i został zmuszony do ochrony rybaków oraz polowania na maristagi.

Ziemcy wiedzą, jak przemienić zwycięstwa w klęski.

Pomocnik stanu wkłada z powrotem okulary. Zsuwają mu się z nosa i poprawia je, marszcząc brwi.

– Ludzie jej nie poprą. To może być niebezpieczne.

– Zasady są oczywiste – mówi Mistrzynie, przeciągając głoski. – Zakładam, że to nie lud je ustala.

– Nie, Mistrzynie Minos – mamrocze na moją korzyść Przedstawiciel.

– No to zostawcie dziewczynę – odzywa się Mistrzynie. – Jaki jest sens przeciągania tego ponad konieczność?

I w taki oto sposób zostałam oficjalnie woźnicą Wyścigu Chwały.



Osiem

Nie czekam ani sekundy po tym, jak oficjele schodzą z podium. Rzucam się do biegu. Sądząc po groźnych spojrzeniach Arlene i Sarana oraz paru innych osób, mam wrażenie, że te wydarzenia nie bawią ich tak, jak bawiły Mistrzynie Minos.

Pokonuję już prawie całą arkadę, kierując się do bezpiecznej przestrzeni na zewnątrz, kiedy pośpieszne kroki sprawiają, że się obracam i zanim zdążę cokolwiek zauważyć, ktoś popycha mnie na bramę. Czuję ostry ból w plecach. Nigdzie już nie ma Helix Stratis. Chociaż i tak nie spodziewałabym się ich pomocy.

– Dlaczego? – krzyczy Brom Warden. Oczy ma szeroko otwarte, drżą mu kąciki ust. – Zająłeś moje miejsce! Ojciec mi nigdy nie wybaczy!

Prawie wybucham śmiechem, słysząc, jak się wywyższa.

– Jak niby zabrałam *twoje* miejsce, skoro nazwiska były wybrane losowo?

Po drugiej stronie arkady widzę zbierające się postaci. Słyszę gwałtownie wciągane powietrze. Nie ze strachu przed tym, co się może wydarzyć, lecz z czystej przyjemności oglądania tego, co się dzieje.

Jednak obecność innych ludzi sprawia, że Brom na powrót staje się sobą. Wystarczy sekunda i już mogę go odepchnąć.

– Nie traktuj siebie tak poważnie, klaunie.

Nie oglądam się za siebie i maszeruję w stronę zamkniętej alejki prowadzącej na ulicę. Zanim zdążę wyjść, słyszę wściekły głos Broma:

– Jeszcze tego pożałujesz.



Razem z Crane zakradamy się do mojego domu. Lepiej nie trafić na ojca do czasu, aż moje nazwisko zostanie oficjalnie ogłoszone. Oczywiście będzie zażenowany i zapewne mnie wydziedziczy. Ale przynajmniej nie będzie w stanie powstrzymać mnie przed wzięciem udziału w turnieju.

W ciemności pokoju szybko wyciągam ubrania z półki – nie w szafie, tylko wyciosanej w ścianie, w kształcie długiej niszy w naturalnym kamieniu, sięgającej tak daleko, jak się tylko da. Muszę wyprostować rękę, żeby dosięgnąć najdalej leżących rzeczy.

Na odbywającą się wieczorem Ceremonię Otwarcia nie mogę być ubrana w to, co zwykle. Ziemcy wkładają swoje najlepsze stroje – nawet publiczność, a co dopiero uczestnicy. Chyba nie mam nic, co by było choć w połowie tak wspaniałe.

– Możesz pożyczyć jedną z moich lepszych sukienek – szepcze Crane. – Musimy ci też załatwić rydwan.

– Co takiego?

Skórzane buty wypadają mi z rąk i lądują na zimnej podłodze.

W drzwiach stoi Emrik, trzymając świecę. Jego ramię jest w temblaku, a blizna w ciepłym blasku płomienia wydaje się zaogniona, wygląda jak świeża.

– Cóż za niespodzianka spotkać cię tutaj – rzuca Crane.

Emrik patrzy na nią groźnie.

– Nie rozumiem, skoro jesteś w *moim* domu.

Crane unosi ręce w geście poddania, ale gdy tylko Emrik się od niej odwraca, pokazuje język. On ją ignoruje i zamiast tego wpatruje się w leżące na podłodze ubrania.

– Koral – mówi, starając się nie skrzywić – czy ty naprawdę zgłosiłaś się do Wyścigu Chwały?

Czy jest sens zaprzeczać? Jego gniew chyba wyparował w czasie mojej nieobecności. A nawet gdyby był zły, stało się.

– Już się nie wycofam – odpowiadam.

Emrik się ogląda, jakby chciał kogoś zawołać. Pewnie ojca. Zamiast tego słyhać kaszel Lirii; zamknięte korytarze domu niosą ten dźwięk aż do nas.

Crane opuszcza ramiona.

– A co z maristagą? – pyta Emrik.

– Zabrałam tę złotą.

– Chyba sobie żartujesz, Koral – rzuca Emrik. – Przecież ta samica jest nieposłuszna. Zginiesz.

– Wcale *nie* jest nieposłuszna. Po prostu miała dosyć siedzenia w zamknięciu.

– A gdzie jest teraz?

– Na podwórzu Crane. Tam ma mnóstwo miejsca i nikt jej nie przeszkadza. Nie była szkolona, potrzeba jej świeżego powietrza. I jest bardziej potulna, niż ci się wydaje.

Emrik prychnie z niedowierzaniem. Przez chwilę tylko stoimy i patrzymy na siebie, jedno obserwuje drugie. Na jego miejscu pewnie też bym oszalała. Wypuszczenie maristagi. Nazwanie jej potulną. Zgłoszenie się do Wyścigu Chwały. Jednak wiem, co robię. Instynkty uratowały mnie już niezliczoną ilość razy w oceanie, dlaczego miałabym im nie ufać na lądzie?

– Jeśli chcesz pomóc – przerywa nam Crane – teraz byłby świetny moment.

– Pomóc? Dlaczego? – rzuca Emrik tonem niebezpiecznie podobnym do tego zirytowanego, który słyszałam, gdy wychodziłam z domu.

– Żebyś mógł powiedzieć „a nie mówiłem”, gdy popełnię śmiertelny błąd – wypalam.

– To się stanie, a tak łatwo temu zapobiec! – Potem, krzywiąc się, zamyka cicho drzwi. Stoimy we troje w pokoju przypominającym grobowiec, a jedynym źródłem światła jest płomień świecy.

Emrik marszczy brwi.

– A to co ma być? Wybieramy się na pogrzeb? – Wskazuje gestem bałagan, jego dłonie są ciemne od zbieranych latami blizn. Oczywiście, że próbuje żartować. Gdybym miała wejść ubrana jak Najemka, nie byłoby jak w szkole, gdzie żartowano i atakowano nas tylko pokątnie. Tym razem wszyscy zobaczą. Brat patrzy na mnie dziwnie, jakby wyczytał z mojej twarzy, że tu w ogóle nie chodzi o ubrania. Nie jestem gotowa na tego rodzaju uwagę.

– Proszę, po prostu to zrób, Emrik – mówię. – Pomóż mi.

Wypuszcza powietrze.

– Gdzie znajdziemy rydwan w tak krótkim czasie?

– Wiesz, co ma Gorzknica? – odzywa się Crane.

– Słucham? Nie weźmiemy go – rzucamy z Emrikiem jednocześnie i patrzymy po sobie.

– Pewnie musisz kogoś wtajemniczyć w swój wielki plan, jeśli liczysz na pomoc.

– Rydwan Pierwszego Czempiona – ciągnie niespieszona Crane. – Wyobrażacie sobie, jaki szok przeżyją Ziemy, kiedy zobaczą Koral na tym srebrnym rydwanie?

– Ten rydwan zaginał dekadę temu – syczę. – I myślisz, że wezmę go na turniej, skoro i tak już wszyscy wściekają się jak ocean w czasie sztormu, że w ogóle biorę udział? – Gdzieś z tyłu mojej głowy płoną groźne spojrzenia Arlene i Sarana.

Crane wydaje się tym zniechęcona.

– To najgłupsza rzecz, jaką słyszałem, nawet jak na ciebie – mówi do niej Emrik.

– No to skąd weźmiemy rydwan? – Crane marszczy czoło.

Mój brat wciąż się chmurzy, bruzda między jego brwiami wydaje się tak samo permanentna jak śmieszna łysa plama z tyłu głowy, którą ma mimo długich włosów i którą chowa za pomocą spiniki. Widzę, że jest rozdarty. Wciąż trochę się na mnie gniewa, ale nie chce mnie teraz porzucić. Zastanawia się. Zmrużył oczy, podobnie jak ja. Chociaż tyle się kłócimy, jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Pewnie właśnie z tego powodu tak dręczy go fakt, że ja pierwsza wpadłam na pomysł, żeby zgłosić się do turnieju. Kompensuje to sobie, nazywając mnie głupią, chociaż chciałby być na moim miejscu.

– A może pomożesz jej zdecydować... – Emrik wskazuje gestem ubrania – a ja załatwię rydwan.

Po tych słowach wychodzi z pokoju, podmuch wiatru spod drzwi gasi świeczkę, pozostawiając po sobie wijącą się w nagłej ciemności smuzkę dymu.



Ceremonia Otwarcia odbywa się w Dromie. Tym razem zbieramy się w Sali Woźniców, na parterze Wieży Mistrzyni. Dudniąca na zewnątrz muzyka tutaj dobiega stłumiona. Inaczej niż arkada, to miejsce jest pozbawione ozdób, lecz dość duże, by pomieścić wszystkich woźniców i ich maristagi. Po przeciwnej stronie znajduje się dziesięć stanowisk, prowadzących prosto na tor. W tej chwili bramki startowe są zamknięte.

Przez całe życie trzy razy brałam udział w Ceremonii Otwarcia. Głównym atutem całego tego efekciarskiego wydarzenia są muzyka i fajerwerki. Woźnice wychodzą na zaledwie kilka minut, ale pokazywany jest nam element, który wraca w czasie jednego z wyścigów. Poprzednim razem uczestnicy turnieju ciągnęli za sobą ślad smoły, a w pierwszym wyścigu ścigali się nie tylko ze sobą, ale jeszcze z fawkesem podpalającym tor.

Ziemcy i ich brak instynktu samozachowawczego mogą być zabójczy.

Treserzy z Dromu przygotowali już wszystkie maristagi, włożyli im standardowe miedziane smycze i ustawili według numerów żetonów. Błyszczące zielone łuski innych stworzeń mienią się różnymi kolorami: czerwieniami, błękitami, fioletami. Żaden z nich nie ma tak dziwnej barwy jak Złota Burza, ciemnego złota z jedwabistymi zielono-czarnymi krawędziami. Stoi przed bramką numer pięć i bije od niej blask jak od kamienia szlachetnego. Za nią miedziany rydwan znaleziony przez Emrika wydaje się pokryty gęstym błotem. Wygląda jeszcze gorzej, kiedy widzę stojącego obok niej maristaga Doriana, przywiązane do poślaczanego rydwanu – jego stworzenie jest wielkim, opalizującym srebrzysto-zielonym wierzchowcem, którego rozpoznaję od razu, chociaż nie widziałam go pięć lat.

To było rok przed poprzednim Wyścigiem Chwały. Wspomnienia głodu wciąż były zbyt świeże, desperacko chciałam sprzedać każdego maristaga. Nie mieliśmy innego wyjścia – właśnie w tamtym roku daliśmy się wciągnąć w spiralę zadłużenia.

Mamę przygniotły poczucie winy i żaloba. Stan Lirii zaczynał się pogarszać. Była taka mała, jej dłonie były drobniejsze niż u przeciętnego dziecka, a oczy przypominały dwie wielkie szare perły. Kiedy się uśmiechała, to jakby zajaśniała nowa gwiazda. Nie chciałam dla niej żadnej krzywdy już wtedy, gdy nie rozumiałam jej choroby.

Ledwo dawaliśmy sobie radę przez dwa lata i nie wiedziałam, co zrobimy, jeśli trafi nam się jeszcze jeden pusty rok, więc razem z Emrikiem zrobiliśmy wszystko, by udawać, że jest różowo. Jedno z nas zawsze było w stajni – nie pozwalając, by choć jeden Ziemca odszedł z pustymi rękami. Nauczyliśmy się manipulować i czarować, organizowaliśmy dzieciom Ziemców przejażdżki na najbardziej agresywnych maristagach, trzymając kciuki, żeby wszystko się dobrze skończyło.

Tamtego dnia chłopak Ziemców ścigał się lekkomyślnie na plaży. Jednak zapłacili, a my mieliśmy wciąż sześć maristagów do sprzedania.

Cały czas stałam przy tylnej bramie i miałam na oku gówniarzy, godzinami żując tę samą miętę i licząc, że jeden z nich faktycznie kupi zwierzę. Pieniądze wpływały całkiem nieźle, ale sprzedaż podnosiła nam limit kredytowy w biurze Mistrzyni.

Frontowa brama otworzyła się gwałtownie i do stajni wparował Ziemca, a za nim chłopiec. Mężczyzna miał ciemnoczerwoną twarz i z miejsca zaczął się drzeć. Instynktownie przesunęłam się w cieniu, rozpoznając go. Solomon Akayan. Po tym, jak chłopiec za jego plecami pochylił głowę i skulił ramiona, poznałam, że to jego syn, Dorian. Niedaleko naszego domu odbywał się mały festiwal. Chyba przyszli stamtąd.

– Przyniosłeś mi wstyd! – krzyczał Solomon. Górował nad synem, jego cień rozciągał się na

całą stajnię niczym cień olbrzyma. Brązowe włosy zaczesane gładko do tyłu aż skwierczały z gniewu. – Czy właśnie tym się zajmujesz w wolnym czasie? Bratasz z szumowinami? Tak zamierzasz wygrać Wycścig Chwały?

Dorian był tylko dwa lata starszy ode mnie. Skulił się w sobie. Chronił swoje ciało, spodziewał się przemocy fizycznej. Wezbrało we mnie współczucie do chłopaka Ziemców.

– W tym świecie liczy się tylko nazwisko! – Solomon odwrócił się gwałtownie do syna i chwycił go za kołnierz. Poczułam ucisk w żołądku. – Dasz im kiedykolwiek powód do zadawania pytań na temat naszej rodziny?

– Nie, ojciec – odparł mechanicznie Dorian.

– Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na graniu w tych żalonych zgromadzeniach w czasie, gdy powinienes przygotowywać się do turnieju – przyciągnął Doriana bliżej – zorganizuję prawdziwą imprezę na twoją cześć.

Słyszając jego ton, wołałam zostać w cieniu i liczyć, że nigdy nie będę musiała rozmawiać z tym człowiekiem.

– Imprezę, na której będą obecni wszyscy. A ty dla nich zagrasz. I będzie trucizna. I dojdzie do nieszczęśliwego wypadku.

– Tak, ojciec.

– Nie wracaj, dopóki nie będziesz mi mógł powiedzieć, że wygrasz Wycścig Chwały!

Solomon wymaszerował ze stajni. Wciąż wstrzymywałam oddech, nie wiedząc, co począć. Wtedy jeszcze myśl o tym, że własny ojciec mógłby mi grozić, była dla mnie nie do pojęcia.

Dorian padł na czworaka.

Rozpłakał się.

Tak bardzo chciałam mu pomóc.

Cały się trząsał niczym jelonek cierpiący na gorączkę. Wyciągnął spod kurtki instrument muzyczny i uderzył nim w drzwi pustego boksu. Został tak przez kilka minut, wciąż szlochając.

Potem podniósł się i otworzył drzwi innego boksu, by przywołać młodego maristaga, który patrzył inteligentnym wzrokiem. Wtedy łuski stworzenia były ciemniejsze, z prześwitującym zabarwieniem srebrzysto-zielonym, mieniącym się jasno na tle szokująco białych rogów. Większość ludzi się boi, że maristag ich dźgnie, rani – i słusznie. Nawet te urodzone na lądzie dziedziczą po oceanicznych rodzicach silną nienawiść do ludzi.

Da się wytresować dzikiego maristaga, ale znacznie, znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że cię zabije, dlatego część naszej pracy polega na wypuszczaniu tych dzikich z powrotem do oceanu i szkoleniu tych trzymanyh w zamknięciu, by nie dostawały szału na widok ludzi. Było oczywiste, że Dorian wiele się zdążył nauczyć.

Dopiero po chwili zrozumiałam, co się dzieje. Znamienity dziedzic Ziemców przestraszony przez ojca pragnął na powrót wkupić się w jego łaski. Zamierzał zrobić coś ekstremalnego: ukraść maristaga. Zapewne w sekrecie poćwiczył dosiadanie go i zaskoczył rodzica.

Ruszyłam do stajni, gotowa się drzeć.

Dorian od razu się opanował i splótł dłonie za plecami. Udawał, że tylko podziwia maristaga.

Z bliska zauważyłam popielate resztki łez pod jego zapuchniętymi oczami.

Zamiast zabrać srebrzystego maristaga z powrotem do boksu, przytrzymałam przed chłopakiem lejce.

– To najsilniejszy z tego miotu. Jeśli będziesz gotowy, wygrasz turniej. A potem może będzie lepiej...

Dorian najwyraźniej rozumiał, że musiałam wszystko widzieć. Nie umiałam poznać, czy się zawstydział, ale sięgnął po lejce. Maristag spokojnie za nim podążył. To było fascynujące. Dorian obejrzał się za siebie przy bramie. Myślałam, że coś powie, lecz tylko zamknął oczy, wciągnął głęboko powietrze i odszedł.

Jednak wrócił. I jeszcze, i jeszcze. Aż w końcu przestał się pojawiać.

To było głupie, *dziecinne* pozwolić mi zabrać maristaga bez zapłaty. Nie wiem, co ja sobie wtedy myślałam. Po prostu nie chciałam patrzeć, jak płacze, wystraszony i samotny.

Tamten moment współczucia będzie mnie teraz dużo kosztował.

Ponieważ będę się z nim ścigać, a ten turniej jest zwieńczeniem wszystkiego, co robił, odkąd rozbił swoje skrzypce.

Muszę wygrać. To jedyna szansa na uratowanie Lirii, uratowanie mojej rodziny. Nawet jeśli jego to zniszczy.

Zmuszam galaretowate nogi, żeby się ruszyły. W harmidrze nie słyhać moich kroków, gdy przecinam przypominający drapieżnika tłum tłoczący się we wszystkich kierunkach. Wszędzie dokoła widzę skórzane kurtki, tiulowe sukienki wysadzone szklanymi koralikami, szlachetne kamienie i srebrne łańcuszki. Nawet ubrania Ziemców są głośne, stukają i brzękają. Rozpoznaję opadnięte brązowe oczy Judasa. Jest ubrany nieco bardziej neutralnie, ma na sobie czarny surdut z kwiecistym jedwabiem i skórzane spodnie. Jego strój nie wydaje żadnych irytujących dźwięków, ale ocean jeden wie, ile kosztował sam surdut.

Ziemcy są naprawdę zachwyceni swoją obecnością tutaj i tym, co ona oznacza. Tak samo jak Dorian Akayan, długo szykowali się na tę chwilę.

Na mojej drodze staje Arlene. Brązowy odcień swojej skóry rozświetliła błękitem i żółcią, niczym u błyszczącej kuli dyskotekowej. Ubrania chowają się pod wiszącymi srebrnymi cekinami. Obrzuca mnie taksującym spojrzeniem.

Crane ostatecznie kazała mi ubrać się tak, by było mi jak najwygodniej: jakbym była gotowa na polowanie. Czarne spodnie, biała koszula. Dodała dwa akcesoria ze sztucznego złota, żeby pasowały do mojej maristagi – pasek oraz wiązane bransolety na nadgarstki.

– Nie jesteś w stanie ukryć tego, kim jesteś – oznajmia szorstko Arlene.

Przełykam głośno ślinę. Mija wieczność, zanim jej odpowiem.

– A kim jestem? Najemką, która za chwilę pokaże wszystkim, jak mierni są woźnice Ziemców?

Posyłam jej szeroki uśmiech i odchodzę.

– Cześć – szepczę, ostrożnie wyciągając ręce do Złotej Burzy. Samica kłapie zębami i smaga płetwą ogonową. Zatrzymuję się. Potem jednak przechyla się na bok i odsuwa ode mnie rogi. To był sport, nie groźba. Wiem, jak zachować ostrożność w obecności maristagów, jednak czy kiedykolwiek opuszczę gardę na tyle, by popatrzeć na nią tak, jak ona patrzy na mnie?

Z zaufaniem w oczach.

Zamieram.

Co ja właściwie wyprawiam? Samica nie jest wyszkolona, nie wie, czego się spodziewać na torze.

Ciągnięcie rydwanu to nic dla każdego zielonokrwistego maristaga. Złota Burza może być straszna, jeśli zechce, lecz ryzykować wystawienie jej przed potworne wierzchowce, które trenowały od lat?

Górują nad nią.

Zupełnie jakby czytała mi w myślach, Złota Burza unosi głowę i prycha. Na sekundę odsłania zakrzywione czerwone kły w otwartym pysku.

Czuję wbijające mi się w kręgosłup ciernie. Zaciskam mocniej dłoń na lejcach. Samica szarpie głową i zamyka pysk. Moje serce potrzebuje całej minuty, żeby zwolnić. Wystarczy jedno spojrzenie i wiem, że nie tylko ona jest niespokojna.

Jest bezpieczniejsza niż w oceanie.

Celebracje na zewnątrz są głośne, słyhać wyraźne dudnienie bębnow, lecz nerwowa energia skwiercząca pod wymuszonym śmiechem i rozmowami woźniców jest donośniejsza. Zawsze są świadomi mojej obecności, jednak cały czas mnie ignorują. To jedno wystarczy za milion słów.

Nie dziwię się, że Judas Pereira nie zwraca na mnie uwagi. Zachodzi mi drogę, zaczyna przeproszać, po czym orientuje się, kim jestem, i marszczy brwi.

W całym życiu tylko w szkole czułam się nie na miejscu. Niczym para błyszczących rogów, lecz na głowie ryby. Jednak tam przynajmniej tam miałam harmonogram lekcji oraz jasne instrukcje, co robić, a czego nie robić. Jak mam zapanować nad tym mrowiem maleńkich insektów w moich żyłach? Co się stanie, jeśli zrobię coś, powiem coś albo dotknę czegoś, czego nie powinnam?

Strach przed porażką wzbiera mi w głowie, lecz spycham go na boczny tor. Nie mogę znowu stanąć przed ojcem, chyba że wygram. Nie mogę sobie pozwolić na przegraną.

Zastanawiam się, jak wygląda sytuacja w domu, czy ojciec się uspokoił.

Emrik jest już na trybunie. Nie było sensu, by wracał do domu po przyprowadzeniu mi rydwanu. To jednak oznacza, że nie mógł pomóc mamie sprowadzić tutaj Lirii. Mam nadzieję, że zrobi to Crane.

Myśl o rodzinie sprawia, że znowu tracę grunt pod nogami.

I właśnie w tym momencie wchodzi Dorian.

Jest ubrany w białą koszulę i czarne spodnie.

Lecz on jest królem. Jego wersja tego samego stroju, który ja mam na sobie, jest bogata i odświętna; jego koszula sprawia wrażenie, jakby wyhaftowano ją prawdziwą srebrną nitką. Jego buty błyszczą mocniej niż księżyc w czasie pełni na bezchmurnym niebie.

Z nikim się nie wita i rusza prosto do swojego rydwanu. Włosy ma splecione wokół korony srebrnych liści – to insygnia jego rodziny. Akayanie mają tyle metalu, że mogliby kupić całą wyspę, gdyby tylko zechcieli.

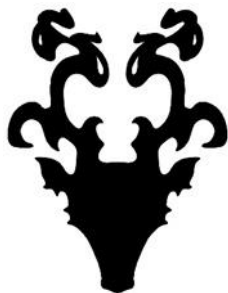
Wszyscy wsiadają na swoje rydwany. Gdyby wyścig odbywał się dzisiaj, nie mam wątpliwości: umarłabym. Jestem przyzwyczajona do maristagów, mam siłę, ale potrzebuję każdej minuty następných dwóch dni, żeby przygotować swoje ciało na rydwan.

Rydwan się chwieje, gdy wsiadam, i nie pierwszy raz zdaję sobie sprawę, jak bardzo ryzykuję. Zaciskam powieki i powtarzam w myślach, dlaczego tutaj jestem. Jeśli wygram – zabiorę Lirię i mamę z dala od ojca. Liria otrzyma niezbędne leczenie.

Treserzy sprawdzają pasy każdego rydwanu, po czym usuwają się na bok.

Jak tym razem będzie wyglądać wyścig? Mogę jedynie podziękować oceanowi, że nas nie podpalili. Zdecydowanie *nie* chcę ścigać się z fawkesami.

Otwiera się ogromna brama i do kamiennej sali oprócz muzyki i sygnalizujących rozpoczęcie ceremonii dźwięków conchy wlewa się rycząca fala.



Dziewięć

Przed każdym stanowiskiem spływa wodospad.

Złota Burza wierzga, szarpiąc głową tak mocno, że wzdrygam się i odsuwam. Jakiś maristag skrzeczy, kolejny podąża jego śladem. *Nie, nie, nie*. Ściskam mocniej lejce, przyciągam delikatnie Złotą Burzę, żeby uniknąć następnego wstrząsu. Ona prycha i drży.

Maristag Doriana głośno tupie. Jest tak blisko, że jeśli Akayan straci kontrolę, pociągnie za sobą Złotą Burzę i mnie. Lecz Dorian, całkowicie opanowany, uspokaja swojego wierzchowca lejcami i zmusza go do tego, by skupił się na jego głosie. Maristag od razu pokornieje i przestaje się rozpraszać. Jak długo Dorian go szkolił? W każdym jego ruchu widać pewność – jak pochyła się w stronę maristaga, jak drżą mu usta, gdy mamrocze do niego kojącym tonem.

To głęboko intymny moment.

Dlaczego się gapię? Odwracam się od niego.

Całe szczęście niemiła niespodzianka w postaci wody się kończy. Maristagi odzyskują energię, czując zapach mokrego piasku, który wypełnia salę.

Za wodospadami stopniowo cichną muzyka ceremonii oraz głosy tłumu. Mistrzynie musiały wyjść na lożę wysoko nad Dromem. Wyobrażam ją sobie, postawną i poważną, błyszczącą niczym fale srebrzystej wody, górującą nad wszystkimi niżej, którzy odwracają się do niej niczym konstelacja Ognistego Statku goniąca księżyc. Cokolwiek by mówić o Mistrzynie Minos, jej autorytet wydaje się emanować prosto z najczystszej esencji tej planety.

– Ludu Ofiru, dzisiaj świętujemy potęgę Dzieci Gwiazd!

Rozchodzą się dźwięki eksplozji fajerwerków, zniekształcone kolory mieniają się za płynącym wodospadem. Z tłumu buchają krzyki, wiwaty i dudnienie.

– Przez niemal dwa wieki Wyścig Chwały jednoczył nas w pokoju i dobrobycie, by celebrować nasze życie i więzy, które stworzyliśmy w tym świecie. Dla jednego zwycięzcy jest to szansa na przyniesienie chwały ludzkości i udowodnienie naszej wytrzymałości mimo nadzwyczaj ciężkich warunków!

Rozlega się salwa zimnych ogni i znowu wiwaty. Bębny na zewnątrz dudnią głośniejsze. Gdy się tego doświadcza zza ściany wody, wszystko sprawia surrealistyczne wrażenie, jakbym była w półśnie.

– Zasady Wyścigu Chwały są proste. Trzy widowiska staną się pokazem umiejętności i męstwa. W każdym ostatni woźnica zostanie wyeliminowany. Zgodnie z tradycją Ceremonia Otwarcia da wam przedsmak tego, co was czeka. Każdy z woźniców po usłyszeniu swojego imienia przejdzie przez wodospad przed swoim stanowiskiem. Ilu z was wie, że maristagi silnie reagują na zmianę żywiołów? Zakładam, że niewielu. – Po tych słowach Mistrzynie wybucha śmiechem. Co prawda po cichu, lecz ja i tak odczuwam to w taki sposób, jakby szarpała za haczyk zaczepiony o moje zęby. Tylko Ziemia mogliby się śmiać z niewiedzy na temat stworzeń, z którymi dzielimy ten świat. – Woźnice wyprowadzając swoje maristagi, pokażą nam, jaką mają kontrolę nad swoimi bestiami. Gdy maristag przekroczy wodę i zareaguje na nieznaną, w akcie obrony wystrzeliwując kolce, chcielibyśmy zobaczyć, jak te kolce przebijają balony nad nimi.

Wpatruję się w wodospad, przez chwilę licząc, że źle usłyszałam, bo słowa zostały zniekształcone przez ścianę wody. Lecz kiedy wszyscy inni tylko ściskają mocniej lejce, wypalam:

– Ona mówi poważnie? Mamy przekłuć balony kolcami maristagów?

Z dalekiego końca odpowiada mi Arlene:

– Jesteś tam jeszcze? Myślałam, że już coś ukradłeś i pobiegłeś z powrotem do domu.

Rozlega się kilka śmiechów.

Czuję lodowate szpilki wbijające mi się w boki ciała, w głowie rozpalają się wspomnienia.

– Mam nadzieję, że ty wciąż tutaj będziesz, kiedy ukradnę koronę Czempionki.

Tym razem w ciszy wisi ciężko coś zdecydowanie innego niż śmiech.

Po prawej Dorian przechyla głowę lekko w moim kierunku. W pierwszym odruchu spodziewam się, że dołączy do salw śmiechu. Już dawno udowodnił, że jest taki sam jak wszyscy. Lecz kiedy podnoszę wzrok, on wpatruje się w moją maristagę.

Nie zwróciłam uwagi, że nieświadomie zacisnęłam dłonie na lejcach. Odciągnęłam Złotą Burzę tak, że jej szczeka jest napięta, a ona gotowa do ataku na niewidzialną siłę. Luzuję chwyt.

Z zewnątrz dobiega głos Mistrzynie.

– A teraz przedstawiam wam dziesięciu woźniców Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały. Pierwsza jest Arlene Bashir.

Drażek przed Arlene się podnosi. Dudni muzyka i Arlene ciągnie za lejce. Rusza przez wodospad. Jej maristag skrzeczy, po czym zostaje pochłonięty przez wodę.

Uradowane krzyki tłumu odbijają się echem po Dromie.

Po kolei podnoszą się drażki i woźnice opuszczają swoje stanowiska. Mój wysłużony rydwan chwieje się pod moimi nogami. Co, jeśli rozpadnie się pod wpływem siły wody? Co, jeśli Złota Burza się uwolni? Każą ją zastrzelić.

Bębny dzwonią mi w zębach, w głowie, we krwi, w kościach. Wibrują mi w duszy. Wzbierają i wzbierają.

Nie wiem, co robić.

Potem drażek przede mną się podnosi i mój strach przybiera rozmiary tysiącokrotnie większe niż kiedykolwiek na otwartym oceanie. Złota Burza ciągnie rydwan, potem przyspiesza do galopu. Zimne krople szczypią mnie w twarz. Mrugam i szykuję się na uderzenie.

Zalewa nas miazdząco silny i szybki strumień wody. Blokuję wszystkie dźwięki. Rydwan wibruje. Krzyczę ze strachu. Słyszę głośny ryk. Złota Burza zawodzi. Uderzam boleśnie w wodę i od razu jestem cała mokra.

Przez niekończącą się chwilę unoszę się w tej rozwrzeszczanej wodzie; maristaga, Drom i tłum zlewają się w jedno, a ja jestem *ta druga*, samotna.

Zanim zdążę wydać stłumiony okrzyk i uspokoić dłonie, podnosi się żabot Złotej Burzy. Rydwan jest wciąż w jednym kawałku. Górne światła Dromu świecą olśniewającym, miodowym blaskiem. Nie widzę trybun. Jednak tam, wysoko nade mną, ogromne czarne i białe balony związane srebrnymi sznurkami zasłaniają cały dach. Ciągnę, minimalnie przechylając głowę Złotej Burzy.

Strzelają jadowite kolce.

I każdy jeden przebija balony.

Pękają, posyłając w dół złote konfetti. W moich uszach rozbrzmiewają krzyki i aplauz.

Nad dachem Dromu eksplodują fajerwerki w barwach wszystkich frakcji. Za nimi podążają kolorowe bomby proszkowe, za tłumem powiewają banery.

I cały czas rozbrzmiewa muzyka, jakby w tym momencie świat narodził się powtórnie.

Kieruję Złotą Burzę do pozostałych woźniców.

Jeden po drugim uczestnicy opuszczają swoje stanowiska w eksplozji wody, konfetti i fajerwerków. Serce dudni mi w piersi. Woźnice błyszczą jasno razem ze złotym prysznicem. Spoglądam w dół i widzę, jak bardzo odstaję, przed całym światem, w starych ubraniach, które mam od lat i które noszę na polowania. Wszystkich nas zlała woda, ale teraz różnica jest bardziej oczywista: inni mają na sobie wodoodporne materiały. Mój strój przykleił się do skóry.

Czy oni zostali uprzedzeni?

Czy tylko ja weszłam do Dromu bez żadnej wiedzy?

Czuję silny ucisk na żebrach. Czyli to właśnie tak Ziemia chciałaby mi pokazać, gdzie moje

miejsce. Jednak zapomnieli, że ocean to mój dom. Nie boję się wody, a ubrania nie będą miały znaczenia, gdy korona Czempionki spocznie na mojej głowie.

Duszę wątpliwości, powtarzając sobie, że muszę uśmiechać się szeroko do kamer.

Dlatego z takim szokiem zauważam spojrzenie Doriana, który zaciska zęby i zaraz odzywa się do mnie po raz pierwszy, odkąd byliśmy dziećmi:

– Nie powinno cię tutaj być.

Gniew burzy się w mojej krwi. Po tym wszystkim wciąż miałam jeszcze iskierkę nadziei. Na to, że istnieje jakieś wytłumaczenie jego odejścia. A tu, proszę bardzo, oto on, Ziemca w całej okazałości. Nie tracę pewności siebie – kamery wciąż są skierowane na nasze twarze, relacjonując wszystko na cały Ofir.

– A jednak jestem.

Jego głos jest jak dotyk jadowitego węża.

– Wygram, choćby miało mnie to kosztować życie.

Zdaję sobie sprawę, że zrobi wszystko, żeby zdobyć trofeum.

Unoszę podbródek, ignorując wstrząsający mną zimny dreszcz. Dorian myli się, myśląc, że może mnie zastraszyć.

Woda cieknie mi po twarzy. Jestem zimna jak sople lodu. Mimo to posyłam mu olśniewający uśmiech:

– Z przyjemnością popatrzę, jak próbujesz.



Dziesięć

W Sali Woźniców niesie się perlisty śmiech, ekscytacja i niepokój hałasują we wstęgach kolorów. Patrzę na to wszystko z ciemnego kąta. Nieproszona.

Nieważne. Nie jestem tu po to, by bawić się na ich przyjęciach.

Gdy Ceremonia Otwarcia dobiega końca, bramy zostają otwarte.

Reszta woźniców ma prostą drogę wyjścia – podziemny tunel prowadzący do Terrafortu. Czekam na Emrika, żeby mi pomógł odpiąć rydwan. Nie ma sensu, żeby Złota Burza dalej go prowadziła. Tłum za bardzo się kłębi. Lepiej nie ryzykować, że maristaga przypadkiem straci kontrolę, zwłaszcza w noc, kiedy ocean się burzy, uderzając w skały. Nie byłabym zaskoczona, gdyby rozbrzmiała przynajmniej jedna syrena – ani gdyby nad ranem znaleźli ciała rozczłonkowane przez bestie.

Euforia Ceremonii Otwarcia już opada, zostawiając po sobie dojmujące zmęczenie. Cała wyspa wydaje się pogrążona w chaosie. Fajerwerki wciąż eksplodują. Wzbiera gdzieś cichy chór głosów. Może to tylko mój otumaniony umysł, ciągnięty w dół przez obolałe stawy, ale nie mogę rozpoznać wyrzaskiwanych słów.

W chwili gdy Emrik wchodzi do Sali Woźniców, opuszcza ją Dorian. Stają twarzą w twarz. Mój brat odsuwa się jako pierwszy.

Jego spojrzenie łagodnieje na mój widok, mimo to oczy rozbiegają się we wszystkie strony, a pięść ręki w temblaku przyciska się do piersi.

– To się naprawdę dzieje – mówi i znowu ostrożnie się rozgląda. Sala jest pusta, nie licząc kilku sprzątających treserów. Za naszymi plecami wodospady dalej ryczą, tłumiąc większość dźwięków. – Ludzie myśleli, że twoje imię na zgłoszeniu to tylko plotka. Żart. A teraz wiedzą, że nie.

– No i?

– Ziemcy wpadli w amok – tłumaczy Emrik. – Właśnie szykują zamieszki przed wejściem do Dromu.

– Dlaczego?

– Przez *ciebie*. Bo byłaś tu dzisiaj. A to, co zrobiłaś przed chwilą...

– Co takiego zrobiłam?

Emrik marszczy brwi. Jasne światło Dromu, przefiltrowane przez wodę, odbija się od jego twarzy. Jest zupełnie tak, jakbyśmy znajdowali się pod powierzchnią oceanu.

– Tylko ty jedna przebiłaś balony wszystkimi sześcioma kolcami. Nawet Dorian Akayan tego nie dokonał.

Jestem zaskoczona. Nawet Dorian? Musiałam źle usłyszeć.

– Zamknij usta. – Krzywi się. – Wyglądasz jak ryba.

– A ty jak klaun.

– A ty jak...

– Cicho bądź, Emrik. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład *zamieszki*. – Spoglądam na bramę. – Jak wrócimy do domu? I co z mamą, co z Lirią? – Wiem, że nie ma sensu oczekiwać obecności ojca.

– Crane znalazła nas krótko po twoim występie. Wiedziała, co się stanie, więc szybko je

wyprowadziła. Wrócimy do domu bocznymi alejkami.

Ziemia pod nami się trzęsie.

– Ty weź rydwan. Nie mogę pozwolić, żeby Złota Burza spanikowała i zepsuła go jeszcze przed rozpoczęciem Wyścigu Chwały.

– Zamierzasz to ciągnąć? – pyta z szeroko otwartymi oczami. – Czy ja się wyraziłem niejasno, mówiąc o *zamieszkach*? Musimy wrócić do domu i się ukryć, dopóki sprawa nie przycichnie.

– Jeśli myślisz, że ktokolwiek może mnie zmiażdżyć pod butem niczym ślimaka, to się mylisz – odpowiadam zimnym tonem.

Mój brat wzdycha i zaczyna odpinać rydwan.



Emrik prowadzi rydwan w boczną alejkę, a ja ze Złotą Burzą idziemy kawałek dalej, chronione na chwilę przez ciemność.

Zdejmuję złote konfetti z policzka. Ceremonia Otwarcia wydaje się lata świetlne stąd.

Teraz już to widać. Bezpośrednio przed Dromem rozpętało się wielkie poruszenie. Słychać wrzaski, ludzie się kłębią. Race rozświetlają noc. Myślę o fajerwerkach i zimnych ogniach, jasnych i radosnych, po drugiej stronie. Ale wiem, że to nie jest światło fajerwerków. To blask wściekłego tłumu dzierżącego ogień. Trzymam mocno Złotą Burzę, pewnie *zbyt* mocno, i to raczej ona prowadzi mnie niż na odwrót.

– Dzisiaj nie będzie smażonych krewetek i solonych łusek – mamroczę. Emrik się krzywi.

Zazwyczaj po publicznych wydarzeniach kręciliśmy się przy stoiskach z przekąskami przy głównej arterii. Właśnie tam zbiera się większość tłumu. W normalnych warunkach to najbezpieczniejsze miejsce pośród nocy, a dwa koziorożce dbają o to, by tak zostało.

Teraz chyłkiem oddalamy się przez alejki biednych osiedli Najemców.

– To pociągnięcie w ostatniej chwili było niezłe – dodaje Emrik.

Mój uśmiech zamiera pod wpływem zderzenia z rzeczywistością.

Okrzyki i inne potworne dźwięki wzburzonego tłumu zaczynają cichnąć w tej części miasteczka i mijamy szereg pustych uliczek, czując się bezpieczniej, dopóki Emrik nie zatrzyma się tuż za kolejnym rogiem. Po drugiej stronie idą rozjuszeni ludzie. Cofam się, łagodnie jak tylko mogę, żeby nie spłoszyć maristagi. Cichaczem wracamy i nie zatrzymujemy się, dopóki od Dromu nie będzie nas dzieliło pół wyspy. Nawet tutaj szczyt stadionu wygląda majestatycznie. Podświetlony przez tysiące jasnych punktów. Zastanawiam się, czy da się go zobaczyć z sąsiedniej wyspy. Tej nocy chyba tak.

Kiedy właściwe ulice zamieniają się w kamieniste ścieżki, hałas tłumu zagłusza stukot rozklekotanego rydwanu. Za bardzo zwracamy na siebie uwagę.

– Emrik...

– Nie zostawię cię.

Złota Burza kłapie głośno zębami, słysząc jego głos, a głową stuka w kamienne ściany alejki.

– Przestań – szepczę, wysiłkiem woli zachowując twardy ton. – Wiem, że nie jest idealnie, ale to lepsze, niż spłonąć żywcem. – Gdy te słowa rozbrzmiewają, przechodzi mnie dreszcz i spoglądam na brata. Jak gwałtowne są te zamieszki? Nie przypominam sobie, by Ziemcy kiedykolwiek wychodzili na powierzchnię, żeby *protestować*.

Jest pewnie gorzej, niż to słysząc, bo dźwięki częściowo tłumi ocean, który dzisiaj burzy się ze wszystkich stron. Zimna noc jest głęboka i ciemna, okropna łuna zamieszek to jedyne źródło światła.

Niepewny wiatr wieje przez przypominające kości alejki. Wszędzie dokoła słysząc głosy, spanikowane i nagłać. Co, jeśli nasz dom został otoczony? Co, jeśli zażądają wydania mnie?

To tylko turniej.

Nagle Złota Burza piszczy, próbuje podnieść żabot, lecz nie pozwalają jej na to lejce. Od razu się cofam. W ciemności, na tle piekielnych kamiennych ścian, maristaga wygląda jak ożywiony cień.

Emrik chwyta mnie za rękę. Jego dłoń jest zimna.

Po mojej prawej rozlega się syk, coraz bliżej i bliżej. Niskie domy są atramentowoczarne, zbite i zamarłe. Mam nadzieję, że nikogo w środku nie ma. Ponieważ wysoko wznosi się obłok dymu.

W powietrzu skacze słup pomarańczy, ogień syczy w alejce, z której dopiero co wyszliśmy.

Może wywołałam wojnę.

– Chodź. – Ciągnę za lejce, lecz Złota Burza się zapiera. Jej żabot wciąż napiera na strzemiona, mięśnie pod płetwą grzbietową się naprężają. Uparła się, nie rusza do przodu i stoimy, szarpiąc się z nią, podczas gdy ogień jest coraz bliżej.

– Musimy iść – mówi Emrik. – Zapanuj nad nią.

Ona jednak zapiera się przednimi nogami i macha płetwą ogonową. W jej oczach płonie czerwony ogień.

– Ty idź dalej. Ja ją sprowadzę. Nie sprzeczasz się ze mną – mówię, gdy tylko otwiera usta, żeby zaprotestować. – Żadne z nas nie dotrze do domu, jeśli ciągle będziemy się tak zatrzymywać.

Emrik klnie pod nosem i ciągnie rydwan po nierównym gruncie. Wychodzi za róg i znika. Słyszę rydwan, próbując pociągnąć Złotą Burzę do przodu.

Zastanawiam się, kto jeszcze to słyszy, kto może przyjść go poszukać. Odgłosy jadącego rydwanu są dosyć charakterystyczne, prawda? W tej chwili ludzie mogą się już domyślać, kto porusza się w sekrecie, spowity cieniem.

Jeśli Emrik przeze mnie znowu będzie cierpiał... Nawet nie mogę o tym myśleć.

Słysząc uderzenie pioruna. Wrzask. Łupnięcie o ścianę, ciało zderzające się z kamieniem.

Tłum wrzeszczy. Skanduje.

Żadnej chwały dla Najemców. Żadnej chwały dla Najemców. Żadnej chwały dla Najemców.

Wzbiera we mnie furia. Ogień tańczy na obrzeżach mojego pola widzenia. Staję przed Złotą Burzą i mówię:

– Rusz się!

Tym razem mnie słucha.

Bez żadnych incydentów udaje nam się pokonać skrzyżowanie, nawet mimo prychnania Złotej Burzy, a potem wślizgujemy się do alejki podobnej do tych przy Opalowej Norze. Popękana ziemia. Wyrastające z niej rury, które napełniają powietrze smrodem kanalizacji. Powstrzymuję wymioty. Gady trzymają się kurczowo każdego cienia pod różnej wielkości zaklejonymi oknami, z których i tak wydostaje się szczeliną trochę blasku świateł.

Wychodzę za róg.

Drogę zagrażdza mi trzech chłopaków Ziemców. Pojmali Emrika.

Maristag. Krew Emrika spływająca do oceanu, jego skóra coraz bardziej zielona od jadu.

Moje ciało nie da rady pomieścić zjadliwej mieszaniny strachu i wściekłości, która się we mnie kotłuje. Uderzam mocno w najbliższego Ziemcę, posyłając go na ziemię. Potworne ciepło rozchodzi się po moich knykciach. Za moimi plecami rozlega się znajomy pisk, lecz na razie go ignoruję. Po prawej powietrze przecina inny dźwięk. Sekunda rozproszonej uwagi. Ktoś łapie mnie za ręce. Moje krzyki zagłusza donośne „Nie!” Emrika oraz krótki odgłos wystrzału.

Z początku myślę, że to z pistoletu, a wtedy świat zwięża się do nicości, nagi strach wspina mi się po gardle. W moim ramieniu eksploduje ból. Uderzenie jest tak mocne, że niemal wyrwa mi rękę ze stawu. Klnę pod nosem i zginam się w pół, kończyny mi drżą w agonii, z wysiłku zachowywania równowagi. Moje dłonie lądują na ziemi. Czyjeś palce – i *paznokcie* – wpijają się w moją skórę. Potem, zanim zdążę się odepchnąć i wstać, jestem ciągnięta po ostrych kamieniach, a kolejny napastnik szarpie się z Emrikiem.

Patrzemy sobie z bratem w oczy. W tej samej chwili gwałtownie przemy do przodu. Nagły i niespodziewany ruch zbija Ziemców z tropu. Uciskam ramię i wstaję chwiejnie, mięśnie nóg okrutnie mi drżą, gdy próbuję się oprzeć o ścianę. *Walczyłam z maristagami, a to są tylko ludzie.* Powtarzam sobie. Zapominam o bólu, spycham go na bok i szykuję się do boju.

Stajemy z Emrikiem obok siebie, twarzą w twarz z trzema chłopakami Ziemców.

Jesteśmy tutaj sami. Nie czuję się najlepiej, a Emrik jest ranny. To jedyny powód, dla którego zostaliśmy *prawie* pokonani.

Temblak Emrika zalewa się czerwienią. Przeklinam pod nosem.

– Krwawisz.

– Z tobą za chwilę będzie gorzej – chrypi jeden z chłopaków.

Nie mogę znieść ich spojrzeń. Nie tylko ze względu na tamte słowa. Raczej dlatego, że *naprawdę* w to wierzą. Ten chłopak myśli, że jest niepokonany, a ja słaba. To niby moje miejsce na świecie. Czy nie dlatego muszę błagać o leki dla siostry? Czy nie dlatego każdego roku muszę ryzykować życie swoje i brata w oceanie?

Tylko po to, żebyśmy mogli mieć dom. Żebyśmy mieli co jeść.

Jednak znam ten mrok, rozpoznaję ten moment.

Staję przed Emrikiem, ignorując go, kiedy próbuje chwycić mnie za ramię i pociągnąć do tyłu. Tym razem pisk rozbrzmiewa ostrzej. Bliżej.

– Co to jest? – pyta Emrik. Rozumiem. W końcu właśnie on mógłby rozpoznać ten dźwięk.

Za plecami Ziemców, z kierunku, z którego przyszedłam, rozlega się pomruk.

– Koral – Emrik brzmi teraz, jakby się bał. – Gdzie twoja maristaga?

Ziemcy, słysząc jego ton, cichną. Jeden z nich bierze krok do tyłu i potyka się o lejce, które rozpięłam, zanim dołączyłam do szamotaniny.

Szczerzę zęby.

– Coś mówiłeś?

W tej samej chwili Złota Burza, zupełnie nieskrępowana, skacze na nich od tyłu.

Potem są już tylko krzyki.



Udaje mi się chwycić lejce, zanim Złota Burza naprawdę kogoś zabije. Jednak wiem, że ci trzej nigdy nie zapomną tej nocy, bez względu na to, jak daleko teraz pobiegną.

Z takim wrzaskiem.

Do rana jeszcze daleko. Mimo napędzanej adrenaliną głupoty, która mogła się źle skończyć, gdybym nie zdołała na czas zapanować nad Złotą Burzą, cieszę się, że nie pozostałam bierna.

Emrik się krzywi, kiedy maristaga spogląda w jego kierunku, węsząc. Wyczuwa na nim krew.

– Wiesz, kto to był? – pyta mnie brat.

– Nie. I nie obchodzi mnie to.

Dlaczego miałabym się tym przejmować? Czy znajomość ich imion cokolwiek by zmieniła? Mogliby nas zabić, gdyby maristaga ich nie odstraszyła. W zwyczajną noc jeden krzyk Ziemcy by wystarczył, żebyśmy zostali zastrzeleni na miejscu, bez względu na status Łowców. Wybacz, Emrik, że mam gdzieś ich tożsamość.

– Zgłoszenie się do Wyścigu Chwały to jedno. – Zamieszki zdążyły trochę przycichnąć, więc teraz jego głos odbija się echem w pustej alejce. – Wiesz, że będę cię wspierał, jeśli postanowisz to dokończyć. Ale prawie zabiłaś chłopaków Ziemców!

– Przecież ich nie zabiłam! – To nie tak, że nie czuję strachu przed tym, co zrobiłam i co by się mogło wydarzyć, gdyby ci chłopacy się poskarżyli. Tylko nie muszę o tym słuchać od własnego brata.

Maristaga charczy.

– Nie zabiłam ich – powtarzam wolniej. I mówię mu to, co powtarzam raz po raz samej sobie, odkąd zgłosiłam się do turnieju. – To wszystko nie będzie miało znaczenia, kiedy na mojej głowie znajdzie się korona Czempionki.

Jednak nie wydaje mi się, by brat mi uwierzył.

Ocean w noc furii wdziera się aż na główną arterię i być może to jedyny powód, dla którego Ziemcy nie dotarli do mojego domu. Jednak za nami płoną trzy ulice. Czyjeś domy spaliły się tylko dlatego, że biorę udział w Wyścigu Chwały.

W głębi ducha jestem przerażona. O ile jeszcze sytuacja się pogorszy?



Jedenaście

Moje ciało jest zmarznięte na kość, kiedy Emrik łomocze do moich drzwi.

– Słońce świeci już od paru godzin!

Przyciskam dłonie do uszu, ale to nie powstrzymuje hałasu.

– Wstawaj, Korol! – woła Emrik, kopiać w drzwi.

Musi być niezmiernie z siebie zadowolony. Kiedy był ostatni raz, gdy on musiał budzić mnie, a nie na odwrót?

Odpycham się rękami od łóżka. Cała się trzęsę. Syczę i padam z powrotem na materac. Ma wiele lat, jest twardy jak kamień i nieomal łamie mi szczękę. Przykładam dłoń do twarzy, która nosi jeszcze ślady odgnieciono od pościeli, i odpada trochę złota.

Emrik jest już gotowy wyważyć drzwi, kiedy je otwieram.

Jednak to Liria na mnie skacze i sprawia, że obie zataczamy się do tyłu.

– Byłaś taka dobra! Złota Burza błyszczała! Widziałam wszystko! Crane dała mi miejsce na samej górze! Wiesz, że był tam taki wielki balon w kształcie maristaga? I tylu ładnie ubranych ludzi! A widziałaś fajerwerki Białej Frakcji? – krzyczy bez tchu, tak bliska kaszlu.

Patrząc ponad jej ramieniem na Emrika. Ma dzisiaj rozpuszczone włosy. Zapewne chce w ten sposób zasłonić siniaki na niewytatuowanej stronie twarzy. Wskazuje na naszą siostrę i kręci głową. Czyli Liria nie ma pojęcia, co poszło nie tak w czasie Ceremonii Otwarcia.

– Mistrzynie przez noc zdążyła dobić jakiegoś targu – mówi cicho Emrik. – Z tego, co zrozumiałem, utrzymuje, że od początku miała taki plan. Jeden Najemca jako uczestnik turnieju. Oczywiście w ten sposób wzburzyła wszystkich innych Najemców niczym ocean – prychna – bo wszyscy się teraz zastanawiają, dlaczego Łowczyni. Dlaczego nie jedno z nich?

– Tchórze – rzucam z niedowierzaniem.

Emrik przewraca oczami.

Dopóki Mistrzynie panuje nad sytuacją, z takiego czy innego powodu, nie martwię się. Wyścig Chwały to kosztowne wydarzenie, nie pozwoli, żeby zepsuła je banda wściekłych, rozgoryczonych Ziemców czy Najemców.

Opuszczam ramiona i pytam Lirię:

– Wzięłaś leki?

Kiwa entuzjastycznie głową. Jej twarz jest zarumieniona, zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Radość siostry jest prawdziwa, tak prawdziwa, że serce mi rośnie i napiera na swoją kościaną klatkę. Gdyby to zależało ode mnie, zatrzymałabym się w czasie właśnie w tym momencie.

Emrik próbuje odciągnąć ode mnie Lirię.

– Daj jej wstać – mówi, na wpół się śmiejąc.

Jednak odpycham go i ściskam siostrę, nie przejmując się obolałym ciałem. Tak dobrze jest widzieć ją podekscytowaną. Najbardziej tęskniłam za śmiechem młodszej siostry i jej zaraźliwym szczęściem. W tej samej chwili, gdy całuję ją w policzek, a ona wreszcie wierci się w moich objęciach, w korytarzu rozbrzmiewa głos ojca.

Emrik bez wysiłku zabiera Lirię i kiedy siostra wyciąga rękę, żeby zdjąć jeszcze trochę złotego konfetti z moich włosów, on mówi:

– Ojciec chce porozmawiać.

Wkładam kurtkę i wychodzę, już czując, jaka jestem zmęczona zbliżającą się rozmową.

Na korytarzu jedynym światłem jest to ze szczytu schodów. Dzień jest ciepły. Nie mogę tego samego powiedzieć o wyrazie twarzy ojca.

– Natychmiast skończysz z tym idiotyzmem – mówi.

– Wyrzucisz mnie, ojczy? – W ten sposób ludzie pokroju tamtych chłopaków Ziemiców będą mieli ułatwione zadanie. Jednak on nie rozumie, jak trudna jest nasza egzystencja, prawda? Dla niego te kamienne ściany to cały świat. Jak długo mógłby je utrzymać, gdybyśmy nie mogli z Emrikiem polować za niego?

– Kiedy zmieniłaś się w... to? – rzuca.

Patrzemy na siebie z ojcem, stojąc po przeciwnych stronach pomieszczenia. Ciemność nie jest całkowita, ale równie dobrze mogłaby być. Żadne światło nie zdoła rozproszyć mroku otchłani między nami.

– Słyszałaś, jak Liria śmiała się przed chwilą? – pytam go, mrugając szybko oczami, bo nie mogę zapanować nad ich szczypaniem. – Nie tęsknisz za tym?

Jego twarz się nie zmienia. Jeśli w jego spojrzeniu są jakieś uczucia, nie widzę ich w mroku.

– Nie zniszczysz naszej rodziny swoim błazeństwem.

Czy ty się czasem słyszysz?

– Już zgłosiłam się do turnieju. Mistrzynie osobiście zezwoliła mi na udział.

– Jak już mówiłem – ciągnie ojciec, jakby w ogóle mnie nie słyszał – nie zniszczysz naszej rodziny.

– Dobra. Odejdę. Opuszczę ten dom – rzucam ze złością.

– I dokąd pójdziesz?

– Wszędzie będzie lepiej niż tutaj.

Obracam się na pięcie i wymaszerowuję z korytarza. Na schodach czeka już na mnie Emrik. Nic nie mówi. Nie musi.

– W takim razie może nas oszczędzą – dobiega nas echo jego głosu.

~

Zeszłej nocy po powrocie do domu Emrik ostrzegł mnie przed reakcją ojca. Powiedział nawet, że nie powinnam wchodzić do środka, tylko zostać w stajni, aż sytuacja się trochę uspokoi. Jednak nie posłuchałam. Myślałam, że pod wpływem zamieszek zmieni zdanie, zacznę go choć trochę obchodzić. On poczekał, aż wróćą mama i Liria, a potem poszedł spać.

Opieram się o ścianę, siadam na niskiej ławce w stajni. Na samym końcu pustych rzędów stoi Złota Burza, obok swojego boksu. Zostawiłam miedzianą osłonę na żabocie, lecz drugą połowę odpięłam. Maristaga jest na razie zadowolona, zajmuje się swoimi sprawami, może swobodnie wędrować po stajni. Żadne z nas nie chciało jej znowu zamykać. To dziwne zaufanie między nami istnieje tylko dzięki temu, że wyprowadziłam ją z boksu.

– Nie możesz zostać tutaj na stałe – rzuca Emrik. – Po pierwsze, tu śmierdzi.

– To potrwa tylko jakiś tydzień – mówię cicho.

Emrik siada obok mnie.

– Nie licz, że...

– Nie chcę tego słuchać, Emrik. Jestem zmęczona. Chcę tylko ćwiczyć. Tyle, ile tylko zdołam. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja. – Musisz naprawdę we mnie uwierzyć, nie tylko tak mówić. Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, zachowaj swoje słowa dla siebie.

Zapada między nami cisza. Kamienna ławka wpija mi się w uda, pogarszając żelazny ucisk bólu w nogach. Robię wdech. W powietrzu gotuje się ocean, przyływ z ostatniej nocy wciąż jest jak duch nękający wyspę.

– Dlaczego Wyścig Chwały?

– Co masz na myśli? Potrzebujemy pieniędzy.

– Moglibyśmy zostać przemytnikami dla Gorzknicy. Nie w Magazynie, bo trafiłaś na czarną

listę, ale ona zawsze potrzebuje ludzi na innych wyspach. Podróż nie byłaby dla nas wielkim problemem. Zamiast tego postanowiła zgłosić się do Wyścigu. Dlaczego?

– To... – Marszczę czoło. – Nie wiem. To legalne i jawne, więc nie wpadniemy w większe kłopoty, kiedy dostanę złoto.

– Nie w tym rzecz. Daj mi znać, kiedy już to rozgryziesz. – Emrik wychyla się do przodu, włosy spływają mu na ramiona i zakrywają temblak. – No dalej, zmarnowałaś już dość czasu. Idź ćwiczyć.



Woźnice Wyścigu Chwały mają dostęp do Dromu, gdzie w przestrzeni pod ziemią znajdują się symulatory do przygotowań. Lecz żeby się tam dostać, muszę przejść całą wyspę. Boczne alejki nie pomogą w słońcu. Nie wydaje mi się też, bym chciała iść tak blisko ulic, które spłonęły z mojego powodu.

Zamiast tego ruszam na klify. Pasma szarego piasku przy samym brzegu jest ukryte pod wychodniami, i bardzo dobrze. Na Sollonię przybyli Ziemcy z całego Ofiru i pewnie nie obchodzą ich zamieszki i protesty, dopóki nie mają na nich wpływu. Dla nich wyspa jest pogrążona w świętowaniu, nawet za dnia pełna blasku i blichtru. Ziemcy naruszający spokój naszych brzegów to część Wyścigu Chwały, zawsze przypływają w ten sposób, nagle i tłumnie, masą niewyraźnych twarzy. Piją, wrzeszczą, przepychają się. Niczym raptory spuszczone na ławicę ryb.

Słońce wydaje się dzisiaj błyszczące, klify rysują ostre cienie na brzegu. Mimo to drzę w chłodnej bryzie. Jednak ta sama bryza tłumi odgłosy z wyspy, gdzie ludzie z pewnością rozmawiają o mnie, spiskując, żeby w jakiś sposób wyrzucić mnie z turnieju. Wczorajsze pożary zostały ugaszone wyłącznie w fizycznym sensie.

Jestem bezsilna, dopóki nie zdobędę wystarczająco dużo złota, żeby zamknąć im wszystkim gęby.

Złota Burza robi się nerwowa. Wyczuwa moje emocje. Może wszystkie maristagi to potrafią, ale my po prostu za słabo je rozumiemy. W końcu czy kiedykolwiek zdarzyło mi się spędzić aż tyle czasu z jednym maristagiem? Ojciec nigdy nam nie pozwalał nawiązywać z nimi relacji.

– Potwory nie są dobrymi zwierzątkami domowymi – zawsze powtarzał.

Zatrzymuję się pod wychodnią, woda wkrada się na brzeg. Złota Burza macha płetwą ogonową i prycha na ocean. Dłoń mi drży, kiedy sięgam po lejce. Czy ktoś mógłby zrobić praktyczniejszą wersję tego ustrojstwa, by działało też w trakcie wyścigu?

A może właśnie o to chodzi, żeby było niebezpiecznie.

Przełykam ślinę i łagodnie ciągnę za osłonę na szyi Złotej Burzy. Lejce pluskają, spadając do wody pod naszymi stopami.

Samica potrząsa głową, odskakując do tyłu na pół kroku, aż zatrzyma ją w miejscu rusztowanie rydwanu. Piszczy zirytowana, ale wraca na swoje miejsce. Intuicja podpowiada, by nie używać zarguninowego kija, żeby wymusić na niej posłuszeństwo. Wchodzę do rydwanu, podłoga niebezpiecznie drży. Prostuję się, a wtedy lejce zawijają się wokół moich dłoni.

Jedno ostre pociągnięcie.

Złota Burza zostaje tam, gdzie stoi. Inaczej niż w Sali Woźniców, nie ma tutaj innych maristagów. Nie ma nikogo, przed kim musi udowodnić swoją wyższość. Dlatego zostaje.

– Ale jesteś leniwa – besztam ją.

Oprócz stopy skąpanej w wodzie i smagnięcia płetwy ogonowej nie dostaję żadnej odpowiedzi. Schodzę z rydwanu. Złota Burza ma otwartą paszczę. Węszy. To dym. Nie taki jak z zeszłej nocy; ktoś piecze owoce morza.

– Będziesz mogła jeść, ile zechcesz, kiedy już to załatwimy.

Złota Burza wydaje pomruk. Maristagi nie są głupie.

Jednak koniecznie musi mnie posłuchać. Szkoda, że nie ma tu Emrika. Może wspólnie byśmy coś wymyślili. Wchodzę znowu na rydwan, ciągnę za lejce i proszę.

To trwa jakąś godzinę.

Już mam się poddać, kiedy w oceanie słyhać jakiś szcęk.

– Co do...

Złota Burza wyrzywa do przodu.

W stronę wody.

Mój świat staje się wiatrem i wodą, żywioły atakują zmysły. Czuję smak soli. Jak szybko może biec Złota Burza? Gdy tylko ta myśl pojawi się w mojej głowie, ból przeszywa mi palce i frunę.

Uderzam w ziemię, lejce są splątane wokół moich dłoni. Naprężają się, gdy Złota Burza się obraca, wyskakując z wody. Rydwan zawraca z siłą kamienia rzuconego w ocean. Uderza w moje nogi.

Agonia wstrząsa moimi kośćmi z taką mocą, że głos więźnie mi w gardle, z którego wydobywa się tylko zszokowany, zduszony krzyk.

Złota Burza uznaje to za zaproszenie do ataku i wyrzywa się z niej szalony ryk. Jest żywą wściekłością. Jej pysk jest czerwony jak krew, między ostrymi zębami przesuwają się straszliwy język.

Zamieram z przerażenia. Nie mogę się ruszyć. Nawet gdy ona ryczy mi prosto w twarz.

Jestem na ziemi, moje dłonie zatopiły się w piasku. Maristaga góruje nade mną. Jej gadzie oczy mają rozszerzone źrenice, nozdrza rozdymają się dziko. Jeden skok i pożre moją głowę, odetnie od szyi zębami. Potem ruszy w wodę, a Emrik pewnie znajdzie tutaj resztę mojego ciała. Maristaga patrzy na mnie wężowymi czarnymi oczami. Nie ruszam się. Wysiłkiem woli pozostaję w takim bezruchu, jak klify za moimi plecami.

Jej żabot się podnosi.

Złota Burza skacze. Jedna ogromna kończyna kieruje się prosto na moją twarz – uciekam spod niej, fala płynąca ku brzegowi ciągnie mnie w dół niczym grawitacja.

Jak zapanować nad szaloną maristagą?

W stajni robiłam to tysiąc razy.

Dlaczego teraz nie pamiętam?

Mam rozbiegane myśli, ale nie mogę ciągle uciekać. Ona się nie zmęczy. Jej przednie kończyny uderzają o ziemię, przyskają we mnie wodą i piaskiem, sól trafia do moich oczu i uszu.

W jej czarnych oczach błyska kalkulacja godna drapieżnika.

Mój ojciec zawsze mawia: *wściekły maristag to ślepy maristag*.

Co to właściwie znaczy? Przecież wiem, co się kryje za tymi słowami, ale... Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć?

Drżą mi mięśnie rąk.

Ślepy maristag ma przytłumione zmysły. Działa tylko na podstawie dzikich instynktów. Na przykład jak tamten, który zaatakował Emrika.

Mój brat krzyczał, żebym chwyciła płetwę ogonową maristaga, co było łatwiejsze dla mnie, bo on miał dostęp do jego płetwy grzbietowej. Ta część ciała pomaga im nawigować.

Biegnę do Złotej Burzy. Panika wzbiera mi w żyłach. *Proszę, niech to zadziała*. Złota Burza robi się coraz większa i większa, a potem już się szykuje, by mnie rozedrzeć na kawałki – lecz zanim zdąży to zrobić, wślizguję się pod nią po mokrym piasku i chwytam lejce.

Są zaplątane o jej nogi i maristaga zatrzymuje się z szarpnięciem. Krew tętni mi w rękach. Ciągnę. Lecz ona rzuca się do przodu, a ja ląduję na ziemi. Dzwoni mi w uszach, widzę jak przez mgłę. Złota Burza natychmiast zawraca – z tą samą szaloną prędkością, więc mam czas tylko na to, by zwinąć się w kłębek, i ledwo udaje mi się uniknąć zdeptania.

Taniec śmierci.

Złota Burza potrząsa głową. Zabije mnie w tej samej sekundzie, w której się uwolnię. Za wszelką cenę trzymam lejce. Ona walczy i ciągnie mnie za sobą, a ja wrzeszczę. Jak się z tego wykaraskać? Nie ma czasu! Ból miażdży mi głowę.

A potem powietrze przecina krótki lament dobiegający z jakiegoś miejsca w pobliżu. Złota Burza się zatrzymuje, nastawia uszu. Patrzy dokoła i odsuwa się ode mnie. Zupełnie jakby kilka poprzednich sekund nigdy się nie wydarzyło.

Wstaję na drżących nogach; gorące, wściekłe, *bolesne* łzy płyną mi po twarzy.

Jeśli nie mogę nawet zapanować nad swoją maristagą, co właściwie mogę? Może Ziemia mieli

rację. Turniej to ich terytorium i nigdy nie pozwolą mi tam po prostu *być*. Zawsze będę tą, która musi się skulić, by uciec przed innymi, schodzić im z drogi, nawet jeśli to oni blokują mi przejście.

Albo gonią mnie w dół klifu.

To zawsze ja będę się zatrzymywać.

– Myślałaś, że to dziecinna zabawa? – woła ktoś. Z zaskoczenia wciągam gwałtownie powietrze. Na tle nieba widać postać, która patrzy na mnie z góry.

Dorian Akayan. Jak długo tutaj jest? Czy widział, jak płacę?

Obracam się, napędzana przez złość na jego beczelność. Złota Burza teraz jest spokojna. Jakby nigdy nie odsłoniła przede mną zębów.

– Zamierzałaś wziąć maristaga i wygrać turniej, jakby maristagi były maleńkimi merilami?

– A kogo ty próbujesz przekonać? – mówię, chociaż nie chcę z nim rozmawiać. Wciąż czuję szczypanie w kącikach oczu. – Bo ja dobrze wiem, jak łatwo przychodzi ludziom wziąć maristaga i zapomnieć o wszystkim innym.

Dorian zbiega z klifu. Porusza się pewnym krokiem. Niczym szabrownik. Kiedyś byliśmy tutaj we dwoje, schodziliśmy, trzymając się za ręce, żeby nie spaść. Przełykam głośno ślinę. Ta nostalgia to ostatnie, czego mi teraz trzeba.

Czego on chce? I jak mnie w ogóle znalazł? To miejsce jest niewidoczne z plaży. Wygląda, jakby całkiem znajdowało się pod wodą. Właśnie dlatego to tutaj chciałam ćwiczyć.

Też mi ćwiczenia, myślę z goryczą.

Zanim Dorian dotrze na dół, ja już zakładam osłonę z powrotem na szyję Złotej Burzy. Maristaga prycha i wdycha, ale nie wykonuje żadnych nagłych ruchów.

Żeby chronić się przez bryzą, ma postawiony kołnierz, który sprawia, że jego twarz wydaje się ostrzejsza. Rdzaworude włosy spiął prostą gumką. W cieniu klifów jego włosy wyglądają na jeszcze ciemniejsze. Zatrzymuje się przede mną. Za blisko. Jak ktoś przyzwyczajony, że ludzie schodzą mu z drogi.

– Wiatr ma taki sam wpływ na rydwan jak niesiony przez niego ciężar – mówi Dorian.

Co za człowiek mówi z taką swobodą i spokojem, jednocześnie próbując kogoś upokorzyć?

Mój wzrok ześlizguje się na sznurek wokół jego palców. Wisi na nim swego rodzaju gwizdek. Dorian zauważa moje spojrzenie.

– To zabawne, że to ty polujesz na maristagi, a jednak to ja wiem, jak nad nimi zapanować.

Tamten zawodzący dźwięk. Złota Burza od razu się wycofała. To przez ten gwizdek. Oczy Dorigana migoczą wyzwaniem. Chce, żebym go o niego poprosiła, żeby miał szansę odwdzińczyć się za przysługę.

– Sztuczki żółtodzioba na nic się zdadzą przeciwko pełnej sile natury.

Jeśli w jego oczach był jakikolwiek ślad przychylności, teraz zupełnie przepadł. Dociera do mnie, że zdwojoną siłą, że Dorian Akayan to Ziemca.

– Wyścig Chwały to nie miejsce dla ciebie – mówi ponuro. – Przez dwieście lat krew Ziemców wygładzała tor Dromu. Co może dać od siebie Najemca? Pot i łyzy. Myślisz, że polując na maristagi, wiesz, jak je kontrolować? Nawet nad tym jednym nie potrafisz zapanować. Gdybym jej nie powstrzymał, już byś nie żyła. Właśnie taki jest los Najemców w tym świecie. W jednej sekundzie są, w następnej ich nie ma. Zostają zapomniani. Wyścig Chwały płonie życiem. Oznacza walkę i triumf. Dla nas. Myślisz, że możesz z tym wygrać? Że możesz wygrać ze mną?

– Tak. Wiem, że mogę – warczę.

Tego się nie spodziewał. Jego oczy przestają świecić. Jednak szybko odzyskuje rezon.

– Dla Rhytona każde moje słowo to rozkaz. Możesz to samo powiedzieć o swojej maristadze?

– Rhyton był mój długo przed tym, jak trafił do ciebie! – wybucham.

Zduszona cisza, jaka zapada między nami, gdy każde z nas oddycha z trudem pod ciężarem frustracji, otwiera drogę do wszystkiego – wszystkiego – czego nie chcę pamiętać. Wszystkiego, co pogrzebałam głęboko.

Właśnie tutaj to się zaczęło, na tej ukrytej połaci piasku, o której nikt inny nie wiedział.

Dorian przychodził do mnie raz w tygodniu ze swoim srebrnym maristagiem, Rhytonem, a ja

pomagałam mu go tresować w tych wodach. Wtedy twarz Akayana była łagodniejsza, oczy mu bardziej błyszcząły. Włosy miał tak samo rude. Powiedział mi później, że nie wiedział, co robi, tylko udawał. Potrzebował mojej pomocy znacznie bardziej, niż dał to po sobie poznać.

Po swoim pierwszym powrocie, gdy pojawił się cicho niczym duch i omal nie wystraszył mnie na śmierć, powiedział:

– Rhyton woli to miejsce.

Zaskoczona jego głosem wyciągnęłam pałkę. Prawie go uderzyłam. Przystawiłam pałkę do jego brody, on zdumiony uniósł ręce, a ja dyszałam ciężko.

– Rhyton powinien wiedzieć, jak niebezpieczne bywa to miejsce – odparłam.

Dorian wzruszył ramionami.

– Nie bardziej, niż zdążył się przyzwyczaić.

Schowałam pałkę i wyciągnęłam rękę.

– Koral.

– Wiem – odparł, ściskając moją dłoń. – Dorian.

Uwielbiał uczyć się o maristagach i ich tresowaniu. Emrik kiedyś szybko się nudził, ale dla Dorianą były fascynujące. Miał niemal taką samą intuicję jak ja. Rhyton go polubił. Co było, jak się przekonałam, niezbyt trudne.

Na tym polegał mój błąd, jednak wtedy jeszcze o tym nie wiedziałam.

W tamtej niewielkiej przestrzeni, ograniczonej z dwóch stron przez klify i wodę, byliśmy Dorianem i Koral. Nie Ziemcą i Najemką. Byliśmy parą dzieciaków, które lubiły maristagi i ocean, ale nie swoich ojców.

I jak ostatnia idiotka myślałam, że temu złotemu chłopakowi na mnie zależy.

Z Dorianem było jak w środku burzy, w otoczeniu chaosu, który cię nie tykał. Aż do czasu, kiedy Dorian się wycofał, bez wytłumaczenia, zabierając ze sobą spokój i zostawiając mnie nagle pośród gwałtownego wiatru.

– Myślisz, że nie rozpoznałem cię w tym szalu? – pyta z płonącym wzrokiem. – Wszyscy myślą, że dostałaś się do turnieju dzięki Mistrzynie. Mógłbym odnaleźć służącą, której miejsce zajęłaś. Mógłbym namówić ją do zwierzeń. Co by się wtedy stało, hę?

– I pomyśleć, że już cię miałam za w miarę przyzwoitą osobę – odpowiadam. – Ale nie martw się, twój sekret jest bezpieczny. Nikt się nie dowie, że jesteś złodziejem. Nie zniżę się do twojego poziomu.

Za jego plecami ocean ryczy nagłą falą pędzącą w naszą stronę. Dorianą to najwyraźniej nie wzrusza.

– Wiesz, jak długo na to pracowałem? – pyta cicho, znacząco. – Jak dobry jestem?

– To dlaczego się mnie boisz?

– Nie masz pojęcia, w co się wpackowałaś – mówi głosem tak zimnym, że mrozi mi krew.



Dwanaście

Dzień mija tak szybko, że godziny zlewają się ze sobą. Prowadzę Złotą Burzę z powrotem do stajni, kiedy słońce zaczyna opadać, a horyzont czerwienieje. Samica choć raz jest cicho. Nieśmiało, ale zdołałam na powrót przyczepić jej rydwan, chociaż potrzebowałam kilku godzin, żeby złapać równowagę. Jedna noga do przodu na krawędzi. Wykorzystać całą swoją siłę. Rozłożyć ciężar. Okazało się, że chęć pokonania Doriana to jedyne paliwo, jakiego mi trzeba.

Każde wspomnienie jego opanowania przyprawia mnie o gorący wyrzut nienawiści.

Lecz chociaż potrafię balansować na nieruchomym rydwanie, nie jest łatwo zachować wyprostowaną pozycję, kiedy porusza nim Złota Burza. Szczególnie teraz, gdy mam świadomość, że maristagi mogą w każdej chwili stracić kontrolę. Po kilku minutach odrętwiałe palce zaczynały mi się ślizgać. W niczym to nie przypominało wieczoru Ceremonii Otwarcia.

Stajnia to dziwne miejsce. Zbudowana na powierzchni, z ciągnącymi się wszędzie półkolistymi oknami, które nie są zasłonięte nawet czarną taśmą. Jedyne w swoim rodzaju. Rozcapierzone, zakrwawione palce zachodzącego słońca sięgają wszystkich kątów.

W środku wciąż czuć ostry zapach chloru, który mnie otrzeźwia.

Wyciągam deskę i na zewnątrz stawiam ją na kamieniu tak, by stworzyć równowagę. Deska kołysze się na wietrze. Popycham ją trochę w prawo, tylko odrobinę, i się stabilizuje. Okej, dam radę. Wiem, jak się powozi, całe dzieciństwo pływałam, znam swoje ciało. To tylko jeden krok, żeby mieć pewność, że panuję nad ruchem pod stopami. Jeśli się tego nauczę, będzie mi lepiej szło balansowanie w czasie jazdy rydwanem. Oddychając przez usta, stawiam jedną stopę na desce. Potem drugą.

Deska wypada. Wciągam gwałtownie powietrze. Młóćę rękami. Świat się wywraca, a ja ląduję na ziemi. Tysiąc kamiennych dzwonek rozbrzmiewa w mojej głowie. Zapominam, że mogę wstać. Niebo nade mną wydaje się przesiąknięte zatęchłą krwią. Szybko ciemnieje.

Łzy napływają mi do oczu.

Z trudem się podnoszę, drapię paznokciami o kamień. Nie ma tu nikogo, kto by wskazał mnie palcem i wybuchnął śmiechem. Nie ma znaczenia, ile razy się dzisiaj przewrócę, bylebym nie zrobiła tego jutro, na torze.

Właśnie dlatego muszę ćwiczyć.

Jeszcze raz staję na desce. Kołysze się. Stabilizuję. Wyciągam ręce w bok, czując, jak owiewa mnie wiatr gonący w stronę tylnej bramy stajni. Stroi sobie ze mnie żarty, nieomal znowu mnie wywraca, lecz trzymam się mocno.

W dzieciństwie trenowaliśmy razem z Emrikiem. Budowaliśmy siłę i wytrzymałość. Godzinami staliśmy na jednej nodze. Wstrzymywaliśmy powietrze pod wodą. I uczyliśmy się znosić ból. Czasami ta tolerancja mnie martwi. Co, jeśli będę znosić tak wielki ból, że nawet nie zauważę, że się wykrwawiam?

Czyżbym popełniła błąd?

Lodowaty głos Doriana niczym szpony chwytą mój umysł.

Nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś.

Wciągam powietrze, wydaję zduszony okrzyk, kaszlę. I upadam.

Zawisa nade mną czyjaś twarz.

– Chyba nie o to ci chodziło – rzuca Crane.

Wyciąga rękę i jednym płynnym ruchem podnosi mnie z ziemi, jak wielokrotnie w przeszłości. Szukam wzrokiem Złotej Burzy, maristaga opiera się o drzwi swojego boks. Tylko połowa jej ciała znajduje się w środku. Samica pewnie nie chce pozwolić, bym znowu ją tam zamknęła.

Oglądam się za siebie. Crane niesie pudełko smażonych krewetek.

– Gdzie jest Emrik? – pytam.

– Och, pomaga Agacie z... – Krzywi się. – Wiesz co? Właściwie to nie wiem. Po prostu nie chciałam iść do Terrafortu, więc powiedziałam mu, żeby on poszedł. Jestem mu winna przysługę.

– A on był gotów iść do Terrafortu?

Crane mnie zbywa.

– Jak idą przygotowania? – Unosi wymownie brwi, patrząc na deskę. – Mogę ci w czymś pomóc?

~

Crane zaciska palce na desce, klęcząc przede mną, i kiwa głową.

Biorę głęboki wdech, przysuwam brodę bliżej ciała i skupiam się na ruchach. Moja stopa odrywa się i podnosi. Dotyka środka deski, nie poruszając nią. Czuję fakturę drewna pod podeszwą, drobinki piasku przyklejone do skóry ocierają się powierzchnię. Krok po kroku.

Kiedyś miałam o wiele więcej cierpliwości.

Właśnie tego mi teraz trzeba.

Wyciągam jedną rękę.

Crane ją ściska.

– W ogóle to strasznie podoba mi się ten pomysł z wyścigiem. Kto by nie chciał oddać życia w ręce zwierzęcia, która może w dowolnym momencie zabić woźnicę jadem albo odgryźć mu głowę?

Ignoruję ją i podnoszę drugą rękę oraz jednocześnie stopę, a robię to ze zwinnością, której wymaga polowanie na maristagi. Deska się chwieje, lecz wsparcie Crane wystarcza, żebym zachowała równowagę. Kołysanie mija.

Crane puszcza.

A ja zostaję w bezruchu.

Zamykam oczy.

Jeden... dwa... trzy... dwadzieścia... pięćdziesiąt sześć... sto dwadzieścia...

– Skup się na moim głosie – odzywa się Crane.

Stoi po mojej prawej. Za zamkniętymi powiekami widzę jedynie ciemną czerwień. Jednak dostrzegam ją oczami wyobraźni. Jej głos jest jak nić, która pozwala mi się utrzymać prosto. Crane dalej do mnie mówi. Gdzieś dalej Złota Burza charczy niecierpliwie. Crane nie przestaje. Zaczyna zadawać mi pytania.

– Widziałas rebeliantów, gdy byliście u Gorzknicy?

– Tak – odpowiadam. To słowo wydobywa się ze mnie w linii prostej. Nie zaburza mojej równowagi. – Mogliby wreszcie zmadrzeć.

– Nie każdy może zgłosić się do Wyścigu Chwały, żeby odmienić swój los. Chcą tylko być traktowani tak, jakby mieli jakieś znaczenie.

– Kogo masz na myśli? Najemców, którzy z przyjemnością patrzyliby, jak umieram ja, Emrik albo Liria, bo Ziemcy zmusili nas do bycia Łowcami? – Nad tym gniewem też panuję. Prawie. Drzę.

Oddychaj.

– Nie wszyscy. Stare frakcje miały dużo czasu. To właśnie ich idee o wyrzutkach i statusie społecznym doprowadziły do tego, że Najemcy zostali podporządkowani. Ziemcy nigdy się na to nie łapali. Młodsze frakcje działają ostrożnie, przede wszystkim uczą się i są sprawiedliwi. Słyszałam, co mówią w Magazyinie.

– Gdyby coś poszło wedle ich myśli, Ziemcy by ich zmiażdżyli – odpowiadam spokojnie. – A może nie zauważyłaś, jak się skończyła Pierwsza Wojna? I nie chodzi tylko o nich, zapłacą wszyscy Najemcy. Ty, ja, Emrik i Liria.

Crane prycha niezadowolona, ale na całe szczęście milknie.

Stoję w ten sposób przez pół godziny.

Kiedy schodzę z deski, moje nogi są sztywne.

Znowu wchodzę. I znowu. Aż ból wycofa się gdzieś za tętnienie krwi w uszach. Znam swoje ciało trochę lepiej niż jeszcze dzisiaj rano.

– Koral! – woła Crane gdzieś zza moich pleców, lekko po lewej stronie. Minimalnie się odwracam. W moją stronę leci kamień. Łapię go, a ona rzuca kolejny. Tego też łapię. I jednocześnie zachowuję równowagę na desce.

Crane szczyrzy zęby i pokazuje mi wyciągnięte kciuki.

Po kilku kolejnych rundach burczy mi w brzuchu. Nie ma sensu zbytnio się dzisiaj nadwyręzać, skoro wszystko pójdzie na marne, gdy jutro padnę na torze.

Crane przynosi jedzenie. Przez kilka chwil siedzimy i jemy w ciszy. Wiatr znad oceanu jest zimny, zderza się z ciepłem nad wyspą. Niosący się z oddali zwyczajowy chaos dni Wyścigu Chwały przynosi ukojenie. Pozwalam sobie odczuwać ból w kończynach, myślę o tym, jak Złota Burza obróciła się przeciwko mnie. To nie było spontaniczne. Wystraszyło ją coś w wodzie.

Ta myśl przynosi ulgę, bo przynajmniej oznacza, że Złota Burza nie zamierzała mnie podziurawić. Ale też: jak łatwo wyprowadzić maristaga z równowagi.

Jutro dosłownie powalczę o życie.

I w żadnym wypadku nie jestem wyszkolonym woźnicą.

Crane upiera się, żebyśmy walczyły na kciuki, i chociaż czuję się jak dwulatka, przystaję na to, by sprawić jej przyjemność. Wtedy pyta o Ceremonię Otwarcia. Oczywiście widzę, jaka jest zdeterminowana, żeby nie wspominać o zamieszkach. Wypytuje o każdy zakątek Dromu, głównie po to, by odciągnąć moje myśli od innych spraw.

I wtedy to do mnie dociera.

Ona wciąż ma mi coś do powiedzenia.

Nie naciskam jej. Gdybym to zrobiła, zamknęłaby się w sobie i nigdy już nie otworzyła. To taka nasza gra; nauczyłam się czekać, aż wycofa się ta jej część, która nigdy nie zdołała nikomu zaufać.

Dopiero po trzech latach przyjaźni powiedziała mi o tym, że jej ojciec to Ziemca. Mama wiedziała o tym przede mną. To od niej usłyszałam, że cierpliwość jest najlepszym darem, jaki mogę zaoferować Crane. Jednak wcale nie jestem cierpliwa, tylko udaję. To taka gra, powtarzam sobie. Nawet jeśli Crane to moja jedyna przyjaciółka. Cały czas bawi się pierścionkiem – jest pomarańczowo-czerwony. Nie wiem, co to za kamień. Zawsze miała smykałkę do wykopywania najbardziej niezwykłych i pięknych morskich kamieni.

Crane zarzuca sobie włosy za ramię i właśnie wtedy coś lśni na jej ręce.

To łańcuszek.

– Co... Crane... – Patrzę na nią z przerażeniem. – Coś ty zrobiła?

Zauważa, co widziałam, i zabiera rękę.

– To, co powinnyśmy były zrobić lata temu.

– Nie, nie. *Nie*. – Wyciągnęłam ją z Magazynu. Zerwałam plakat Arki Wolności z jej drzwi. Jak się do niej dostali? – Rebelianci są niebezpieczni... Ziemcy cię dopadną, ich strażnicy... Tak wiele rzeczy może pójść nie tak... Jak mogłaś?

– Och, ale kiedy ty zgłosiłaś się do Wyścigu Chwały, to było rozsądne, tak?

– To nie... – Jednak słowa grzęzną mi w gardle i mogę już tylko patrzeć na Crane. Czyli dlatego tak broniła buntowników. Gniew, który dopiero zaczynał zbierać, rozprasza się. Zamiast niego czuję ból w sercu.

– Zrobiłaś to przez ojca Ziemcę, prawda?

– Nie próbuj mnie zrozumieć, Koral. Nie chcę wiedzieć, kim on jest. Nie obchodzi mnie to – odpowiada Crane. – Ale jestem pewna, że z przyjemnością usłyszysz moje imię, kiedy Arka Wolności pokona Ziemców.

Potem odchyła się i uśmiecha dziko.



Krażę po pustej stajni, ku niezadowoleniu Złotej Burzy, która bardzo się stara odpocząć.

Dlaczego Crane nie widzi, że Arka Wolności tylko sprowadza na nas kłopoty? Właśnie tak było za czasów naszego dzieciństwa. Starli się ze strażnikami, krzycząc: *Żadnych bogów, żadnych Ziemców*, i zostali zastrzeleni, a my dostaliśmy godzinę policyjną i nasze życia zatrzymały się z piskiem.

Może tak naprawdę wcale nie jest częścią Arki. Podobnie jak ostatnim razem, może tylko kręci się po Magazynie. Nic dziwnego, że przez ostatnie tygodnie chodziła tam beze mnie. Zaciskam powieki. Tym razem nie widzę czerwieni, jedynie bezkresną czern, jakby światło nigdy nie istniało. Ciekawe, czy właśnie tak wygląda świat w głębi Terrafortu.

W tej czarnej ciszy słyszę skrzypienie głównej bramy stajni.

Nie ma wiatru. Księżyc wisi wyrazisty na bezchmurnym niebie, a po drugiej stronie Terrafortu turyści, którzy przybyli na Wyścig Chwały, uczują i tańczą. Złota Burza jest teraz na głównym podwórzu stajni, ponieważ odmawia wejścia do *któregokolwiek* z boksów.

Każdy centymetr tego budynku jest wyryty w moim umyśle.

Słyszę, jak ktoś się porusza w ciemności, próbując ukryć swoją obecność. Kto to może być? Dorian? Wiedział, gdzie ćwiczyłam. Poza tym on też zna wnętrze stajni.

Ucieczka nie ma sensu. Tak blisko tylnej bramy można pobiec tylko w stronę plaży i klifu. Mogłabym krzyczeć. Chociaż mój głos zostałby zagłuszony przez świętowanie na wyspie i wzburzony ocean.

Tak czy inaczej, wychodzę. Gdy się odwracam, widzę zarysy postaci w przejściu – trzy. Z początku wydaje mi się, że to chłopaki, które zaatakowały mnie i Emrika zeszłej nocy, ale oni nie doszliby do siebie tak szybko. Jestem pewna, że jeden z nich został ugryziony.

Ruszają w moją stronę, a ja się rozpędzam. *Żaden dzień nie może być normalny*. Moje serce jest szybsze ode mnie. Wymijam ścigających, lecz na ziemi brakuje mi prędkości.

Dwie pary rąk łapią mnie od tyłu za ramiona. Przeszywa mnie ból w kształcie kajdan. Adrenalina wystrzeliwuje mi do krwi i na wpeł leczę, zaciskając ręce, wierzgając nogami. Wciągam gwałtownie powietrze, szarpiąc.

Ocean pod nami wydaje się niemal bezkresny, jego bezmiar faluje rytmicznie. Mroczna otchłań wywołuje we mnie panikę.

A panika sprawia, że pierzcha mój zdrowy rozsądek. Gryzę jednego z napastników w dłoń i gdy jego chwyt słabnie, zaczynam go wściekle, zuchwale atakować. *Dlaczego Złota Burza nie może stracić kontroli właśnie teraz?* Głośny szust z drugiej strony sprawia, że podskakuję. Ktoś próbuje uderzyć we mnie pięścią, ale blokuję cios. Przechodzi mnie wstrząs.

– Nie tak szybko.

– Brom? – Wciągam gwałtownie powietrze. Nie czekam, od razu go kopię. On krzyczy i się chwieje. Lecz wtedy rzucają się na mnie dwaj pozostali. Na ich twarzach już widać siniaki i wydają się cierpieć z bólu. Gdzieś w głębi mnie rozpala się satysfakcja. Próbuję sięgnąć po scyzoryk. Chwytają moje dłonie. *Cholera jasna!*

– Nie bądź głupi, Brom – cedzę.

– To ty zapomniałaś, gdzie twoje miejsce.

– Czyli co właściwie zamierzasz? Zabić mnie? Co by to...

Dwaj pozostali ściskają mnie mocniej. Ból promieniuje wysoko i krzyczę. Odciągają mnie od Broma. Znowu kopię, walczę, wrzeszczę.

Nie przestawaj się stawiać. Nie pozwól, żeby zabrali cię gdzieś indziej. Nie milknij.

– Skąd wytrzasnąłeś tych klaunów? Musiałeś ich chyba zatrudnić, przecież nie masz żadnych przyja...

– ZAMKNIJ SIĘ.

– Czy tak tłumaczysz swojego pecha? Przerzucasz winę na mnie?– Wiję się, próbując się skulić, wpijam paznokcie w trzymające mnie ręce.

– Suka. – Jeden z nich szarpie mnie za ramię. *Dobrze, byle tylko sprawić, żeby ich chwyt osłabł.*

Podnoszę wzrok w idealnym momencie – coś uderza mnie w twarz. Dłoń trzymająca kawałek

materiału przesiąknięty jakimś płynem. Czuję ciężki i słodki zapach.

Światła wyspy dzielą się na wiele kolorów, wielokrotnie tracę i odzyskuję wzrok. Robię się lekka, unoszę się w powietrzu. Próbuję wierzgać, wstać. Jednak czuję tylko palce zaciskające się na moich rękach.

– Puszczaj. – Mój głos ledwo pokonuje barierę w postaci odrętwiałego języka.

– Jeszcze nie straciła przytomności – warczy Brom. Zbyt głośno. To jak łupnięcie młotka w moją czaszkę. – Mówiłem, że dawka powinna być większa.

– Cicho bądź, Warden – rzuca jakiś inny. – Co mam teraz zrobić?

– I tak ją zamknijcie.

Świat nagle jest zarówno lekki, jak i ciężki. Ktoś mnie podnosi i rzuca na twardą powierzchnię, ból przesącza się do mojej świadomości. Z wielkim wysiłkiem otwieram oczy. Jakiś zamazany kształt nachyla się blisko, duch przechodzący przez przezroczystą kotarę.

– I tak nikt cię tutaj nie chce. Nie będą za tobą tęsknić.

Potem coś łupie mnie w skroń.

Ciemność.



Trzynaście

Upadam, upadam...

Śnię...

Budzę się nagle, otwieram szeroko oczy, walczę o oddech. Wita mnie mrok. Absolutny bezruch, który spowija każdy centymetr świata. Z trudem wciągam powietrze, które jest suche, wbija mi się w płuca jak ciernie. Dyszę, próbując się pozbierać. Jakby z oddali dociera do mnie wrażenie. Pulsowanie w ramionach, w skroni, wzdłuż kręgosłupa. Leżę pod kątem. Ostry ból przeszywa moją szyję, jakbym uniesieniem głowy miała złamać sobie kręgi.

Przyciskam dłonie do boków i próbuję się podnieść.

Nie mogę.

Panika cały czas wzrasta, powoduje dezorientację. Nie słyszę żadnych dźwięków prócz mojego ciężkiego oddechu. Palcami szukam jakiegoś oparcia w ciemności. Gdzie ja jestem?

Obmywa mnie przyływ, jakby gwizdanie. Lecz nie wiatru.

Nie.

Niemożliwe, żeby wrzucili mnie do wody.

Zamkniętą w skrzyni.

Z gardła wyrzywa mi się krzyk.

Zaczyna mi brakować powietrza. Jak długo już się duszę i umieram?

Może nawet się nie obudziłam.

Może Emrik nie wyszedł jeszcze na polowanie.

Jednak wiem, że nie śnię.

Zabiję Broma Wardena. Zabiję ich wszystkich trzech.

Świeże łzy wypływają mi z oczu, wślizgują się do ust. Kopię ścianę skrzyni. Wbijam w nią pięść.

Nowy ból rozpala mi się w dłoni.

Klnę pod nosem. Nie umrę tutaj.

Ogarnij się, na przeklęty ocean.

Okej, okej.

Oddychaj.

Wciąż oddycham. Serce wali mi jak młot, ale wciąż oddycham. To dobrze. Jeszcze żyję. To już coś.

Spowolnij oddech.

Przyciskam dłonie do boków skrzyni i kucam. Podnoszę wzrok. Nie mam żadnego poczucia kierunku. Nieruchomieję i czekam. Jakie mam opcje? Wyłamać drzwi? Przeciągam szybko dłonią po ciele. Wciąż mam w kieszeni zarguninowy nóż.

Nagle skrzynia się kołysze.

Fala.

Słyszę okropny zgrzyt. Patrzę z przerażeniem, jak ściana poddaje się sile wody. Jeśli nagle pęknie, prąd mnie zmiażdży.

Muszę to zrobić ja, celowo.

Nóż w mojej ręce jest zbyt mały.

Znowu przeklinam.

Czy ktoś się dowie? Emrik na pewno przyszedł nad ranem mnie szukać. Ale ile godzin minęło od tego czasu?

Może Wyciąg Chwały już dobiegł końca.

Ta myśl wyciska mi odwagę z płuc. Upadam kolanami na podłogę. Tak jak poprzednio chowam się w ciemności, próbując ochronić się przed Ziemcami, dokładnie w ten sposób. Obejmuję się rękami. Kulę się. Szlocham ze smutkiem i rezygnacją. Łzy cały czas spływają mi po policzkach, czuję sól na języku.

Powietrze robi się gęste, miazdzy mnie ciężar wielu pokoleń Łowców. Byli na moim miejscu, żyli pośród potworów, a teraz ich nie ma.

Umrę tutaj, prawda?

Zaczynam drętwieć. Próbuję jakoś zebrać myśli, nie pozwolić panice na przejęcie kontroli. Mój umysł musi działać.

Ich tu nie ma. Żyjesz. Poradzisz sobie.

– Zabiję Broma Wardena – szepczę mokro.

Skrzynia skrzypi. Coś w niej stuka. To dźwięk jakby przesuwających się kamyków. Taki, który jest dość głośny dla ludzkich uszu nawet w wodzie.

Jak daleko mogli mnie zabrać? W ciemności pewnie chcieli się mnie szybko pozbyć. Może zrzucili mnie z klifu? W tym miejscu, gdzie wcześniej ćwiczyłam. Prąd był szybki i silny. Właśnie tam Złota Burza spłoszyła się i zwróciła przeciwko mnie. Lecz nie sama z siebie. Coś było w wodzie.

Przypominam sobie tamto grzechotanie przy brzegu, krótko przed tym, jak Złota Burza wpadła w szal.

I właśnie wtedy to do mnie dociera: w tych wodach jest raptor.

Jeśli stuka w skrzynię, musi być zainteresowany. Przetnie stal.

I może właśnie tego mi trzeba.

Istnieje szansa, że raptor mnie pokona, ale co innego mi pozostało? Czekać na śmierć?

Wolę walczyć i umrzeć.

Wybór jest oczywisty. Naciskam guzik scyzoryka. Wyskakuje ostrze.

Przez chwilę się na nie gapię. To może się *naprawdę* źle skończyć.

Czubek ostrza przebija moją skórę. Przeklinam pod nosem, ból jednak szybko mija. Czuję formującą się kropelkę ciepła. Powstrzymując odruch włożenia palca do ust, przyciskam go do dachu skrzyni.

Proszę, oby to wystarczyło.

Skrzynia znowu skrzypi. Nic więcej się nie dzieje. Żadnego grzechotania.

Cienki, wąski ślad krwi zasycha.

Oddycham płytko. Gdzieś na środku czoła zaczynam odczuwać rosnący ból. Nic nie widzę, lecz wiem, że tracę wzrok.

Ile jeszcze czasu minie, zanim zużyję do końca powietrze?

Czy właśnie tak Liria czuje się cały czas?

Coś uderza w skrzynię.

To coś drży. Zsuwa się. Zamieram.

Grzechotanie staje się coraz głośniejsze i jest coraz bliżej, bliżej. Nie mogę wstać, nie wiem, jak inaczej się bronić. Zanim zdążę się zastanowić, zanim uruchomią się moje instynkty, ostry biały kiel wbija się w stalową ścianę w odległości równej połowie ręki, bezpośrednio przed moim okiem. Potem kolejny.

Woda wdziera się do środka, powietrze wypełnia się kwaśnym, organicznym zapachem. A potem jest już tylko woda i grzechotanie raptora przede mną. Zęby przebijają skrzynię, tworząc ślad w kształcie okręgu. Kawałek ściany odpada. Metal zgrzyta, skrzynia drży, a woda eksploduje mi w twarz. Płuca mi płoną. Brakuje powietrza i wciągam wodę.

Raptor przypuszcza atak, otwierając szeroko paszczę. Mam ogromne szczęście, skrzynia

przechyla się do tyłu i wypadam z niej na dno oceanu, walcząc z zalewem wody.

Raptor jest nade mną. Gadzie, ośmiokątne ciało z czterema małymi, silnymi kończynami i długim pyskiem. Przy pysku ma ciosy, ostre jak żyłki, a do tego długie pazury, które mogłyby mnie przebić na wylot i wyszarpać mój kręgosłup.

Wbijam zarguninowy szczyrek w membranę jego miękkiego podbrzusza. Z rany wypływa czarna krew. Raptor uwalnia się szarpnięciem. Nie marnuję czasu i od razu odpycham się od dna. Płynę w stronę światła. W stronę powietrza. Jednak woda ciągnie mnie w dół. Nie mogę się poddać. Muszę wziąć wdech.

Gwałtownie przebijam się przez powierzchnię oceanu. Moje płuca się rozszerzają. Oddycham głośno i płaczę. Przez przerażenie. Przez to, że słyszę własne rżenie.

Czuję na sobie jeszcze smród raptora, ostry i siarkowy. Jednak brzeg jest już blisko. *Miałam rację*. Na wpół płynę, na wpół odbijam się od dna, dyszę i ciągnę w stronę piasku.

Każdy skrawek mojego ciała wrzeszczy bólem, gdy padam na kamienie, drapiąc twarde podłoże, desperacko pragnąc poczuć pod sobą suchy ład. W powietrzu znowu rozlega się grzechotanie, więc wciskam się w klif, lży zalewają mi oczy. Jednak woda się cofa. Przez kilka chwil jestem bezpieczna.

Kładę się na ziemi, moje drżące dłonie się poddają, wypływam czarną krew i wodę.

~

Powrót chwiejnym krokiem do stajni kosztuje mnie więcej energii, niż powinien. Słońce wbija szpilki w odsłoniętą skórę, czerwone kropki wykwitają niczym ślady po ukąszeniach owadów.

Część plaży jest odgradzona żółtą taśmą. Helix Stratis stoją na straży. To przeze mnie? Niemożliwe. Gdy w zasięgu wzroku pojawia się stajnia, w tym samym momencie dostrzegam Crane, a ona mnie.

Krzyczy i biegnie. Zarzucam jej jedną rękę na ramię i pozwalam się zaciągnąć do bramy.

– Żłota Burza?

– Emrik ma ją i twój rydwan – odpowiada szybko Crane. – Powiedziałam, że cię poszukam i sprowadzę. Wyścig zaczyna się za godzinę. Czy ty w ogóle... To znaczy przecież nie musisz...

– Zrobię to – warczę, czując słony i miedziany posmak w gardle.

Crane zdejmuje swoją chustę i owija mnie. Zginam się w pół i opadam. Oddychając przez usta, przyciskam dłonie do ziemi i odpoczywam na czworakach. Wciąż skupiam wzrok na naciętych kamieniach. Próbuję ustabilizować spojrzenie i uspokoić umysł, żeby pozbiierać myśli.

Woda ścieka mi z włosów, spływając trzema strumykami na maleńkie kamienne szczyty.

– Gdzie byłeś? Co on ci zrobił?

– Próbował mnie zabić, zamykając mnie w skrzyni i rzucając do oceanu. – Strach już zaczyna się ulatniać, więc wzbiera we mnie gniew. Rośnie, dusi się na wolnym ogniu. – Myślał, że to wystarczy, żeby pozbyć się uczucia upokorzenia.

– Czekaj, o kim my mówimy? – odzywa się Crane.

– O Bromie Wardenie.

Na krótki moment zapada cisza. W oddali słychać odgłosy celebracji.

– Co się dzieje?

– Zamykają główną arterię. Chodzi o turniej. Tylko nie wiem, o co dokładnie – wyjaśnia Crane, po czym dodaje: – Koral, to nie był Warden.

Patrzę na nią ostro.

Ona marszczy brwi, widząc mój wyraz twarzy.

– No, w takim razie nie tylko on. Solomon kazał mu to zrobić.

– Skąd wiesz?

– Jakiś czas temu poszłam do Dromu. Myślałam, że może tam się pojawisz. On tam był i... porozmawialiśmy.

Czyli tamte dwa szczury musiały być wynajętymi przez Akayana zbirami.

Crane mówi dalej, relacjonując w szczegółach, co usłyszała od Solomona. Ja jej nie słyszę.

Akayan kazał mnie zabić. I oczywiście Brom Warden chętnie się przyłączył.

Chociaż byłam gotowa na odwet, gniew wzbiera we mnie czerwony, gorący i burzliwy. Zanim zdążę nad sobą zapanować, zaczynam wrzeszczeć.

Zdzieram sobie gardło, uszy mi drętwieją i na nowo rozpala się ból w mojej głowie.

Jednak wrzeszczę.

Wrzeszczę, bo przez szesnaście lat byłam cicho.

Wrzeszczę tak długo, aż opadnę z sił.

Dyszając ciężko, czekam, aż przejdzie.

Podnoszę się. Cały ból wycofał się pod naporem gniewu.

– Najpierw Emrik, teraz ja. – Crane zamyka oczy, rozumiejąc, a ja dodaję: – Zadbaj o to, by Liria była bezpieczna do czasu mojego powrotu.

Przebranie się w suche ubrania, doprowadzenie mojego wyglądu do ładu – to wszystko nie ma znaczenia. Nie w chwili, gdy postanowiłam iść z wysoko uniesioną głową. Smaruję odsłoniętą skórę niebką i zachowuję chustę Crane.

Potem ruszam do Dromu.

Nie chcę się spóźnić na Sto Pięćdziesiąty Wyścig Chwały.



– Co ci się stało, do cholery? – pyta z naciskiem Emrik, gdy idę w jego stronę. Jest przy rydwanie, gapi się na mnie z otwartymi ustami.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, ale zaraz czuję, że *znowu* muszę wypluć z ust słoną wodę. Wycieram usta wierzchem dłoni, zostawiając ślad piasku, przez co muszę je *znowu* wytrzeć. – Co przegapiłam? Powinam o czymś wiedzieć?

– Nie – odpowiada niechętnie Emrik. – Powiedzieli mi, że to woźnicom powinno zależeć na punktualności. Jeśli przegapisz rozpoczęcie wyścigu, zostaniesz automatycznie wyeliminowana.

Połowa woźniców zdążyła już wejść na swoje rydwany, ustawione przed każdą z bramek. Tych samych, przez które przejeżdżaliśmy w czasie Ceremonii Otwarcia. Wyjedziemy spod łoży Mistrzynie, a potem tor zakręca i zaczyna się wyścig.

Inni woźnice wciąż krążą w pobliżu i spoglądają w moją stronę. Judas blednie z szoku, gdy zauważy mój stan. Arlene wydaje się oburzona, jakby nie mogła uwierzyć, że miałam czelność tutaj wejść. Jednak to od oczu Doriana nie odrywam spojrzenia. Niech zobaczy, jak wiele jestem w stanie zrobić, żeby przetrwać, bez względu na to, co knują on i jego ojciec wraz ze swoimi sługusami. Poprawiam włosy, które wypadają mi spod chusty, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Jego nienawiść mogłaby wygrać pojedynek na spojrzenia z palącym słońcem. Srebrna korona na jego głowie odchyła się do tyłu, gdy Dorian się odwraca i maszeruje do swojego maristaga.

Postaraj się, Dorianie Akayanie.

W powietrzu gęstnieje ekscytacja – pośpieszne okrzyki treserów, stukanie zarguninowych kijów o ziemię, dudnienie kroków. Napięcie faluje niczym morską trawą.

Złota Burza wygląda na wypoczętą i nie walczy z lejcami. Rydwan jest już na swoim miejscu.

– Dzięki, że ją przygotowałeś.

Emrik łapie mój podbródek, na przemian opuszcza i podnosi moją głowę.

– Czy ty na pewno wiesz, co robisz?

Potakuję. Lepiej nie mówić mu, jaka się czuję zamroczona. Za kilka minut mi przejdzie. Musi.

– Kto cię tak urządził?

Powstrzymuję się przed spojrzeniem na Doriana. Wiem, że podsłuchuje.

– Co to ma być? – Emrik zaciska dłoń na moim kołnierzu. Na jego palcach zostaje czarna krew. Chwyta się za drugą dłoń, tę w temblaku. – Koral – zniża głos pod wpływem prawdziwego strachu. – *Gdzie ty byłaś?*

– Nieważne. Liczy się to, że teraz jestem tutaj.

Chwyta mnie za rękę.

– Chodź. To nie jest tego warte. Wymyślimy jakieś inne rozwiązanie.

– Nie jest tak źle – szepczę ostro.

Emrik próbuje mnie odciągnąć w tym samym momencie, gdy z głośnika nad bramą niesie się głos Mistrzini. Spoglądam na szereg rydwanów. Ich złoto świeci mi w oczy i wzrok mi trochę ciemnieje. Przeklinam i mrugam szybko.

Wszystko jest nie tak, głośno i cicho jednocześnie, rzeczy poruszają się szybko i wolno. Świat wywrócił się do góry nogami, a mi się kręci w głowie.

Podbiega służący, prosi Emrika, żeby się odsunął.

– Idź, Emrik – mówię, wciąż czując nieokreślony dystans do wszystkiego, co mnie otacza. – Oboje wiemy, że się teraz nie wycofam.

Emrik klnie pod nosem, po czym wyjmuje syrop.

– Weź. To na lepsze nawodnienie dla Lirii.

– Przecież jest dla *dzieci*.

– Lepsze to niż nic – warczy. Nagle czuję dudnienie bólu za brwiami. Unoszę rękę, żeby ucisnąć to miejsce, lecz zamiast tego sięgam po buteleczkę. Jeden łyk i już lepiej widzę. Nawet jeśli tymczasowo.

– Ani mi się waż umierać. – Emrik miażdży mi kości w uścisku, a potem schodzi z drogi.

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. *Nie zaśnij.*

Pada na mnie cień.

– Emrik, poważnie, nic mi nie...

Jednak to Judas Pereira. Klęka i po tym poznaję, że sama padłam na kolana obok mojego rydwanu. I że jestem zupełnie wykończona.

– Domyślam się, że gdybyś miała dzisiaj ukraść mój żeton, nie poszłoby ci tak dobrze.

Prycham. I zaraz się krzywię, czując falę bólu z tyłu głowy.

Judas wstaje i podaje mi rękę. Emrik i wszyscy inni towarzysze woźniców zostali już wyprowadzeni. Zostaliśmy tylko my. Rozproszeni, szykujący się do wyścigu. A Judas Pereira właśnie oferuje mi swoją pomoc.

Chciałabym wstać o własnych siłach. Mimo to chwytam jego dłoń.

– Ale poważnie, dobrze się czujesz? – pyta, ciągnąc mnie w górę.

– Bywało lepiej.

– Mam nadzieję. – Judas mówi tak szczerze, że łatwo zapomnieć o jego przynależności do Ziemców. Tak samo jak wcześniej, denerwuje mnie spokój na jego twarzy. Pamiętam, że chciał obejrzeć stajnię. Kiedy jakiś Ziemca był naprawdę zainteresowany stajnią albo rozmową z nami?

– Z której wyspy jesteś? – pytam.

– Chandrabad.

Czyli akademik. To wyjaśnia jego nienormalną przyjacielskość. Ludzie z Chandrabad są zbyt zajęci wnikliwym studiowaniem, żeby przejmować się różnicami między Ziemcami a Najemcami.

– Co studiowałaś?

– Oceanologię.

– Ty i cała reszta.

– Właśnie dlatego moja obecność tutaj nie jest żadną niespodzianką. Szkoda, że nie wygram przez tę klątwę ostatniego miejsca.

– Czysty przypadek – wypalam, a potem od razu mam ochotę obciąć sobie język.

Treser daje nam znak, żebyśmy weszli na rydwany. Właśnie wtedy zauważam, że Dorian mi się przygląda. Właściwie nam. Odwraca wzrok, lecz nie dość szybko.

Judas kiwa głową na tresera i zbywa moje przeprosiny machnięciem ręki.

– Żartowałem. Tak naprawdę nie wierzę w tę klątwę. – Uśmiecha się przebiegle. – Dałaś mi wyzwanie. A dla naukowca nie ma nic lepszego.

Kiedy Judas wraca do swojego maristaga, żałuję, że wyzwanie nie jest motywacją dla mnie.

Wspinam się na rydwan ze ściśniętym żołądkiem, sprawdzam wszystkie paski i zapięcia oraz liczne zabezpieczenia. Po moich dłoniach rozchodzi się leniwa energia.

W sali robi się ciemno, jedynym źródłem światła są szpary pod wrotami prowadzącymi do

Dromu. Czuję nerwowe dudnienie pulsu. Dziwne połączenie *nadziei, strachu, nadziei, strachu* ścina powietrze, którym oddycham.

Złota Burza strzyże uszami, po jej rogach biegnie błysk.

Mistrzyni krótko opisuje historię Pierwszego Czempiona. Wygłodzoną, zmyśloną, niebuntowniczą wersję. Potem wreszcie przechodzi do najważniejszego punktu: wyścigu.

– W czasie pierwszego wyścigu woźnice będą konkurować o najwyższe miejsce, przechwytyjąc dziewięć flag umieszczonych na końcu głównej arterii. W czasie tego jedynego w swoim rodzaju wydarzenia opuszczą Drom, a ich wyścig zostanie uznany za ukończony dopiero wtedy, gdy wrócą na linię mety.

Po niektórych z woźniców od razu widać zmieszanie. Przynajmniej tym razem wiedzą tyle, co ja. Jednak Dorian nie wygląda na zbitego z tropu. Zauważa moje spojrzenie.

– Znowu próbujesz wywalczyć sobie ucieczkę ze swojej ligi? Nie pierwszy raz.

– Jeden zły dotyk i twój maristag popędzi stąd z rykiem.

– Oboje wiemy, że nigdy byś nie skrzywdziła maristaga.

Uderza mnie dokładnie tam, gdzie chciał. Dałam mu znać, że wciąż o nas myślę. Wciąż się zastanawiam, czy w ogóle mu na mnie kiedykolwiek zależało, czy może po prostu potrzebował eksperckiej wiedzy Łowczyni i tylko udawał przyjaciela. Jak widać, nie marnuje czasu na nieistotne rzeczy. *Glupia.*

– Nie bądź arogancki.

Dorian uśmiecha się pod nosem.

– A ty nie potknij się na torze.

Oddycham głęboko, czując, jak moja klatka piersiowa tężeje. Powstrzymuję chęć, by zsiąść z rydwanu i wrzasnąć. Nigdy bym się nie spodziewała, że Dorian może być aż tak okrutny.

– Ludu Ofiru – przerywa nam głos Mistrzyni. – Witaj na Sto Pięćdziesiątym Wyścigu Chwały!

Okrzyki dudnią o kamienną wyspę.

Crane zostanie z Lirią, a mama ich nie opuści. Nie widziałam ich od czasu, kiedy prawie utonąłam. Rozpala się we mnie pragnienie, by je zobaczyć, uścisnąć. Myślę o ojcu – czy przyszedł, żeby zobaczyć mój pierwszy wyścig? Przecież musi wiedzieć, że robię to wszystko dla Lirii, dla nich, żeby żadne z nas nie musiało więcej prosić o jałmużnę.

Przez sekundę, minutę świat wypełnia się ciszą, a ja znowu jestem w oceanie, zamknięta w skrzyni. Nie mogę oddychać.

Brzegi mojego pola widzenia robią się czarne. Dorian obok oddycha płytko. Nawet teraz wyczuwam najdrobniejsze zmiany w jego egzystencji.

Co się ze mną dzieje? Byłam pewna, że już dawno temu skończyłam z Dorianem.

Nie teraz, proszę, muszę wygrać wyścig.

Zaczyna się odliczanie i tłum skanduje. Każdy skrawek mojego ciała płonie... ze strachu? Wyczekiwania? Wiem tylko tyle, że w moich kończynach płynie gorąca krew. Zanim zdążę poprawić chwyt galaretowatych dłoni, rozlega się trąbienie conchy i niesie po całej wyspie.

Powoli otwierają się bramki.

I rozpoczyna się Sto Pięćdziesiąty Wyścig Chwały.



Czternaście

Ogarnia mnie panika. W moich oczach eksploduje tysiąc gwiazd. Nad torem unoszą się obłoki kurzu. Widzę błyskające światło, słyszę niezrozumiałe okrzyki i dudnienie własnego serca. Drobinki kłują mnie w gardło niczym szpilki. Uderzam bokiem w rydwan, żebra prą boleśnie do przodu, jakby chciały się uwolnić. Ciągnę za lejce i odzyskuję równowagę.

Świat zmienia się w popiół. Wiatr szarpie mnie za włosy, gdy frunę.

Po bokach pojawiają się cienie, wielkie i straszne.

W bezpośrednim blasku jarzeniówek i płomieni lamp złoty rydwan jest uderzająco piękny.

Złota Burza i ja jesteśmy tak daleko w tyle.

I dobrze.

Kiedy zbliżamy się do bramy arkady, żeby wydostać się z Dromu i wjechać na tor wyścigu, maristagi kłapią na siebie nawzajem. Sprawdzam, co robi Złota Burza, i wycofuję ją jeszcze dalej od walczących stworzeń.

Pochylam głowę, koncentrując się na tym, by moje stopy były *wewnątrz* trzęsącego się rydwanu. Ciemność arkady gęstnieje. Wszyscy inni woźnice już wyjechali. Jeden jest za mną. Siedzi mi na ogonie. Ciągnę Złotą Burzę prosto, żeby nie walczyła z drugim maristagiem i skupiła uwagę na tym, co jest z przodu.

Kilka rydwanów się kołysze, kiedy maristagi przebiegają po wyboju przed arkadą.

Mój rydwan nad nim przeskakuje. Przez chwilę jestem w powietrzu, moje włosy smagają o twarz. Rydwan uderza o ziemię, czuję to w całym ciele i *ledwo* udaje mi się utrzymać.

Złota Burza rwie do przodu, pokonuje wąskie wyjście z arkady, a potem opuszczamy pędem Drom i wyskakujemy na ulicę.

Publiczność w Dromie wiwatuje, głosy niosą się z wiatrem. Jestem pod gołym niebem. Ocean mam po prawej, miasto po lewej. Za taśmą zebrał się tłum, dopinguje woźniców. Ilu tu jest ludzi? Czyżby w tym roku na Sollonię przybyli wszyscy mieszkańcy Ofiru?

Wśród nich są Najemcy. Mają chusty, kurtki, nakrycia głowy i wytatuowane twarze – wyraźnie ich widać pośród chmary Ziemców. Kiedy ich mijam, wyrzucają pięści w powietrze i wiwatują.

Daleko przed nami góruje szczyt Terrafortu. Słońce wisi wysoko, rzucając na szczyt złocistobiałą blask.

W zasięgu mojego wzroku zaczynają pojawiać się inni. Judas i jeden z pozostałych woźniców, Saran Minagi, ścigają się na torze. Kolce rydwanu Sarana błyszczą groźnie. Arlene, Isidore Grae i jeszcze jedna osoba są w niewielkiej odległości za nimi. Wielkie rogi maristaga Arlene kołyszą się niebezpiecznie blisko innego stworzenia. Przestrzeń między dwoma woźnicami jest zbyt wąska, za bardzo kusi los.

Słyszę, jak za mną zbliżają się inni. Wiatr kęsa mnie w kostki, smaga niczym bicz. Wszędzie dokoła słychać ryk oceanu, sycący powietrze solą.

Złota Burza rozdyma żabot i ryczy. W odpowiedzi inny maristag zawodzi gdzieś z przodu. Między dwoma zbyt blisko jadącymi woźnicami dochodzi do przepychanki. Gdy się rozsuwają, pojawia się przejście dla mnie i wtedy go widzę.

Daleko przed nami, na pierwszej pozycji, jest Dorian.

Moim priorytetem jest pozostać przy życiu. Jeśli jednak będę ciągle trzymać się z tyłu, nigdy nie dogonię reszty. Popuszczam lejce.

Złota Burza wyrывa do przodu. Czuję pracę jej silnych mięśni, gdy dudni nogami o ziemię. Otwiera pysk i ryczy. Omijamy walczące maristagi. Rydwan Sarana zbliża się do mojego. Ocean szumi mi głośno w uszach, a przed oczami mam śmierć. Saran ogląda się na mnie. Sekundę później pędzi do przodu, a Isidore zwalnia do mojego tempa.

Zupełnie jakby Saran rozkazał jej przejąć zadanie.

Jednak Złota Burza odzyskuje rytm, trzyma rogi wysoko. Oczy zaczynają mi łzawić, lecz wytarcie ich byłoby zbyt niebezpieczne. Jesteśmy tak blisko potyczki między kolejną trójką, w tym Arlene. Ich rydwany szczękają i ktoś krzyczy.

Jeśli we mnie uderzą... *O nie.*

– Spokojnie, Złota Burzo!

Arlene skręca z głównej arterii w lewo. Patrzę, jak jej rydwan znika za rogiem. Oczywiście, przecież nie ma zasady, która nakazywałaby pozostanie na tej trasie. Mamy tylko złapać flagę i wrócić z nią na linię mety.

Znam skrót biegnący wokół Terrafortu. Skręcam w lewo, na stromy teren pełen kruszących się szarych filarów. Rydwan się ślizga, kołysze, lecz zaraz prostuje z łoskotem. Jest tak stary, że czuję, jakby miał się zaraz rozpaść i rozsmarować mnie po ziemi.

Złota Burza prze do przodu, nawet kiedy czarnoszare otoczenie staje się tak wąskie, że boję się, czy mnie nie zmiażdży. Jednak zaraz sieć alejek ustępuje miejsca kamienistemu placowi. Na środku stoi mała, pusta fontanna. Dzieci w brudnych ubraniach, kręcący się dokoła dorośli.

Tych ludzi nie obchodzi, co się dzieje w Dromie.

– Z DROGI! – wrzeszczę, a oni z krzykiem uskakują przed Złotą Burzą. Gwałtownie otwierają się okna kamiennych domów po obu stronach ulicy. Wózki zatrzymują się z piskiem.

Wyjeżdżam za róg i mój rydwan drapie o nierówną ścianę. Z miejsca, gdzie sunie po starym czarnym kamieniu wyspy, sypią się złote iskry. Moje dłonie płoną. Skręcam, żeby się odsunąć. Ulica znowu się zwęża i rozdziela. W rozwidleniu stoją trzy grupki ludzi, na środku utknął wózek, wszyscy zamarli z przerażenia i wpatrują się w Złotą Burzę.

Uderzymy w nich. Zabijemy kogoś. Albo to ja zostanę wbita w ścianę.

Już za późno, żeby zatrzymać maristagę.

Ciągnę za lejce.

Samica skacze.

Zupełnie jakby czas się zatrzymał, frunę zawieszona w nieskończoności. Siła płetw Złotej Burzy rozrywa osłonę z miedzianego drutu na jej szyi, gdy sunie nad zszokowanym tłumem.

Kiedy lądujemy, od siły rażenia drżą mi kości. Mimo wielu lat treningów, mimo ćwiczenia równowagi.

Płatanina uliczek nagle się kończy i wyjeżdżamy na szeroką, wypłaszczoną ulicę. W oddali znowu słychać ryki pozostałych maristagów.

Ulica skręca w prawo i nagle pędzimy przez stertę połamanych skrzynek. Wypluwam kurz, gdy droga wyrzuca nas prosto na główną arterię. Jesteśmy daleko za moim domem i zbliżamy się do krawędzi wyspy. Udaje nam się przebić i w tej samej chwili atakuje mnie Arlene.

– Spieprzaj z drogi! – wrzeszczy.

Wychylam się do tyłu, próbując jechać prosto, zamiast zerwać żółtą taśmę i skoczyć w stronę plaży. Rydwan Arlene uderza w mój.

Ogromny kij łapie w luzujące się strzemiona Złotej Burzy. Umykam w ostatniej chwili. Arlene ma pieprzoną broń. Czy to w ogóle dozwolone? Chwyta lejce jedną ręką i znowu próbuje we mnie trafić. Tym razem łapię kij i nim *szarpię*.

Z okrzykiem zaskoczenia Arlene wypuszcza lejce z rąk i upada do swojego rydwanu. Przez jedną szaloną sekundę myślę, że całkiem z niego zleciała. Jednak ona się podnosi, chroniona przez pasy.

Ciężar kija mnie spowalnia. Arlene wyrывa do przodu. Jesteśmy na końcu wyspy. Tylko sto

metrów dzieli nas od dziewięciu żerdzi ustawionych na samej krawędzi klifu, a na nich powiewają flagi różnych frakcji.

Zostały tylko cztery.

Słyszę za plecami kolejny rydwan, który jest coraz bliżej. Coś mi mówi, żeby bać się tego, co Arlene może zrobić, jeśli pierwsza dotrze do flag. Zdejmie wszystkie? Nie zostawi mi ani jednej?

Nie obchodzi mnie, czy to paranoja. Ciągnę nieznacznie lejce, żeby Złota Burza nie zoczyła ze ścieżki, i skaczę. Moje stopy lądują na krawędzi rydwanu. Młóćę rękami, lecz nie spadam. Nad głową mam błękitne niebo, ocean faluje ze wszystkich stron – jego grzmiący szum wędruje od podeszew moich stóp aż po kości czaszki. Trzymam pałkę niczym włócznię.

Odchylam się do tyłu, zbieram napięcie w brzuchu, celując w Arlene.

I rzucam.

Kij szybuje w powietrzu, rysując idealny łuk, metal błyszczy pięknie, odbijając promienie słońca. Trafiam idealnie w przestrzeń między rydwanem Arlene a jej maristagiem, pałka jest skierowana w stronę dyszla. Dziewczyna się rozbija. Maristag ryczy. Oboje przewracają się na bok.

Chwytam jedną z flag i zawracam rydwan, pędząc przez główną arterię z powrotem do Dromu. Na linię mety.

Kiedy woźnice gnają w stronę bramy w tym samym czasie, jeden z maristagów potyka się i ciągnie za sobą cały rydwan.

Z miejsca wypadku niesie się krzyk.

Przelatuję obok powalonego jeźdźca – to Ozcivit Sasha. Jego bujna czarna czupryna wystaje znad połamanego rydwanu – *migoczącego* rydwanu.

Nic nie mogę dla niego zrobić. Za mną niebo się zamyka i wpadam z powrotem do Dromu. Złota Burza skręca na lewo od torów przedzielonych przez Kolec. Kątem oka widzę pojawiające się i znikające kolory. To Dorian.

Dogania mnie, ale wciąż wyraźnie go wyprzedzam.

Wygram pierwszy wyścig turnieju. Jestem bliżej wygrania całości. Bliżej zapewnienia bezpieczeństwa mamie i Lirii.

Ta myśl gna mnie do przodu...

Coś uderza w mój rydwan.

To rydwan Dorian. Z kół lecą iskry.

Wyrzucam ręce do przodu, próbując nie stracić chwytu, zaciskam mocno palce wokół trzonka flagi. Podwyższony bok rydwanu uderza mnie w dłoń. Wiję się z bólu, lecz wstaję, a wiatr smaga moje zwisające stopy. Gdyby to się wydarzyło sekundę później, maristag za nami by mnie stratował.

– Co ty robisz?! – wrzeszczę z przerażeniem. – Zabijesz mnie!

Dorian odrywa wzrok od kół mojego rydwanu i patrzymy sobie w oczy.

– Już się boisz Wyścigu Chwały? – krzyczy i w ostatniej chwili odbija, żeby we mnie nie uderzyć. Blokuję Złotą Burzę i wrywa do przodu.

Samica wpada w poślizg.

I nagle rydwan jedzie w złym kierunku, skrzypiąc pod naporem. Piasek dostaje mi się do oczu. Próbuje je wytrzeć, lecz nic z tego. Czuję pieczenie, drobinki są jak czubki noży. Tłum wiwatuje, słyszę tupanie o kamienną podłogę, uderzenia otwartych dłoni o balustrady. Zaciskam palce tak mocno, że zwalnia mi krążenie krwi w rękach, puls tętni mi w uszach, gdy rozpaczliwie próbuję sprowadzić Złotą Burzę na właściwą drogę.

Jest tak blisko dzielącego przestrzeń Kolca, że uderza w niego rogami. Jeden zły ruch i rydwan stanie w płomieniach.

Potem w powietrzu rozchodzi się zgrzyt kół zahaczających o Kolec.

Czuję po lewej stronie ciepło, iskry szczypią mnie w dłoń. Instynktownie chciałabym je zabrać, lecz wytrzymuję.

Rydwany wymijają nas jeden po drugim.

Udaje mi się zyskać wystarczająco dużo przestrzeni, żeby nie płonąć przy Kolcu – oczami wyobraźni wciąż widzę iskrzący rydwan Ozcivita Sashy – i puszczam Złotą Burzę.

Samica wyrywa do przodu, dosłownie pokonując grawitację. Mój rozpadający się rydwan szarpie, terkoczą koła, wszędzie lecą iskry.

Wiatr skrzeczy mi w uszach. Serce szybko pompuje krew.

Daję znak Złotej Burzy, żeby pędziła szybciej.

Pozostałe rydwany po kolei przekraczają linię mety. Pierwsze miejsce już przypadło, tak samo drugie i kolejne. Srebrzysta korona Dorigana błyszczący, kiedy chłopak zatrzymuje się twarzą do toru.

Ostatnia myśl, która odbija się echem w mojej głowie, brzmi: *Nienawidzę cię*.

Owijam sobie palce flagą i na mój sygnał Złota Burza gna, prześcigając woźnicę przed nami.

Laser linii mety zmienia się z czerwonego na zielony po raz piąty.

I wreszcie, jakby ktoś podkręcił głośność, słyszę wiwaty i okrzyki publiczności w Dromie.



Piętnaście

Piąte miejsce to lepiej niż dyskwalifikacja. Piąte miejsce to lepiej niż śmierć. Powtarzam sobie w duchu, że zostały jeszcze dwa wyścigi.

Jednak cała się trzęsę. To ja powinnam być na szczycie, to ja powinnam pierwsza przekroczyć metę. Chciałam udowodnić, że przyszłam tutaj wygrać. A nie tylko zagrać w grę na szczęście i krew.

Jednak tłum wiwatuje na cześć Doriana Akayana. To dla niego fani Białej Frakcji puszczaają srebrne i złote fajerwerki, które ślizgają się po obrzeżach nieba.

Po powrocie do Sali Woźniców zauważam Doriana. Chłodno odwraca wzrok, jakby nawet mnie nie poznał, jakby wcześniej wcale nie próbował zepchnąć mnie z toru. Nie umiem się powstrzymać. Przepycham się między treserami walczącymi z maristagami, próbującymi przywrócić porządek, i kuśtykam w jego stronę.

Nie wiem, co chcę mu powiedzieć.

Jednak próbował mnie zabić. Dwa razy. Więc coś muszę powiedzieć.

Dorian maszeruje szeregiem korytarzy na tyłach Sali. Pierwszy prowadzi do tunelu łączącego Drom z Terrafortem, następny do małych pomieszczeń wykorzystywanych do przechowywania awaryjnych zapasów dla maristagów, inny ma wyłożone linoleum boksy medyczne. W tej przestrzeni unosi się silny zapach suchej trawy morskiej i chemikaliów. Zatrzymuję się w pół kroku, słysząc podniesione głosy. W powyścigowym chaosie nikt więcej nie zwraca na to uwagi. Maristagi są zbyt głośne, treserzy rozpaczliwie próbują je uspokoić, a medycy zajmują się opatrywaniem woźniców, którzy już zdążyli tu przyjść.

– Jak to nie wiesz? – Rozpoznaję głos Solomona Akayana.

Dlaczego tutaj wrócił? I skoro musiał porozmawiać z synem po wyścigu, dlaczego się ukrywają?

– Nie jestem jedynym woźnicą na torze, ojciec – odpowiada Dorian. – To profesjonalny wyścig. – Mówi cicho, lecz stanowczo.

Słysząc głośne łupnięcia. Postanawiam ich podejrzeć.

Solomon przycisnął Doriana do ściany. Ścisną go za ramię i przyszpila, właściwie dysząc mu w twarz.

– Pozwoliłeś, żeby ta dziewczyna cię rozproszyła, prawda? Myślisz, że jestem ślepy, chłopcze?

– Proszę, ojciec – warczy Dorian. – Zrobiłem dokładnie to, czego chciałeś. To jej maristaga je odciągnęła. To ani nie zależało ode mnie, ani nie jest moją winą. Miałem je gonić czy ukończyć wyścig?

To nie Złota Burza nas odciągnęła. To Dorian w ostatniej chwili się wycofał.

Jednak Solomon kręci głową, najwyraźniej udobruchany.

– Zbyt długo ufałem Mistrzynie. Nie będę beczynnym patrzył, jak sprowadza na nas ruinę.

– Ale powiedziała...

– Są na to bardzo małe szanse, sądząc po tym, jak sobie dzisiaj poradziła. Piąta! A chłopak Ziemców spalił sobie twarz.

Ozcivit.

– Piąte miejsce to nie jest coś, o co warto się martwić. Mogłaby ukończyć jako druga i to też nie

miałoby znaczenia. Jest tylko jeden Czempion, ojciec. I będę nim ja. Przecież to wiemy. – Po nieprzyjemnej ciszy Dorian dodaje: – Ojciec, Mistrzynie mówiła jasno. Ma zbyt wiele władzy w rękach. Nie sprzeciwiaj jej się. Nie możemy jeszcze jawnie jej się przeciwstawić.

Solomon odpycha ramię Doriana.

– Kim jest ta dziewczyna? Wzięła się z kurzu! – Dyszy i znowu odwraca się twarzą do syna. Cichszym, bardziej złowieszczym tonem mówi: – Zawsze doszukiwałeś się dobra w ludziach, którzy mogliby nas rozszarpać na strzępy, a to czyniło cię słabym. Jednak nie zapominaj, że nie możemy dzielić się tym światem. Chyba że chcemy zginąć. Chyba że życzysz śmierci sobie i swoim dzieciom. Swojej rodzinie. Jeśli ta dziewczyna wygra Wyścig Chwały, wszystko, co stworzyliśmy, pójdzie na marne.

– Niczego nie wygra, ojciec. Wyobrażasz sobie wystąpić tak odważnie przed wszystkimi, a potem pojawić się w takim stanie? I ledwo ukończyć pierwszy wyścig? Będzie zbyt upokorzona, żeby pojawić się na Pierwszym Świętowaniu, a co dopiero na następnym wyścigu.

– Rozmawiałeś z nią?

– Nie, ojciec.

Solomon warczy z frustracją.

– Tamten chłopak Wardenów okazał się beznadziejny. Nic dziwnego, że ukradła mu żeton sprzed nosa.

– Mówiłem, żebyś trzymał go z dala od tej sprawy – odpowiada Dorian. – Sam rozwiążę ten problem. Nikt nie musi mnie wyręczać. Nawet Arlene. Nie panuje nad sobą i jeszcze sprowadzi kłopoty na siebie. I na nas.

– To twoje źle poukładane priorytety sprowadzą na nas kłopoty. Nie pozwól, żeby Arlene miała na ciebie wpływ.

– Nie zamierzałem – rzuca sucho Dorian. – Ledwo ukończyła wyścig, ciągnąc swój zepsuty rydwan.

Czuję ulgę, że Arlene żyje, a jednocześnie irytację, że w ogóle ukończyła wyścig.

– Bezużyteczna dziewczucha. Jak tak dalej pójdzie, Bashirowie będą musieli sprzedać dom i przeprowadzić się do jednego z tych zapadłych mieszkań. To by dopiero było, co? Rodzina Roshana Bashira mieszkająca na targowisku! – Jego głos się zniża, brzmi groźnie. – Liczę, że wypełnisz swoje zadanie, chłopcze. Mistrzynie może zapomniała, kim jesteśmy, ale ja nie. Lepiej, żebyś mnie nie rozczarował.

– Tak, ojciec.

Odwracają się do wyjścia. Chowam się szybko za rogiem. Co by zrobili Akayanie, gdyby przyłapali mnie na podsłuchiwanie?

Dudnienie kroków gubi się w panującym dokoła chaosie.

Wypuszczam powietrze i osuwam się na podłogę.

Relacja Solomona z Dorianem się nie zmieniła.

Po tym wszystkim powinnam się cieszyć, widząc Doriana przyszpilonego do ściany. Powinnam rozkoszować się szansą patrzenia, jak ktoś nim pomiata. Zwłaszcza teraz, gdy nie mam już złudzeń co do jego charakteru. Jednak myśląc o tym, co przed chwilą widziałam, przypominam sobie, jak się odruchowo wzdrygnął. Rozpoznałam tę potrzebę zajmowania jak najmniejszej przestrzeni, żeby kogoś nie sprowokować. Rozumiem potrzebę nieustannego trzymania gardy.

A rozumienie kogoś jest niebezpieczne.

Sprawia, że myślisz. Sprawia, że się wahasz.

Wiem jedno: Dorian nie ściga się dla chwały.

Oboje zostaliśmy do tego zmuszeni.

Przez ojców.

Co oznacza, że będzie walczył tak samo wytrwale.



Słońce opada nisko, horyzont ciemnieje, ale spojrzenie ojca, gdy wchodzę do domu, to

bezksiężycowa noc. Jednak nie zdoła mnie powstrzymać. Słyszy fajerwerki wybuchające nad główną arterią. Zaledwie kilka kilometrów stąd ściągnęłam flagę i zabrałam ją na linię mety.

Dzisiaj lud wiwatuje na cześć Łowczyni.

Dzisiaj wszelka wrogość zostaje zapomniana.

Ruszam prosto do Lirii.

Czasami kiedy śpi, sinieją jej usta. Budzi się po kilku chwilach, dusząc się i rżąc, wyginając plecy w łuk, jakby rosły jej kolce.

Na razie śpi spokojnie dzięki regularnym dawkom leków. Te jednak skończą się za dziesięć dni. Do ostatniego wyścigu zostało siedem.

Kiedy patrzę na nią, myślę sobie: *krucha*.

Nikt nie powinien mieć takiego dzieciństwa. Nie tak powinna żyć moja siostra. Chcę, żeby nocami skakała po piasku, rysowała kredą po ścianach w starych alejkach, żeby śmiała się z kolorowym jedzeniem rozsmarowanym na ustach – zupełnie tak, jak ja kiedyś. Żyliśmy w świecie pełnym ograniczeń, ale cieszyliśmy się zdrowiem, kontrolą nad własnym ciałem. Właśnie dlatego zwycięstwo tak wiele dla mnie znaczy i zawsze będzie znaczyło.

Kucam obok niej, muskam kciukiem jej policzek. Liria otwiera oczy. Patrzy na mnie, jakby wciąż jeszcze śniła. Może nie powinnam była tego robić, ale jest słodka jak wykluwający się flonner z wielkimi czarnymi oczami i puchatymi uszkami, który podskakuje bezradnie na plaży i wraca do oceanu, by rozpocząć życie.

– Wygrałaś? – mamrocze Liria.

– Jeszcze nie. Ale to był nie lada wyścig.

– Crane nie pozwoliła mi iść. A tak prosiłam. Nigdy więcej się do niej nie odezwę.

– Wyścig i tak nie odbywał się w Dromie.

Liria ściąga drobne brewki.

– Nie?

– Nie.

Nasłuchujemy dudnienia bębnow z plaży, a ona leży wsparta na łokciu. Włosy przykleiły jej się do twarzy. Wyciąga rękę.

– Stało ci się coś?

Tak. Jednak nie martwi mnie krzywda, którą mogłaby dostrzec moja siostra.

Nad nami słychać kroki pośród rytmicznej muzyki instrumentów z kamienia, sznurków i wody.

– Tak już bywa w czasie wyścigu. Nie przejmuj się. – Całuję ją w czoło i mówię, żeby wróciła do spania.

Ja też powinnam, bo zaraz padnę trupem. Ile czasu minęło? Nie licząc tego spędzonego w skrzyni, oczywiście. Ale wiem, co usłyszałam. Dlatego ruszam na korytarz, gdzie chwytam pierwszy szal, jaki znajdę, i wspinam się ciężkim krokiem na górę.

Jasność świata na zewnątrz zawsze jest szokiem. Nigdy nie udało mi się wyjść na ganek bez potknięcia. Terrafort w oddali mieni się światłami fluorescencyjnych żarówek, które tworzą bliźniaczy do Dromu wzór morskich fal na stromych zboczach.

Rodzice stoją pod daszkiem, brat przed łukiem.

Przyszedł farmaceuta. Nie sam, poznaję dwóch mężczyzn za jego plecami, byli w tamtej grupie przed apteką, kiedy poszłam po antidotum na jad maristaga.

Sądząc po tym, kto mu towarzyszy, farmaceuta musi być członkiem Arki Wolności. Niemal rozumiem, dlaczego tak mu zależy na pieniądzach; rebelianci nie mają innego sposobu na przetrwanie prócz skrobania piasku. Jednak rebelianci są też Najemcami, wszyscy dopingowali mi w czasie wyścigu.

I wtedy mnie zauważają.

– Ach, oto Czempionka Czempionów – rzuca farmaceuta.

Emrik odwraca się i mówi:

– Przyszli odebrać dług. Wróc do środka.

Świetnie sobie radzi z ukrywaniem drżenia głosu. Zauważam go dopiero na samym końcu.

– Spójrzcie tylko – wypala ze śmiechem farmaceuta – teraz chcą ukryć dziewczynę, która zadaje się z Ziemcami.

– Nie mieszaj jej do tego – odzywa się ojciec. Kładzie dłoń na moim ramieniu. Jej ciężar niemal powala mnie na kolana. Trzęsę się, nagle bardzo świadoma bólu dręczącego moje ciało. Umykam przed jego dotykiem.

Człowiek chce swoich pieniędzy teraz, a ojciec mnie odpycha, jednak to wszystko nie ma sensu.

– Poczekaj siedem dni, a zastąpię srebro złotem – mówię jeszcze raz, robiąc krok do przodu, chociaż Emrik próbuje mnie odciągnąć.

– Niby jak?

– Czempion otrzymuje nagrodę w złocie – odpowiadam, na moment zdumiona.

Jeden z mężczyzn za jego plecami prycha.

– Zamknij się, Koral. Leela, zabierz ją do środka – warczy ojciec.

Zamknij się? Mrugam szybko. Ojciec upokarza mnie, jak zwykle, w obecności obcych. I to nie przed byle kim, ale ludźmi, którzy czerpali *przyjemność* z naszej niedoli. Żar płonie mi w oczach, w gardle. Jeśli widzą, jak rodzina zamyka mi gębę, jak niby mają czuć się pewni, że zdobędę pieniądze? Jak mam zrobić to, co trzeba, jeśli nikt nie traktuje mnie poważnie?

Fajerwerki nadal rozświetlają noc.

– Nie przyjechałaś dzisiaj piąta? Klątwa żetonu działa. – Farmaceuta uśmiecha się pod nosem.

Jego towarzysz dodaje:

– Jako piąta dostaniesz medal z łajna maristaga.

Dorian myślał, że będę zbyt upokorzona, żeby pokazać się gdziekolwiek. Czy *wszyscy* tak uważają? Ziemcy i Najemcy? Czy tak powinnam się czuć?

W oddali rozlega się śmiech.

Okrutny, jadowity śmiech.

Słyszają nas? Czy moje zażenowanie to rozrywka?

Napięcie przetacza się w mojej piersi jak głązy.

– Kiedy wygram, zapłacę podwójnie. To chyba dobra rekompensata za tydzień czekania?

Wygląda, jakby miał ją rozważyć, lecz mężczyzna za nim trąca go w plecy. Wszelkie wątpliwości znikają z jego twarzy.

– Nie będzie żadnego tygodnia. Potrzebuję pieniędzy dzisiaj, inaczej zadbam o to, żebyście już nigdy nie dostali nawet kropli leków.

– Dlaczego akurat dzisiaj? – rzucam prowokacyjnie.

– Bo re...

– Pieniądze. Dzisiaj – przerywa mu mężczyzna z tyłu. Nad kłębem czarnych tatuaży ma postrzępioną brodę, ponieważ pół jego twarzy zajmują blizny po oparzeniu. Wśród Najemców takie oparzenia są częste. Jednak te konkretne przywodzą mi na myśl Ozcivita.

– Dzisiaj ich nie mam – odpowiadam. – I co teraz?

– Weźmiemy wszystko, co macie w tej dziurze, aż wystarczy na pokrycie długu – warczy mężczyzna.

– Nie możecie – duka ojciec.

Mimo gniewu, jakim pałam do niego i wszystkich innych, słyszę strach w głosie swojego ojca. Wstyd. Kłótnie w czterech ścianach, pod ziemią, gdzie nikt nas nie słyszy, to jedno. Zupełnie czym innym jest, gdy ktoś obcy sprawia, że ojciec wydaje się odczuwać lęk na oczach świata. Nagle cała moja niechęć znika i nie mogę znieść tego, że najbardziej bym chciała już nigdy nie patrzeć, jak ojciec zniża w ten sposób wzrok. W końcu jest głową naszej rodziny, bez względu na wszystko. Staram się nie wzdygnąć na tę myśl, próbuję ignorować żar napięcia, obcierający mój żołądek niczym drut, który po prostu *chce*, żebym się nie wtrącała. Bo *dlatego* on jest głową, skoro jedyne, co robi, to nas wykorzystuje i upokarza? Jednak nikt *nigdy* nie mówi do *niego* w ten sposób. Ponieważ jeśli oni potrafią sprawić, żeby wziął krok do tyłu, co z resztą nas? Właśnie dlatego stoję po jego stronie. Właśnie dlatego *muszę*.

Mężczyzna nas wymija, ale mama zagradza mu drogę.

– Nie możesz wejść.

– A co, powstrzymasz nas, Leelo Łowczyni? – prycha ten brodaty. – Lepiej idź się schowaj. To robisz najlepiej.

Przepychają się do przodu, ale ojciec ich uprzedza. Nawet nie zauważyłam jego ruchu. Zamieram. Smaga nas dziki wiatr, zmieniając każdy oddech w uklucie ognia. Biją się, kłócą i krzyczą, szarpiają ojca, przeklinają mamę, a mnie nagle przepełnia rozpaczliwe pragnienie, żeby tego nie oglądać, żeby zniknąć, żeby odetchnąć.

Emrik rzuca się na farmaceutę i powala go na ziemię. Mimo waty w głowie słyszę jego zimny głos.

– Nie musicie robić ani kroku więcej. Mam pieniądze.

Ojciec, mama i ja wpatrujemy się w niego z niedowierzaniem.

– Poczekajcie – mówi i znika w środku. Spuszczam wzrok na ziemię. Na podłodze ganku wciąż widać krew Emrika. Przypomina mi, w jaki sposób na tej wyspie zarabia się na prawo do życia.

Emrik wraca, jego twarz ma ponury wyraz. Przepycha się obok mnie i wyciąga pudełko bez wieka. W środku błyszczą srebrne monety.

– Jest ich sześćdziesiąt, pięćdziesiąt dla ciebie i dziesięć, żeby opłacić dzisiaj strażnika – mówi Emrik chłodno i cicho. Gdybym była młodsza, gdyby była tutaj Liria, pewnie obie byśmy się odsunęły od tej wersji naszego brata.

Mężczyźni za farmaceutą patrzą na siebie ze ściągniętymi brwiami, a on mówi:

– Wisicie mi trzysta plus dwanaście za debet z zeszłego tygodnia.

– A co jest ważniejsze? Wasze spotkanie Arki dzisiaj czy marnowanie czasu na próbę wybebeszenia naszego domu?

– Skąd wiesz o spotkaniu...

– Wróć do swojej ciemności i zostaw nam naszą – przerywa mu Emrik. – Resztę pieniędzy dostaniesz, kiedy Koral wygra. I przysięgam, że jeśli zostaniesz tutaj jeszcze choćby minutę, wrzucę cię do oceanu.



Szesnaście

Po raz pierwszy to mama zadaje pytanie, głosem ze stali:

– Skąd wzięłeś tyle pieniędzy?

– A jakie to ma znaczenie? – wypala ostro Emrik.

– Sześćdziesiąt srebrnych monet? – Ściskam poręcz balustrady. Wiatr mnie smaga i chłoszcze, a ja się staram, jak mogę, żeby nie wyglądać, jakbym płakała. – Okradłeś Mistrzynie?

– Już załatwione...

– Nie, wcale nie – przerywa mu mama. – Masz jakieś pojęcie, co się stanie, jeśli ktoś przyjdzie zadawać pytania, a my nie zdołamy wyjaśnić, skąd wzięliśmy pieniądze? Varman, powiedz mu... Varman?

Podnoszę wzrok, słysząc zmianę tonu.

Ojciec gapi się na Emrika ze skrzyżowanymi rękami. Twarz starannie pozbawił emocji, lecz widać, jak się zastanawia. Jak kalkuluje. W końcu dochodzi do wniosku.

– Na co postawiłeś?

– Tylko tyle, że pozostanie w wyścigu.

– Sześćdziesiąt za coś takiego? – Ojciec patrzy na mnie. – Najwyraźniej wszyscy myślą tak samo. Nie dziwię im się.

Dobrze wiem, o czym mówią. Emrik postawił na mnie w Magazynie. Wygrał całe to srebro, ponieważ mnóstwo ludzi nie wierzyło, że pozostanę w turnieju po pierwszym wyścigu.

Jednak nie to sprawia, że burzy się we mnie krew.

– Czyś ty zwariował? – wrzeszczę. – Poszedłeś do Magazynu? Teraz? – Sztorm dudni mi w głowie. – Gdy rebelianci znowu sięją zamęt? Co, gdyby ktoś cię zobaczył? Jak ci się to w ogóle udało, przecież jesteśmy na czarnej liście!

– Na razie dadzą nam spokój – odpowiada.

– Co się stało, się nie odstanie – rzuca ojciec.

– Rebelianci są niebezpieczni. – Mama bierze moją stronę. Patrzy ojcu w oczy. – To gorsze niż zgłoszenie się do Wyścigu Chwały. Akurat tobie muszę to przypominać?

– To niebezpieczeństwo pozwoli mi dzisiaj wrócić do własnego domu – odpowiada jej ojciec.

– Emrik, więcej tego nie zrobisz. Nigdy więcej nie zebrz przed innym członkiem Arki – oznajmia mama tonem nieznośnym sprzeciwu. Podąża za ojcem. Chciałabym ją zatrzymać, bo wiem, że awantura wisi w powietrzu, ale czy to ma jeszcze jakiś sens? Dostaniemy złoto i za tydzień opuścimy to miejsce.

W tej chwili nie obchodzi mnie dobra wola ojca.

– Ty idioto – jęczę. – Coś ty sobie myślał? To niebezpieczne, Emrik. Zawsze trzymałeś się z daleka. Dlaczego teraz zmieniałeś zdanie? I o co chodzi z tym spotkaniem? Skąd wiesz takie rzeczy?

Cisza.

– A co, jeśli jakiś rebeliant weźmie cię na celownik za złamanie zasad czarnej listy i uzna, że jesteś następnym Najemcą, który powinien płacić za ich utrzymanie? Widziałeś kiedyś, co się dzieje z tymi, którzy odmawiają rebeliantom? – Zniszczone domy, zniszczone biznesy, złamane kości. Rebelianci nie czują żadnego powinowactwa z Najemcami, którzy się im sprzeciwiają. Szczególnie nie

z takimi zdrajcami jak Łowcy.

– Rebelianci nie będą mi się naprzykrzać – odpowiada Emrik z przygnębieniem. Nawet wiatr jakoś smutno wokół niego zwalnia. – To Crane mnie tam wysłała.



Dzisiaj rano siniaki na moim ciele przybrały agresywny odcień fioleto. Wszystko boli. Jednak nie dość mocno, by powstrzymać mnie przed przygotowaniami. Poświęcę na to każdą minutę oprócz snu. I tak stracę dzisiaj kilka cennych godzin, wybierając się na Pierwsze Świątowanie, lecz nie mam innego wyjścia.

Dzisiejszy wieczór należy do mnie. Nikt mi go nie odbierze.

Złota Burza chłapie się w wodzie przy brzegu. Zaciskam mocniej palce. Raptor ciągle może się tu gdzieś czaić, liżąc rany i czekając na mój błąd. Nie chciałabym sprawdzać prawdziwości przekonania o tym, że ich zęby potrafią przeciąć czarny kamień wyspy.

Mimo wszystko nie zamierzam używać do poskromienia maristagi niczego więcej prócz lejców. Żadnych biczów czy kijów. Nie ma takiej potrzeby. Jedna noc w stajni znowu sprawiła, że Złota Burza jest niespokojna. Wyrwa do przodu, ciągnąc rydwan, a pysk ma otwarty, jakby chciała połknąć wiatr i cały świat. Tniemy przez piasek, lawirujemy, żeby ominąć wodę i nie zamoczyć się niepotrzebnie, przeskakujemy nad kamieniami i nurkujemy pod łukami. Czuję, jak jej ciało przyzwyczajają się do przeszkód, a moje do poruszającego się rydwanu. Pomaga brak kar fizycznych, których zawsze w dniu sprzedaży każę Ziemcom nie używać, ale za każdym razem mnie ignorują. Złota Burza *rozkoszuje* się biegiem na wietrze.

Robimy pięć pełnych rund wokół plaży, od jednej krawędzi do drugiej, a potem wracamy do brzegu w dół klifu.

Rydwan zdradziecko grzechocze. Dość mocno ucierpiał w czasie pierwszego wyścigu. Razem z Emrikiem wzmocniliśmy go dzisiaj skórą. Nic więcej nie da się w tej chwili zrobić. Nie mogę ani zdobyć zarguniny z Magazynu, żeby go naprawić, ani wziąć innego rydwanu. Po tym, jak Emrik oddał monety farmaceucie, nawet nie zbliżymy się do Magazynu, w ogóle musimy omijać tamtą stronę głównej arterii.

To by było jak wejście do paszczy koziorożca. Może gigantyczny strażnik byłby zbyt leniwy, żeby zacisnąć szczęki; a może zmiażdżyłby mi czaszkę.

Nurkujemy pod przejście na plażę i wtedy kogoś zauważam.

To Crane.

Wzmaga się wiatr, przynosząc ze sobą ryk oceanu, który zagłusza wykrzywane przez nią słowa. Złota Burza piszczy, jej krótkie przednie łapy nagle się spinają. Macha ostro płetwą ogonową i przechylamy się.

– Ogarnij się! – wołam.

Ponieważ wcale nie chcę się widzieć z Crane. Nie wiem, co mogłabym jej powiedzieć za to, że tak naraziła mojego brata.

Dlatego zamiast jeszcze jednej rundy robimy dziesięć.

Dwie godziny później, kiedy nawet Złota Burza zaczyna ryczeć, kiedy ciągnę za lejce, zatrzymuję się. Wyspa świętuje. Na części plaży najbliższej Terrafortowi ustawiono stoiska. Koziorożec patroluje to miejsce na wypadek, gdyby ocean wypluł raptora albo dwa. Ale oczywiście stoiska oznaczają tłum turystów ze wstęgami, zimnymi ogniami i zapachem przyprawionej ryby.

Burczy mi w brzuchu. A potem widzę Crane. Schodzi z klifu, skacze to tu, to tam. Muszę się powstrzymać, żeby nie zawołać do niej, jak ma iść.

Dlaczego musiała czekać aż tyle czasu? Nie mogła się poddać i iść do domu?

Prostuje się na ziemi i patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami. Chyba wyglądam mniej jak ktoś, kto zakończył pierwszy wyścig turnieju, a bardziej jak trup, który wypłynął z kanalizacji biednego osiedla Najemców.

– Koral, co się stało? Poszłam do ciebie i powiedzieli mi, że jesteś tutaj od świtu. Piąte miejsce nic nie oznacza. Pozycje z pierwszych dwóch wyścigów nie mają znaczenia. To tylko rundy

eliminacyjne.

– Są ważne dla tych, którzy nie wierzą, że mogę wygrać.

Coś błyska w jej oczach.

– Kogo masz na myśli? Ziemców, którzy w ogóle nie chcą cię w Dromie?

– Nie rozumiesz. – Czy to naprawdę takie trudne? – Nie obchodzą mnie Ziemcy i nie obchodzi mnie też obalenie rządu. Nie wiem, co sobie wyobrażasz, kryjąc się w Magazynie, ale nie mogę uwierzyć, że ściągnęłaś tam mojego brata. Powiedziałaś, że pomagał Agacie. Okłamałaś mnie.

– On też cię okłamał – odpowiada ostro. – Ale nagle wszystko jest moją winą, on jest *twoim* bratem, a ja jestem nikim dla was obojga?

Co jest ze mną nie tak? Crane to moja najbliższa przyjaciółka. Dorastałyśmy razem, bandażowałyśmy sobie nawzajem rany, wyplakiwałyśmy się sobie nawzajem, a przede wszystkim zawsze w siebie wierzyłyśmy. Skąd się wzięły te myśli?

– Gorzknica obiecała pomóc rodzinie, jeśli choć jedna osoba postawi na ciebie. Później może nawet zmienić zapisy w warunkach, żeby zdobyć dla nas więcej pieniędzy. Wiesz, że może to zrobić – ciągnie Crane.

– A czy Gorzknica będzie w stanie powstrzymać Zieloną Frakcję i im podobnych, którym nie spodoba się utrata pieniędzy na rzecz Łowców? Czy ona w ogóle interweniowała kiedyś w sprawie tego, co się dzieje na powierzchni? Słowa Gorzknicy nie są nic warte.

Crane ucieka wzrokiem. Wie, że się nie mylę. Jeśli ktoś straci pieniądze, zawsze budzi się w nich chęć łamania kości.

– Wszyscy się zakładają – rzuca.

– Nie każdy jest Łowcą.

– Emrikowi nic nie grozi – wypala. – Naprawdę zaczynam mieć tego dosyć. Moje słowo powinno wystarczyć.

I wystarczyłoby. Tydzień temu. Lecz nie dzisiaj. Coś się zmieniło w Crane. Jest... inna. To zapewne prawda. Wpadła po uszy w te sprawy rebeliantów. Ukrywa przede mną różne rzeczy. Przede mną.

Wychodzi do przodu, zgarniając włosy z czoła. Jakkolwiek mocno naciągnęłaby chustę, zawsze wydostanie się spod niej kilka kosmyków.

– Możesz się obrażać, ale czy znasz moje powody?

Gdy nie odpowiadam, dodaje:

– Zgłosiłaś się do Wyścigu Chwały, żeby zdobyć pieniądze dla Lirii, prawda? Tylko że wyścig skończy się dopiero za tydzień, a farmaceuta nie zamierzał czekać. – Mówi to z takim przekonaniem, że przypomina mi się, jak Emrik się upierał, że dla ich własnego dobra powinni wziąć te pieniądze. – Twój brat odesłał go tymi monetami. Czy to nie odjęło ci trochę ciężaru z barków?

– Dlaczego nie zamierzał czekać?

– Sytuacja w Magazynie się zmienia. Arka Wolności już się nie ukrywa. Niedługo uderzymy. Nie mogę ci powiedzieć nic więcej, chyba że do nas dołączysz.

– Sprawiałaś, że Emrik postawił pieniądze, potem wygrał i oddał je tamtemu człowiekowi... rebeliantowi. Właśnie to zrobiłaś – szepczę, kiedy wszystkie elementy układanki wskakują na swoje miejsca. – Tu chodziło o to, by rebelianci dostali srebro potrzebne do... do tego, co tam knujecie.

Robię krok do tyłu.

– A co złego w tym, że znalazłam sposób, by rozwiązać dwa problemy naraz?

Otwieram usta, żeby coś odparować, lecz Crane nie daje mi dojść do słowa.

– Chciałabym, żebyś stanęła z nami ramię w ramię, ale nie zmuszę cię do tego.

– Zaatakowali moich rodziców! Nie było cię tam!

Crane mruży oczy.

– Słucham?

– To nie Ziemcy. – Płaczę z wściekłości. – Są zbyt skupieni na sobie, żeby nam sprawiać kłopoty. Wystarczyło jedno słowo od Mistrzynie, żeby wszyscy wrócili pod ziemię. I kogo obchodzi to, co robią Akayanowie? Solomon zawsze taki był, gdybyś nie wiedziała! – Teraz to Crane się odsuwa. –

Ale nawet on nie upokorzył nas tak, jak twoi rebelianci. Jak Najemcy zawsze nas upokarzają. Trzymaj moją rodzinę i mnie z dala od tego.

– Daj spokój, Koral, nie wiedziałam – mówi cicho.

– Oczywiście, że nie! Właśnie to próbuję ci powiedzieć: członkowie Arki Wolności nie są dla nikogo przyjaciółmi.

Crane ściąga usta.

– Światła Dromu uderzyły ci do głowy. Zrezygnuj z wyścigu. Rebelianci na jakiś czas ucichną, a pieniądze możemy zdobyć w zakładach, jak wcześniej. Zrobię to w swoim imieniu i spłacę wszystkie wasze długi.

Patrzę na nią. To ona pomogła mi się zgłosić. A teraz chce, żebym się wycofała? Przecież cała wyspa na to czeka. Poczynając od rebeliantów, a kończąc na Akayanach, którzy chcą mojej *śmierci* za występowanie przeciwko Ziemcom.

– Żadne z was we mnie nie wierzy, prawda?! – krzyczę. – Nie, tym razem wygram. A po mojej wygranej spłacę każdego, kto przegrał zakład przeciwko Emrikowi.

Crane sztywnieje. Wpatruje się we mnie, jakbym mówiła o walce wręcz z koziorożcem. Jakbym stanowiła niebezpieczeństwo dla samej siebie i wszystkich dookoła. Nie rozumie, co to znaczy być Łowcą, że muszę być lojalna wobec Mistrzynie, jeśli nie chcę sprowadzić na rodzinę jej gniewu. Jednak Crane nie o nas się martwi. Jest zbyt zaangażowana w Arkę, weszła w to głębiej po tym, jak poznała tożsamość ojca.

– W ten sposób będziesz miała pewność, że rebelianci uznają to za akt odrzucenia – mówi ostrożnie.

– I właśnie dlatego zamierzam to zrobić. Za tydzień będę miała wszystko, czego potrzebuję. Arka Wolności niczego mi nie musi oferować. Nawet współczucia.



Ktoś z biura Mistrzynie czeka na naszym ganku. Rozpoznaję niebieski uniform i złoty emblemat Najwyższej Ławy. Serce mi dudni, echa rozmowy z Crane wciąż krążą mi po głowie i nadal mam jej jeszcze wiele do powiedzenia, ale zbieram się w sobie, *skupiam* i ruszam do urzędnika.

– Koral z Sollonii, jestem tutaj w imieniu Mistrzynie Minos. Przesyła swoje gratulacje z okazji ukończenia pierwszego wyścigu oraz prezent na dzisiejsze przyjęcie.

Przyjęcie. Właśnie tym, oczywiście, jest Pierwsze Świętowanie. Na ulicach Sollonii każdy dzień Wyścigu Chwały jest świętowaniem. Bomby proszkowe, balony i muzyka. Ludzie tańczą, grają i bawią się całą noc. Gangi grożą sobie nawzajem i na każdym rogu wywołują bójki.

Tu jednak chodzi o inne przyjęcie.

Pierwsze Świętowanie odbywa się w willi Mistrzynie w Terraforcie. Nigdy nie miał się tam pojawić żaden Najemca. Zupełnie jak na kolejnych wydarzeniach z okazji Wyścigu Chwały: Pielgrzymki oraz Ceremonii Koronacji.

Przyjmuję zapakowany prezent – to sukienka. Mistrzynie pewnie nie chce, żebym zepsuła jej przyjęcie, znowu pokazując się w ubraniu Łowczynie.

– Przypominam również, że Powitanie Woźniców zaczyna się dokładnie dwie godziny po zachodzie słońca – dodaje urzędnik.

Kiwam głową i odpowiadam beznamiętnie:

– Proszę przekazać Mistrzynie moje podziękowania.

Po wejściu do środka stoję w cieniu tuż za zasięgiem promieni. Słyszę mamę krzątającą się w kuchni. Opieram się ciężko o ścianę, przyciskając owiniętą w plastik paczkę do ciała. Przypomina mi leki, które Crane kupiła dla Emrika.

Nie chciałam zaznaczać granicy między mną a Crane. Chociaż wołała za mną, zostawiłam ją, bo nie chciałam jeszcze bardziej się denerwować, a teraz jestem tutaj, z elegancką sukienką w dłoniach, przez co tym bardziej myślę o tym, co się stało między nami, ponieważ to zawsze Crane miała wycucie stylu.

Idź do niej, napraw to, zanim będzie gorzej.

Tylko czy ona myśli tak samo, czy raczej nadal stawia swoją rebelię na pierwszym miejscu?

Potrząsam głową.

Idę do kuchni, tam mama spogląda najpierw na mnie, a potem na sukienkę i mówi:

– Rozumiem, że nie jesz dzisiaj z nami?

– Zdaje się, że Mistrzynie oczekuje mnie na przyjęciu.

Mama przyciska przeguby do brwi.

– Pokaż mi, co zdaniem Minos powinnaś włożyć.

W szarawym świetle jedynej rozgwieźdy odpakowujemy prezent i sukienka ukazuje się w pierzastej krasie – to opalizujące pióra ptaka, który nie umie latać.

– To jakiś żart – mówię. – Ile ptaków zmarło dla tej sukienki?

– Zapytaj o to wieczorem Mistrzynie – rzuca bez cienia żartu mama.

Błysk w oku, udawana beznamiętność, by ukryć uczucia.

Od zeszłej nocy wolałam nie pytać ją o ojca. Zupełnie jakby przyznanie na głos, że tamte wydarzenia miały miejsce, w jakiś sposób pogarszało to doświadczenie. Jednak jej twarz jest taka surowa, taka ściągnięta, że nie potrafię się powstrzymać.

– Mamo... wszystko w porządku?

– Bywało gorzej.

– To nie znaczy, że nie możesz tego przeżywać...

– Przestań – mówi cicho. – Nie musisz o tym myśleć. Chodź, znajdziemy coś, co naprawdę możesz włożyć na Pierwsze Świątowanie.

Waham się, bo nie wiem, jak do tego podejść. Znowu odzywa się mój niepokój, jest tak, jakby czyjeś palce chwyciły mnie w ciemności za ramiona i ciągnęły do tyłu niczym duchy przeszłości. Myślę o Crane, która niczego by tak nie chciała jak tego, bym odcięła się od ojca. A ojciec... Ciężki kamień układa się na mojej piersi. Chciałam go bronić, chociaż przy obcych kazał mi się zamknąć...

Czy mama naprawdę chce, żebym nie poruszała tego tematu, czy może chce, żebym naciskała, aż opowie mi o wszystkim? *O tym, co zrobił jej ojciec...* Co sprawiło, że moi rodzice zmienili się w to pozbawione miłości i życia małżeństwo, które łączy jedynie obietnica osłony przed słońcem w tych kamiennych ścianach?

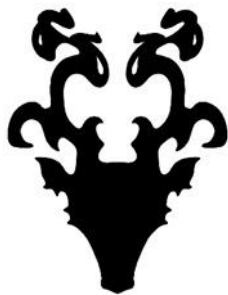
Mama przynosi ze swojego pokoju kolorowe zawiniątko i je rozkłada. Wyciągam rękę i moja dłoń dotyka najmniejszego, najbardziej jedwabistego materiału. To sukienka z dopasowaną górą i spódnicą sięgającą podłogi. Jedno ramię jest haftowane w kwiaty i liście, które łączą się z połączonym paskiem, gdzie zieleń topu zlewa się z błękitem zwiewnej spódnicy, a cała sukienka jest grą światła, w jednej chwili błyszczy jak woda, a w następnej zieleni się jak morska trawa.

– Skąd ją wzięłaś? – pytam ścisłym głosem.

– To była część mojej ślubnej wyprawki. Miałam ją na sobie tylko raz. – Mówi jakby z oddali, z dystansu, lecz się uśmiecha. – Będziesz w niej ślicznie wyglądać.

Jakiś instykt przetrwania podpowiada, że może nie powinnam sprzeciwiać się woli Mistrzynie. Jednak serce już się wyrывa do sukienki mamy. To połączenie zieleni z błękitem jest dla mnie idealne. Przywodzi mi na myśl maristagi i ocean.

A gdziekolwiek bym się udała, ocean zawsze będzie moim domem.



Siedemnaście

Willa Mistrzynie znajduje się całe dziesięć poziomów pod Wielkim Bazarem w Terraforcie. Serce mi dudni całą drogę windą, w każdej sekundzie boję się, że to już koniec, *już koniec*. Winda spadnie, a ja na zawsze zagubię się pod ziemią. Jednak po długich dziesięciu minutach stukot maszyny ustaje.

Wychodzę na korytarz oświetlony tak jaskrawo, że mam wrażenie, jakbym była nad brzegiem oceanu. W przestrzeni odbijają się echem odgłosy rozmów.

Na końcu widzę wyrzeźbione w ścianie drzwi, mierzące przynajmniej sześć metrów. Zadzieram głowę, żeby wszystko obejrzeć, dopóki służący nie da mi znaku, żebym poszła dalej. Nie pytają o moje zaproszenie. Wiedzą, kim jestem. Prowadzą mnie przez hol wejściowy, z podłogą z gładkiego marmuru w geometryczne kształty i wysokimi filarami, które podtrzymują ogromną kopułę dachu. Wisi na nim duży żyrandol, w oprawkach płoną kolorowe świece. Ściany nie są z czarnego kamienia i nie da się o nie skaleczyć, przechodząc zbyt blisko, bo są wyłożone płytkami.

Wysokie świeczniki tworzą ścieżkę prowadzącą do krótkiego korytarza, za którym znajduje się kolejny.

– Powitanie Woźniców rozpocznie się za dziesięć minut w Sali Balowej – informuje mnie służący.

Kiwam głową.

Ściany Sali Balowej pną się wyżej niż przy głównym wejściu. Liczne filary oraz wnęki zdobi złoto i grube kotary. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu filarów poza bramą do Agory. Tutaj pod kopułą dachu zamiast żyrandola wisi słońce, jego wijące się promienie błyszczą, podświetlane z każdego kąta. To symbol Wyścigu Chwały. Pod kopułą znajduje się zbiornik wypełniony przezrystą, mieniącą się wodą, odbijającą blask słońca.

Sala jest po brzegi wypełniona barwnymi Ziemcami, którzy rozmawiają, śmieją się i piją. Mam wrażenie, jakbym śniła, jakbym miała halucynacje. Czy to może być rzeczywistość?

Coś mnie ściska w żołądku.

Tylko kilka minut. Nie więcej.

Gdy już wszyscy zobaczą, że przyszłam, że nie zamierzam się ukrywać, będę mogła wyjść. Nic mnie tutaj nie trzyma, nic mnie nie więzi w tym nierealnym, wywróconym do góry nogami świecie. Tylko jak długo zajmie odnalezienie pozostałych woźniców? Może nawet Solomona Akayana. Jedno spojrzenie w jego oczy wynagrodzi mi cały ten kłopot.

Wtedy jednak zauważa mnie pobliska grupka. Stanowią dziwną mieszankę barw: żywokolorowe sukienki i biżuteria, farba na skórze. To chyba ich wersja niebkowej galaretki i tatuaży. Każdy obrzuca mnie baczny spojrzeniem. Wyraźnie się odróżniam; nawet chodzę w inny sposób – czuję się niezdarna.

Zbieram się w sobie.

To jest ocean, a ty jesteś Łowczynią. Pływałaś pośród potworów, ci ludzie nie wzbudzą w tobie lęku.

Woźnice zebrali się obok sadzawki, stoją skąpani wspaniałym złotym blaskiem wiszącego nad nimi słońca. Właśnie tam muszę do nich dołączyć na powitanie dygnitarzy Ziemców. Woźnice ubrali

się w świeżo wyprasowane smokingi oraz błyszczące sukienki, wszyscy są pogrążeni w rozmowie, uśmiechają się promiennie, a ja patrzę na nich jakby zza szyby, jakby dzieliła nas bariera, której nigdy nie przekroczę. Ich śmiech niesie się echem po sali.

Dorian, dzięki swojej błyszczącej miedzianej czuprynie, wyróżnia się na ich tle. Choć raz nie ma na głowie tej irytującej korony ze srebrnych liści. Kiwa głową w reakcji na słowa Isidore'a, popijając przy tym ze szklanki. Ucieka wzrokiem nieco w bok i wtedy mnie zauważa. Coś się zmienia w jego twarzy. Umyka z niej śmiech.

Patrz na mnie, myślę sobie. Jestem tutaj i nie boję się ciebie.

Nie odrywa ode mnie oczu, kiedy ruszam w ich stronę. I wreszcie zaczynam odczuwać jego spojrzenie niczym dotyk. Denerwuję się i staram na niego więcej nie patrzeć. Żeby się nie zdradzić.

Towarzyszący mi sługa prosi innych, żeby utworzyli szereg.

– Czekaliśmy na ciebie całą wieczność – mówi Arlene.

Wbrew sobie spoglądam na nią z otwartymi ustami. Ma na sobie czarny smoking ze spódnicą, marynarka jest przecięta po bokach i zmarszczona na ramionach. Całość, wyszywana w kryształowy turecki wzór, błyszczy od stóp do głów. Moja babcia uwielbiała ten wzór i zawsze go nosiła. Ale uderza mnie coś więcej; Arlene nie wygląda, jakby kiedykolwiek miała wypadek, a co dopiero przeżyła niemal śmiertelny upadek z rydwanu ciągniętego przez maristaga *raptem wczoraj*.

To musi być zasługa jakiejś farby do ciała, nie ma innej możliwości.

– Nie spodziewałam się ciebie – ciągnie Arlene, jawnie rozkoszując się ściąganiem na mnie uwagi innych. – Najwyraźniej ty też nie chciałaś tutaj być. – Patrzy na moją twarz, z tatuażem czarnych łusek po jednej stronie, lecz wolnej od złotej czy srebrnej farby. Nawet włosy, które zazwyczaj mam rozpuszczone, teraz spięłam na czubku głowy bez żadnych ozdób. Mama powiedziała, że tak będą dobrze wyglądać z sukienką na jedno ramię.

Dorian gładkim ruchem odsuwa się od grupy, ledwo to zauważam. Zamiast włożyć koronę, przypiął sobie srebrne insygnia do kieszeni na piersi, połączone z trzema łańcuszkami biegnącymi za ramię. Zajmuje miejsce obok mnie, wciąż dziwnie mi się przyglądając. Dopiero kiedy formujemy szereg i odwracamy się od siebie, zdaję sobie sprawę, że jego twarz nie jest tak surowa jak zwykle. Zamiast tego wydaje się zaciekawiony. Teraz wygląda jak Dorian, którego znałam.

Spodziewałam się, że pierwszą osobą, która nas powita, będzie Mistrzynie, lecz to Solomon Akayan. Podaje rękę Arlene, potem Isidore'owi, a mi serce dudni głośno w uszach, zagłuszając inne dźwięki. Gdy Akayan dociera do mnie, powstrzymuję mdłości.

– Gratuluję przetrwania pierwszego wyścigu. – Zerka na Dorian, potem znowu patrzy na mnie. – Musiałaś się bardzo bać. Ale piąte miejsce...

– To za mało. – Uśmiecham się. – Nie planuję pozostać na tej pozycji w ostatecznym wyścigu.

Miażdży w uścisku moją drżącą dłoń.

– W rzeczy samej, liczymy, że w następnym dokonasz wielkich rzeczy.

Od razu przechodzi do swojego syna.

Dopiero kiedy się oddala, wypuszczam wstrzymywane powietrze i dyszę, jakbym przebiegła sto kilometrów.

Oficjalne przywitanie dobiega końca i dokoła nas zaczynają się tłoczyć zwyczajni Ziemcy. Nie zaczynam żadnych rozmów, a jednak ciągle ktoś przy mnie stoi. Oczywiście żadna pogawędka nie może się skończyć bez wspomnienia o Akayanie. Ziemcy go wielbią. Jego świat jest połączony, cały błyszczy i nic dziwnego, że chłopak tak rozpaczliwie pragnie go zachować. Nic dziwnego, że nie chce oddać nawet skrawka tym spoza Terrafortu.

Pocieram dłonią kark. Choć na początku bardzo chciałam tutaj przyjść, poczucie zbliżającej się katastrofy ściska mnie niczym dłonie olbrzyma, woskowe palce ześlizgują się na moje ramiona i talię, próbując mnie wciągnąć i zakopać pod ziemią.

Na końcu sali znajduje się wzmacniana szyba, za którą widać prawdziwy ocean Panthalassan. Choć raz nie ma w tym sztuczności; po drugiej stronie jest prawdziwa, mroczna i ruchoma woda. Pod szybą chór śpiewa *Balladę Rhytona*, a muzycy mu przygrywiają. Nie rozpoznaję melodii.

Nawet nasze pieśni są inne.

Cała jedna strona sali bankietowej jest zastawiona jedzeniem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Wodospady alkoholu i soków, małe Terraforty z owoców, placki i curry, ciasta lukrowane czernią i czerwienią, przypominające planetę z dziesięcioma czekoladowymi wyspami, a do tego wysokie wieże słodczy obsypane cukrem pudrem i ozdobione pajęczynami waty cukrowej.

Czuję smak słodkości mamy sprzed narodzin Lirii. Kiedyś uwielbiała eksperymentować w kuchni.

Cały blok zajmują owoce morza. Węgorze, kraby, ostrygi, małże. Ktoś pyta, czy jadłam kiedyś solony kwiat lotosu. Moja rodzina jest dosłownie zmuszana do utrzymywania się z oceanu. Kto mógłby wiedzieć więcej o jedzeniu z wody od nas?

Kobieta Zienców, cała pomalowana srebrną farbą, wybucha śmiechem – nie wiem, czy to ze mnie się śmieje, czy ze mną – i dotyka mojego odsłoniętego ramienia. Jej dłoń jest wysadzana maleńkimi koralikami.

Ledwo udaje mi się nie wzdygnąć.

Crane już by ją odepchnęła bez mrugnięcia okiem.

– Jak ci się udało zapanować nad brwiami w ten sposób? – pyta trelem. – Szkoda, że moje nie chcą tak współpracować!

Oczywiście mam szczęście, że obecnie modne są gęste brwi. Jednak właśnie tym jest dla Zienców większość cech Najemców: trendem. Dzisiaj coś jest modne, jutro nie. Niedługo znowu wszyscy będą sobie skubać brwi, a my staniemy się prostakami.

Jednak milczę. Wściekać się i krzyczeć dla Wyścigu Chwały to jedno, czymś zupełnie innym jest prowokować pytania poza Dromem.

– Założę się, że zostają takie nawet po wyścigu. Jak ty to robisz?

– Tak wyglądają naturalnie – zmuszam się do odpowiedzi.

Kobieta otwiera szeroko oczy, w kącikach marszczy się jej srebrny podkład. Zupełnie tak, jakby moje stwierdzenie było największym absurdem, jaki kiedykolwiek usłyszała.

– Oczywiście, Najemcy zawsze mieli inny styl. No wiesz, tatuaże i chusty. Zawsze są w modzie?

Jeśli przez modę ma na myśli każdą najdrobniejszą rzecz, jaką robimy, żeby przetrwać, pewnie, zawsze są w *modzie*. Gdyby jednak uprzedzenia dało się realnie zwalczać faktami, czy zdarzałyby się pośród tych dobrze wykształconych Zienców?

– Faktycznie dużo czasu spędzacie na słońcu. – Raz jeszcze przeciąga dłonią błyszczącą od rybich łusek po moim ramieniu, tłumacząc, że ona przez całe życie nie spędziła ani jednego dnia na słońcu.

Przestań mnie dotykać!

– To prawda.

Opowiada bez końca o swoim idealnym życiu, w którym stać ją, by pozostać w cieniu i chronić siebie, podczas gdy Najemcy, którym odmawia się nie tylko cienia, ale też usług medycznych, umierają potworną śmiercią w promieniach słońca. Na nowotwory i różne inne choroby.

– Przepraszam, czy mógłbym na chwilę porwać Koral?

Kobieta się odsuwa, rusza do Arlene, a ja się odwracam, wdzięczna...

– Judas?

– Wydawało mi się, że potrzebujesz pomocy – rzuca z rozbawieniem w oczach. – Zatańczymy?

– Ale... ale ja nie umiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Taniec Zienców, *walc*, o ile dobrze pamiętam, jest strasznie dziwny. Czy to jeszcze w ogóle jest taniec? Gdzie jest rytmiczna opowieść, ekspresja?

Judas śmieje się krótko.

– Poprowadzę cię.

Wyciąga do mnie rękę, a ja się nie opieram. Drugą obejmuje mnie w pasie, a ja kładę dłoń na jego ramieniu.

– Widzisz? – rzuca. – Nie jest tak źle.

Jakoś udaje mi się za nim podążać dzięki wyostrzonym instynktom, ale nie wiem, czy mi się to

podoba.

– W porównaniu z rozmową z tamtą kobietą? Niebo.

Robimy powolny obrót i zauważam ją, jak gwarzy z Arlene i Saranem, którzy sprawiają wrażenie niezadowolonych, ale jeszcze nie uciekli. Nawet z tej odległości kobieta wydaje się zaskakująco okropna.

– Kto nie lubi tego uczucia, gdy ktoś próbuje się powoli, bardzo powoli do ciebie przykleić? – rzuca Judas.

– Osobiście chętnie widziałabym ją w otoczeniu maristagów.

– Och, ja bym bardzo chciał zobaczyć maristagi – odpowiada Judas.

– Właśnie, chciałeś odwiedzić stajnię. – Uśmiecham się. – Może po drugim wyścigu?

Judas zaczyna potakiwać, kiedy do moich uszu dociera imię Broma. Jesteśmy teraz na skraju parkietu i w pobliżu stoi grupka ludzi pogrążonych w rozmowie. – Chłopak Wardenów naprawdę ma w tym roku pecha.

– Tak, najpierw strzelił wielkiego focha, że go wywalili z turnieju – nieudana próba szeptu – a teraz to.

Spinam się w tańcu z Judasem. Czy oni nie zamierzają nawet *udawać*, że mają takt?

– A czego się spodziewał, zadzierając z Dorianem Akayanem? On też zawsze był dziwny.

Ktoś ich szybko ucisza.

Zmuszam się do milczenia i zaciskam dłonie na ramionach Judasa, który uprzejmie udaje, że niczego nie słyszał.

Nagle żałuję, że nie włożyłam sukni wysłanej przez Mistrzynię. Nie miała trenu, nie miała nic miękkiego. Byłaby lepszą tarczą.

Judas coś mówi, ale ja odpływam myślami aż do klifów. Nie widziałam tamtego dnia Broma, co się z nim stało? I co mu zrobił Dorian?

Przemierzam wzrokiem salę znad ramienia Judasa, zastanawiając się, czy jeszcze zobaczę Doriana. Energia w pomieszczeniu zaczyna się rozkręcać. Wygląda na to, że upchnięto tu całą populację Ziemiców. Dokoła nas, w migotliwym świetle, pary kołyszają się w takt muzyki.

Nie muszę czekać zbyt długo.

Dorian opiera się o filar w kącie, zaledwie kilka kroków stąd.

I patrzy na mnie, jak tańczę z Judasem.

Jego wzrok jest pełen mroku. Mój roztargniony uśmiech, który posłałam mówiącemu coś Judasowi, znika. Przyłapany na przyglądaniu się nam Dorian nie ucieka wzrokiem. Śledzi każdy nasz ruch. W jego spojrzeniu jest coś dzikiego, coś tak pierwotnego, że aż przechodzi mnie dreszcz mimo ciepła bijącego od lamp.

Ciekawe, co mógłby zrobić, gdyby nie było tu tylu świadków. Teraz otacza go cisza niemal nienaturalna, zważywszy na to, jak wiele osób walczyło wcześniej o jego uwagę. Jemu tak łatwo przychodzi wykroić sobie i zawłaszczyć jakąś przestrzeń tylko dla siebie.

– Judas, wybaczysz mi, jeśli cię zostawię na chwilę?

– ...a drugi wyścig... Ach, oczywiście – Judas zatrzymuje się w połowie zdania, zaskoczony. Puszczam mnie i się odsuwa. Szybko go przeproszam i ruszam do Doriana.

– Co zrobiłeś Bromowi? – pytam. W chaosie Sali Balowej nikt nie zwraca na nas uwagi. Mimo to zamiast odpowiedzieć, Dorian opróżnia szklankę, wylewając zawartość do donicy z rośliną o kłujących liściach, i wymyka się przez drzwi, które zauważam dopiero teraz.

Stop, ostrzega mnie głos w głowie. Uciszam go jednym dotknięciem zarguninowego noża, który trzymam pod paskiem. Podążam za Dorianem. Znikamy w ciemnym korytarzu. W połowie długości wisi jedna, migocząca smutno lampa. To miejsce jest wprost przygnębiające.

Dorian odwraca się i ściąga brwi, jakby się nie spodziewał, że za nim pójdę.

– Dlaczego cię to obchodzi?

– Muszę wiedzieć. – Muszę wiedzieć, dlaczego pozbawili mnie szansy na zemstę. Jeśli Brom myśli, że zapomnę o tym, co próbował mi zrobić, grubo się myli. Nigdy nie pozwolę, by jego podszyta pogardą duma uszła mu na sucho. Gdy już opadnie kurz po wyścigu, gdy rozpocznie się leczenie Lirii,

to miała być pierwsza rzecz, jaką zrobiłabym po zdobyciu tytułu Czempionki.

Zapolowanie na Broma Wardena.

– Muszę przyznać, że się nie spodziewałem, że będziesz miał dość odwagi, by tutaj przyjść.

– Po prostu odpowiedz.

– Nie wiedziałem, że tak ci się podoba Warden. – Dorian unosi prowokująco brew, lecz w słabym świetle widać błakający mu się na ustach półuśmiech, jakby oczekiwał z mojej strony rozbawienia. Jakby zrobił coś ze względu na mnie. Jakby wcale nie groził mi niecałe trzy dni temu. Jakby nie próbował mnie zepchnąć z toru *wczoraj*. – Bez względu na to, co zrobiłem, wątpię, by ten szczur na to nie zasłużył – dodaje. – Zapewniam cię, że jeszcze długo nie będzie się wydurniał w miejscach publicznych.

– Dlaczego? – Nie zdaję sobie sprawy, że ostrze mojego scyzoryka się wysunęło. Dostrzegam to dopiero, kiedy dotyka skóry na szyi Doriana. Odbija się na nim migoczące światło lampy. – Bo przeżyłam? Bo nie udało mu się na zawsze zamknąć mnie w tamtej skrzyni?

Spojrzenie Doriana się zmienia. Błyszczą w nim gniew.

– Jeśli polecą choć kropla krwi – mówi z fałszywą łagodnością – nie wydobędziesz się stąd żywa.

Najwyraźniej oboje nie jesteśmy już dziećmi z tamtego dnia, kiedy podałam mu lejce srebrnego maristaga.

– Zamknięcie mnie w skrzyni i wrzucenie do oceanu nie zdołało mnie powstrzymać. Myślisz, że nie dam rady kilku pijanym Ziemcom? – Mój wzrok ześlizguje się na nóż.

Dorian przez kilka chwil zachowuje ciszę, puls w jego szyi bije o ostrze noża w mojej dłoni. Słyszę własne serce dudniące w napiętej ciszy i nie ruszam się ani o milimetr. Nasze ciała są tak blisko, że pasują do siebie jak dwa puzzle. Zapomniany instynkt sprawia, że niemal puszczam nóż i kładę dłoń na ramieniu Doriana. Nie wiem, co by się mogło stać, gdybym wzięła głębszy oddech.

– Powiedz mi, co zrobił – mamrocze Akayan.

– Po co? Żebyś wiedział dokładnie, co poszło nie tak? Żebyście ty i ojciec nie popełnili jego błędu?

– Ostrzegałem cię, żebyś trzymała się z daleka od tego turnieju, prawda? – mówi, jakby nie obchodziło go, że może umrzeć, jeśli choć drgnie mi palec. – Po prostu musiałaś znowu pokazać się mojemu ojcu, prawda? – Milknie. Tylko na mnie patrzy. Jakimś cudem swoje następne słowa wypowiada jeszcze zimniejszym tonem: – To nie jest dla ciebie bezpieczne, Koral.

– Nie jest bezpieczne? – pytam z kiepsko maskowanym niedowierzaniem. – Oczywiście, że nie jest. Przecież to ty próbowałaś mnie zabić. To *ty* jesteś dla mnie niebezpieczny.

– Tak – odpowiada. – Za to pozostali uczestnicy przyszli tutaj, żeby się z tobą zaprzyjaźnić, prawda? Powiedz, Judas Pereira jest dobrym tancerzem?

– O co ci w ogóle chodzi?

Jest tak blisko, że widzę cienie pod jego oczami. Orzechowe oczy ciemnieją, są jak dwa czarne lustra. Odbija się w nich moja twarz. Jeśli Dorian wychyli się choć odrobinę, sparzy się żarem mojej skóry. Krew uderza mi do głowy tak szybko, że zaciskam mocniej palce na scyzoryku, wracając do swojego ciała.

– To jaki masz następny wielki plan? – pytam, choćby po to, by odepchnąć to dziwne, niechciane uczucie wywijające fikołki w moim żołądku. – Jak spróbujesz mnie zabić?

– Jest tak wiele rzeczy, które chciałbym ci zrobić – dyszy. – Może pewnego dnia je zrobię.



Osiemnaście

Wracam na salę tak cicho, jak tylko umiem, licząc na to, że moja nieobecność pozostała niezauważona. Skradam się inaczej niż w domu. Tam przykrywką jest ciemność. Tutaj hałas i oceaniczny ogrom pomieszczenia pomagają mi trzymać się z dala od ciekawskich spojrzeń.

Albo i nie.

Zamieram.

Mistrzynie Minos patrzy na mnie z drugiej strony sali. Jak długo miała na oku tamte drzwi? Czy widziała, jak wyszliśmy z Dorianem? O nie. Co może o tym pomyśleć? Powinnam była poczekać.

Okrąża sadzawkę i zatrzymuje się przede mną, stukając w podłogę swoim kijem z czerwonym klejnotem.

Zaczyna coś mówić, lecz zaraz milknie.

– Nie jestem pewna, jak się do ciebie zwracać – rzuca w końcu.

Kłaniam się, jak nakazuje zwyczaj.

– Wystarczy Koral, dziękuję.

– Dobrze. Koral, czy podoba ci się Pierwsze Świątowanie?

– Zapiera dech w piersi.

– Zakładam, że już skończyło się Powitanie Woźniców?

– Tak, Mistrzynie.

– Cóż za interesująca zbieranina, nie uważasz?

– Tak, Mistrzynie.

Dziwne, że tutaj jest. Z plotek dowiedziałam się tyle, że raczej stroni od ludzi. Jej oczy są obwiedzione delikatną bielą, która uwydatnia niebieskie kryształki w środku. To jedyny kolor, jaki ma na sobie, co dziwnie wyróżnia się na tle zalewu złota i srebra w każdym kącie sali, cętkowanego ciemnymi błyskami oceanu. Nawet jej sari jest połączeniem bieli i czystego srebra, z mieniącymi się brzegami.

Wspólnie oglądamy przyjęcie. Dlaczego ludzie tyle gadają? Chociaż muszę przyznać, że milczenie Mistrzynie sprawia, że czuję ucisk w żołądku. Czego ode mnie chce?

– Widzisz tę architekturę? To połączenie starożytnych cywilizacji. Starszyzna Empirejska podobno należała do różnych rzeczywistości. Wszystko tutaj, od tych filarów po połączone płytki i ornamenty wokół fasad, pochodzi z połączenia ich sztuki w okresie światowego renesansu.

– Och. – Raz jeszcze przeciągam wzrokiem po filarach, łukach i ścianach, nagle czując braterską więź z tym wielkim kamiennym wnętrzem. Wszystko, co się wydarzyło w tamtym świecie, stało się powodem, dla którego zaistniał mój.

W nasze pole widzenia wchodzi Solomon Akayan i rusza prosto do Doriana. Ojciec i syn wdają się w gorącą dyskusję. *Dobrze mu tak*, myślę. Jednak Mistrzynie też patrzy na nich zmrużonymi oczami. Niechętnie znów kieruję na nich spojrzenie. Dorian przy ojcu wydaje się mniejszy, nie przypomina już tak brutala, który groził mi na klifach. Zupełnie jakby był trzema różnymi osobami: tą przy ojcu, tą ścigającą się i tą, którą znałam kiedyś.

Solomon chwytą szklankę Doriana i rzuca ją do sadzawki, a tłum ucieka.

Teraz to nie Dorian przynosi ci wstyd.

Krew się we mnie burzy i odwracam wzrok. Nie przyszedłam tutaj, żeby po raz kolejny być świadkiem rodzinnej scysji Akayanów.

Mistrzynie Minos też się to nie podoba.

– W republice władza nie jest dziedziczona – mówi cicho. – To dobry system. Ogranicza ambicje i pozostawia władzę w rękach tych, którzy potrafią unieść ciężar odpowiedzialności. Nie tych, którym się tylko wydaje, że potrafią. To dotyczy wszystkiego.

Zastanawiam się, dlaczego Najemcy nie mogą dołączyć do Rady Ofiru, nie licząc tego ochłapu, jakim jest posada pomocnika stanu. Dlaczego Łowcy dziedziczą swoją profesję, dlaczego nasza rodzina nie istnieje po prostu jako zbiór ludzi, ale zawód.

Mistrzynie kontynuuje rozmowę, wskazując na ludzi i tłumacząc, czym się zajmują. Mężczyzna naprzeciwko, w wielkiej białej peruce i z długimi pierzastymi rzęsami, odkrył złoża zarguniny w Kar Atish. Rodzina kogoś innego zarobiła fortunę, przetwarzając promienie słońca w energię. Pewna architektka specjalizuje się w projektach ze starego świata.

– Pamiętam, jak miałas dziewięć lat, Koral, i pierwszy raz towarzyszyłaś ojcu w czasie ostatniej sprzedaży sezonu.

Lata, w których sprzedaliśmy wszystkie maristagi, były bardzo rzadkie. Wspomnienia wracają natychmiast. Rada Wyścigu kupiła ostatnie na potrzeby Centrum Treningu Ziemców, żeby służyły jako wierzchowce zastępcze – wszystko, byle nie powtórzyła się sytuacja sprzed roku. Jednak lepiej pamiętam to, że potknęłam się o własne nogi i upadłam przed Mistrzynie.

Wciążam gwałtownie powietrze. Ona to pamięta?

– Zapytałaś, czym się zajmuję – mówi, jeśli uszy mnie nie zwodzą, czule. – A kiedy twój ojciec wyjaśnił, powiedziałaś, że chciałyś któregoś dnia zająć moje miejsce.

– Przepraszam, Mistrzynie...

– Nie trzeba. – Macha ręką, potem mruży nieco oczy. – Dobrze widzieć, że twoje ambicje nie przepadły wraz z upływem lat.

Ambicje? Ona postrzega mój udział w wyścigu jako wyraz ambicji? Ja chcę tylko pieniędzy na leczenie siostry. Gdyby nie Zielona Frakcja, dostałabym pożyczkę w Magazynie. Wcale nie chciałam się ścigać. Nadal rzuciłabym to bez zastanowienia, gdyby istniał jakiś inny sposób na to, byśmy nigdy więcej nie musieli zebrać o leki.

– Wybrałaś inną sukienkę.

– Tylko dlatego, że tamta nie miała odpowiedniego rozmiaru – odpowiadam ostrożnie.

– Szkoda. – W ciszy między nami czuć strach, który rozprasza dopiero pytanie: – Znasz mit o Ikarze?

– Obawiam się, że nie.

– To dobra opowieść. Często o niej myślę, Koral. Pierwszy raz, o ile się nie mylę, opowiedziano ją w czasach chwały przed Wielkim Lądowaniem.

Uprzejmie czekam, aż upije łyk wina.

– Wybacz, ale nie mam talentu oratorskiego – ciągnie. – Historia wygląda tak: w czasie pierwszego czerwonego wschodu Ofiru urodził się rudowłosy Ikar. Doskonały rzemieślnik, doskonały łowca, doskonały kłamca. Ludzie zwracali się do niego z problemami, bo znał odpowiedź na wszystko. Jednak nie docenił naszego nowego świata. Kiedy nasza go chęć, odszukał aquabata ze skrzydłami rozmiarem pasującymi do jego ciała, lecz zapomniał, że to stworzenia oceanu oraz nieba. Wzleciał na nich do słońca, chociaż ojciec błagał, żeby tego nie robił, a potem z rozdartymi skrzydłami runął do oceanu. Ikar wzbiał się wysoko i z wysoka spadł.

Przechodzi mnie dreszcz.

– Pamiętaj o Ikarze, Koral.



Nie licząc okazjonalnego bulgotania w rurach w ziemi, świat na zewnątrz willi Mistrzynie jest cichy. Jak ruiny. Wszystkie światła zgasły, jedynie zza drzwi przedostaje się słaba poświata w kolorze pożółkłego ciała. Bez świateł jestem niemal w stanie sobie wyobrazić, że to jaskinia – nietknięta,

niezamieszкана.

Strażnicy weszli do środka, opierają się o filary, żartują i piją wino. Stoję przed drzwiami, wciągając zimne, ostre powietrze pod ziemią, gotowa wrócić do domu. Biuro Mistrzynie znajduje się na pierwszym poziomie. Nigdy wcześniej nie byłam aż tak głęboko pod powierzchnią.

Pochowana, lecz *bezpieczna*.

Wrócę tutaj. Sprowadzę mamę i Lirię.

Odwracam się, żeby wyjść, i w tej samej chwili to słyszę.

Muzyka. Niesie się z korytarza.

Emrik śpiewa, Liria maluje. Artystyczny gen rodziny mnie jakoś ominął. To cud, że potrafię odróżnić skrzypce od sitara. Za to uwielbiam słuchać muzyki. Przemawia do mnie, koi mnie. W noc, kiedy rodzice byli zajęci pomaganiem Lirii przetrwać kolejną godzinę, ja chowałam się w pokoju i muzyka była moją jedyną towarzyszką.

Melodia w tej chwili jest stonowana, brzmi jak cały świat melancholii. Wypełnia powietrze i kamień, prawdziwa i namacalna, emanując ze skalistego korytarza. Jej dźwięki, niczym sznurki, oplatają moje nadgarstki i ciągną. Docieram do ślepego zaułka, przestrzeń minimalnie skręca w prawo. Sterta kamieni w kącie przypomina schody. To tam siedzi samotna postać schowana w absolutnej ciemności i gra pieśń.

Dorian.

Powinam zawrócić.

Lecz zamieram.

Zagubiony brokat migocze w jego włosach niczym maleńkie gwiazdy. Oczy ma zamknięte. Rękawy koszuli ma podciągnięte aż po łokcie i napina mięśnie ręki, gdy muzyka się wzmacnia. Nie chcę go rozpraszać.

Czy uniesie powieki?

Co zrobi, gdy zobaczy, że go obserwuję?

Powinam iść.

Jednak absurdalność tego, jaki się wydaje kruchy, nie pozwala mi się ruszyć. Nie przypomina tej wżerającej się we mnie ciemności, ostrzegającej, bym trzymała się z dala. Wygląda, jakby nie należał do złotego świata Ziemców, lecz tego cichego, mrocznego, własnego kąta.

Zawsze będzie aroganckim, mściwym synem Solomona Akayana, jeśli nie zerwie kontaktu z ojcem. Nie zerwie z tym fałszywym światem.

A może widzę to, co chciałabym zobaczyć. Pewnie po prostu się upił. Nawet przez chwilę nie widziałam go dzisiaj bez szklanki w dłoni. Przynajmniej tę ostatnią ojciec mu wytrącił.

Zmuszam się do kroku w tył. Ten nieostrożny, chwiejny krok go dekoncentruje.

Otwiera oczy, lecz nie przestaje grać. Przez długą chwilę patrzy przed siebie, marszcząc brwi. Zupełnie jakby zagubił się w myślach i mnie nie widział. Jestem dla niego duchem.

Potem, być może dlatego, że nie znikam, jego dłoń zamiera. Czuję, jak coś się zaciska na moim sercu, ten brak muzyki, jednak nie reaguję. Dorian wstaje. Schodzi z kamieni. Zbliża się.

– Jesteś prawdziwa – mamrocze.

Nie zdawał sobie sprawy, że to ja.

Co myślał? Że jestem halucynacją? Snem? O czym może marzyć Ziemca, który jest zawsze bezpieczny i któremu niczego nie brakuje?

Lata temu zapytałam go o to i odpowiedział, że o niczym, że nie marzy o niczym.

Być może jednak właśnie o tym. O graniu muzyki.

Prawdziwa wolność jest warta więcej niż złoto, Dorianie Akayanie.

Raz jeszcze w moje ręce trafia jego sekret. Raz jeszcze, mimo jego złej natury, chcę go dla niego zachować. Nie zdradzę Doriana. Nie, gdy widzę, że Solomon Akayan robi z nim to samo, co ze mną mój ojciec.

Jest coś innego, co mogę zrobić, by pokazać mu, że nie może mnie zniszczyć, żeby ratować siebie.

Włożyć koronę Czempionki.



Północ na Ofirze jest wyjątkowa; stworzenia urodzone w tym świecie władają nocą. Niektórzy mówią, że to godzina Wodnego Konia, ducha lewiatana w oceanie Panthalassan, tak wielkiego, że jego głowa i ogon zawsze znajdują się na przeciwnych krańcach świata.

O północy Wodny Koń robi się niespokojny. O tej porze dzieją się wszystkie złe rzeczy.

Dlatego kiedy wlokę się po ulicach i widzę jasną łunę w miejscu, gdzie powinien się znajdować mój dom, natychmiast przyspieszam do biegu i pędzę zdyszana. Powala mnie na ziemię siła rozgrzanego wiatru.

Przed naszym płótem zebrał się tłum, twarze są jasnoniebieskie, odbijają się w nich potworne płomienie. Znajomy głos krzyczy.

To koszmar, zły sen, to nie jest prawda.

Nie potrafię zmusić nóg, by poniosły mnie przez tłum do domu.

Dziwny niebieskoszary ogień rozgorzał na drewnianej balustradzie. Dym wydostaje się przez drzwi, wyłania się spiralny z krętych schodów. Rośnie i rośnie, pochłaniając ganek. Potwór z ognia, rozświetlający całe niebo.

– Mama! Emrik!

– Zatrzymajcie dziewczynę! – krzyczy ktoś po mojej prawej stronie.

Oplata mnie czyjeś ramię.

– Twój rodzice są tutaj!

Patrzę zaskoczona. Przeklinam z ulgą. Są tutaj, obejmują się i patrzą, jak nasz azyl płonie. Twarz taty stężała, ogień rzuca na nią okrutne cienie. Mama przycisnęła dłonie do ust, w ciemności błyszczą jej łzy. Czerwony ślad na jej ręce, widoczny przez przepalone ubranie, łączy się na mnie szyderczo.

Biegnę do nich. Stopy płaczą mi się w sukienkę. Padam przed nimi.

Ojciec patrzy zdumiony, jakbym wyrwała go z transu. Mama wyciąga do mnie ręce.

– Emrik – dyszę, zapłakana, z dymem w płucach. – Gdzie są Emrik i Liria?

Mama przyciska mnie do piersi i gdy już nie zasłania ust, wyrывa się z nich wrzask.

– Wydostań stamtąd nasze dzieci, Varman!

Trzymam matkę w ramionach, kiedy upada. *Nie, nie, nie.* Moje rodzeństwo nie może... oni nie...

Krzyczę. Ostry ból przeszywa mi czoło, przeszywa czaszkę. Nie ma strażaków. Ocean jest tuż obok! Tyle wody. Lecz żadnej dla nas.

Przeszywa mnie poczucie bezsilności, choć zupełnie obce, miesza się z moją krwią. Co mogę zrobić, żeby to naprawić? Coś musi dać się zrobić. Mogłabym wejść do środka i ich wydostać. Znam dom lepiej niż wszyscy. Ile to razy zakradałam się późno w nocy?

Jeszcze nie do końca wybrzmi ta myśl, a już wstaję i ruszam.

– Nie bądź głupia! – krzyczy ojciec. Szarpie mnie do tyłu tak mocno, że prawie wyrывa mi rękę. – Nie mogłem powstrzymać Emrika – głos mu się łamie – ale nie pozwolę, żebyś i ty dała się zabić!

Próbuję mu coś odpowiedzieć, próbuję zrozumieć ten walący się dokoła świat, ale dym nie pozwala mówić. Wszędzie się wślizguje, oplata mi kończyny jak węże. Jeszcze sekunda i rzuca się nam do gardeł. Ciężar w płucach ciągnie mnie w dół.

Tłum zaczyna się wycofywać, gdy ogień wznosi się jeszcze wyżej. Zmienia kierunek wraz z wiatrem, ku stajni.

– Złota Burza. Gdzie moja maristaga? – wołam.

W tej samej chwili Emrik wyłania się z szarej masy, z twarzą czarną od sadzy i nieprzytomną Lirią w ramionach.

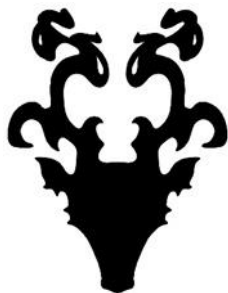
– Co się stało? – Dym kłębi mi się w ustach, pali mi gardło. Wszędzie dokoła chaos wybuchu na nowo, mama i ojciec przyciągają do siebie Lirię. Nie budzi się.

Ktoś woła po pomoc, ktoś wspomina o maściach na oparzenia, a ja na myśl o kolejnych lekach

mam ochotę rwać sobie włosy z głowy.

Emrik chwyta mnie za ramiona i zmusza do spojrzenia mu w oczy.

– Mam nadzieję, że przyjęcie było tego warte.



Dziewiętnaście

Nasz sklep w Agorze nie ma okna, nie ma nawet dość miejsca, by dwie osoby swobodnie się w nim poruszały, ale to w tej chwili nasze schronienie. Ojciec, rozdarty między chęcią nakrzyczenia na nas za sekrety i wdzięcznością, że mamy kawałek miejsca dla Lirii, chwytając krawędź okiennicy. Z boku siedzi Emrik, trzymając maskę tlenową. Jego oczy są zaczerwienione i skupione na siostrze.

W bladym świetle Terrafortu, które przesącza się przez drzwi, Liria jest woskowa jak gładki marmur. Medyk świeci jej latarką w oczy. Wierci się, wyraźnie czując się niekomfortowo w małej przestrzeni, i uderza kolaniem w ścianę.

Ojciec przeprasza.

Siostra też ma maskę tlenową przytroczoną do twarzy. Inaczej niż u Emrika, jej twarzyczka jest drobna i znika za maską. Medyk stuka jej kolana młoteczką. Brak reakcji.

Liria nie może umrzeć. Jest twarda, waleczna. Kiedyś powiedzieli nam, że nie przeżyje dłużej niż rok. A jednak. Rysuje, śmieje się, śpiewa i płacze. Ma jeszcze tyle życia przed sobą. To niemożliwe, żeby...

– Obudź się, Liria – płaczę w dłonie.

Może w końcu już tego dla niej zbyt wiele. Nieustanne kłótnie między rodzicami, między ojcem i mną. Ciemność kamiennych ścian. Niekończące się napięcia w domu. A potem dziki ogień. Może pomyślała, że ją porzuciłam. Emrik znalazł ją już nieprzytomną. Czy straciła zmysły, myśląc, że zostawiłam ją, by się udusiła? By umarła? Myśląc, że przestaliśmy o nią walczyć? Że zламаłam swoje obietnice?

Nagle jestem dzieckiem, które nie chce puścić matczynej spódnicy. *Naprawcie to, proszę.* Błagam rodziców, wyjąc z gniewu.

– Wiadomo, co się stało? – pyta medyk, sprawdzając Lirii puls.

Nikt nie odpowiada. Nikt nie zna odpowiedzi.

– Jest w śpiączce – oznajmia mężczyzna. – W Szpitalu moglibyśmy zrobić kilka badań i pomyśleć nad leczeniem. Ale tutaj... – Wzrusza przepraszająco ramionami, unikając wzroku rodziców.

Tutaj musimy sobie radzić sami. Nie mamy dostępu do terapii zarezerwowanych dla Ziemców w ich nowoczesnym podziemnym Szpitalu.

– To ty nie jesteś lekarzem? – krzyczę. – Zrób coś!

Wtedy ojciec się odwraca, pewnie żeby kazać mi się zamknąć, ale jego twarz wykrzywia zdziwienie, gdy patrzy nad moje ramię.

– Słucham?

Patrzę tam gdzie on.

To Judas Pereira stoi obok filaru i nam się przygląda. Wciąż ma na sobie strój z przyjęcia, a na jego twarzy błyszczy srebro.

– Cóż... – Woźnica patrzy to na mnie, to na moich rodziców. Potem spogląda na leżącą Lirię. Tak bardzo nie pasuje do tego miejsca, że to aż absurdalne.

– Co ty tutaj robisz? – pytam, a potem samym ruchem warg dodaję: *Odejdź.*

– Znasz go? – warczy Emrik.

Judas się prostuje, słysząc jego ton.

– Znam go z... z.... – Nie wydaje mi się, by to był najlepszy moment na tę informację. Wychodzę ze sklepu. Za Judasem wokół filarów wciąż gromadzą się ludzie, inni właściciele biznesów siedzą w swoich lokalach. To środek nocy. A jednak, zupełnie bez wstydu, są tutaj. Czekają na wieści o Łowcach, na plotki.

– Co ty wyrabiasz? – rzucam wściekle.

Judas chyba zdaje sobie sprawę, jaki miał fatalny pomysł, przychodząc tu o tej porze jako Ziemca. Zwłaszcza taki rozpoznawalny. Już słyszę szepty ludzi, którzy porównują wspomnienia i notatki, próbując dociec, gdzie wcześniej widzieli te znajome opadające brązowe włosy.

– Słyszeliśmy, co się stało – tłumaczy, spoglądając na sklep. – Mówiłem, że chciałem obejrzeć stajnię. No i ktoś powiedział, że jesteście w Agorze, więc chciałem... pomyślałem sobie... Koral, tak mi strasznie przykro.

Moje palce dla oparcia chwytają mocniej zarguninowy kij. Dobrze, że trzymamy tutaj z Crane zapasowe.

– Czy z twoją maristagą jest wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam ze ściśniętym gardłem. Zostawiłam Złotą Burzę na plaży. Co innego miałam zrobić? Gdzie mogę zabrać maristagę o tej porze?

– A z twoją rodziną?

Tak mi przykro, że nie mogę wprost odpowiedzieć, że tak. Zimny wiatr smaga moje ręce. Rozcieram skórę dłońmi, próbując się rozgrzać.

– Moja siostra się nie obudziła. Była w środku, kiedy to się stało. Już wcześniej chorowała na przewlekły kaszel, a potem jeszcze ten cały dym. – Oglądam się za siebie. Ojciec i mama obserwują Lirię wzrokiem dzieci wpatrzonych w słodycze, których nie mogą kupić. Bije od nich bezsilność i smutek.

Jednak Emrik przygląda mi się zmrużonymi oczami.

– Czy to jest jej lekarz? – pyta Judas.

– Tak.

Przygryza usta. Waha się.

– A czy... miałabyś coś przeciwko, gdybym z nim porozmawiał?

Zbita z tropu potrząsam głową. Judas studiuje oceanologię, co zamierza zrobić w sprawie śpiączki?

Medyk i Judas rozmawiają przez kilka zdumiewających sekund, a na koniec Judas robi krok do tyłu.

– Co z zarguniną?

– Jak to? Nie rozumiem? – wtrąca mama, patrząc na Judasa.

– Powietrze na wyspie pachnie metalem. Wszyscy za dużo go używacie. Ma zły wpływ na zdrowie ludzi. Powoli ich truje.

Judas wydaje się zaskoczony napięciem, które się nagle pojawia. Patrzy na nas po kolei.

– To wy nie wiecie? To nie jest powszechna wiedza?

– Zawsze używaliśmy zarguniny – odpowiada mama.

Czyżby? Spoglądam na swój kij. Tylko Najemcy ich używają. Ziemcy z reguły nie, jeśli już, to tylko jako broń. A ich domy w Terraforcie nie potrzebują zarguninowych ekranów.

Judas mruży oczy.

– Jak wyglądał ogień?

– Był niebieski. Szaroniebieski – odpowiadam szybko.

– Tak, paliła się zargunina.

Wymieniamy z Emrikiem porozumiewawcze spojrzenia. Nie trzeba sprawiedliwości Mistrzynie, żeby dojść do tego, kto podłożył ogień. Oczywiście Najemcy. A kto miał dostęp do zapasowej zarguniny trzymanej w Magazynie? Rebelianci.

Emrik zdejmuje maskę tlenową i widzę obrażenia jego twarzy. Przez całą drogę tutaj byłam zbyt skupiona na Lirii, żeby zauważyć, jak bardzo cierpi Emrik. Jedną stronę twarzy ma poparzoną

i obandażowaną, połowa tatuaży została spalona. Jego skóra jest upiornie blada, jak u Ziemców, którzy tygodniami nie widzą słońca, a do tego pokryta pajęczyną czerwonych nitek.

Judas odszedł, wciąż zdumiony szerokim zastosowaniem zarguniny na Sollonii, a ponieważ nikt jeszcze nie umarł, przestajemy się cieszyć zainteresowaniem pozostałych sprzedawców. Mama siedzi z Lirią, a ojciec... kto wie, gdzie się podział ojciec. Może wydobędzie dla nas trochę nadziei, tak jak wtedy, gdy rok temu znalazł medyka. Ale przestałam polegać na ojcu.

Emrik chce pogadać, więc idziemy wzdłuż brzegu tarasu, z dala od tłumów.

– Ile czasu minie, zanim przyjdzie patrol i każe nam stąd odejść? – pyta, gdy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu.

– Będzie dobrze.

Emrik wybucha na wpół śmiechem, na wpół płaczem.

– Liria w tej chwili umiera.

Powstrzymuję dreszcze.

– Wcale nie. Wygram turniej i za cztery dni umieścimy ją w pieprzonym Szpitalu. Wytrzyma cztery dni. Musi.

– Byłem tam, Koral, w tamtym pożarze. Pochłonął wszystko. Jeszcze chwila i nasza siostra spłonęłaby żywcem. Znaleźlibyśmy tylko popiół!

– Właśnie dlatego zadbam o to, żebyśmy nigdy więcej tak nie cierpieli! By *Liria* nigdy więcej nie cierpiała! – Serce mi dudni. Nie potrafię wymazać obrazu płonącej siostry.

– Myślisz, że wygrasz głupi turniej i wszystko się zmieni jak za dotknięciem magicznej różdżki? – warczy Emrik, tak samo jak ja podnosząc głos. – Że Ziemcy nagle nas zaakceptują?

Jadowity kolec trafia z wielką mocą.

– To nie Ziemcy podpalili nasz dom. To ci tchórze tutaj – ryczę, wskazując na Magazyn. Nagle nie obchodzi mnie, kto słucha. – Dlaczego stajesz po ich stronie? Jestem twoją siostrą! Powinno ci na mnie zależeć! Powinieneś mnie wspierać! Jak mam to wszystko robić sama? Nie jesteś lepszy od ojca!

Teraz już zanoszę się silnym płaczem, łzy i smarki płyną zimnym strumieniem po moich policzkach i szyi. Zniszczyłam sukienkę mamy.

Emrik mnie nie oszczędza.

– A myślisz, że na co wściekają się rebelianci? Na to, że chodzisz na eleganckie przyjęcia!

– Tylko ze mną mają problem! Jakby woźnice Ziemców nie robili tego cały czas!

– Bo ogłosiłaś, że jesteś jedną z nich! Wybrałaś stronę i przez to nas zniszczą!

Patrzę za niego i widzę, że ktoś się do nas zbliża. To Crane. Wygląda źle, ma byle jak założoną chustę, nie widzę sztucznej biżuterii na jej dłoniach. Jej oczy są ciemne, jakby zamknęła w nich morza. Nie przypomina mojej Crane.

Nie widziałam jej od czasu naszej kłótni. Odkąd dowiedziałam się o jej decyzji.

– Ciszej – szepcze wściekle, wpadając między mnie i Emrika. – Słyszałam was już w połowie Agory. Emrik, cholera jasna, powinieneś odpoczywać. – Zasłania usta, patrząc na obrażenia brata.

On ją ignoruje.

– Jak się czuje Liria? – pyta Crane. Potem, zauważając, że nie wycofaliśmy się z Emrikiem, dodaje: – Przestańcie już. Liczy się tylko ona.

Emrik prycha.

– Jej to powiedz.

– Zamknij się, Emrik – rzuca Crane.

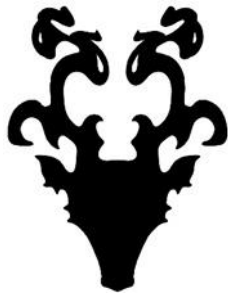
– Nie, Emrik, ty powiedz jej, co wiemy. Powiedz jej, *kto* wywołał pożar, który niemal zabił ciebie i Lirię. Powiedz, co jej przyjaciele zrobili ludziom, których uważa za *rodzinę*.

Spojrzenie Crane się zmienia. W ciemności dostrzegam, że patrzy, jakby nie widziała mnie od lat. W jej wzroku jest dzikość, wstyd. Ona wie. Wyczytała to z mojej twarzy.

Jednak nie tylko ona na mnie patrzy. Emrik też.

Nie wiem, co im chodzi po głowach.

Dlatego sama też robię coś, co nie ma sensu. Uśmiecham się. Uśmiecham się wbrew temu, co zamierzam zrobić. I kiedy Emrik krzyczy, żebym się zatrzymała, wychodzę z Agory pod nocne niebo.



Dwadzieścia

Przed wejściem do Terrafortu dwie syreny alarmowe pną się wysoko niczym zakrzywione kły. W oceanie leży leniwie kołowrót, potwór mroku nocy, a gwiazdy na niebie otaczają jego głowę niczym jaśniejsze rogi wodnego stworzenia. Normalnie o tej porze polowałibyśmy z Emrikiem na maristagi.

Niech to będzie godzina, w której zapoluję na rebeliantów.

Powietrze przecina pisk. Jednak syreny pozostają milczące, ciemne. Jeden dźwięk rogu oznacza samotnego drapieznika na głównej arterii, dwa to więcej niż jeden, trzy to atak stada. Czyli nie doszło do ataku, tylko jakieś stworzenie gdzieś przy brzegu sprawdza ład. Nic nowego.

Poczucie winy zaostrza chłód przebiegający mi po kręgosłupie. Mam nadzieję, że ze Złotą Burzą wszystko w porządku. W końcu jest maristagą. To nie tak, że nie potrafi o siebie zadbać.

Oddalam się od Terrafortu i kieruję na starsze kwatery. Crane jest z Emrikiem. Tym razem nie będzie mogła mi przeszkodzić.

Nad wyspą wieje zimny morski wiatr. Ścieżki dalej położonych osiedli są kręte i wąskie, przez co trudno jest się gdziekolwiek dostać na czas. Przechodzę z jednej bocznej alejki do następnej, przeskakując nad niskimi płotkami i kruszącymi się kamieniami. Zatrzymuję się dopiero w uliczce prowadzącej do apteki Najemców i pozostałych ukrytych schronień.

Są tutaj, po drugiej stronie, wciąż kręcą się w pobliżu sklepów. Te najważniejsze są zawsze otwarte, członkowie rodziny na zmianę stają za ladą. Wiedziałam, że znajdę przynajmniej kilku tych mniej ważnych rebeliantów. Tych, którzy śpią za dnia, unikają słońca i żyją tylko nocą. Tych, którzy wykonują rozkazy pod osłoną ciemności.

Kilku wystarczy, by wiadomość dotarła do wszystkich.

Prostuję się. W powietrzu unosi się ostry alkoholowy odór świeżo wydobytej zarguniny. Jestem przyzwyczajona do swojego kija, więc wiem, że to nie z mojej broni. Może to tylko moja wyobraźnia, a może ten zapach już nigdy mnie nie opuści. Zawsze będę widziała swój dom płonący na niebiesko.

Jest tutaj tak ciemno, że rebelianci mogliby równie dobrze być duchami zmarłych, stopionymi z nocą i nieludzkimi. Gniew przeszywa mnie do szpiku kości.

Po jednej stronie znajduje się szereg sklepów i osłoniętych domów. Po drugiej nie ma nic prócz czarnej skały, nierównej i niebezpiecznej. Moje szanse są niewielkie, ale mogę się zakraść. Wszyscy są pijani. Nieważne, czy konkretnie ci ludzie byli zamieszani w spalenie mojego domu. Tak czy inaczej, musieli o tym wiedzieć. Czyż nie opowiadają z dumą i śmiechem, że wiedzą o wszystkim?

Dasz radę, mówię sobie. Skrzywdź ich. Tak jak oni skrzywdzili ciebie.

Przyciskam się do ściany za dużym kamiennym blokiem wystającym z ziemi. Naprzeciwko grupka urwisów patrzy na mnie podejrzliwie. Są ubrani w szmaty i grzebią w niszy, może utknęła im w środku dodatkowa warstwa materiału, a może trochę jedzenia. Jednak wystarczy im jedno spojrzenie na moją twarz i kij, by syknąć w panice i uciec. W nocy niesie się głośny tupot bosych stóp.

Wzbudzają niepokój dorosłych.

– Kto tam jest? – woła jeden z nich leniwie. Chwila ciszy i wracają do swojej rozmowy. Dobrze. Podnoszę nogę, szykując się do działania, kiedy za moimi plecami rozlega się szept:

– Co ty robisz?

Obracam się z kijem gotowym do ciosu i przeczesuję wzrokiem mrok.

Jakiś człowiek unosi kaptur peleryny. Rude włosy.

Chyba mam zwidy w ciemności.

Na wyciągnięcie ręki stoi Dorian Akayan, ma ręce skrzyżowane na piersi i zmarszczone brwi. Właściwie nie do końca zmarszczone, bardziej chodzi o to, jak na mnie patrzy – jakby miał powód, jakby miał jakiegokolwiek prawo do dezaprobaty. Skąd on się tu wziął? W bocznej alejce terenu Najemców?

– A co *ty* robisz?

– Naprawdę mam nadzieję nie dać się zabić. – Spogląda za moje ramię. – Jest ich tam więcej, niż ci się wydaje. Nie ujdiesz z życiem.

– Nie ma tu żadnych Ziemców – warczę, zaciskając dłonie na kiju. – Wątpię, by twoje groźby zadziałały, więc lepiej uważaj, co mówisz. Inaczej naprawdę będziesz krwawił. – On też ma kij, przytroczony do paska. Ale ja mam jeszcze scyzoryk. Sięgam po niego i natrafiam na pustkę.

– Tego szukasz? – Trzyma mój scyzoryk, zamknięty, w dłoni. Taki pewny siebie. Jak może być taki nonszalancki, na łasce Najemców, tak daleko od Terrafortu?

Patrzę z otwartymi ustami na swój nóż w jego ręku.

– Najwyraźniej nie tylko ty znasz sztuczki, które potrafią sprawić, że rzeczy znikają z kopert – mówi, unosząc prowokacyjnie brew.

– Najwyraźniej już nie jesteś pijany. – Wyrwam mu scyzoryk, zła na to, jaki znajomy jest dotyk jego rąk. – Jak mnie znalazłeś? Czy ty mnie *śledzisz*? – Czy to możliwe, że od przyjęcia minęło zaledwie kilka godzin? Dźwięki muzyki i rozmów, smak ciepłego jedzenia, pewność, że nie będzie się więcej chodziło po osmolonych bocznych uliczkach: to wszystko wydaje się teraz snem. Cały mój świat runął w zaledwie kilka godzin. A jednak wciąż mam na sobie sukienkę i wiem, że to się wydarzyło naprawdę.

– Nie, właściwie to zastanawiałem się, kto z osób, które znam, byłby dość lekkomyślny, żeby w pojedynkę zaatakować całą grupę. Nie było zbyt wielu opcji – tłumaczy, a potem dodaje: – Wyośmy się stąd, zanim rozpoczniesz coś, czego nie będziesz w stanie dokończyć.

– To nie ma nic wspólnego z tobą.

Odwracam się. Jednak ręce mi drżą, w uszach dzwoni, a noc uderza we mnie na nowo. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że chciałam kogoś *zabić*. I to więcej niż jedną osobę. Nie wiem nawet, czy ktokolwiek z nich brał udział w podpaleniu mojego domu, chciałam po prostu przekazać wiadomość. Chciałam pokazać, że nie jestem bezsilna. I wystraszyłam te dzieciaki. Byłam ich potworem w ciemności.

Co ja sobie myślałam?

Właśnie w tym rzecz – nie myślałam.

Zostawiłam Emrika i Crane, ponieważ miałam dosyć patrzenia na ich rozczarowanie.

Jakby pragnienie lepszego życia było zbrodnią.

– Jeśli nie pójdziesz ze mną w tej chwili, krzyknę i ich ostrzegę – mówi Dorian.

Niech to szlag. Zdażyłam już podjąć decyzję o powrocie, ale wątpię, żeby wystarczyło mu moje słowo. Wydaje się zdolny do tego, by faktycznie zacząć krzyczeć.

Dlatego zaciskam zęby i idę za nim, wbijając wzrok w ziemię i udając, że odchodzę samodzielnie. Jednak gdy tylko przeciśniemy się przez sieć uliczek do głównej arterii, Dorian mówi:

– Myślałaś o tym, że masz problem z gniewem?

Zatrzymuję się w pół kroku.

On jednak ciągnie niespieszony:

– Całe to polowanie i walka, może twój umysł jest tak zafiksowany na przemocy, że wydaje ci się jedyną właściwą reakcją?

Te słowa – gniew, przemoc, zafiksowany umysł – wypowiedziane przez Ziemcę stanowią narzędzie klasy wyższej do deprecjonowania nas. Mnie. Jakby ten gniew mnie *unieważniał*.

– Oczywiście, że mam w sobie gniew. Jednak to nie *gniew* czyni mnie wściekłą. – Mówię bez ładu. To okruchy tego, co chciałabym powiedzieć. Moje słowa spłonęły tak samo jak mój dom. – Bo ja... bo ja... ja *cierpię*. – Czuję ucisk w gardle, jednak muszę powiedzieć to, co mam do powiedzenia.

Nawet nie wiem, co dokładnie *muszę* powiedzieć. Ale jak on śmie? – Urodziłam się w gniewie, żyję w nim. Jest wszędzie. Jest w tym, jak patrzą na nas ludzie. Jak *istniejemy*. Jak *ploniemy*. Co ty wiesz o tym, jaki czuję gniew, Dorianie Akayanie?

– Wiem, że jest jeszcze większy, niż ci się wydaje – mówi wyraźnie, ostrożnie. – Wiem, że każda nadzieja, jaką kiedykolwiek żywiłaś, jest opleciona tym gniewem, a ty martwisz się, zawsze, że ten gniew cię obezwładni. Że twój gniew pochłonie tę nadzieję. – Twarz celowo pozostawia neutralną, jakby czytał przygotowany tekst albo mówił coś, co *zna* tak dobrze, że jego słowa brzmią jak przeciwiczone niezliczoną ilość razy. – Wiem, że jeśli nie zapanujesz nad tym gniewem, bólem czy czym to jest tak naprawdę, to cię zniszczy.

– Wiesz? – cedzę, powstrzymując łzy. – Wiesz, jak kontrolować własną niedolę? Czy to nie jest *twój* gniew? Od dzieciństwa?

Zdaję sobie sprawę, że nie jestem sprawiedliwa, mówiąc to akurat teraz, kiedy zgodnie z niewypowiedzianym porozumieniem udajemy, że tamten dzień nigdy się nie wydarzył. Ale to prawda, czyż nie? Jego determinacja, by wygrać; jego frustracja spowodowana tym, że nie chcę się wycofać i zmniejszam jego szanse – to jest jego *gniew*. Wszystko bierze się stąd, że był traktowany mniej jak syn, a bardziej jak maszyna do popisywania się.

Dorian patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Pewnie nie wie, co powiedzieć.

Widzisz jak to jest, kiedy ktoś bez pozwolenia kradnie ci myśli, Dorianie Akayanie?

Wtedy za naszymi plecami rozlega się dudnienie kroków i oboje skaczemy do wnęki między dwoma dużymi kamieniami. Alejką, którą przed chwilą szliśmy, niosą się głosy.

– To Arkiści, jeśli nas złapią... – Dorian podąża wzrokiem w stronę, z której dochodzą dźwięki, a potem patrzy na mnie. Pokonuje dzielący nas dystans tak szybko, że z wrażenia wciągam gwałtownie powietrze.

– Co ty...

– Cicho. Nie ma innego powodu, dla którego moglibyśmy być tutaj o tej porze.

I nagle już rozumiem. Dorian usuwa resztki dzielącej nas przestrzeni, jego ciało przywiera do mojego. Wybucham śmiechem, dziwiąc się jego bezczelności, ale natychmiast przestaję pod wpływem rozpalającego się we mnie ciepła. Dłonie Dorian wślizgują się na moją talię z taką samą łatwością, co lata temu. Pewnie, jakby to było ich miejsce. Unosi drugą rękę, osłania moją twarz, przysuwa swoją bliżej.

Jego włosy opadają na moje czoło. Moje palce same je odgarniają, jakby ciało przypomniało sobie, co należy robić. Co zawsze robiło. Jego twarz wtula się w moją dłoń. Oboje zamieramy, zdając sobie sprawę, co się dzieje. Niczym maristąg wyczuwający pułapkę. Widzę, jak jego grdyka porusza się powoli, w górę i w dół. Pozostaję w bezruchu.

Dorian urósł przez ostatnie dwa lata. Ale ja też. Z jakiegoś powodu teraz pasujemy do siebie jeszcze bardziej niż kiedyś. Moja broda opiera się o zagłębienie między jego szyją a ramieniem.

Moje serce młóci rozpaczliwie o żebra.

To nie powinno mieć miejsca.

– Ty to zawsze wygrzebiez sobie jakieś problemy – rzuca Dorian, a skorupa jego głosu drży na moim gardle.

– Poradzę sobie z nimi sama.

– Nie w tym przypadku, moja gwiazdo – odpowiada.

Nieruchomieję przy jego ciele, nie dlatego, że we mnie wątpi, ale przez to, jak się do mnie zwrócił: moja gwiazdo, *sitara*. Tak zwracać się mogą tylko najbliżsi, którzy byliby gotowi za ciebie zginąć. Mama mówi tak do Lirii.

Ja go tego nauczyłam.

Odwraca wzrok na ułamek sekundy, zaciskając zęby. Jednak nie cofa tego, co powiedział.

Głosy stają się wyraźniejsze, zakłócają ciszę, która między nami zapadła.

– Zamknij oczy – dodaje Dorian, a potem, bez ostrzeżenia, przysuwa usta do mojego ucha. Nie wydaje mi się, by chciał go dotknąć, raczej tylko udawać. Jednak delikatne muśnięcie już wystarcza. Wrażliwa skóra pod moim uchem się rozpała, posyłając trzaskające płomienie we wszystkie strony.

Arkiści wychodzą za róg, pogrążeni w rozmowie.

– Ochrona cały czas ma tam pięćdziesięciu strażników. – Nie rozpoznaję, kto to jest dokładnie, ale już gdzieś słyszałam ten drażniący ton.

– A w środku mnóstwo Ziemców – odzywa się drugi. – Będą bardzo starannie sprawdzali każdego, jeśli uruchomi się alarm. A to co? Nie przy ludziach, dzieciaki. – Mężczyźni wybuchają śmiechem, a we mnie wzbiera gniew. Zaciskam palce na materiale koszuli Doriana. On dla przypomnienia obejmuje mnie mocniej i nieco się odwraca, żeby mnie zasłonić, udając przy tym, że śmieje się razem z rebeliantami.

– Dobrze, wujku – wypala wstydliwie.

– Ach, ta młodzież – mamrocze jeden z mężczyzn.

Idą dalej, a my zostajemy przyciśnięci do siebie, bojąc się poruszyć. Jednak łatwo wywnioskować z reszty rozmowy, że Arka Wolności planuje włamać się do królestwa Ziemców.

Kiedy znikają w głębi uliczki, cisza panująca we wnętrzu wydaje się zwiokrotniona. Dorian zabiera rękę, powoli, przeciągając je po mojej skórze, jakby nie chciał obudzić czegoś dzikiego i nieprzewidywalnego. Spoglądam na Dorianą spod firanki rzęs. Jest zaledwie parę centymetrów od mojej twarzy. Oddycha ciężko. Oczy mu błyszczą i mimo wszystko jestem przerażona, co to może oznaczać dla Najemców.

– Twoim zdaniem dokąd się wybierają? – mówię, starając się go wyczuć.

– Jeśli to ma się zdarzyć niedługo, pewnie chodzi o kolejne wydarzenie turnieju.

– Ceremonia Koronacji? Niemożliwe, by byli tak bezczelni.

– Wydajesz się zaskoczona – rzuca beznamiętnie. – Czy raczej martwisz się, że mogę cię powiązać z tą sprawą, bo trzymasz się trochę za blisko rebeliantów?

– Nieważne, co myślisz. Nigdy nie byłam zaangażowana w jakąkolwiek działalność rebeliantów.

Proszę, *proszę*, niech on nie donosi o tym ojcu. Ani Mistrzynie.

– Nie, nie wydaje mi się, by w ogóle zbyt wielu Najemców brało w tym udział.

Ściągam brwi.

– Gdyby faktycznie było ich tak wielu, dowiedzielibyśmy się, gdzie jest ten cały czarny rynek. Gdzie jest ten... Magazyn.

Nic nie mówię.

– Nie masz pojęcia, ile razy Mistrzynie Minos omal nie wyłysiała, próbując znaleźć tę kryjówkę – mówi Dorian z ponurym uśmiechem.

Przez jedną desperacką, zdradliwą chwilę zastanawiam się, co najgorszego mogłoby się stać, gdybym zdradziła tę lokalizację. Gdybym w ten sposób to wszystko zakończyła. Spalili mi dom. Możliwe, że zabili siostrę. I nienawidzą nas. Nienawidzą *mnie*. Jeśli to ja zaprowadzę Mistrzynie do Arki Wolności, może będzie o tym pamiętać. Może zyskam jej wdzięczność, a razem z nią – pomoc dla rodziny, zdrowie dla siostry.

Ta chwila szybko mija.

Wiem, co by się stało, gdyby Magazyn został odkryty. Arka Wolności i zdrajcy pewnie wyszliby z tego bez szwanku. Tych kilku pojmanyh pewnie by zginęło albo skończyło w oceanie. Jednak rzesza ludzi, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z rebeliantami, straciłaby jedyne źródło utrzymania albo nawet życie. Niewinni Najemcy nie zasługują na dożywocie gniewu zrodzonego z bólu i niedoli.

Na nocnym niebie pojawia się jaśniejsza luna. Nadchodzi wschód słońca, a wraz z nim nowy dzień. I drugi wyścig.

Między nami zapada cisza. Patrzę na Dorianą, raz jeszcze przez nieskończoną chwilę, źle oceniając dystans między nami. Szkoda, że stoimy tak blisko i czuję ciepło jego oddechu na skórze. Dotknęłabym go, gdybym się lekko poruszyła. Myślałam, że będzie mi łatwo znowu go oglądać, że jestem na to przygotowana, jednak ani w dniu rejestracji, ani dzisiaj nie było *łatwo*. Moje uczucia do niego nigdy nie były oczywiste; nigdy nie były takie, jak bym chciała.

Niebezpiecznie jest nie znać samej siebie.

– Przykro mi z powodu twojego domu – mówi.

– Dlaczego jest ci przykro? Przecież próbowałeś mnie *zabić*.

– To było w środku wyścigu. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Gdybym naprawdę chciał cię zabić, miałem na to szansę. Właściwie mam ją nawet teraz.

Niewiarygodne. Uwalniam się z objęć wnątki. Powietrze jest świeże, rześkie. Nagle zbyt rześkie. W oddali widzę swój dom. A raczej to, co z niego zostało. Stajnia za nim się zapadła, nie licząc samego tyłu. Ogień już prawie ugaszono, gdy dotarł do stajni, ale i tak zdołał dokonać tylu zniszczeń, że nigdy już żadne zwierzę nie znajdzie tam schronienia.

Dorian podchodzi do mnie od tyłu.

– Tak czy inaczej, nie życzę nic złego ludziom, którzy nie wchodzą mi w drogę. Takim jak twoja rodzina.

– Judas powiedział, że to był ogień zarguninowy – mamroczę, wpatrując się we wciąż rozplywający się w powietrzu dym.

– Judas Pereira?

Odwracam się, słysząc jego ton.

– Tak, przyszedł się ze mną zobaczyć.

Dorian uśmiecha się pod nosem.

– Oczywiście. Nie umie nie wtrącać się w nie swoje sprawy, co?

– Czyżbyś był zazdrosny? – mówię, tylko po to, by go zirytować.

Coś gaśnie w spojrzeniu Doriana. Jego głos staje się bezlitosnym szeptem.

– A co, jeśli tak?

Dudnienie wypełnia mi uszy, zagłuszając szum oceanu. Wzbiera we mnie wściekłość, jakiej jeszcze nie znałam. Zbliżam się do niego, wbijam palec w jego pierś.

– Ani mi się waż. Ty egoistyczny, arogancki dupku. Aż tak lubisz się nade mną znęcać, co?

On się odsuwa, zostawia mnie rozgniewaną. Zastanawiam się, czy znam odpowiedź na własne pytanie. Moje uczucia już dawno się wypaliły, pozostała z nich tylko ciekawość tego, dlaczego mnie zostawił. Może jego uczucia nigdy nie były prawdziwe. Właśnie dlatego jemu tak łatwo przychodzi traktowanie tego z dystansem.

Nigdy nie padło między nami słowo „kocham”. Myślałam, jak kretyńka, że czuliśmy to oboje. Teraz z pewnością go to bawi.

Na głównej arterii zdążył się już zrobić ruch. Rybacy wybierają się na ocean, wymizerowani sklepikarze podążają do swoich biznesów, a dzieciaki wracają w swoje kąty. W oddali słychać rozbijające się fale.

Idę do domu. I nagle się zatrzymuję, czując mdłości na widok zgliszczy. *Bezpieczeństwo i ciepło domowego ogniska*. Właśnie to straciliśmy – właśnie taką cenę zapłaciła moja rodzina przeze mnie. Odebrano im jedyną rzecz, która chroniła ich przed zewnętrznym światem.

Jeśli nie wygram Wyścigu Chwały, jeśli nie pokonam Doriana Akayana, nie tylko zostanę dziewczyną Najemców, która ośmieliła się sięgnąć zbyt wysoko i los pokazał jej, gdzie jej miejsce – stanę się przykładem kogoś, kto doprowadził swoją rodzinę do zupełnego upadku.

Ruszam w przeciwnym kierunku, w stronę Terrafortu. Raz jeszcze odprowadzają mnie spojrzenia i szept. Po takiej burzy emocji staram się zmusić do tego, by cokolwiek poczuć. Jednak zostaje tylko tępy ból w głowie.

Dorian jest kilka kroków dalej. Znowu włożył kaptur. Nikt go nie rozpozna. Ciekawe, ile razy w ten sposób wmieszał się w tłum Sollonii.

Alejka, w której mnie znalazł, znajduje się w jednym z najgorzej utrzymanych obszarów, nędznym do szpiku kości. To było zupełnie nieodpowiednie miejsce dla niego. A jednak czuł się tak swobodnie. Z tą samą swobodą krocząc siecią wąskich uliczek, ani razu się nie zatrzymał, wyprowadzając mnie stamtąd.

Tłum gęstnieje, skrzeczenie morskich stworzeń jest coraz głośniejsze. Będą mieli dzisiaj problem, żeby cokolwiek wyłowić. Pewnie lepiej iść na drugą stronę. Może za Drom. Jednak ten obszar jest często patrolowany przez Helix Stratis i strażników Sanktuarium. Nigdy nie dają spokoju

najemskim robotnikom, chociaż wielu strażników w czasie ataku stworzeń liczy na pomoc tych ludzi.

W tej samej chwili, gdy o tym myślę, z Terrafortu niesie się zgrzyt. Dorian staje i ja zaraz obok niego. Zarguninowe wrota opadają ciężko.

Oddech mi przyśpiesza.

– Co, do...

Ruszamy sprintem, próbując przedostać się na drugą stronę, zanim się zamkną. Cholera jasna! Moja rodzina tam jest i nie mają identyfikatora do sklepu, jeśli dzisiaj urzędnicy będą robić obchód... Oby Crane ich nie zostawiła.

Chociaż pędzimy z Dorianem tak szybko, że aż dyszymy z wysiłku, już wiemy, że to na nic. Uderzam dłońmi w twarde metal. Ból przeszywa mi ręce, dociera dreszczem do ramion.

Drzwi nie ruszają się nawet o milimetr.

– Otwórzcie! – wrzeszczę.

I w tej samej chwili syreny po obu stronach zapalają się czerwienią tak jaskrawą, że na chwilę tracę wzrok i równowagę. Zaraz rozlega się też pierwszy sygnał alarmowy.

I chwilę po nim drugi.

Oraz trzeci.



Dwadzieścia jeden

Sygnal alarmowy niesie się po całej wyspie, zagłuszając nawet ryk oceanu. Nie ma dokąd uciec. Czuję kwaśny posmak w ustach. Kolana mi drżą. Mogę uciekać w boczne alejki, ale wszyscy będą mieli zamknięte drzwi. Możemy liczyć najwyżej na jakąś niszę, jakąś zatoczkę między skałami.

Właśnie wtedy sobie przypominam. Złota Burza jest na zewnątrz, przywiązana do stajni. Na pewno poradziłyby sobie z ludźmi, ale z tak wieloma stworzeniami? Ze stadem krwiożerczych aquabatów? Może walczyć, ale bardzo łatwo mogą ją skrzywdzić. A co, jeśli się uwolni i wbiegnie do oceanu? Nie, muszę się dostać do mojej maristagi.

Czarna chmura skacze w niebo z burzącego się oceanu i frunie w stronę wyspy. Latające amfibiologiczne gady kierują się na nas. Po głównej arterii niosą się wrzaski.

– Dokąd ty się wybierasz? Chodź! – woła Dorian. – Musimy się schronić!

Setki, *tyście* aquabatów skrzeczą nad naszymi głowami. Na tle szybko jaśniejącego nieba, wciąż skąpanego w czerwieni na horyzoncie, latające stworzenia przypominają demony. Ich skóra wydaje się nakrapiana niczym krew w najczarniejszym atramencie. Ich skrzydła to mięśnie połączone membraną, służą też za przednie łapy, a z tyłu są zwieńczone szponami. Pod każdym skrzydłem znajduje się sieć cienkich, odsłoniętych kości, które z przodu mają błyszczące szczypce.

Ziemia się trzęsie i omal nie padam na twarz, ale Dorian łapie mnie w pasie.

– Mam cię!

Biegniemy z powrotem w alejki. Koziorożce pewnie już pędzą przez główną arterię, tak szybko, jak to tylko możliwe, a od ich kroków drży ziemia. Jednak aquabaty się rozdzieliły. Rozlatują się na wszystkie strony nad wyspą, nie tylko blisko Terrafortu.

W powietrzu nad brzegiem rozchodzą się głośnie, upiorne wręcz krzyki.

Rybacy!

Aquabat chwytając jakiegoś mężczyznę za ramię. Mężczyzna walczy i udaje mu się osłabić chwyt stworzenia, lecz kiedy pada na ziemię, młocąc rękami i wrzeszcząc, aquabat ponownie nurkuje, by go zaatakować i rozerwać na pół. Jego szczypce ociekają czerwienią.

Zbiera mi się na wymioty.

Za naszymi plecami rozlega się echo wystrzałów. Odruchowo padam, prawie skręcam sobie kostkę. W mojej głowie rozbrzmiewa przerażający dźwięk, kiedy gad leci wprost na nas, otwierając szeroko pysk. Widzę tylko ciemną otchłań jego gardła i cztery kły. Każda moja myśl, każde marzenie, każda nadzieja walczy, by nie przepaść w tej czeluści.

Rzucam się do tyłu, z trudem łapiąc powietrze. Musimy je wyprzedzić. Nie ma mowy, żebyśmy inaczej przetrwali atak tak wielu stworzeń.

Dorian pędzi za mną, jego kaptur jest przedarty na pół.

Wszędzie dokoła rozpryskuje się czerwień. Huragan szponów, szczypiec i kłów urządza krwawą łaźnię. Ludzie biegną, aquabaty atakują. Ludzie padają trupem w kałużach życiodajnego płynu. Pozbawiona twarzy, anonimowa masa.

Dudni we mnie zimny strach.

Zostaliśmy zupełnie sami, a Terrafort ma zamknięte wrota.

– Tchórze! – wrzeszczę.

– Zostaw to na później! – woła Dorian przez ramię.

Widzę to o sekundę za późno – stworzenie nurkuje i zatapia kły w ramieniu Doriana. Akayan macha zarguninowym kijem, lecz aquabat przyszpila go do ziemi. Kij leci w powietrze i ląduje u moich stóp. Chwytam go i wyjmuję też swój, a ciężar obu dodaje mi siłę.

Aquabat podnosi się na swoich szponach i otwiera potworne szczęki, skrzecząc i szykując się do ataku szczypcami, które ma na końcach obu skrzydeł.

Dorian umyka i stworzenie uderza głową w jego głowę, a ja w tej samej chwili wbijam mu kij w bok. Metal zderza się z twardymi kośćmi i membraną czerwono-czarnych skrzydeł. Aquabat piszczy i spada z Doriana, beładnie lądując na ziemi, pozbawiony przytomności siłą ciosu.

Akayan przeklina i podciąga jedną stopę do siebie, by unieść się na boku. Oddycha ciężko. Próbuje wstać, ale traci równowagę. Puls dudni mi głośno w uszach, gdy wyciągam rękę. Przez sekundę jego ciepły uścisk daje mi ukojenie.

Wstaje, przez chwilę jeszcze się chwieje, a potem zabiera ode mnie swój kij.

– Cholera jasna. Moglibyśmy się gdzieś schować, gdybyśmy pobiegli wcześniej.

Niebo pojaśniało, czerwień wschodu chowa się za blaknącym różem. I nic się nie zmieniło. Nadal otacza nas krąg śmierci. Ocean ryczy, na wyspie szaleją aquabaty. Ile ich tutaj jest? Znowu pędzimy, bo nie ma innego wyjścia.

Na samym końcu ulicy duża chmura latających gadów zbiera się wokół koziorożca. Stworzenie atakuje je swoimi pazurami, a strażnik na jego grzbiecie do nich strzela. Jednak zbliżają się kolejne. Coraz więcej.

Zupełnie jakby ocean Panthalassan zarządził koniec ludzkości.

Mija nas chłopiec z twarzą pokrytą krwią. Trzyma w ręku prymitywny nóż. Pada na kolana, dyszy. Przystaję, żeby go podciągnąć.

– Dziękuję – rzezi, cały roztrzęsiony. – Tyle ich... Tyle ich... Mój ojciec... jest przy brzegu...

Nic więcej nie mówiąc, odwraca się i znowu biegnie, nogi mu wyraźnie drżą, ale się nie zatrzymuje.

– Uważaj! – Dorian rzuca kijem jak dzidą. Przeszyty nim aquabat uderza w ziemię. Dorian ze wstrętem wyrywa z truchła broń. – Poszukajmy jakiejś kryjówki. – Chwyta moją rękę i pędzi do najbliższego zejścia z głównej arterii.

Gdy tylko docieramy do alejki, wypada z niej banda ulicznych urwisów, atakowanych przez latające gady. Z gardła wyrywa mi się krzyk. Aquabat rzuca się na mnie. Odskakuję do tyłu, ale mam wrażenie, jakby ramię przeszył mi ostry nóż. Słysząc odgłos *rrrwania* i nagle czuję lód po bokach ciała. Wiatr kłuje jak szpilki. Dorian gołymi rękami zrywa ze mnie stworzenie wielkości połowy siebie i miażdży o ścianę. Podnosimy wzrok. Aquabaty zalewają alejkę.

Wzbiera we mnie panika i zaciska mi gardło.

Pędzą w naszą stronę zakrwawione zęby, szpony i niezliczone pary oczu.

Zamieram.

– Na plażę! – woła strażnik, ciągnąc mnie do tyłu. – Trzeba je zepchnąć na plażę!

Wymieniamy z Dorianem przelotne spojrzenie, po czym biegniemy sprintem na brzeg.

Wszędzie dokoła są ludzie uzbrojeni w kamienie, noże kuchenne i wszystko, co udało im się znaleźć. Nad oceanem, niedaleko plaży, niesie się echo obrzydliwego chlupotania i gardłowych dźwięków. *Gdzie jest Złota Burza?* Rozglądam się, biegnę i nurkuję za osłoną, lecz nigdzie nie ma śladu mojej maristagi. Jeśli aquabaty ją dorwały, albo gorzej, spłoszyła się i zabiła człowieka...

Docieramy do frontu utrzymywanego przez grupę Najemców pod dowództwem strażnika na koziorożcu. Nie dają rady.

– Zabijajcie gady! – woła do nas strażnik. Doriana najwyraźniej nie obchodzi to, że ktoś do niego wrzeszczy. Jego złoto nikomu tutaj nie zapewni bezpieczeństwa.

Walczymy i wybijamy sobie drogę do obrzeży plaży. Dorian uderza aquabata pięścią, a ten od razu ucieka w niebo. Ręce mnie boją, ciągnie je w dół ciężar równy tonie żelaza, wyprowadzam na ślepo ciosy kijem na atakujące stworzenia. Skąd się wziął ten rój? Raptor w oceanie. Rój na lądzie. To chyba jakiś sądny dzień.

Odwracam się i w tej samej chwili aquabat gryzie mnie w stopę. Przez sekundę mogę tylko gapić się na fontannę krwi wypływającą z rany, potem w moich kościach rozpala się ból. Wbijam stworzeniu kij w czaszkę i padam na ziemię, rozbijając sobie głowę o kamień.

Dorian patrzy na mnie z przerażeniem, po czym natychmiast się odwraca, żeby dźgnąć kolejnego gada, odsłaniając przy tym swój bok. Jakieś szczypcy przebijają się przez lukę i trafiają w twarz mężczyzny przede mną, który zatrzymuje się tak blisko, że spływa na mnie posoka. Duszą mnie strach i mdłości. Pędzę do tyłu, ranię stopy o kamienie, szukam po omacku oparcia i w końcu udaje mi się uciec z chaosu.

Panika chwyta mnie za gardło.

Moja skóra jest śliska od ciepłej krwi.

Nie dam rady.

Wszędzie dokoła. Krzyki. Szpony. Groza. Powietrze jest gęste od metalicznego zapachu. Właśnie to wpędziło moją siostrę w chorobę. A teraz ja zginę. Rzucą moje ciało razem ze wszystkimi innymi do oceanu. Nigdy więcej nie zobaczę ani rodzeństwa, ani rodziców. Nie dowiedzą się, jak skończyłam. Aquabaty zjedzą mnie żywcem. Umrę w torturach. *Sama*. Zagubiona pośród wiatru i wody. *Zapomniana*. Nie słyszę już nic prócz własnego serca. Krew dudni mi w uszach. Rytmicznie. Echo w moim umyśle. *Echo*. *Wrzaski*. *Cisza*. *Za dużo*. *Za dużo*.

– Hej – mówi Dorian, klękając obok. Na jego twarzy widzę krwawe strużki. Wtedy dociera do mnie, jak mocno płaczę. Moje krwawiące dłonie oplatają kolana; moja sukienka jest podarta na strzępy. – Nic ci nie jest – powtarza raz po raz Dorian. – Nic ci nie jest. Będzie dobrze. Pokonamy tych sukinsynów i będzie dobrze. Wstań. No dalej, Koral.

Potem jest za blisko. Jego dłonie zakrywają mi uszy. Przechyla moją głowę do tyłu. Dźwięki bitwy cichną. Dorian przyciąga mnie do swojej piersi. I przestaję płakać. Świat dokoła rozpada się na kawałki i *wiem*, że nie powinnam ufać temu chłopakowi. Jednak w tej chwili czuję się tak bezpieczna, jak nie czułam się od dawna.

– Jesteś Łowczynią – mówi. – Walczysz i się nie poddajesz.

Kiwam głową, wciąż powstrzymując dreszcze, i sięgam po swój kij. Napływ motywacji tłumi pulsujący ból w moich dłoniach.

Dorian pomaga mi wstać.

Agonia w stopie rozpala się na nowo, zaciskam szczęki, żeby nie krzyknąć. Jednak rój tylko urósł. Jak mamy je pokonać? Spoglądam na Doriana. Na okrutną brutalność jego twarzy, nagle zmieniającą się w wolę życia. I wiem, że musimy. Od urodzenia nie mam innego wyjścia.

Ta ziemia szybko pokazała nam, jakimi byliśmy błaznami, uważając się za potężniejszych od nieugiętych lewiatanów w bezkresnym oceanie. Nie liczymy się w tym świecie, nigdy się nie liczyliśmy. Nasze przetrwanie jest raczej świadectwem uporu niż dominacji.

A ja jestem uosobieniem uporu.

Macham kijem, rysując łuki. Wrzeszczę i jęczę z bólu, ale się nie poddaję. Zaczynamy odpierać atak. Spychamy rój w stronę oceanu.

Walczymy razem z Dorianem, w skoordynowany sposób, by pilnować sobie nawzajem tyłów i uderzać jednocześnie. Koziorożec, którego wielka płetwa ogonowa wywołuje małe trzęsienie ziemi, rozrywa jednym ruchem rogu dziesiątki aquabatów. Po niebie niesie się ryk latających gadów. A potem martwe ciało strażnika zsuwa się z grzbietu koziorożca, by zadudnić na kamieniach.

Ogromne stworzenie spogląda na zwłoki i zaczyna wyć. Zatacza się, ale jakoś udaje mu się przypomnieć, czego się nauczył. Ogromne pazury wbijają się w ziemię w szybkiej serii, a ząbkowane rogi celują do przodu. Koziorożec skacze, lądując całe kilometry przed nami, w samym środku roju, rozganiając aquabaty. Otwiera wielką paszczę i połyka dziesiątki stworzeń jednocześnie.

Rzucają się na jego ciało, próbując odwrócić jego uwagę, lecz jedno machnięcie pokrytych łuskami płetw wystarcza, żeby posypały się niczym ziarenka piasku.

Podnoszę kij nad głowę i kręcę nim, odbijając najbliższe aquabaty. Uderzają w pobratymców i spadają na ziemię.

Szkoda, że nie ma tutaj wszystkich pięciu koziorożców. Jednak docierają do nas odgłosy walki

z głównej arterii, z całej wyspy. Musimy sobie jakoś poradzić, opanować ten fragment lądu i liczyć, że reszta stanie na wysokości zadania.

Przez arterię pędzą nowi strażnicy, uzbrojeni w pistolety i zarguninowe kije zwieńczone ogniem. Niebieskoszare płomienie głośno trzaskają i skaczą do nieba. Aquabaty zaczynają przed nimi uciekać. Ludzie wiwatują na ten widok. Później, w połowie szczytu Terrafortu, otwierają się luki, a w nich pojawiają się trzy działa. Strzelają jednocześnie. I czyszczą pół nieba.

– Co to jest? – wołam.

– Działa obronne! Zamontowali je trzy miesiące temu! – odpowiada zza moich pleców Dorian, dysząc i zrzucając kolejnego aquabata z klifu.

Przypływ triumfu daje mi nową energię do walki.

Obok mnie przebiega ktoś z kijem ogniowym, a niebieski blask przyciąga w naszą stronę latające gady.

Rysuję swoim kijem łuk, gładko ścinając głowę ogromnemu stworzeniu. Robię pauzę na oddech i odwracam się w drugą stronę. Wbijam kij w kolejne. Piruet i jeszcze jeden cios. Nagle moje ciało nabiera siły, jakiej nie znałam. Adrenalina krąży mi w żyłach. Atakuję aquabata, zrzucam go z jakiegoś mężczyzny, a potem posyłam kij z ziemi w niebo. Stworzenie wzlatuje niczym szmaciana lalka, po czym spada z klifu w ocean. Teraz nie ma już odwrotu. Ziemcy zobaczyli, jak walczę w Dromie, a Najemcy zobaczą, jak walczę teraz, na zewnątrz. Zapamiętają, kto nie poddawał się dla nich do samego końca.

Za dużym głazem rozlega się krzyk dziewczyny. Jej kij leży złamany.

– Biegnij do niszy! Schowaj się! – wołam i zaczynam czyścić dla niej drogę.

Szczypce tną mi cały bok. Ogień wybucha pod moją skórą, świeża krew obciąża przyklejone do ciała ubrania. Łamię swój zarguninowy kij na środku, chwytam obie połowy i pcham nimi w przód. Aquabat pada na ziemię. Kolejna kanonada wstrząsa wyspą. Są powolne, lecz efektywne.

Obracam się i patrzę na jatkę mimo potu zalewającego mi oczy. Palce zaczynają mi się ześlizgiwać z kija. Rój się przeredza, lecz podobnie ludzie broniący wyspy.

– Dorian! – krzyczę w chwili, gdy aquabat uderza w jego plecy. Mimo to Akayan obraca się i miazdzy stworzenie. Unosi wzrok, oddycha ciężko, jego twarz jest ciemna od krwi.

W niczym nie przypomina Dorian Akayana, marmurowego posągu.

Wydaje się taki żywy. Jakby był z krwi i kości. Jego oczy błyszczą niczym wzbijające się wysoko fale oceanu. I wiem w tej chwili, że gdyby Dorian Akayan nie był zakładnikiem systemu, w którym się urodził, byłby kimś innym. Byłby sobą.

Przez jedno uderzenie serca zastanawiam się, czy on też widzi we mnie kogoś więcej. Jednak ta myśl znika, zanim zdążę ją zrozumieć.

Czołgam się do Dorian, zostawiając po sobie mokry ślad krwi. Znowu walczymy razem. Jeszcze trzy. Cztery. Pięć. Tym razem tracę rachubę. Zawroty głowy zaczynają wygrywać. Muszę walczyć tak długo, jak tylko zdołam, ale czuję, że tracę siły. W naszą stronę leci wyjątkowo wielki aquabat. Z pewnością osiągnął rozmiary pięciu dorosłych. Odsuwamy się od siebie z Dorianem i zbliżamy do stworzenia z boku. Gad skrzeczy tak głośno, że wszystkie inne w okolicy odwracają się w jego stronę. Macha skrzydłami i wypada mi połowa włosów. Gdyby dotknął skóry, przeciąłby ją.

Następny zamach blokuje kijem. Siłę uderzenia czuję aż w kościach. Kopię zwierzę w zębra. Dorian wyprowadza cios od tyłu i aquabat skrzeczy z bólu. Dorian spycha go z klifu. Od razu rzuca się, by wesprzeć innego walczącego, strażnika z niebieskim płomieniem.

Odwracam się od nich, nogi mi się trzęsą od wysiłku. Nawet teraz widzę tylko płonący dom.

Moje płuca też płoną. Moje dłonie drżą. Nie mogę dłużej walczyć.

Aquabaty przegrupowują się i znowu tworzą chmurę, tak samo jak wtedy, gdy wyłoniły się z oceanu. To wszystko zmienia. Nagle stają się zbyt potężne. Strażnicy strzelają pociskami i rzucają podpalone kije. Jednak chmara ciągle się wzbija. I wzbija.

Aż nagle nurkuje i leci prosto w ziemię. Jak przekłeta kula. Działa nie są gotowe. Wbijam kij w piach i z trudem się prostuję. Chwila bezruchu sprawia, że ból dogania moje ciało. Stopa nadal krwawi. Widzę wyraziste kolory agonii: czerwień, czern, biel i żółć. Zaczynają mi opadać powieki.

Szykuję się na nadchodzący atak.

Nie zamierzam umierać jak tchórz.

Skrzek aquabatów dzwoni mi w uszach. Coraz głośniejszy i głośniejszy, a potem cały świat ciemnieje. Białe niebo znika za chmurą. Słyszę za plecami krzyki. Słyszę ryk ognia.

Z prawej leci na mnie duży aquabat. Wyciągam kij. Jestem gotowa zadać cios...

Moje odruchy przepadły. Ledwo rzęzę, kiedy szpony stworzenia łapią mnie za ramiona. Młóczę rękami, kij pada na ziemię. Z gardła wyrywa mi się krzyk. Szczypce kłapią milimetry od mojego oka, gdy szamoczę się ze szponami. Drapię palcami skórzaste skrzydło, lecz szpony zatapiają się głębiej. Ból rozsadza mnie od środka jak supernowa. Lepkie ciepło spływa mi po rękach, zbiera się w zagłębieniu przy obojczyku. Posoka tryska mi w twarz, aquabat skrzeczy i mnie puszcza.

A potem upadam.

Uderzam mocno w ziemię, lądując w kałuży własnej krwi.

Ból jest tak miazdzący, że nie potrafię myśleć o niczym innym.

Teraz ja płonę.

Próbuję odczołgać się na bok. Jednak dłonie mam śliskie. Tracę przyczepność, kaleczę sobie brodę. Czuję smak krwi spływającej mi do gardła.

Oddychaj.

Lecz żebra się zaciskają.

Nie mogę zaczerpnąć tchu.

Rozpaczliwy wydech porusza krwią na ziemi.

Nie mogę zostawić rodziny...

Światło za moimi oczami robi się białe.

Nie w ten sposób...

Kaszel jest falą bólu tak przemożnego, że chcę umrzeć.

Nie. Muszę wygrać i muszę żyć.

Gdzie jest Dorian?

Glupia jesteś, że polegasz na chłopaku, który próbował cię zabić.

Na ulicy niedaleko ląduje aquabat. Wwierca we mnie swoje czarne ślepie. Skrzeczy, rozciągając szeroko skórzaste skrzydła, kłapiąc szczypcami, po czym skacze.

Czy bycie pożerany żywcem boli?

W jednej chwili stworzenie jest w powietrzu, centymetry od mojej twarzy. W następnej pojawia się cień, rozbrzmiewa ryk wiatru i pół ciała aquabata znika. Tułów upada u moich stóp, zimna czarna krew miesza się z moją.

Patrę spod niemal całkiem opuszczonych powiek.

Złota Burza ląduje na tylnych nogach, jej przednie pazury wyrywają kawałek aquabata z pyska. Odwraca się do mnie. Ma kły mokre od czarnej krwi.

Wyrywa mi się szloch.

Złota Burza szarpie i odgania fruujące dokoła nas stworzenia. Łapie je w powietrzu. Aquabaty zaczynają się rozpierzchać. Otwiera się przejście. Moja maristaga stoi nade mną. Ryczy ostrzegawczo na latające gady, a te w odpowiedzi syczą.

Złota Burza patrzy mi w oczy. Schyla się. Stękam z bólu. Mimo to wyciągam rękę. Wyszarpuję zapięcie jej opaski. Samica ryczy, jej żabot rozdyma się i wystrzeliwuje trujące kolce na aquabaty.

Latające gady spadają niczym deszcz.



Dwadzieścia dwa

Budzę się gwałtownie, gdy na moją twarz pada jasne światło. Przez chwilę słyszę tylko kakofonię dźwięków, czuję jedynie absolutne przerażenie. Jestem na polu bitwy, otoczona. Moja pięść się zaciska na drapiącym białym materiale, którym jestem przykryta. Marszczę brwi i ciągnę za prześcieradło.

Powietrze jest przesycone ostrym zapachem środka dezynfekującego. Unoszę głowę.

Widzę biały pokój. Jakies kąty. Jakies krawędzie. Nad łóżkiem znajduje się duże okno. Wlewa się przez nie sztuczne światło słoneczne, jasne, lecz łagodne. Kobieta ubrana na srebrno czeka przed łóżkiem. Uśmiecha się.

– Och, świetnie, obudziłaś się. – Jej głos jest neutralny, nie do końca uprzejmy, ale też nie wrogi. Kobieta przygląda mi się uważnie, nie przestając się uśmiechać. Jakbym była jakimś okazem. Odwzajemniam to spojrzenie; nieznajoma ma dziwnie chudą sylwetkę, jakby jej czegoś brakowało. Oczy z przymkniętymi powiekami są osadzone w trochę nieludzkiej twarzy. Niewiele wiem o lekarzach i pielęgniarkach. Nigdy nie byłam w...

– Gdzie ja jestem? – pytam, rozglądając się. Pomieszczenie jest tak jasne, że można by przykleić ziarenko piasku do ściany i dałoby się je łatwo odróżnić. Nigdy wcześniej nie widziałam miejsca tak *czystego*.

– W Szpitalu oczywiście – odpowiada kobieta.

Serce zaczyna mi bić tak głośno, że jego dudnienie odbija się echem od ścian.

– Jak długo tu jestem? Gdzie są moi rodzice? Moja siostra? – Wypełnia mnie strach. Czy ja przegapiłam Wyścig Chwały?

– Twoja rodzina została poinformowana. – Kobieta sprawdza zegarek. – Zostałaś przywieziona godzinę temu.

– Słucham?

– Powinnaś już być w dobrym stanie, nie licząc niewielkiego dyskomfortu w klatce piersiowej, który potrwa kilka godzin. W końcu złamałaś sobie trzy żebra i przebiłaś płuco. – Ostatnie zdanie wypowiada jakby z przyganą.

Skupiam się na szukaniu źródła bólu. Moja skóra w paru miejscach łaskocze, lecz żadna część ciała nie boli. Siniaki zniknęły. Dotykam twarzy. Żadnych skaleczeń.

– Jak to możliwe? Powiedziałaś, że jestem tutaj od godziny.

– Co masz na myśli? – Reaguje, jakbym zapytała, czy w oceanie jest woda.

Ostrożnie przeciągam dłonią po klatce piersiowej. Miałam złamane żebra. I głęboko rozcięty bok. Aquabat ugryzł mnie w stopę. Jestem zupełnie pewna, że te wszystkie rzeczy się wydarzyły. Nie powinnam w ogóle żyć. Czy cały ten atak był tylko wytworem mojej wyobraźni?

Nawet wcześniej przecież cały tydzień cierpiałam katusze.

– Nie rozumiem, jak mogłam zostać uleczona w godzinę. – Moje ciało jest sprężyste i wydaje się dziwnie *nowe*.

Włosy po prawej stronie zostały skrócone, żeby pasowały do tych po lewej.

– No cóż, oczywiście umieściliśmy cię w medmuszli.

– Medmuszli?

Zamiast wytłumaczenia słyszę tylko:

– Mistrzynie zdecydowała, by tym razem zrobiono wyjątek. – W dalszym ciągu się uśmiecha. Nawet kiedy się odwraca, by odłożyć notatnik po zapisaniu kilku rzeczy, ten uśmiech nie znika. Przedziwne. – Może się przygotujesz. – Wskazuje stertę równiutko ułożonych ubrań. – I wyjdziemy. Mistrzynie prosiła, żebyś przysłała do niej, gdy tylko się obudzisz.

Zauważam lustro wiszące naprzeciwko łóżka i przyglądam się uważnie swojej twarzy.

Połowa mojego tatuażu zniknęła. Zupełnie jak u Emrika. Dotykam pozostałych czarnych łusek, wodzę po nich palcami. Smutek ściąga mi ramiona. Odwracam się od swojego odbicia.

Materiał czarnych spodni i białej koszuli jest sztywny, nie nadaje się do polowania. Tak czy inaczej, wszystko jest lepsze od tych strzępów, które zostały uprane i bezceremonialnie rzucone obok nowych ubrań. Niemniej zabieram sukienkę.

Szpital Ziemców jest wielkim heksagonalnym budynkiem z metalu i szkła, z którego otwartej, środkowej części można zobaczyć podwórze na dole. W każdym kącie czuć zapach ostrego, nierozcieńczonego środka czyszczącego. Lekarze i pielęgniarki ubrani w srebro i zieleń poruszają się z robotyczną precyzją. W sterylnych korytarzach widać szeregi drzwi i wyraziste czerwone etykiety.

O ironio, to miejsce wydaje się martwe.

Przechodzimy przez szklane drzwi, za którymi znajduje się kilka skanerów medycznych wielkości dorosłego człowieka. Nad drzwiami widać napis: „Nieczynne”.

– Medmuszla – tłumaczy pielęgniarka, zauważając moje spojrzenie – jest urządzeniem wynalezionym przed epoką Renesansu na podstawie świętej wiedzy medycznej Starszyny Empirejskiej. Czyni prawdziwe cuda i sprawdza się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków.

– A co się dzieje z pozostałymi pięcioma procentami?

Pielęgniarka tylko się krzywi. Przynajmniej chociaż na chwilę przestała się sztucznie uśmiechać.

Nawet przy tych statystykach gdyby Najemcy mieli dostęp do takiego leczenia...

Ale nie mamy. Jestem Łowczynią i nawet nie wiedziałam, czym jest medmuszla.

Gdyby Liria przeszła taką terapię, czy też zostałaby uleczona w godzinę? W głowie mi się kręci. Gdyby tylko dostała taką szansę, *gdyby tylko*.

Ciągle karmią nas tekstami o ograniczonych zasobach i priorytetach. Oficjalna wykładnia jest taka, że żyjemy w trudnym świecie i nie możemy pozwolić sobie na wszystko.

Zasoby marnowane w czasie Wyścigu Chwały pewnie spadają z nieba.

Winda przed Szpitalem jedzie trzy piętra w dół, do gwarnej ulicy pełnej budynków administracji. Mijają nas idący szybkim krokiem ludzie z udręczonymi twarzami, którzy mamroczą coś do siebie. Ubrojony strażnik zastępuje pielęgniarkę i mnie prowadzi, skręcając raz w lewo, raz w prawo, a potem cały czas prosto, aż wszystko się kończy i przestrzeń robi się ponura, podobna do samotności, jaką poczułam w willi Mistrzynie. A może to raczej przywilej?

Kiedy docieram na miejsce, Dorian już tam jest, stoi przed biurkiem z dłońmi splecionymi na plecach. Odwraca się do mnie na krótko i zaraz znowu patrzy przed siebie. Jego rany również zniknęły.

Biuro ma sufit zwężający się aż do samego czubka. Czuję się mała, żałuję, że nie wiem, jak się zachować, co powiedzieć. Jak ludzie mogą zabrać głos w tak ogromnej sali, nie czując strachu?

W mocnym świetle dwóch czerwonych lamp białe włosy Mistrzynie wydają się ociekać krwią. Minos siedzi za wielkim biurkiem, na wysokim krześle z rzeźbionego drewna, którego tył pnie się do góry, tworząc coś w rodzaju korony za jej głową. Wcześniej widziałam się z Mistrzynią w jej publicznym biurze, nie prywatnym. Jedynie Emrik był tutaj z ojcem. Nigdy nie wspominał mi o tym krześle.

Odrywam od niego wzrok i spoglądam na Mistrzynię. Jednak nie w jej oczy, których białka również płoną demoniczną czerwienią. Nawet ja znam swoje ograniczenia.

Jej cienkie palce – wyglądają jak *noże* – są splecione pod brodą.

– Dzisiaj rano wydarzyła się tragedia – mówi poważnie. – Straciliśmy wielu ludzi, a każda śmierć to nieszczęście. Oboje zasłużyliście na wdzięczność całej wyspy.

– Dziękuję, Mistrzynie – odpowiadamy z Dorianem jednocześnie.

– Chciałam osobiście was poinformować, że Wyścig Chwały odbędzie się zgodnie z harmonogramem. Drugi wyścig rozpocznie się za pięć godzin.

W końcu to nie Ziemcy będą dzisiaj wyprawiać pogrzeby. Wbijam paznokcie w dłonie i czuję się trochę bardziej sobą. Mam szczęście, że w ogóle mogę o tym myśleć, bo zostałam uleczona. W mojej głowie kiełkuje pewien pomysł. Jeśli Mistrzynie zdołała umieścić mnie w Szpitalu, nasza pomoc musiała w jakiś sposób przeważyć szalę. Strażnicy Ziemców, treserzy koziorożców – musieli zauważyć, musieli o mnie wspomnieć.

Czy mogłabym... o coś poprosić?

– Mistrzynie Minos? – zaczynam.

Unosi jedną ostrą brew.

– Tak, Koral?

Przez moment zbieram siły.

– Jestem pewna, że już pani wie, że nasz dom i stajnia zostały zniszczone.

– Tak, tragiczny wypadek. – Przygląda mi się z intensywnością raptora czekającego na ruch ofiary. Ani brzeg jej sari, ani nakrycie głowy nie poruszają się choćby o milimetr.

– Cóż... nie wierzę, że to był wypadek.

Mistrzynie nie reaguje w żaden widoczny sposób i wtedy dociera do mnie, że jej to nie obchodzi; chyba że sprawię, by zaczęło ją obchodzić. Mam nadzieję, że nie popełniam błędu. Biorę głęboki wdech i wyrzucam z siebie:

– Uważam, że to była robota rebeliantów.

Jej oczy błyszczą jak połyskliwe meble w tym pomieszczeniu. Na biurku leży mały czarny przycisk do papieru. Zapewne obsydianowy. Dorian się porusza; tak nagle, że to musi być instynktowna reakcja. Prawie zapomniałam o jego obecności.

– Skąd to wiesz? – pyta cicho Mistrzynie. – Możesz podać jakieś nazwiska?

Przełykam ślinę. Nie, nie mogę. Mimo wszystko jeśli podam nazwisko farmaceuty albo nawet wskażę tamtą grupę w alejce, cały szereg sklepów i mieszkających w nich rodzin spłonie. Nie mogę im tego zrobić. Nie po tym, co się wydarzyło dzisiaj rano. A co, jeśli jeden z nich wyda Crane?

Dlaczego w ogóle się odzywałam?

Próbuję innej taktyki.

– Przyszedł do nas pewien człowiek. Nigdy wcześniej go nie widziałam, ale nas ostrzegł. Poszlibyśmy to zgłosić strażnikom, ale to był nieznajomy. Nigdy wcześniej go nie widziałam – powtarzam.

Mistrzynie Minos unosi podbródek. Jej nakrycie głowy pozostaje idealnie na swoim miejscu. Jednak znam ten wyraz twarzy, ten absolutny autorytet, dzięki któremu Aiala Minos była Mistrzynią Sollonii przez ostatnie trzydzieści pięć lat. To kamienne spojrzenie to powód, dla którego nawet ci, którzy razem z nią sprawują władzę, nigdy nie będą kwestionować jej decyzji.

– Mogłabyś opisać tego człowieka strażnikom, żeby stworzyli portret pamięciowy?

– Tak – odpowiadam szybko. Może po prostu opiszę tamtego martwego jeźdźca koziorożca. Przecież nie będą ścigać trupa.

Rozmowa wydaje się zakończona. Jeśli Mistrzynie nas odeśle, to koniec. Dlatego ciągnę:

– Czy mogłabym o coś panią prosić?

Jakiś mięsień drży w kąciu jej ust.

– O co chodzi?

– Zeszłej nocy w pożarze ucierpiała moja siostra. Jest w śpiączce. Medyk powiedział, że gdyby trafiła do Szpitala, mogliby przeprowadzić różne badania i rozpocząć leczenie. – Chociaż bardzo tego nie chciałam, drży mi głos. Ta myśl jest zbyt poważna, zbyt bolesna, żeby ją wyrażać słowami. – Proszę, Mistrzynie. Czy to możliwe, żeby została przyjeta? Do Szpitala?

Nie ruszaj się. Po prostu stój w bezruchu.

Wtedy wydarza się niezwykle cud. Mistrzynie się uśmiecha.

– Oczywiście, Koral Łowczyni. Po tym, co zrobiłaś dla naszej wyspy, stając razem z nami

przeciwko rebeliantom, to będzie nasz podarunek dla ciebie.

Wszystko wydaje się trochę lżejsze, trochę jaśniejsze. W końcu właśnie o to walczyłam. Właśnie na to czekałam. Przykładałam dłoń do serca i powtarzam słowa, których nauczyliśmy się z Emrikiem jeszcze w dzieciństwie:

– Jesteśmy Łowcami, lojalnymi wobec Sollonii i wobec pani.



Strażnik odprowadza nas do windy. Dorian jak dotąd nie odezwał się ani słowem. Myślałam, że mamy to już za sobą.

Ulica jest tak samo zatłoczona jak wszędzie, chociaż w niczym nie przypomina bocznej alejki Najemców. Nie ma brudnych ścian i kamieni wystających na środku drogi. Wydrążona grota jest schowana za budynkami i lampami sztucznego dnia i nocy. Dopiero kiedy mocno zmruję oczy, skupiając wzrok na wąskim przejściu między dwoma budynkami, dostrzegam ściany Terrafortu.

Dorian pierwszy wchodzi do windy. Marszczę brwi, ale podążam za nim, a on w tej samej chwili mówi:

– Hej, czy to jest pomocnik Mistrzynie?

Strażnik się odwraca, przechylając głowę, a winda zaczyna się zamykać.

– Gdzie...? Och, czekajcie!

Dłoń Dorianą zawisa nad panelem.

– Próbuje, ale się nie zatrzymuje! Jedź następną, poczekamy – krzyczy, gdy drzwi zamykają się tuż przed twarzą strażnika.

Patrzę na niego zdumiona.

– No dobra, to co ty właściwie przed chwilą zrobiłaś? – mówi spokojnie.

Zupełnie jakbym popełniła jakieś przestępstwo.

– Moja siostra jest w śpiączce – cedzę. – Nie mogę sobie pozwolić na rozważanie, co jest dobre, a co złe.

– Myślisz, że załatwiłaś siostrze *pomoc*?

– Wydawało mi się, że zdaniem twojego ojca Mistrzynie doprowadzi Ziemców do ruiny tylko dlatego, że pozwoliła mi się ścigać, a ty chyba się z nim zgadzasz. Czyżbyś teraz uważał inaczej?

Patrzy na mnie, ma przyspieszony oddech.

– Mistrzynie nikomu nie pomaga. Nie wręcza podarków. A już na pewno nie Najemcom.

Krew napływa mi do policzków.

– Wiem, że nie staję po niczyjej stronie. Nie jestem głupia.

Jak on śmie myśleć, że wie lepiej ode mnie? Przecież to mój sposób na przetrwanie: wykorzystywanie każdej sytuacji najlepiej, jak potrafię. Skoro miałam okazję stanąć przed Mistrzynią, nie mogłam pozwolić, by taka szansa się zmarnowała. Zwłaszcza jeśli na szali znajduje się życie mojej siostry. Dlaczego on tego nie rozumie?

Dorian bierze głęboki wdech i wbija wzrok w podłogę. Za chwilę dotrzemy do Wielkiego Bazaru na poziomie wejścia do Terrafortu.

– Zapomnij, co usłyszałaś od tamtych rebeliantów. Jeśli Mistrzynie znowu po ciebie pośle, nic jej nie mów. Jeśli naprawdę wiesz coś na temat rebeliantów i ich działań, powiedz *mnie*.

Unoszę brew.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo cię o to proszę.

Przypomina mi się pewne wydarzenie. Leżałam wtedy zapłakana na ziemi, a Dorian kazał mi *wstać*. Mógł mnie tam zostawić. Gdybyśmy się zamienili miejscami, gdyby to on miał atak paniki, a ja szansę na ucieczkę, choć porzuciłabym rywala z Wyścigu Chwały, wykorzystałabym ją. Myślałabym wtedy o Lirii.

On postąpił inaczej.

Tylko czy to oznacza, że wybaczam mu poprzednie groźby?

– Nie muszę robić nic, co mi każesz. I trzymaj się z dala od moich spraw.

– Nie ufasz mi, chociaż walczyliśmy dosłownie ramię w ramię i uratowaliśmy sobie nawzajem życie? Zrobiłem to tyle razy, a ty wolisz zaufać Mistrzynie? Ona wie, jak przekreślić każde słowo wypowiedziane w jej biurze. Znajdzie sposób na to, by wykorzystać twoje przeciwko tobie.

– Jeśli swoje działania wobec mnie nazywasz *ratowaniem życia*, to chyba nie chcę wiedzieć, co w twoim słowniku oznacza wyrządzenie komuś krzywdy – rzucam. – Chciałeś mnie zabić, dopóki twoje własne życie nie było zagrożone. Wybacz, że nie traktuję cię teraz poważnie. Dlaczego tak się denerwujesz? Bo Najemca dostanie leczenie zarezerwowane dla Ziemców?

Zaczyna rechotać. To nie jest cichy i pełen frustracji śmiech.

– A dlaczego właściwie próbujesz mnie zabić? – pytam, zanim znowu zawstydzanie mnie ujdzie mu na sucho.

Cichnie. Przysuwa się, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Żebyś przestraszyła się na tyle, by *spieprzyć* z tego wyścigu.

To nijak ma się do odpowiedzi, której się spodziewałam. Przyglądam się jego masce spokoju. Dręczy mnie myśl, że jego intencją było wytrącenie mnie z równowagi. Chciał mnie wkurzyć, powiedzieć coś tak absurdalnego, żebym nie mogła tego zignorować. W końcu bez względu na to, co się dzieje poza torem, Dorian Akayan w dalszym ciągu jest moim rywalem. Czy to się choć na chwilę zmieniło?

– Donikąd się nie wybieram. Zamierzam tutaj zostać i odebrać ci koronę. Chcesz wiedzieć, dlaczego gniew jest moją jedyną odpowiedzią? Właśnie dlatego. Negocjacje nigdy nie działają. Dlatego przestań się starać coś dla mnie robić. Jednego dnia próbujesz mnie zabić, a następnego nazywasz to ratowaniem.

– Ja tylko próbowałem – warczy. – Mój ojciec cię *naprawdę* zabije, Koral.

Przez chwilę tylko na niego patrzę. Wiem, że nie kocha swojego ojca. Ich relacja wydaje się równie pokręcona i trudna, co moja z moim ojcem. Gdyby mój próbował kogoś zabić... Nawet sama myśl o tym jest wstrętą.

– Czy to dlatego wtedy odszedłeś? – To wyjaśnienie opada na mnie niczym popiół po pożarze. Przez cały ten czas odpowiedź była aż tak prosta? Zawsze nienawidził swojego ojca, zawsze bał się tego, co by się wydarzyło, gdyby Solomon się o nas dowiedział. Bał się o wiele bardziej niż ja. Ja miałam Emrika i Crane. Jego nikt nie wspierał.

Czyżby nie wierzył, że poradzę sobie z prawdą, którą być może znałam od samego początku?

Dorian odwraca wzrok, przełyka ślinę.

– Jeśli moje życie jest nadal zagrożone, zasługuję na to, by o tym wiedzieć – mówię powoli, ostrożnie. Muszę wiedzieć, bo nie mogę zniknąć. Jeśli zniknę teraz, co się stanie z moją rodziną? Czy Mistrzynie dotrzyma słowa, jeśli nie będzie czuła żadnej publicznej presji? – Nie jesteś swoim ojcem, Dorianie. Proszę, powiedz.

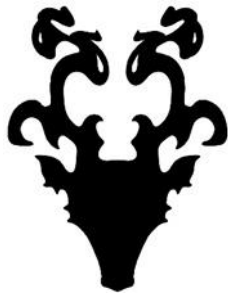
Kiedy znowu na mnie patrzy, nie jest tym samym chłopakiem, którego widziałam dzisiaj rano na głównej arterii. To Dorian Akayan, ten na banerach. Jego spojrzenie jest ciężkie, gdy mówi:

– Musisz odejść. Teraz. Nie obchodzi mnie dokąd. Ale musisz się znaleźć poza zasięgiem mojego ojca. Jeśli trafisz w jego ręce, nikt ci nie pomoże. Nawet ja.

– Dokąd miałabym uciec? – mówię cicho, podnosząc na niego wzrok.

Nie dostaję odpowiedzi.

Taki wielki świat, a nie ma ucieczki. Dla żadnego z nas.



Dwadzieścia trzy

Wielki Bazar to kakofonia głosów.

Bezpośrednio po ataku – zgodnie z porannymi wieściami był największy od pięciu lat – w większości sklepów nie ma ruchu. Jednak tłumy i tak się pojawiły, z pytaniami i domysłami na ustach; wszyscy są bardzo zainteresowani szczegółami tragedii. Zbierają fakty albo to, co uchodzi za fakty. Liczą ciała. Im gorzej, tym lepiej. Im bardziej tragiczne, tym bardziej ekscytujące.

Mam nadzieję, że ta okrutna radość czerpana kosztem innych oznacza, że wreszcie przestaną mówić o naszym pożarze. Potrzebujemy chwili spokoju. Przynajmniej moi bliscy byli wtedy w Terraforcie, bezpieczni.

Dorian idzie obok mnie. Zgodziliśmy się bez słowa: nie ma już nic do powiedzenia. Po długiej chwili roztrząsania tego w końcu pytam:

– Nie musisz iść do domu?

– Moje stajnie są tutaj. Zamierzam tam poczekać do drugiego wyścigu.

– A twoja rodzina nie chciałaby wiedzieć, że jesteś cały i zdrowy?

W odpowiedzi tylko prychnęła.

Kiedy wchodzimy do głównego holu, od razu zauważam Crane. Chodzi w kółko, przygryzając usta, a sądząc po tym, jak tarasuje wejście, czeka na mnie. Zanim zdążę odsunąć się od Doriana, Crane unosi wzrok. Jej wyraz troski znika, gdy tylko zauważa go obok mnie.

– Do zobaczenia na wyścigu – mówi Dorian.

Ledwo udaje mi się cokolwiek odpowiedzieć.

Dorian przechodzi obok Crane, irytująco powoli, ich spojrzenia spotykają się na nieskończenie długi moment. Myślałam, że nic ich nie łączy, że w niczym siebie nie przypominają. Jednak się myliłam.

Mają w sobie ten sam gniew. Tę samą rozpacz w oczach.



Brama Terrafortu jest znowu otwarta, wszyscy opatulają się ciasniej w obronie przed zimnym wiatrem. Jest zupełnie tak, jakbym szła między trupami, a strażnicy w czerni i czerwieni dbają o to, by martwi nie zbaczali z drogi.

– Czy z Lirią wszystko w porządku? Z Emrikiem? – pytam. *I moją Złotą Burzę*, myślę. Muszę ją znaleźć, ale muszę też zobaczyć rodzinę.

– Nic się nie zmieniło. – Crane macha ręką. – Chociaż Emrika prawie wyrzucili, kiedy narobił zamieszania po tym, jak dotarli do nas wieści o tobie. Chciał cię od razu zobaczyć.

Klnę pod nosem. Mój brat jak zwykle nie ma instynktu samozachowawczego.

Gdy tylko wchodzimy na taras Agory, Crane się odzywa:

– Dlaczego prowadzasz się z Dorianem?

– Wpadliśmy na siebie tuż przed atakiem.

– Zrób coś głupiego jeszcze raz, a wtedy nie tylko Emrik ci powie „a nie mówiłem”.

– Crane...

– Po prostu chciałam, żebyś wiedziała, co o tym myślę. Jak popełniasz ten sam błąd dwa razy,

to już nawyk.

Rumienię się. Przez gniew, upokorzenie, wstyd.

– Nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego i ja tak samo. Wszystko wróci do normalności po zakończeniu Wyścigu Chwały. On będzie udawał, że nie istniejemy, a my nigdy więcej nie będziemy musiały z nim rozmawiać.

Ta myśl pozostawia w moich ustach słodko-gorzki posmak.

– Nic już nie będzie jak kiedyś – mamrocze Crane. – Nie, jeśli Arka będzie miała na to jakiś wpływ.

Chwytam ją i zatrzymuję.

– Trzymasz z nimi nawet po tym, jak spalili mój dom? Jak pozbawili nas jedyne schronienia?

– To nie są rebelianci Sollonii – odpowiada. – Przyjmują rozkazy od lidera frakcji. Nie możemy wszystkich kontrolować. Ale zapłacą za to, co zrobili. Kiedy dostaniemy plany, Gorzknica pójdzie do... – Milknie i taksuje mnie spojrzeniem. Kiedyś patrząc na mnie zawsze miała błyszczące oczy, pełne radości, zaufania, bliskości. Tego już nie ma. – Jeśli nam pomożesz, możemy ich zaprowadzić do liderów Arki. Twoje informacje na temat... pewnych miejsc... mogłyby zaważyć na realizacji planu Arki.

To irytujące, że zawsze przy mnie tańczy wokół sekretów Arki. Zupełnie jakby wiedziała, jak blisko jestem – byłam – zdradzenia ich.

Jednak jak mogę zdradzić coś, w co nie wierzę?

– Przykro mi, ale wam nie pomogę. Wiem, że kiedy wygram, Rada będzie grzebać w mojej przeszłości. Do końca życia będą mnie obserwować. Nie dam im żadnego powodu do pozbawienia mnie korony Czempionki.

– Nie miałam pojęcia, że odwracasz się od wszystkich – rzuca Crane. – Myślałam, że we właściwym momencie będziesz gotowa wystąpić przeciwko Ziemcom. Czego tak się boisz?

Próbuję coś powiedzieć, argumentować, znowu krzyżeć – frustracja z powodu kompletnego niezrozumienia ze strony Crane jest jak dźgnięcie w brzuch. Zawsze była jedyną osobą, która niezmiennie rozumiała węże niepokoju wijące się w moim umyśle, a teraz nagle nawet nie chce mnie *śłuchać*. Co mam robić?

Zamiast kolejnej bezcelowej kłótni wybieram, co dziwne, prawdę.

– Nikt nie chce *śłuchać* o moich powodach. Na powierzchni zawsze trwa walka o przetrwanie. A niektórym ludziom się wydaje, że świat sam się naprawi, jeśli go zniszczysz i odbudujesz. Może ci, którzy naprawdę walczą o zmiany, a nie destrukcję, osiągną to, czego pragną. Może pragnienie walki płonie tak silnie w ich sercach, że to im wystarcza. – Spoglądam na swoje dłonie. Odciski zniknęły. Tak samo blizny. Lata ciężkiej pracy wymazane jedną, niezasłużoną godziną. – Widziałam kobietę, która zestarzała się, czekając samotnie na progu na powrót syna. Widziałam cuda, które sprowadzały z powrotem ludzi dotkniętych śmiercią. To takie proste, Crane, chcę życia, w którym mojej siostrze niczego nie będzie brakowało. Tyle.

– A co ze wszystkimi innymi? Oni nie mają sióstr? Rodzin?

– Każdy inny Najemca tamtego ranka dostałby antidotum na jad maristaga, Crane. Każdy inny. A teraz wybac, muszę się zobaczyć z rodziną.



Ojciec i Emrik siedzą przed sklepem, opierając się o filar.

Brat splótł dłonie i przycisnął je do ust, wbijając łokcie w uda. Kiedy ostatni raz coś jadł? Nagle ciężą mi powieki. Wszystkie zapasy spłonęły razem z domem. Nie mamy pieniędzy, nie mamy jedzenia, nie mamy żadnych ubrań na zmianę.

Jeszcze trzy dni. Jeszcze trzy dni i będę dla nich miała morze złota.

Emrik zauważa mnie jako pierwszy. Mruga, jakby się obudził ze snu, wstaje i miażdży mnie w uścisku.

– Słyszeliśmy... Myśleliśmy, że... Wyszli strażnicy i wszystko zostało zamknięte. To był koszmar, te wszystkie krzyki i hałas. Słyszeliśmy koziorożce, prawda? Jesteś cała? Wyglądasz...

Przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami, zauważając *brak* zagrażających życiu obrażeń, które powinnam mieć na sobie. Przysuwa się bliżej, kładzie mi jedną dłoń na ramieniu, drugą na policzku, w miejscu na wpół usuniętego tatuażu. Jego palce są zimne, szorstkie, tak jak moje kiedyś. Jest tak zbity z tropu, że wygląda jak dziecko.

– Jak...?

– Jestem cała – odpowiadam i spoglądam mu w oczy.

On tego nie rozumie. Zdejmuję jego dłoń z ramienia i ściskam. *Zaufaj mi.*

– Tato, mam – mówię, wychylając się przez próg, żeby zawołać matkę. – Mam wieści. Mistrzini zgodziła się na przyjęcie Lirii do Szpitala. – Zalewa mnie radość, że w końcu mogę to powiedzieć rodzinie. Nie potrafię powstrzymać durnego uśmiechu.

A przynajmniej do czasu, kiedy zauważam, że nikt nie podziela mojej ulgi. Mama ma proste plecy, stoi w drzwiach.

– Dlaczego? – pyta Emrik.

– Co: dlaczego?

– Dlaczego Ziemcy mieliby się na to zgodzić?

– Mistrzini powiedziała, że to wyraz ich wdzięczności za moją walkę z aquabatami.

– Dlaczego byłaś na zewnątrz, a nie tutaj? I to teraz, w tak trudnym momencie...

– WYSTARCZY. – Ojciec wstaje. – Liria pójdzie do Szpitala. Słyszeliście medyka – dodaje, kiedy Emrik patrzy na niego z niedowierzaniem. – Wyleczą ją. Koral dobrze postąpiła.

Mój brat opuszcza zrezygnowany ramiona. Ojciec pierwszy raz stanął po mojej stronie. Żadne z nas nie jest do tego przyzwyczajone.

Ojciec siada znowu na podłodze, a mama chwyta go za rękę. Są blisko siebie, lecz każde patrzy w inną stronę. Mimo to wiem, co czują. Bo ja też to czuję.

Oto umierająca nadzieja znowu ożyła.

~

Postanawiamy, że to mama zabierze Lirię do Szpitala, podczas gdy Emrik i ojciec zostaną w sklepie, żeby obsługiwać klientów i w ten sposób uniknąć wydalenia. W tej chwili to nasze jedyne schronienie. Po tej decyzji wyruszam na poszukiwania maristagi. Potrzebuję godziny, żeby ją namierzyć. Sprawdzam różne miejsca wokół Terrafortu, dokąd po mnie przysła, potem na głównej arterii i przy brzegu. Ale oczywiście odnajduję ją odpoczywającą za resztkami naszej stajni, jedyne znajomego jej miejsca.

Leży w cieniu osmolonego dachu, w połowie na słońcu. Z boku po jednej stronie leży sterta na wpół zjedzonych ciał aquabatów. Raz jeszcze Złota Burza mi przypomina, żebym traktowała jej naturę z właściwym szacunkiem.

Jednak na mój widok podnosi głowę. Spogląda na mnie poważnie.

Nazywają te stworzenia potworami, ale dlaczego? Bo mają szpony, kły i wyglądają strasznie? Nie, są potworami, bo my je nimi uczyniliśmy.

Klękam przed nią, poza zasięgiem jej poroża.

– Dziękuję – mówię ciepło. – Uratowałaś mi życie.

Może nie rozumie słów, ale z pewnością rozumie moje zaufanie i wdzięczność.

Powoli, nie przerywając kontaktu wzrokowego, przechyla głowę jeszcze bardziej, opuszczając poroże.

Uśmiecham się.

– Chodź, musimy wygrać wyścig.



Dwadzieścia cztery

Tędy, proszę – mówi treser. Spoglądam na stanowiska, zamknięte i puste, a potem znowu na niego. Wskazuje mi kąt Sali Woźniców, który wygląda jak ściana. Potem jednak dostrzegam w niej wycięte nieduże drzwi i wąską rampę prowadzącą w górę. – Do łoża nad nami – dodaje.

Ten wyścig będzie inny niż wszystkie.

Jedynym źródłem światła na pochyleniu jest to wpadające przez drzwi za naszymi plecami. Złota Burza nie chce się ruszyć, dopóki nie zejść z rydwanu i nie pójść przed nią, niepewnym krokiem, co kilka sekund sprawdzając dystans dzielący mnie od jej poroża.

Wychodzimy na zwykły korytarz. Po prawej stronie znajduje się łoża z widokiem na arenę, mniej więcej na poziomie pierwszych stanowisk. Pozostali woźnice już się tu zebraли. Wiem, że są zirytowani moją obecnością oraz kolejnym spóźnieniem. Czyżby dowiedzieli się, że ukradłam kroplę z oceanu ich zasobów? Są zdenerwowani, bo musieli się rozstać z czymś, czego nawet nie potrzebowali, a co mogło uratować mi życie i może uratuje życie mojej siostrze?

Całe szczęście nikt tutaj nie ma łatwo ze swoim maristagiem, więc przynajmniej nie będą się odzywać.

Zajmuję miejsce obok Doriana, który znowu mnie ignoruje, bo wróciliśmy do Dromu.

Słysząc podekscytowane rozmowy i gorączkowo zawierane zakłady. Chociaż większość miejsc Najemców jest dzisiaj wolna. To i tak nie ma znaczenia, obchody trwają dalej. Burczy mi w brzuchu. Moje ciało po wyjściu z medmuszli może i jest całkowicie zdrowe, ale ostatni posiłek jadłam w czasie Pierwszego Świętowania, więcej niż dzień temu...

Muszę coś wymyślić. Nie możemy przez trzy dni funkcjonować bez jedzenia, zwłaszcza jeśli muszę się ścigać.

Z tego miejsca Drom wydaje się zupełnie nierzeczywisty. Jest jakby gładszy, niż to zapamiętałam. Nie widać stąd żadnego piasku, jakby płaska strona ostrza zebrała wszystkie luźne ziarenka i pozostawiła twardą, zwartą ziemię. Dziwnie się stąd ogląda Drom; nie jesteśmy na trybunach z widokiem na tor ani nie patrzymy w górę na Wieżę Mistrzynie. Mam wrażenie, jakby to było miejsce przejściowe, które właściwie nie powinno istnieć. Ta niewiedza o tym, co ma nadejść, jest najgorsza.

Maristag Arlene uderza porożem o balustradę i dziewczyna się wzdryga. Wtedy wszystkie stworzenia zaczynają pochrząkiwać.

Zaciskam zęby. Cokolwiek mnie teraz czeka, nie może być gorsze od ataku aquabatów.

Słysząc głośny i wyraźny dźwięk conchy.

Na łożę wychodzi Mistrzynie Minos, ubrana w bladozłote sari. Unosi ręce.

– Witajcie, ludu Ofiru. – Głośny wiwat dzwoni mi w uszach. Dorian marszczy brwi i potrząsa głową. – Dzisiejszy poranek był dla nas wszystkich ponury. Chwila refleksji, chwila pamięci o poświęceniu Starszyny, na jakie musieli się zdobyć, gdy tutaj przybyli. Jednak Wyścig Chwały przypomina nam, że zawsze przetrwamy.

– Zawsze przetrwamy – mamrocze kpiąco Dorian.

Prycham. Mówi tak, jakby Ziemia faktycznie ucierpiała. Rada właśnie tak działa, że ukrywają pewne rzeczy w tym, co mówią. Dlaczego miałyby być inaczej w przypadku jednego z najbardziej wpływowych Mistrzów w historii najnowszej?

– A teraz: ilu z was zdaje sobie sprawę, że maristagi reagują na zmianę żywiolów? Znacznie bardziej niż ostatnim razem. – Robi pauzę, gdy przez trybuny przetacza się dziki śmiech. Moje tętno przyspiesza. Dzisiejszy wyścig będzie odzwierciedlał Ceremonię Otwarcia. Co to może być? Przeszkody w postaci wodospadów?

Uzyskuję odpowiedź, gdy rozlega się dźwięk conchy. I jest brutalna.

Boki Dromu się podnoszą. To, co wzięłam za ściany, było drzwiami. Cała łoża się trzęsie, słychać metaliczny pomruk. Mój rydwan drży. Maristagi zawodzą jednym głosem. I wtedy podłogę Dromu zalewa błyszcząca woda. Otwieram usta, niedowierzając własnym oczom. Ta woda nie jest czarna jak w oceanie, lecz w sztucznym świetle dziwnie błękitna. Z trybun niosą się odgłosy gwałtownie wciąganego powietrza, krzyki i klaskanie, mieszając się z rytmicznym rykiem wody, która wciąż napływa.

Ocean faluje na lądzie.

W głowie mi się kręci i chwieję się niebezpiecznie blisko rydwanu.

Do odbicia tłumów na trybunach w wodzie dołączają pływające w niej kształty.

– W czasie drugiego wyścigu – grzmi Mistrzynie – woźnice będą walczyć między sobą oraz z błękitnym oceanem pełnym najbardziej śmiertelnych bestii Ofiru. Nie martwcie się, nie ma żadnych aquabatów. – Po Dromie niesie się *śmiech*. – Za to będą mureny, gorgony oraz jeden krab koszący! – Ledwo kończy mówić, a rzeczony krab przebija powierzchnię wody. Gigantyczny srebrzystoszary stwór mierzący ponad sześć metrów wysokości tnie swoimi ostrymi odnóżami powietrze, po czym znowu nurkuje, pryskając wodą na trybuny i wzbudzając w tłumie okrutny i pełen radości zamęt.

Drom wybucha kakofonią dźwięków. Dudnieniem. Pohukiwaniem. Wiwatami. Czuć głód krwi i bitwy. Zaciskam palce na lejcach Złotej Burzy, żeby ukryć ich drżenie.

– Każdy woźnica musi zdobyć jedną ze znajdujących się w wodzie siedmiu monet i zakończyć wydarzenie, przekraczając linię mety. Musi zaliczyć *przynajmniej* jedno pełne okrążenie tego oceanu chwały.

W czasie gdy rozlegają się wiwaty, woźnica przede mną rzuca przez ściśnięte gardło:

– To jakiś pieprzony żart? – To Mateo Lee, nigdy z nim nie rozmawiałam. Nikt mu nie odpowiada, więc dalej przeklina. – W tym wyścigu miało chodzić o trenowanie maristagów i jazdę na rydwanach. A nie o walkę z dzikimi morskimi stworzeniami. Nie taka była umowa. Odchodzę i – spogląda na pozostałych – jeśli macie choć trochę rozsądku, też odejdziecie.

Zeskakuje z rydwanu i krzyczy do treserów, żeby ściągnęli jego maristaga. Zagniewany zdiera z siebie kurtkę, nieomal wrywając przy tym rękawy. Ostatni raz widzę go, gdy znika na zejściu, wciąż przeklinając jak rybak.

Nieprzyjemna cisza, którą po sobie zostawił, jest tak przytłaczająca, że maskuje wybuchowe odgłosy dobiegające z Dromu. Złota Burza wydaje chrapliwy dźwięk i odsuwa się od odrobiny wody, która przedostaje się na podłogę.

To naprawdę nie jest dobry moment na takie wydarzenie.

Dorian patrzy, jak Mateo wychodzi, a potem on też mamrocze:

– To nie może być przypadek. – Wymieniamy nieme spojrzenia. – Nadal możemy odejść – dodaje tak cicho, że tylko ja go słyszę.

– Nie tylko ja tam dzisiaj byłam. Ty odejdz.

Więcej nie próbuje.

Mistrzynie wciąż ma wysoko uniesione ręce, lecz teraz patrzy na woźniców. Na mnie. Uśmiecha się, niemal dobrotliwie.

Ale ja wiem.

Oto cena jej podarunku.

I wiem, że właśnie dlatego nie mogę liczyć na ten podarunek. Muszę wygrać wyścig. Ważne jest wyłącznie złoto. Tylko złoto nas uratuje.

Ogromny Krab Koszący przetacza się przez wodę, raz jeszcze pryskając wodą na łożę i trybunę. Po tłumie dalej niesie się mieszanina śmiechu i oburzenia.

– Jesteś gotowy, ludu Ofiru? – grzmi Mistrzini.

Jestem Łowczynią.

Balustrada łoży ze zgrzytem zsuwa się w dół.

Wychowałam się w oceanie.

Concha rozbrzmiewa ostrym, długim dźwiękiem.

Wygram turniej, bez względu na wszystko.

Woźnice rwą do przodu i nurkują. Wystrzeliwuje we mnie płyn o dziwnie słodkim smaku. Lodowata woda rezonuje mi w kościach. Kiedy rozbijamy się o pierwszą błękitną falę, zimno chwytą nas w pałace łańcuchy, jakby to nie był ocean, lecz buzujące płomienie. Mój rydwan się kołysze, czuję w kościach echo lodowatej wody.

Woda jest nienaturalna. Lepka. Moje uszy pulsują bólem. Jasny błękit pod powierzchnią z jakiegoś powodu jest krystalicznie przejrzysty. Wydaję zduszony okrzyk, przebijając się przez powierzchnię, i kiedy już mam wciągnąć powietrze do płuc, maristagi wystrzeliwiają trujące kolce.

Nurkuję za ścianą rydwanu, obmywa mnie woda.

Na powierzchni ściany niczym krople deszczu dudnią strzałki. Jedna przefruwa mi nad głową, w niewielkiej odległości, i uderza o wewnętrzną krawędź po drugiej stronie od miejsca, w którym kucam. Patrzę na nią z niedowierzaniem.

Moje ubrania są mokre, wiatr szybko ziębi mi ciało. Palce na lejcach trwale zacisnęły się w pięści. Jak ja mam znaleźć *monetę*?

Intensywnie myśląc, ciągnę Złotą Burzę na powierzchnię. Mój rydwan jest bezużyteczny. Gdybym go nie miała, byłabym w swoim naturalnym terytorium, ale z nim jestem *uwiązana*.

Inni już się rzucają do wyścigu, ich połączane rydwany są nad powierzchnią. Tylko że to nie ma znaczenia, czy rydwan jest nad powierzchnią, czy w połowie zanurzony, jeśli woźnica nie ma kontroli nad maristagiem.

Mijają nas małe, niegroźne ryby. Złota Burza rzuca się na nie, próbując je zjeść. Ale w naszą stronę szybko płynie coś większego. *Krab koszący!* Musimy uciekać.

– Szybko! – wrzeszczę. Zza pleców dobiegają mnie odgłosy pluskania pozostałych rydwanów. Nikt nie ma pojęcia, jak radzi sobie reszta. Ściana błękitu unosi się i opada. Trybuny wydają się jednocześnie dalej i bliżej.

Po wodzie niesie się syk i jakiś woźnica krzyczy.

Musimy złapać tę monetę natychmiast, to jedyny sposób na to, żeby się stąd wydostać. Przypominająca węża murena chwyciła Arlene za kostkę. Dziewczyna piszczy. Szybko napływają inne węgorze. Minęło pięć minut i żaden z woźniców nie zdołał przedostać się za Wieżę Mistrzini.

Wciąż walczymy, żeby zapanować nad maristagami.

Złota Burza z łatwością rwie węgorza na pół i połyka. Krew spływa jej po szczęce, zbliżając się do mnie. Szarpię za lejce i maristaga się zapiera. Siła odśrodkowa wyrzuca mnie z rydwanu, zatrzymują mnie tylko paski.

Wtedy jednak, równie prędko, samica zaczyna się *ścigać*.

Samo jej tempo utrzymuje rydwan nad powierzchnią, niemal jakby się unosił nad wodą. Rysujemy łuk, oddalając się od Wieży, i wpadamy na to, co normalnie byłoby torem. Lodowata woda tnie moją skórę niczym odłamki szkła. Na razie nie ma śladu monet. Muszą być rozmieszczone po całym Dromie. Ale musi być chociaż kilka po tej stronie, prawda?

Próbuję coś dojrzeć w wodzie, próbuję zajrzeć głębiej, ale wtedy wyskakuje z niej ciemnozielone ciało gorgony. Jej węzowe macki chwytają krawędź mojego rydwanu. Nie wolno nam mieć żadnej broni – a przynajmniej nie oficjalnie, chociaż wątpię, by mi pobłażano tak jak Arlene Bashir – więc nie wzięłam ze sobą zarguninowego noża. Uderzam mackę butem. Jednak gorgona tylko syczy i ścisza mocniej. Potem, jedna po drugiej, pozostałe macki również chwytają rydwan. Biorę lejce w jedną rękę i drugą siłuję się z gorgoną. Walczy ze mną desperacko, brutalnie, lecz ostatecznie puszcza i wpada do wody z głośnym pluskiem, posyłając mi wodne szpilki prosto w oczy.

Przecieram twarz i w tej samej chwili widzę chmarę gorgon, które przebijają powierzchnię wody, skacząc prosto na mnie.

O nie, znowu!

Popędzam Złotą Burzę. Po mojej lewej ktoś stracił kontrolę nad maristagiem. Stworzenie uwalnia się ze strzemion i teraz walczy z innymi bestiami. Jeśli woźnica da się w to wplątać...

Skup się.

Znajdź złotą monetę.

Jednak ból zadawany przez zimną wodę ciągnie mnie w dół. Gdybym nie podeszła do tego wyścigu w pełni zdrowia, pewnie już bym się unosiła martwa w błękicie. Doganiają mnie gorgony. Poruszają się groteskowo szybko, ich macki tłuką wodę.

Mija mnie kolejny rydwan. Nie wiem, kto nim powozi, ale zaraz nurkuje pod wodą i równie szybko się z niej wyłania, przyskając na pierwsze rzędy, ku piskliwej ucieście widzów. W dłoniach chłopaka błyszczy złota moneta.

Czyli tutaj są. Serce omal nie pęka mi z ulgi.

A potem widzę, kim jest woźnica: to Dorian.

Na podłodze jego rydwanu wije się węgorz. Odruchowo już mam krzyknąć ostrzegawczo, lecz w tej samej chwili przez powierzchnię po drugiej stronie przebija się krab koszący. Niosą się wrzaski, zarówno woźniców, jak i z tłumu. Od kraba oddziela mnie Kolec, ale pokryte ostrzami odnóża przerażająco błyskają srebrem, a ich dźwięk przecina powietrze jak tasak.

Nie chciałabym stanąć na drodze tego Krakena.

Złota Burza zaczyna bójkę z innym maristagiem – takim w odcieniu głębokiej czerwieni, należącym do Sarana Minagiego. Woźnica klnie na mnie, jakbym celowo zepsuła mu susa do przodu. Przez chwilę jesteśmy groźnie blisko, szarpiemy się z maristagami. Woda bije o mój rydwan, który zanurza się w niej do połowy. Jest – tuż po prawej widzę wyraźny złoty blask. Gdy wyciągam rękę po monetę, ślizga mi się stopa. Woda wpływa mi do gardła, czuję pieczenie w ustach i zanoszę się kaszlem. To Saran się odsuwa. Jednak wcześniej jeszcze łomocze w bok mojego rydwanu, nieomal mnie przewracając.

Moje pasy wytrzymują. Wracam na miejsce.

Niech go szlag.

Coś się porusza po mojej lewej. Szarpię Złotą Burzę w drugą stronę. Maristag słucha polecenia, ale pędzi naokoło, oszalała przez wodę. Pewnie myśli, że to ocean i mogłaby wypłynąć, lecz tutaj w końcu uderzy głową o ścianę Dromu.

– W dół! – krzyczę, popuszczając nieco lejce i ciągnąc ją w stronę dna. Samica rzuca się do wody bez ostrzeżenia i przeszywa mnie zimno. Wypuszczam powietrze w postaci bąbelków, szybko szukam wzrokiem stworzeń. Gorgona patrzy mi w oczy.

Obraca się w moją stronę. Jeśli mnie złapie, nie będę miała czym z nią walczyć.

Chwytam krawędź rydwanu i ciągnę go na dno, gdzie błyszczy moneta. Tak blisko, tak *blisko*.

Gorgona wyrzuca mackę i moneta wzbija się na powierzchnię. Ledwo udaje mi się wydostać głowę nad wodę, kiedy przeskakuje mi nad nią maristag. Arlene chwyta monetę w powietrzu z triumfalnym okrzykiem, a ja grmię z frustracji.

Furia wzbiera we mnie szybko i gwałtownie. Nachylam się, znosząc ciężar fali wywołanej przez ruch Arlene. Gdy tylko gorgona próbuje złapać mnie za nadgarstek, rzucam ją wysoko.

Prosto w Arlene.

Gorgona skrzeczy, lecąc do przodu, i ląduje na głowie dziewczyny.

Wrzask.

Arlene puszcza lejce, zbijając z tropu swojego maristaga, i szarpie gorgonę.

Złota Burza wyrывa do przodu, wymija stworzenie i gdy tylko moneta wylatuje z dłoni dziewczyny, ja jestem już na miejscu.

Zaciskam palce na złotym krążku.

Zostawiam walczące za sobą. Zbliżamy się do zakrętu, *wreszcie*, i nie będę musiała wracać do tej bójki, gdy już przekroczę linię mety.

Jednak czeka mnie jeszcze spotkanie z krabem.

Tłum szaleje.

Wysokie fale rozbijają się o ściany Dromu, zapach zwierzęcej krwi przesyca powietrze – przypominając, czemu wyspa musiała dzisiaj rano stawić czoła i co zdołała przetrwać.

Po tej stronie toru również jest pełno ryb i węgorzy. Nie są groźne, za to rozpraszają uwagę. Nie da się nakłonić Złotej Burzy do posłuszeństwa i maristaga zaczyna się pożywiać.

– Przecież zeżarłaś rano tonę aquabatów! – krzyczę. – Najesz się później!

Samica natychmiast nurkuje. Zupełnie jakby chciała mnie upomnieć. Obmywa mnie woda i z trudem łapię powietrze. Złota moneta wbija mi się w skórę dłoni. Zaciskam mocno palce. Wiele sekund walki później wreszcie udaje mi się wyciągnąć Złotą Burzę na powierzchnię.

Przed nami jest krab koszący.

Oglądam się za siebie. Troje woźniców – Arlene, Isidore i Emmanuel. W dłoni Arlene błyszczą nowa złota moneta – *cholera*, dobra jest – ale pozostali nadal nurkują po swoje.

A przed nami wszystkimi jest Dorian.

Spotka kraba jako pierwszy.

Muszę jakoś ominąć ten nieuchronnie zbliżający się pojedynek. Jeśli wszyscy dotrzemy do stworzenia jednocześnie, jedno machnięcie pokrytym ostrzami odnożem mogłoby zabić nas *wszystkich*.

Wychylam się do przodu, luzuję lejce. Złota Burza słucha. Pozwala, by dystans dzielący nas od trójki woźniców się powiększył – ale za to krab koszący, który właśnie tnie powietrze, staje się większy i większy.

Atakuje Dorian. Chłopak w mig się uchyła. Kosy rysują łuki w powietrzu, zagradzając podwodny tor. Teraz to widzę. Jedyna droga wiedzie *pod* ostrzami – tuż przy krabie.

Dorian próbuje uciec i popędzić do przodu, lecz kosa leci w stronę jego maristaga. Rhyton skrzeszy, pada do tyłu i na sekundę Dorian ląduje pod wodą. Od razu wracają na powierzchnię, ale jestem już zbyt blisko. Złota Burza kłapie na Rhytona. Dorian mnie przeklina.

Robi się zuchwały.

Próbuje wystrzelić do przodu, jednak krab blokuje mu przejazd. Krew tryska mi na twarz – to krew Dorian. Chłopak wyje, jego maristag naśladuje to zawodzenie, a krew ściąga wszystkie stworzenia w pobliżu. Właśnie czegoś takiego mi trzeba, by niepostrzeżenie zanurkować i przepłynąć obok kraba.

Przekraczamy linię mety i skaczemy na łożę.

Wrzaski i wiwaty wypełniają przestrzeń Dromu. Treserzy szybko próbują zapanować nad Złotą Burzą. Dorian gna przez czerwonawą wodę tuż za mną. Gdy wspina się na łożę, woda znowu obmywa i płoszy Złotą Burzę.

Już się do niej odwracam, kiedy obok maristaga z pianą w pysku widzę czarny cień.

Plątanina gorgon i węgorzy.

Martwych.

W wodzie i powietrzu wije się zapach zielonej krwi, zaprawiony żelazem.

– WYLEJCIE WODĘ I WYDOSTAŃCIE KRABA! – krzyczy ktoś. – Zabierzcie woźniców z toru!

Metalowe bramy podnoszą się, osuszając Drom. Słysząc trzask jak uderzenie pioruna i stworzenia zasypiają. *Och, dobrze, czyli są jakieś środki bezpieczeństwa*, myślę sobie. Jednak wrzask nie ustaje. Wręcz przeciwnie, odpływająca woda odsłania prawdziwą groźbę: uwolniony maristag wpadł w szal i atakuje treserów. Jego przednie nogi znajdują się jeszcze w gwałtownie umykającym błękanie, a piana wokół jego pyska jest zabarwiona zieloną krwią. Kolejne plamy zieleni błyszczą mu między oczami i na porożu.

Wygląda jak raptor.

Wygląda, jakby był gotów do polowania.



Dwadzieścia pięć

Treserzy wykrzykują imiona, próbując się upewnić, że woźnice są już bezpieczni. Jednak jednego brakuje.

Mrużę oczy, patrząc na masę nieprzytomnych zwierząt na torze. Wszystkie są amfibiotyczne, więc leżenie na mokrym piasku ich nie zabije. Jednak wybuchł chaos. Zbyt wiele się dzieje naraz. Drom przepelnia wrzask zbyt wielu ludzi.

Ci treserzy nie są w stanie zapanować nad maristagiem, nie takim oszalałym przez zmianę żywiołów. To nie jest zwyczajna bójka w stajni ani maristag chroniący siebie, tak jak ten, który ugryzł Emrika.

Tu chodzi o zieloną krew, o mroczny ocean uwalniający się w ich żyłach.

Dziki ryk ucina krzyki z trybun.

Ludzki ryk.

Zapominając o protokole, treser wrzeszczy:

– To Isidore!

Chłopak został uwięziony przy Kolcu przez własnego maristaga. Co temu idiotcie przyszło do głowy?

Dwóch treserów pędzi po rampie z zarguninowymi prętami.

– Nie! – wołam, wskazując na prychnącego za nami samca. – Musicie zapanować nad tymi maristagami! – Jelonki są indywidualistami, myślą i czują po swojemu. Lecz kiedy dorastają, ich zielona krew zaczyna przeważać nad wpływem ładu. Wystraszony maristag nastraja się na podszepty instynktów stadnych. Nasyca się agresją choćby jednego spanikowanego osobnika w pobliżu.

– Wracaj, Koral – rzuca wyraźnie Dorian. Patrzą w dół. Jestem gotowa do biegu, uruchomiły się moje odruchy.

Ogromny maristag pod nami atakuje Isidore'a. W jednej chwili chłopak zostaje rzucony na poroże i ciśnięty niczym szmaciana lalka. Poza nasz zasięg.

Czterech treserów i dwóch strażników wybiega z parteru Sali Woźniców. Żalodne.

– Łapcie za płetwę grzbietową! – krzyczę.

Czyjaś dłoń chwyta mnie za ramię i przytrzymuje. Próbuję ją strącić, ale trzyma mocno.

Sześciu mężczyzn tworzy formację obronną. Są beznadziejnie słabi wobec nakręconego maristaga. Przerażająco komiczna sytuacja. Kawalek dalej widać czołgającego się Isidore'a, który zostawia ciemny ślad świeżej krwi. Treserzy rozciągają między sobą linę.

Maristag macha płetwą ogonową z taką siłą, że mężczyźni się wycofują. Stworzenie zatapia żółte kły w ramieniu jednego z treserów i kopie innego. Potem miażdży ugryzionego. Słychać trzask kości i z trybun niesie się wrzask.

To nie chwała.

To rzeźnia.

Krew się we mnie burzy. Robiłam to tak wiele razy, że dla mnie wynik jest oczywisty. Próbuję krzyknąć, żeby odeszli, żeby się ratowali. Jednak żadne słowa nie wydostają się z moich ust.

Dorian klnie.

Pozostali mężczyźni ciągną linę z rozwścieczonym maristagiem, odrywają go od martwego

tresera, lecz wystarczy jedno silne machnięcie porożem i stworzenie jest znowu wolne. Poluje. Odwraca się powoli, rzucając długie cienie na Kolec i przyglądając się Isidore'owi.

Mężczyźni zapominają o ostrożności i rzucają na maristaga linę, zaczepiając ją o poroże – z czterema rozwidleniami o barwie klejnotu. To jest największe poroże jakiegokolwiek zwierzęcia w wyścigu. Nikt nie zdoła poskromić tego maristaga za pomocą płetwy grzbietowej.

Krzyczę jeszcze raz.

Nie słyszą mnie.

Ciągną za linę z dwóch stron, jednak stworzenie jest zbyt silne. Zbyt cwane. Widzę, jak intensywnie burzą się fale w jego umyśle. Gdyby był tutaj Emrik, kazałby mi się schować, uciekać. Nawet tak wysoko nikt nie jest bezpieczny. Ta bestia ma w sobie zbyt wiele oceanu.

Zapiera się przednimi kończynami w piasku i puszcza. Mężczyźni po prawej stronie wpadają jeden na drugiego. Wolny z jednej strony, maristag skacze.

Tamci są na złej pozycji. Stworzenie się nie zmęczy – oni tak. Słysząc na torze ich ciężki oddech. Gdzie ochrona? Dlaczego ludzie na trybunach nie domagają się więcej? Co jest z nimi nie tak?

Maristag szarpie do tyłu, ciągnąc treserów w swoją stronę. Rozcina jednego z nich od pępka po szyję, zatapia kły we wnętrzościach, a ten człowiek wciąż żyje i wydaje z siebie piekielny wrzask. Tylko przez chwilę. Pozostali, przerażeni, zamierają na śmiertelnie groźną sekundę, po której ciała zaczynają zbierać się na ziemi niczym żdźbła morskiej trawy.

To koszmar. To nie temu dopingują ludzie.

Myślę o bracie, zaatakowanym przez maristaga.

Potem zeskakuję z łoży na mokry piasek i biegnę, choć ktoś za mną woła.

Poradzę sobie. Jeśli ja zdołam zapanować nad maristagiem, tamci w tym czasie odejdą i zajmą się woźnicą. Będzie miał szansę. Nawet jeśli to Isidore Grae, ja jestem Koral Łowczyni – jeśli ktoś powinien pomóc, to właśnie ja.

– Masz! – Ktoś rzuca mi linę i łapie ją w powietrzu.

Maristag wyczuwa moją obecność i kieruje w moją stronę swoje ogromne poroże. Rzucam linę w prawo, między maristaga i Kolec. Tak jak się spodziewałam, stworzenie się odwraca i patrzy wystraszone na wysoką kamienną konstrukcję. Obraca się, prycha dziko, dając mi dość czasu, żeby prześlizgnąć się w lewo i złapać jedną ręką płetwę grzbietową, a drugą za poroże.

Znajduję się na grzbiecie maristaga sekundę, a już jakiś mężczyzna uderza go w pysk zarguniną.

– Wystarczy! – ryczę. Świat cichnie, zszokowany. Słysząc jedynie wciągane gwałtownie powietrze i słabnące krzyki. Maristag zatacza się do tyłu i na boki, by po kilku pełnych napięcia chwilach zatrząść się i zatrzymać.

Treserzy pędzą do niego, żeby mnie zastąpić. Zeskakuję, ból przeszywa mi stopy. Cofam się chwiejnym krokiem.

Isidore leży nieruchomo na środku toru. Otacza go kałuża krwi. Strażnicy mówią coś do radia, kręcąc głowami.

Nawet z tej odległości na białej skórze woźnicy widać małe czarne kolce. Wąskie strużki krwi na jego twarzy tworzą pajęczynę i kapią *kap kap kap* na ziemię. Za nimi płynie czarna maź jadu maristaga. Ciało zapadło się w sobie i wygląda, jakby wszystkie organy i kości zmieniły się w pulpę, pozostawiając tylko skorupę. Jad działa inaczej w martwym organizmie, kiedy nie ma bijącego serca i walczącego mózgu. I działa cały czas, zmieniając Isidore'a w coś, co nawet nie przypomina człowieka.

Miał dopiero siedemnaście lat.

Coś upiornego drapie mnie w ucho, pokrywa skórę rdzą.

To zbyt wiele, nawet dla mnie.

Myślałam, że ten poranek się już skończył. Śmierć odeszła z wyspy i nie będę musiała więcej patrzeć na cierpienie. I po co? *Dla złota i chwały.*

Spoglądam na trybuny. Histeria. Krzyki. Miejsca Najemców niemal puste. Teraz to Ziemia oplakują śmierć, zszokowani zakończeniem wyścigu.

Czy jest tutaj rodzina Isidore'a? Czy on ma rodzeństwo? Czy widzieli, jak umiera? Bezsilni zrozpaczeni na górze, gdy on wykrwawiał się na dole?

Liria jest bezpieczna, zostanie uleczona w Szpitalu. Moja siostra jest bezpieczna.

Mistrzynie wraca na swoją lożę. Z powagą unosi ręce. W Dromie zapada równie poważna, choć niechętna, cisza.

Nikt nawet się nie ruszy, żeby zakryć okaleczone ciało Isidore'a Grae.

Leży tam, a jego śmierć stała się rozrywką.

Mistrzynie przemawia. Słucham jej bezmyślnie. Wygłasza typowe stwierdzenia o smutku i utracie cennego ludzkiego życia. Nazywa Isidore'a wielkim woźnicą, którym właściwie nie był. Jednak to ostatnia część jej wypowiedzi, poprzedzona pauzą, sprawia, że cały Drom wstrzymuje oddech.

– Ze względu na tę tragedię dzisiaj nie zostanie wyeliminowany żaden inny woźnica. Zobaczymy ich wszystkich w ostatecznym wyścigu po chwałę.

Czyli zostajemy ja, Dorian, Arlene, Judas, Saran i Emmanuel.

Oczywiście ostatni wyścig się odbędzie. Śmierć na torze nie powstrzyma najważniejszego wydarzenia Ofiru. Szok po tym, co się wydarzyło dosłownie przed chwilą, cały ból, smutek i niedowierzanie teraz ograniczają się do małego kręgu ludzi schodzących z trybuny. To rodzina Grae. Jednak wszyscy inni skupiają się na Mistrzynie Minos i dyskutują o następnych zakładach.

Oto chwała wyścigu: krwawy sport.

Nie chodzi o nic więcej. Nigdy nie chodziło i nie będzie.

Nagle mi zimno – zimniej niż kiedykolwiek. Szarpie mną okrutny wiatr, wbija sztylety lodu.

Zaciskam i rozprostowuję palce. Opuszczam Drom. Przechodzę pod pierwszym stanowiskiem, do jakiego docieram, i wkraczam do Sali Woźniców. Złota Burza i pozostałe maristagi znowu mają na sobie strzemiona. Patrzę na nią i na rozpadający się rydwan.

Ludzie się za mną oglądają, gdy ich mijam. Judas próbuje mnie zatrzymać. Udaję, że go nie słyszę. Twarz mi pulsuje od krwi, żar wlewa się do mózgu, jednak zachowuję neutralny wyraz. Nogi same mnie niosą przez korytarze do jednego z pustych stoisk, gdzie mogłabym się zamknąć i odetchnąć.

Nadal mi dzwoni w uszach.

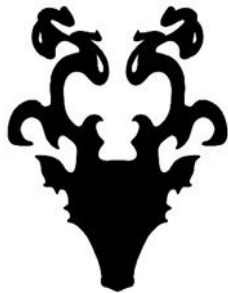
Może właśnie dlatego nie słyszę żadnego hałasu i kiedy docieram do pierwszych otwartych drzwi, zamieram. Dorian stoi oparty o ścianę i pochylony wymiotuje. Jego ciałem wstrząsają dreszcze. Tył koszuli został rozdarty przez kraba, zaschnięta krew ciemnieje. Powieki ma zaciśnięte, lecz i tak łzy płyną po jego bladej twarzy, która wciąż błyszczy od lepkiej wody z Dromu.

Nie mogę oddychać. Oto ulubieniec Sollonii, który uśmiecha się z wyższością na plakatach, który walczył z setkami aquabatów i który mówi z żelazną siłą woli zdolną zapanować nad oceanem, a jego opłakany stan sprawia, że ziemia osuwa mi się spod nóg.

Dorian wydaje zduszony okrzyk. Drży.

Ja milczę.

I wycofuję się.



Dwadzieścia sześć

Nie mamy stajni w Terraforcie, nie mamy też ani jednej monety, by jakąś wynająć. Dlatego wychodzę i ruszam ze Złotą Burzą na plażę.

Brzeg przypomina mi już tylko atak z poranka. Martwego strażnika na grzbiecie koziorożca, chłopca szukającego ojca, dziewczynkę opętaną strachem. Mam nadzieję, że udało jej się uciec.

To jednak oznacza, że nie mam się dokąd udać. Donikąd prócz osmolonych resztek domu. Czy tam przyjdzie mi się schronić, jeśli nie wygram? W poczerniałym, spalonym budynku?

Przywiązuję maristagę do dużego głazu w połowie zatopionego w ziemi. W popołudniowym słońcu jej łuski przepięknie błyszczą. Klękam obok, ostrożnie, wyciągam rękę. Łuski są jak piasek, lecz gładze na krawędziach. Przez cichą chwilę maristaga pozwala mi na głaskanie. Potem wydaje z siebie dźwięk, jakiego wcześniej nie słyszałam od stworzenia jej gatunku. Coś jak krótki świergot, dwa razy, mruczenie.

Czy ona jest... szczęśliwa?

Ta myśl mnie przytłacza i muszę się oprzeć o ziemię. Złota Burza zawsze była inna niż pozostałe maristagi. Może nie tylko z powodu koloru. Wydaje się mądrzejsza i lepiej panuje nad emocjami. Jest cudem.

Jeszcze nie otrząsnęłam się po tej rewelacji, kiedy maristaga wydaje kolejny odgłos, kłapanięcie. Ten zdecydowanie znam. Jest głodna.

Przeciągam trupa aquabata z jej sterty i się odsuwam. Rydwan jest zupełnie potrząskany. Dzisiejszy wyścig doprowadził go do oplakanego stanu. Muszę go naprawić, to najważniejsze.

Jednak nawet ta krótka chwila ciszy wystarcza, by ból znów rozlał mi się w żyłach. Głód ściska mój żołądek. Emocje opadły i zaczynają mi dokuczać zawroty głowy. Gdzie mogę zdobyć jakieś jedzenie? Nie mam odwagi stawić czoła Emrikowi i ojcu. Wiem, że oni też są głodni.

A jednak muszę coś zjeść. Muszę pojawić się na Pielgrzymce, drugim wydarzeniu w ramach turnieju. Może tam będą coś mieli. Mogłabym pewnie przemyścić trochę, gdybym włożyła coś z dużymi kieszeniami, Emrik ma taką kurtkę...

Z moich ubrań został popiół.

Świadomość tego jest jak cios. Potrzebuję siły na ostatni wyścig. Dzisiaj wygrałam, ale to nie będzie nic znacząco, jeśli jutro nie dotrę na metę jako pierwsza.

Złota Burza rozdziera ciało aquabata. Pięść głodu zaciska się mocniej na moim żołądku. A co, gdybym sobie coś złowiła?

– Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Odwracam się i widzę skuloną mamę. Kiedy ostatni raz była na zewnątrz, pod gołym niebem? Od lat, odkąd zachorowała Liria, nie zajmowała się stajnią. Całe szczęście odziedziczyłam jej intuicję, jej zdolności zaklinania zwierząt. Spogląda na Złotą Burzę, która nagle przestaje jeść, opuszcza poroże i wydaje niski pomruk.

– Nie podchodź bliżej, ona cię nie zna – mówię i wstaję.

Siadam na piasku w pewnym oddaleniu. Główna arteria za naszymi plecami jest pusta. Większość ludzi zebrała się w pobliżu Terrafortu, gdzie świętują koniec kolejnego wyścigu. I plotkują o śmierci.

– A Liria? – pytam.

– Ojciec z nią jest. Jej stan jest na razie stabilny, czekają na badania.

Potem mama wciska mi w ręce kawałek placka. Patrzę oniemiała. Nie jest miękki i świeżo upieczony, jak w restauracjach Ziemców. Raczej twardy jak stary lawasz. Ale to placek, placki zawsze są wyjątkowe. Jak to jedzenie lądowe.

– W Szpitalu na każdym piętrze są kosze na śmieci. – W jej głosie nie ma upokorzenia ani wstydu. Zwyczajnie stwierdza fakt.

Głos więźnie mi w gardle.

Jak nisko upadliśmy.

– Jadłaś już? – pytam cicho.

– Nie masz wyścigu? Potrzebujesz energii bardziej niż ja. Do finału zostały jeszcze dwie noce. Ma rację, a jednak nie mogę przełknąć kęsa, wiedząc, że ona nie jadła dłużej niż dzień.

– Mamo, no weź chociaż trochę...

– Nie – odpowiada ostro, jakbym zaproponowała jej truciznę. Patrzę na nią, mrugając.

– Przepraszam – mówię, chociaż nie do końca wiem za co.

– Daj sobie pomóc.

– Przez całe życie nam pomagałaś.

– Kiedyś byłam taka jak Crane. Taka jak ona teraz. Gdy byłam młodsza. Gdy wydawało mi się, że najpierw muszę coś zniszczyć, żeby to zmienić.

Wpatruję się w matkę, w jej łagodną twarz. Słucham jej głosu, a jednak nie mogę pojąć sensu słów. Moja matka była rebeliantką? Pytania pojawiają się jedno po drugim. Kim była kiedyś moja matka? Nigdy nie wiedzieliśmy. Nie pytaliśmy. Rodzina mojego ojca, przynajmniej jeszcze kilka lat temu, kiedy żyła babcia, kiedy rodzina jego siostry wciąż mieszkała na Sollonii, była tak liczna, że nigdy nie szukałam dalej.

Jej słowa budzą wspomnienia. Śmiechu. W domu. Byłam wtedy mała. Szczęśliwa. To ulotny obraz, jakby ukradziony komuś innemu.

– Dwadzieścia lat temu Arkę Wolności jednoczył wspólny cel: uzyskanie głosu w Radzie Ofiru dla wpływów politycznych. W tamtym czasie mieliśmy wrażenie, że Arka może rzeczywiście zostać zaakceptowana jako legalna organizacja działająca na rzecz reformy społecznej. Jednak było tyle walk politycznych... Niektórzy Ziemcy nie chcieli naszego zjednoczenia, nie chcieli amnestii dla dawnych bojówek...

Mama na moment milknie. Wygladza brwi i zmarszczki napięcia, które się pokazały na jej czole.

– I jeszcze zdrady. Ci z nas, którzy byli na lądzie, zostali zmuszeni do działania przeciwko sobie nawzajem. Uczyniono z nas kozły ofiarne. Zrób to, Leela. Zrób tamto, Leela. Nie kwestionuj decyzji zwierzchników, Leela. *Wrób swoją najlepszą przyjaciółkę, Leela.* A ja miałam wtedy... Byłam w twoim wieku. – Unosi wzrok, jakby nagle zdała sobie sprawę z tego, że jej opowieść nie ma sensu, nie kiedy przydarza się to szesnastoletniej dziewczynie. – Bałam się, chciałam odejść. Dlatego to ze mnie zrobili zdrązyczynię. Powiedzieli, że pracowałam nad tym, by nadwerężyć porozumienie między Radą a Arką, bo opłacili mnie bogaci Ziemcy, którzy nie chcieli pracować z Najemcami. Gdy rebelianci obrócili się przeciwko mnie, nie miałam się gdzie udać. Dlatego uciekłam, prosto w objęcia twojego ojca. Chciał się ze mną ożenić. A dom Łowców był jedynym miejscem, w którym mogłam się ukryć.

– I dlatego wyszłaś za ojca? – pytam z przestrawieniem.

– Dlatego wyszłam za twojego ojca.

– Wiedział o tym? Świadomie cię ochronił? – Może chociaż to byłoby w stanie odkupić jego...

– Nie. – Wzdycha. – Nie od razu.

Unoszę brew.

– Udało mi się go namówić, żeby przekonał Minos, że rebelianci obierają za cel naszą stajnię. Dostaliśmy ochronę. Kiedy odkrył, że wcale nie chodzi o stajnię, lecz o mnie, stałam się już ważną częścią jej funkcjonowania. Minos też znała mnie osobiście. No i urodził się Emrik. Twój ojciec nie

mógł... – Znowu wzdycha. – Rebelianci zostali odcięci. Zabunkrowali się w Magazynie, pozostali liderzy zniknęli. Zawsze działało tam wiele rywalizujących ze sobą frakcji i sieci, a bez liderów się rozpieczęły. Przez lata starzy Arkiści rozgłaszali wszem wobec, że Leela z Sollonii ich zdradziła. Wcześniej Łowców szanowali, teraz nimi gardzili. Dlatego twoja ciotka i reszta rodziny opuścili wyspę.

Wybuch krótkim, gorzkim śmiechem. Wiatr szarpie jej włosy, rozsypuje kosmyki na twarz.

– A wszystko, co się wydarzyło od tamtej pory, odkąd uciekłam od Arkistów i dołączyłam do Łowców, ma swoją kulminację w tym, co trzymasz w ręku.

Matka tęskno spogląda na twarde, pobrudzony placek, wyciągnięty ze śmieci Ziemców.

Nie mówi nic więcej.



Złota Burza śpi. Kucam obok niej, sprawdzając stan rydwanu, i żałuję, że nie jestem maristagiem.

Cały bok przepadł, krawędź jest poszarpana. Skóra, którą Emrik go zabezpieczył, jest porwana i wisi luźno. Rydwan już nie stanie do wyścigu. Co oznacza, że ja również.

Przeklinam drżącym głosem.

Kawałek placka zdołał częściowo uśmierzyć ból głowy, na pewno pomogło też wypicie dużej ilości wody.

Jednak gdy patrzę teraz na ten połamany kawał śmiecia...

Nie wierzę, że miałam takiego pecha.

Och, właściwie to wierzę. Komu innemu mogłoby się to przytrafić?

Mam mroczki przed oczami.

Tego rydwanu nie da się naprawić.

Co ja teraz pocznę?

Ostatni wyścig w turnieju odbędzie się za dwie noce. Gdzie zdobędę nowy rydwan? Srebrny rydwan od Gorzknicy?

Czy ty w ogóle słyszałaś, co powiedziała mama?

Na samo wspomnienie mam płataninę myśli. Chcę działać. Wrócić do przeszłości. W jakiś sposób przekazać informacje, że Arka ma zdrajcę w swoich szeregach. *Nie ufajcie swoim liderom.* I może wszystko byłoby dobrze. Co, gdyby mama uciekła na czas? Co, gdyby nigdy nie wyszła za kogoś tak przemocowego jak mój ojciec?

Rodzice dużo się kłócili, jednak to zawsze matka pierwsza cichła. Ona pierwsza pacyfikowała wszystkich w obecności ojca. Gdyby od niego odeszła, dorwaliby ją rebelianci. A to życie było jedynym, jakie знаła. Dziwiłam się jej słabości, poddaństwu. Ale ona została dla nas, dla Lirii. Pierwszy raz sprowokowała duchy przeszłości dla *mnie*, sprzeciwiając się ojcu.

Nie podoba mi się ten ucisk w gardle. Pewnie się rozplaczę, gdy tylko otworzę usta.

Kim byłaby moja matka, gdyby nie *jej* gniew?

Jaki spadek przekażę dalej, jeśli nie ból matki?

Ciążą mi w umyśle te wszystkie *a co gdyby*, oczy zachodzą mgłą.

Ruszam na brzeg, żeby przewietrzyć głowę. Szum fal jest teraz przyjemny. A jednak mimowolnie rozglądam się za stworzeniami, za czyhającym gdzieś aquabatem...

Na razie wszystko wydaje się w porządku.

Słońce zajdzie dopiero za kilka godzin, ale niebo już czerwienieje. Biorę sandały w dłoń i przechadzam się po brzegu. Fale są daleko. Ciekawe, jak skończył raptor. Musiał wrócić w głąbiny razem z aquabatami.

Nie będę za nim tęsknić.

W całym ciele czuję tępy ból. Jednak gdy pół życia łapiesz maristagi, siniaki są twoim najmniejszym zmartwieniem.

Przecieram twarz, piasek przykleja mi się do mokrych policzków.

Śmierć na torze to normalna część turnieju. Zawsze nakręca tłum.

Jednak jest różnica między oglądaniem czyjejs okrutnej śmierci, kiedy siedzisz daleko na trybunie i woźnice mają dla ciebie wielkość ślimaków, a kiedy jesteś kilka kroków od ofiary. Kiedy czujesz zapach krwi i strachu, kiedy słyszysz krzyki z bliska. Bardzo bliska.

Czy udałoby mi się uratować Isidore'a, gdybym zareagowała wcześniej?

Wbijam palce w piasek.

Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

Kiedy horyzont się czerwieni, obok mnie rozciąga się cień. Nie odwracam się od razu.

– Zmieniłaś już zdanie? – odzywa się bezczelnie.

Unoszę wzrok. Dorian stoi nade mną, krzyżuje ręce na piersi, zaciska usta – jakby rządził tą ziemią i łaskawie pozwalał mi tu zostać. Banery wywieszane na Sollonii dobrze ukazują tę jego cechę. Jest zupełnie inny, kiedy wydaje mu się, że nikt nie widzi.

– Nie.

Siada obok, wyciąga nogi przed siebie i opiera się na dłoniach. Rękawy ma podsunięte do łokci, materiał zebrał się w zgięciu, a ramiona nie są napięte jak zawsze.

Chciałabym zapytać, czy wszystko u niego dobrze. Wycofuję się w ostatniej chwili.

Wydaje się dziwnie spokojny i nie chciałabym mu przypominać o tym, co się wydarzyło dzisiaj po południu. Dorian odwraca się, by spojrzeć w dal, a wiatr płacze mu włosy.

Nie odwracam wzroku.

I wtedy mnie to uderza. Różnica między innymi miejscami a tym. Nikt nas tu nie widzi. Nikt nas nie słucha. Cofamy się w czasie, chowamy w miękkim świetle naszego sekretu, wolni od krępujących nas więzów.

Ten efekt wolności na niego ma większy wpływ.

– Nie zasługiwał na to – mówi. – Treserzy również. Nikt nie powinien umierać na torze.

– A jednak cała planeta zapalała nową energią, więc to chyba element turnieju.

– Jeśli to rozumiesz, musisz też wiedzieć, że cokolwiek się dzieje w Dromie, na torze czy poza nim, jest poza naszą kontrolą. Nie mogłaś uratować Isidore'a tak samo, jak nie wygrasz Wyścigu Chwały.

– Skończ z tymi kazaniami – rzucam ostrzej, niż zamierzałam. Fala dociera do moich stóp. – Dlaczego tu jesteś? Ty nie... – Robię pauzę, szukając właściwych słów. – Nie czerpiesz przyjemności z przemocy. I nie potrzebujesz tego złota. Więc dlaczego jeszcze się ścigasz?

Przez kilka długich chwil nie odpowiada.

Kiedy wreszcie się odzywa, jego głos jest łagodny.

– Pod pewnymi ważnymi względami po tym, jak dałaś mi Rhytona, zrobiło się ze mną gorzej. – Krzywię się, lecz on nie przestaje. – Cały czas poświęcałem na analizowanie dawnych wyścigów. Miałem obsesję.

– Ale ty...

– Nie widziałas tego, bo nie chciałaś. Z tobą było dobrze i... spokojnie. Jednak gdy tylko od ciebie odchodziłem... – W jego skupionych na mnie oczach jest milczący przekaz. – Z początku chciałem być swoim ojcem, musiałem wygrać za wszelką cenę. A potem ta potrzeba stała się tak silna, że chciałem go przewyższyć. Musiałem pokonać ten wpływ, jaki na mnie ma. Musiałem pokonać *jego*.

Potrząsa głową.

– Skoro chcesz się od niego uwolnić, dlaczego robisz dokładnie to, czego on chce?

– Bo bez ambicji napędzającej mnie od środka jestem tylko chłopcem z popsutymi skrzypcami.

Kiedy się ścigam, ścigam się o to, kim jestem. Chcę zobaczyć, do czego jestem zdolny. Nigdy bym nie pomyślał, że będę próbował cię strącić z toru. Nigdy bym nie pomyślał, że ktoś *umrze*...

– Ale nie strąciłeś. Wycofałeś się. Dokonałeś wyboru.

– Może to był wypadek.

– To nieprawda, Dorian. Widziałam cię, widziałam twoje spojrzenie. Ojciec postawił cię pod ścianą, Wyścig Chwały był dla ciebie jedyną drogą ucieczki, ale nie musisz być taki.

Dorian cały czas patrzy przed siebie, lecz unosi kącik ust – z goryczą. Spuszcza wzrok, stuka palcami o nadgarstek. Uśmiech znika.

– To, co dzisiaj zrobiłaś... próbując uratować Ziemię... – Spogląda na mnie, jakby nie był do końca pewien, co widzi. – Zawsze się zastanawiałem, dlaczego Najemcy interesują się Wyścigiem Chwały, skoro nie mogą brać w nim udziału. Myślałem, że może lubią patrzeć, jacy odważni są Ziemia.

Unoszę brew.

– Ale teraz wiem dlaczego. Po tym, co było rano. Przychodzą, żeby zobaczyć, czy Ziemia wie, jak odważni są *Najemcy*, żyjąc poza Terrafortem.

– Odwaga sugeruje, że mają jakiś wybór – mówię z irytacją.

Obrzuca mnie spojrzeniem i kiwa głową.

Potem postanawia milczeć, co jeszcze bardziej mnie denerwuje. Ja *chcę* się kłócić, *chcę* wściekać się na Ziemiaków i wszystko, co złe. Ale on zmusza mnie do milczenia.

Jestem taka zmęczona.

A Dorian jest przykuty do korony. Chciałabym, żeby przeciął te więzy. Właśnie to sprawia, że jest zamknięty w tym marmurowym posągu, w którym prezentuje się światu. Jeśli się ich nie pozbędzie, nawet gdyby chciał iść dalej, one pociągną go z powrotem do punktu wyjścia.

To nie jest prawdziwy Dorian. Ten prawdziwy jest tutaj, obok mnie. Nie do końca ten, którego utraciłam, lecz przynajmniej jego cień.

Krew napływa mi do twarzy. Gniew. To chyba gniew. Na to, jak Solomon groził mu, gdy Dorian był jeszcze dzieckiem. Jak pchnął go na ścianę.

Co zrobi Solomon synowi w razie przegranej?

Teraz mój żołądek burzy się od okropnego wstrętu.

Nie dość silnego, bym odłożyła rodzinę na bok. Lecz dość silnego, żeby dręczyć mnie na każdym kroku, jeśli wygram.

Dlaczego ten świat jest taki dziwny, taki straszny? Jemy nędzne resztki. Żyjemy z dnia na dzień. Rozpaczliwie próbujemy zachować dusze. Mój ojciec i ojciec Dorigana dorosli i nie zmienili nic z tego, co sprawiło, że ich serca stały się jak kamień. Tylko wszystko pogorszyli. Sprawili, że cierpimy tak samo jak oni. Walczymy o drobiny władzy i godności, tak samo jak oni. Przeżywamy tę samą traumę. Chowamy się tak samo, jak oni musieli.

Dorian spogląda mi w oczy, rozplątując supełki moich myśli. Zakrywa dłonią moje palce.

Zupełnie jakby to wszystko rozumiał bez słów. Jakby wiedział. Ta myśl nie wydaje mi się nieznośna. Już kiedyś łączyło nas coś takiego. Rozmawianie z nim jest zawsze dziwne. Jakbym mogła powiedzieć mu wszystko, bo on zachowałby to dla siebie. Tak jak ja zachowałam wszystkie jego sekrety. Jego oczy znowu pociemniały. Co widzi? Śledzi szczegóły mojej twarzy tak, jak ja śledzę jego? Kiedy się tak zbliżył? Widzę, że bierze głęboki wdech. Zaczyna coś mówić, ale nie ma szansy dokończyć.

Z klifu spadają kamyki. Podnoszę nagle wzrok i widzę tam dwóch mężczyzn. Obserwują nas. Są ubrani na czarno. Strażnicy? Dorian zabiera rękę jak oparzony. Wstaje, bezlitośnie wciągnięty z powrotem do swojego świata.

– Dorian – odzywa się beznamiętnie jeden z mężczyzn. – Twój ojciec chce cię widzieć przed Pielgrzymką.

Nie patrz na mnie. Jakbym była tylko kolejnym kamieniem na brzegu.



Dwadzieścia siedem

Godzinę przekonywałam Emrika, żeby tu przyszedł. Rodzice już wyszli, żeby odwiedzić Lirię, a on nie robił nic ekscytującego.

– No chodź, Emrik – powiedziałam. – Wszyscy woźnice mają przyprowadzić rodziny. Nie mogę jako jedyna pojawić się sama.

Zrobiłam smutną minę i to wystarczyło; otrzepał kurtkę i zamknął sklep.

Dopiero kiedy wchodzimy na mierzeję, Emrik mamrocze coś o tym, że trzeba było zostawić wiadomość dla rodziców.

Jednak wszystko przed tą chwilą wydaje się nieistotne. Oto ścieżka Starszyny Empirejskiej. Rozbili się w obcym świecie, z początku z trudem mogli chodzić, oddychać. Co się działo w ich głowach? Czuli strach? Nadzieję? Ta droga jest teraz swoim cieniem. Ile czasu minie, zanim zostanie pochłonięta? Zanim Sanktuarium zatonie? Czy nasza historia zagubi się w czasie?

Chmury się przesuwają i w blasku księżyca srebrzyste Sanktuarium błyszczy mocniej. Większe od koziorożca, potężne niczym Terrafort. Nie ma drugiego takiego cudu. Patrzymy po sobie i z powrotem na statek, wypełnieni wrażeniem nieważkości, zachwytem pomieszany z przestrogą na myśl, czego dokonała Starszyna.

Schodzimy z pomostu.

Jestem już spóźniona i przegapiłam spotkanie dla woźniców. Nie miałam czystych ubrań. Musiałam uprać te, które nosiłam, używając do tego piasku, a potem poczekać, aż wyschną. Przeciągam dłonią po rękawie białej koszuli. Jest tak różna od moich normalnych strojów, a jednak po dwóch wyścigach tak rozpoznawalna.

Przynajmniej nie jest brudna.

Wejścia pilnuje dwóch uzbrojonych Najemców, podobnie jak w Terrafortie. Myślałam, że po odwiedzeniu willi Mistrzynie i Szpitala jestem przygotowana, ale się myliłam.

Nienaturalny chłód wnętrza uderza mnie jako pierwszy. Zupełnie jakbym weszła do snu. Robię kolejny krok w głąb, a wtedy zapach i szum oceanu znikają. Nawet Terrafort nie jest w stanie w takim stopniu uciszyć oceanu.

– Tobie też powietrze wydaje się inne? – pyta Emrik, pocierając kciuk i palec wskazujący, jakby mógł *złapać* powietrze.

Wiem, co ma na myśli.

– Zdecydowanie wydaje się syntetyczne.

Strażnicy w mundurach stają na baczność. Emrik trzyma się blisko mnie, wyraźnie wobec nich nieufny.

Wszystko zostało wykonane w precyzyjnych liniach, pełno tu lustrzanych powierzchni. Przez to wydaje się, że jest tu mnóstwo ludzi, w każdym kącie. Moje kroki, chociaż lekkie, dudnią głośno o podłogę wyłożoną czarnymi płytkami w kształcie rombów. Nie ma tu nigdzie kamienia ani drewna, lecz Sanktuarium zostało zbudowane na wiedzy tak zaawansowanej, że odeszła razem z tymi, którzy ją praktykowali. To miejsce wygląda tak, jakby jedna sala willi Mistrzynie rozciągnęła się do rozmiarów architektonicznego giganta. Jest wspaniała, unikatowa i być może samotna.

Przestrzeń otwarta dla zwiedzających to duże pomieszczenie z wysokim sufitem

podtrzymywanych przez dwanaście filarów. Po obu stronach w niszach świecą zdobione lampy zamontowane na ścianach pokrytych mleczną złoto-kremową szybą. Chociaż to muzeum, budynek z dawno minionej ery, jest też miejscem świętym, będącym odpowiednikiem domów bogów. To jedyne w swoim rodzaju miejsce zdaniem wielu słyszy twoje marzenia i może je spełnić, jedno po drugim.

Blisko pierwszej niszy Arlene i Saran właśnie podpisują dużą tablicę. Nawet z oddali widać złote błyszczące filigranowe pajęczyny. Nie wiem, co to jest, ale na pewno coś ważnego, skoro trzymają to w szkle. Zbyt błyszczącym, żeby było po prostu polerowane piaskiem.

Zatrzymuję jednego z przewodników.

– Przepraszam, ale przegapiłam spotkanie woźniców. Możesz mi powiedzieć, co to jest?

– Jasne, Koral. – Skąd przewodnik wie, jak mam na imię? Ależ oczywiście, w końcu biorę udział w Wyścigu Chwały. – Jako woźnica dokonująca Pielgrzymki możesz się podpisać na pamiątkę, żeby inspirować innych do podążania twoim śladem.

Nie widzę w swoich działaniach nic inspirującego, ale podchodzimy do tablicy po odejściu Ziemiców. Wszyscy już się podpisali, oprócz Doriana. Judas macha do nas z drugiego końca sali, po czym się odwraca, chyba do rodziny. Rozmawiają z Emmanuelem i jego rodzicami.

Ani śladu Akayanów. Podpisuję się w rogu.

– Niesamowite, że tu jesteśmy, prawda? – odzywam się. – Nie cieszysz się?

Emrik macha tylko ręką, mimo to śledzi wzrokiem szklane ściany zdobione muralami. Pół twarzy ma zasłonięte gazą. Poprawia ją sobie raz, krzywiąc się. Ocean jeden wie, jak długo będzie się goić. Cieszę się, że Emrik przynajmniej przez kilka godzin będzie myślał o czymś innym.

Nie każdy może zobaczyć wnętrze Sanktuarium. Najemców nie stać na bilety. *Nas* na nie nie stać. Wciążam głęboko chłodne, satynowe powietrze i uspokajam się.

Murale przedstawiają historię Ofiru oraz krajobrazy, o których mówi się, że są odtworzeniem domu Starszyny Empirejskiej; niektóre kolory wyblakły, inne są nowe i błyszczące. Większość pokazuje dziwne zwierzęta na ziemi pełnej zielonej trawy, chociaż w pobliżu nie widać wody, a oprócz tego sceny z wysokimi budynkami pod niebem tak niebieskim, jakiego jeszcze nie widziałam. Być może w tamtej części świata słońce jest spokojniejsze, gdziekolwiek to jest.

– Dlaczego Starszyna w ogóle stamtąd odeszła? – mamroczę. Gdzieś istnieje tak ogromny świat, a my trzymamy się kurczowo skał pośród bezkresnego oceanu pod okrutnym słońcem.

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie zrobili wszystkiego, co w ich mocy, że opuścić *ten* świat – mówi Emrik, wykrzywiając usta. – Potwory w oceanie, kolejny na niebie, po co tu zostawać?

Nikt inny nie uznaje tego za ciekawe. Jednak większość osób w tłumie to strażnicy i służący, którzy widzieli to wielokrotnie, oraz woźnice i ich rodziny. Przywdziewam maskę nonszalancji, nie chcąc jeszcze bardziej się wyróżniać.

Co, jeśli wydamy się tym ludziom ignorantami?

Może i jestem ekspertką od maristagów i innych stworzeń, jednak tutaj jestem jak ryba złapana w sieć, łopocząca bez sensu ogonem.

Przynajmniej mam Emrika. Jednak on jest znużony, cały czas skupia się na tym, co teraz.

Crane by zrozumiała, co czuję.

Obok mnie staje Arlene. Próbuję dać jej przestrzeń, odejść, ale ona rzuca obcesowo:

– Masz chwilę?

Rozglądam się, by mieć pewność, że faktycznie mówi do mnie.

Emrik patrzy, a ja kiwam głową – co mogłaby zrobić Arlene na oczach uzbrojonych strażników i innych ludzi? Emrik odchodzi, podążając w stronę pozostałych eksponatów.

– Ojciec kiedyś często mnie tu przyprowadzał – tłumaczy Arlene. – Ostatni raz, kiedy miałam dziesięć lat. Był zafascynowany Starszyną Empirejską i graliśmy razem w pewną grę. Nazwij miejsce. Opisywaliśmy jakąś nieoczywistą rzecz z tutejszych murali i druga osoba musiała to znaleźć. Większość z nich to były szczegóły, na przykład liść innego koloru. Cały czas przegrywałam. – Jej głos łagodnieje pod wpływem wspomnienia, złocista ściana odbija się w jej czarnych włosach, bije z niej blask słońca w zachmurzony dzień. Arlene prostuje się i patrzy mi w oczy. – Nigdy więcej tu nie przyszliśmy. Wiesz dlaczego?

Nie czeka na moją odpowiedź.

– Tamtego dnia maristag się sploty i popędził przez Sollonię. – Niepokój wzbiera mi w żołądku i domyślam się, co chce mi powiedzieć Arlene. – Straciłam ojca przez was, Łowców.

Wtedy coś do mnie dociera i jest zupełnie tak, jakby przeszył mnie promień słońca, zostawiając na niechronionej przez niebkę skórze czerwoną pręgę. Nienawiść Arlene nie wzięła się znikąd.

Nie jest mi z tym dobrze. Maristaga może kupić wyłącznie ktoś, kto już jakieś miał albo otrzymał specjalne pozwolenie od Rady. Dlatego jeśli już wydamy jakieś stworzenie, przestaje być naszą odpowiedzialnością. Jednak ojciec Arlene zginął przez coś, czemu powinniśmy byli zapobiec. Powinniśmy byli lepiej zapanować nad tamtymi maristagami. Nie pozwolić, by straciły kontrolę.

W gardle utykają mi bezużyteczne przeprosiny.

Patrzę, jak odchodzi od gładkiego panelu, jej długie rozpuszczone czarne włosy błyszczą w sztucznym blasku. To w sumie nie była bezpośrednia groźba.

Znowu zmieniają się światła panelu.

Nie, to nie światło. Ktoś poruszył się w cieniu po drugiej stronie hangaru. To nie jest odbicie kogoś, kto powinien tutaj być. Porusza się ukradkowo. Niczym drapieznik czający się w wodzie, wyczekujący kropli krwi, znaku słabości. Mam gęsią skórę. Od razu się odwracam – a jednak nie dość szybko.

W Sanktuarium gasną światła.

I rozlegają się krzyki.



Czołgam się na czworakach, ostrożnie, starając się zmierzać ku płaskiej powierzchni. Podłoga jest jeszcze twardsza, niż się wydawała przez buty. Wbija mi się w dłonie i kolana, bolą mnie kości.

Gdzie się podziewa Emrik?

Wszyscy wołają swoje rodziny. Rozpoznaję wiele głosów. Arlene, Emmanuel, Judas, Saran. Brakuje tylko Doriana i Akayanów. Czyżby wiedział, że coś się wydarzy?

Ryzykuję jeszcze jedno spojrzenie, wołając ostro:

– Emrik? Jesteś tu?

Gdzieś blisko roztrzaskuje się szklana ściana. Zakrywam głowę i ruszam dalej. Ktoś się na mnie rzuca i ledwo udaje mi się uratować palce przed zmiżdżeniem. Obok ktoś inny się poddaje. Zwija się w kłębek i skomli. W ciemności nie da się poznać, gdzie jest wyjście. Wszędzie dokoła błąkają się ludzie. *Proszę, Emrik, zmierzaj do wyjścia.* Prę przed siebie, nie zatrzymuję się. Przy każdym ruchu czuję bicie serca w opuszkach palców.

I wtedy to do mnie dociera. Właśnie tutaj Arka Wolności przeprowadzi swoją kolejną misję. To właśnie to miejsce opisywali jako pilnie strzeżone.

Przechodzi mnie dreszcz i niemal tracę równowagę.

Strażnicy krzyczą w każdym kącie, w ciemności brzmią chaotycznie. W sali jest nagle za mało miejsca. Zupełnie jakby całe powietrze zostało wysane. Mimo to poruszam się tyle, ile mogę. Cały czas wołam brata. Gdzie on przepadł?

Gdy tylko go znajdę, uciekam. Tylko że wszystkie wyjścia są zablokowane, w tym główne. Jesteśmy uwięzieni. To muzeum jest jak łódź pogrzebowa.

Patrzę w dół, nie pozwalając, by wzrok powędrował poza płytki w kształcie rombów. Atak paniki w tym metalowym pudle mógłby mnie zabić. Nie wiem, kto jest przede mną ani kto za mną. Oddycham przez usta, starając się uspokoić, i rozcieram ramiona. Powietrze nagle jest dojmująco zimne. Podnoszę głowę dopiero wtedy, gdy mój oddech spowalnia.

Wreszcie mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności. Ziemia pozbijali się w grupki według rodzin. Ja stoję sama w kącie, rozglądając się po wszystkich ciemnych kątach, szukając Emrika. Jednak nigdzie go nie widzę. Raz jeszcze wbijam wzrok w podłogę, koncentrując się na dźwiękach, które mogłyby zdradzić, co się dzieje.

Słyszę coś, daleko stąd. Głowa zaczyna mnie boleć, gdy próbuję się jeszcze bardziej skupić. Zaskoczona zdaję sobie sprawę, że nadal jestem głodna.

Nawet nie podali nic do jedzenia.

Teraz żałuję, że w ogóle tu przyszedłam i jeszcze przyprowadziłam Emrika.

Rebelianci mieli rację w jednej kwestii. W hangarze nie rozległy się żadne wystrzały. Nie czuć dymu. Strażnicy nie używają broni, żeby nie skrzywdzić Ziemiców. Zamiast tego trzech z nich wchodzi w końcu do hangaru, każe wszystkim utworzyć szereg i podążyć za nimi.

– Zadbamy o wasze bezpieczeństwo. Na całej wyspie zostanie ogłoszona godzina policyjna... – mówi jeden z nich.

– Powiedźcie, co się dzieje!

Rozlega się chór wtórujących głosów.

– Mój brat...

Jednak strażnik nie pozwala mi dokończyć.

– Na wyspie doszło do wrogiego incydentu. Nie wiemy jeszcze, jaki ma zasięg, ale wyprowadzimy was do zewnętrznej izby. Lepiej zostać tam do czasu, aż z Terrafortu przybędzie eskorta.

Ich postępowanie tak bardzo nie przystaje do wszystkich moich doświadczeń z byciem uwięzioną w starciu, że rozglądam się najpierw, by sprawdzić, czy inni naprawdę ufają tym strażnikom.

Ufają. Otumaniona, nie mam innego wyjścia jak iść za nimi. Instynktownie się kulę, żeby nikogo nie potraścić. Ulica to jedno. Zamknięta, ciemna przestrzeń pilnowana przez uzbrojonych strażników to coś zupełnie innego.

Ziemy zostają skierowani na bok hangaru. Gdy tylko docieram do drzwi, przechodząc przez snop światła latarki strażnika, jeden z nich chwyta mnie za rękę.

– Ty.

Wszyscy za mną się zatrzymują.

– Przyszłaś tutaj sama? – pyta.

– Nie, mój brat gdzieś tutaj jest. Nie mogę go znaleźć. Rozdzieliliśmy się.

– Jasne, bardzo duży zbieg okoliczności, że Najemcy tu przyszli i rozdzielili się akurat w momencie, gdy zgasły światła. Nie ma sensu kłamać, tak czy inaczej dowiemy się wszystkiego.

– Kłamać? Słucham?

– Możemy iść? – odzywa się Judas z tyłu kolejki. Strażnik mnie puszcza, ale przedtem posyła groźne spojrzenie. A potem już rozumiem, co sugerował.

Że to ja kogoś tutaj wprowadziłam.

Muszę się dostać do Emrika, zanim obwinia go za ten atak. Umykam przed wrzeszczącym strażnikiem i wracam na koniec kolejki, bliżej hangaru.

– Emrik! – wołam. – Chodź, musimy iść.

W Sanktuarium rozlega się echo wystrzału, gdzieś daleko, a za moimi plecami krzyczą Ziemy. W izbie rozpętuje się podszyty paniką chaos. A potem wzmaga się hałas. Jakby przetaczał się grom. Jednak teraz dobiega z zewnątrz.

– Zostaniecie eskortowani do Dromu, żebyście mogli przejść do Terrafortu przez Salę Woźniców – oznajmia strażnik na przedzie. – Proszę o spokój i ustawienie się w kolejce.

Arlene chwyta dłoń starszej kobiety, która ma takie same włosy jak ona. To pewnie jej matka.

W tej samej chwili, gdy zostaję zmuszona do pójścia razem z kolejką, kolejna grupa strażników przechodzi przez hangar, ciągnąc za sobą grupę obdartusów. W słabym świetle widać blask łańcuchowych opasek. Rebelianci.

I Emrik.

– Czekajcie – protestuje, walcząc z grupą. – Nie byłem z nimi. To jakaś pomyłka! Jestem Łowcą. Nie jestem rebeliantem!

– Nie, to mój brat! Przyszedł ze mną! – krzyczę.

Prowadzący ich strażnik się zatrzymuje.

– Ty go tu sprowadziłaś? To przyznanie się do winy? Jesteś rebeliantką?

Robię krok do tyłu. Na mojej twarzy maluje się lustrzane odbicie paniki Emrika.

– Nie, nie jestem... – Nie mam nawet szansy wspomnieć o tym, że startuję w turnieju. Strażnicy szybko wypychają ich z korytarza. Rzucam się za nimi, wykrzykując imię brata.

– Uciekaj! Wydostań się stąd! – woła Emrik.

Popędzają mnie na początek kolejki Ziemców.

– Sprawa rebeliantów zostanie załatwiona. Ty zostań tutaj, idziesz z nami.

– Dokąd go zabieracie? – Panikuję, ledwo mogę mówić.

– Każdy trafi do celi.

Jeśli mój brat znajdzie się w więzieniu Ziemców, wyciągnięcie go stamtąd zajmie całe *miesiące*. Będą go przetrzymywać na przesłuchaniach, torturować. I nawet jeśli jest niewinny – a przecież *jest* – nie będą chcieli się przyznać do takiego błędu.

Rzucą go do oceanu.

Ta myśl rozpala we mnie strach.

Walcz. Jednak mam przed twarzą lufę broni. *Walcz*. Nie tylko we mnie mogą trafić. *WALCZ*. To moja wina, że Emrik w ogóle się tutaj znalazł.

Ale nie mogę walczyć. Nie przed uzbrojonymi strażnikami ubranymi w odcienie nocy, z czerwienią błyszczącą na ramionach. *Zjawy*.

Prowadzą więźniów do innego wyjścia, zostawiając mnie z Ziemcami.

Noc na zewnątrz nie jest tą, którą zostawiliśmy za sobą. Lodowaty wiatr niesie woń dymu i prochu.

Powietrze pachnie tak, jak w noc Ceremonii Otwarcia.

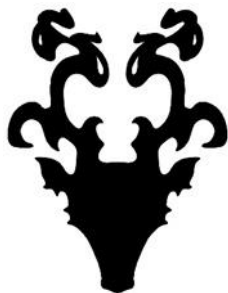
Strachem.

Zamiast podążać za Ziemcami do Dromu, ruszam do wartowni. Na pewno najpierw tam zaprowadzą więźniów. Po drodze nie da się przegapić oznak poruszenia.

Na całej arterii grzmią głośniki. To się dzieje tylko w czasie obowiązkowego przekazu. W blasku księżyca widzę ciemne kształty kolejnych strażników.

Nawet w tym zgiełku słyszę, co powtarzają nagrania przerażającym tonem.

Niebezpieczeństwo. Prosimy się ukryć. Niebezpieczeństwo. Prosimy się ukryć.



Dwadzieścia osiem

Z Terrafortu wychodzą strażnicy w sprzęcie przeciwwzajemnym. Na zwyczajne czarne mundury i przyłbice włożyli pancerze ze szkła i czarnej skóry, a do tego dierzgają tarcze i pałki.

Sanktuarium zniknęło. Zazwyczaj widać je z Terrafortu. Nawet jeśli tylko jego blask. Dzisiaj jednak zasłania je wznoszący się spiralą dym.

Przed chwilą tam byłam, a jednak wydaje mi się to nierealne.

Nie wiem, co się dzieje, ale muszę się stąd wydostać. Muszę znaleźć Emrika.

Z osiedli Najemców aż na koniec głównej arterii niosą się wrzaski i okrzyki buntu. Znam ten obszar. Stoją tam budynki z aluminiowymi dachami, zupełnie jak w Opalowej Norze. To stamtąd pochodzi większość rebeliantów i hazardzistów. Trzymam się cienia. Dźwięki są bolesne, żalosne. Jeszcze więcej strażników wylewa się z bocznego wyjścia z Terrafortu – tego łączącego główną arterię z wartownią.

Główna brama do Terrafortu została znowu zamknięta.

Mogę uciec już tylko na brzeg.

Złota Burza jest tam, gdzie ją zostawiłam, obok stajni. Spogląda na ten zorganizowany chaos. Wciąż ma na sobie strzemiona, a ja dziękuję sobie w duchu za to, że je zostawiłam.

Kiedy do niej podchodzę, kłapie. Zamieram, wyciągam rękę. Czekam, aż mnie zaakceptuje. Przechyla głowę. Kilka dni temu bym się wycofała. Opuściłabym podbródek i odeszłabym, unikając kontaktu wzrokowego. Teraz jednak zostaję tam, gdzie jestem.

Muszę wydostać ją z linii ognia.

W końcu samica odpuszcza.

Wsiadam na jej grzbiet, a ona zbiega z klifu na brzeg. Ku namiastce bezpieczeństwa.

Tuż nad nami przemaszerowuje grupa strażników.

Chciałabym pozostać ukryta pod łukami, ale Złota Burza przestępuje z nogi na nogę, zdenerwowana przez hałasy na wyspie. Dlatego postanawiam odwrócić jej uwagę. Skupić ją na ściganiu, żeby nie ryczała i nas nie wydała.

Woda przy brzegu jest dzisiaj spieniona, niespokojna. Wiruje upiornie, napędzana przez wiatr wiejący od burzy. W tym całym zamieszaniu po drugim wyścigu nie było to tak oczywiste, ale trwające od miesiąca sztormy na oceanie właśnie docierają do kulminacyjnego momentu. Wczoraj krótko padało. Jeśli jutro też będzie deszcz, w czasie wyścigu, jeśli maristagi wyczują sól w powietrzu, wszyscy znajdą się w niebezpieczeństwie.

Pozwalam Złotej Burzy przejść w kłus, chwytam palcami włosy pod jej płetwą grzbietową. Poroże wyrasta wysoko z czubka jej głowy.

Harmider niesie się wysoko za klifem. Nie możemy w tej chwili wejść na górę. Strażnicy działają na coraz większym terenie. Jeśli trafię między nich, nie posłuchają mnie.

Zostanę aresztowana.

Dlatego nie zatrzymuję Złotej Burzy. Przy każdym jej skoku zastanawiam się, jak wydostanę Emrika. Jak wyjaśnię jego nieobecność rodzicom.

Jeśli Emrik umrze, będę miała jego krew na rękach.

Złota Burza zaczyna cwałować, chciałaby przyspieszyć. Przebiegamy przez wodę blisko końca

klifów, czuję szpilki mokrego zimna, lecz zaraz skręcamy i wbijam pięty w jej boki.

Jej żabot rozdyma się niebezpiecznie, lecz nie wypuszcza kolców.

W następnej sekundzie *atakuje*.

Pędzi przez wodę, jednocześnie rycząc.

Wszystkie zapachy – piasku, oceanu, dymu, metalu – mieszają się ze sobą, zmieniając krajobraz, frunąc razem z wiatrem. Przebiegamy pod starożytnymi łukami, które były tutaj, jeszcze zanim człowiek postawił krok na Ofirze. Czuję łuski Złotej Burzy na nogach, dłoniach. Przy tej prędkości i bez siodła moje uda boleśnie się napinają, ale się nie poddaję.

Ona biegnie.

Ja lecę.

Zaczynam płakać.

Myślę o bracie, skutym w zimnej celi. Im dłużej tam zostanie, tym mniejsze będą szanse, że jeszcze się zobaczymy. Będą go torturować. Co, jeśli wyślą go do przymusowej pracy w kopalni w Kar Atish? Będą udawać, że wcale tego nie zrobili, każą nam chodzić po sądach, umawiać się na nowe rozprawy, aż pewnego dnia padnę w drodze do gmachu, z bezużyteczną petycją o uwolnienie brata w ręku.

Nie, moja matka nigdy nie będzie czekać na powrót dziecka z oceanu.

Czyż nie robię tego wszystkiego dla rodziny? Jak mogę uratować Lirię i utracić Emrika? To nie może być prawda. Muszę znaleźć brata. Opuścił bezpieczny Terrafort dla mnie. Muszę sprowadzić go do domu.

Łzy płyną niepowstrzymanie, gdy wyobrażam sobie najgorsze.

Potrzebuję planu. Ale nie wiem, od czego zacząć. Rodzice są już zajęci Lirią. To ja muszę uwolnić Emrika.

Dopiero kiedy skończą mi się łzy, zimno wraca na moją twarz. Wypełnia mnie nowa energia. Nie poddam się.

Hałas na górze wydaje się inny. Zamiast rytmicznego dudnienia kroków słyszymy rozproszone trzaski. Krótkie i szybkie. Znajome.

Przyciskam dłonie do płetwy grzbietowej, ciągnąc ją do tyłu. Samica chrząka, a potem skacze na klify. Docieramy na szczyt w ciągu kilku sekund.

I wtedy rozumiem już tamte dźwięki: to trzask ognia.

Daleko na głównej arterii płomienie wzbijają się w powietrze na granicy kwartału niedaleko Dromu. To namiot ceremonialny, gdzie w czasie Wyścigu Chwały organizowane są mniejsze jarmarki dla dzieci. Tradycja Najemców. Kilka namiotów się zapada, jeden po drugim, zabawki w środku płoną jak kukły, cenne czekoladowe łakocie się rozpuszczają, a pożar rzuca groteskowe cienie.

Złota Burza zwalnia, powierzchnia jej łusek odbija blask pożogi.

Cały krajobraz Sollonii jest zajęty ogniem. Zupełnie jakby otaczał nas nie ocean, lecz czerwone i złote płomienie. Jest zupełnie inaczej niż w noc zamieszek, tamten pożar wydawał się opanowany w porównaniu z tym, nie było też strażników, ponieważ wtedy protestowali Ziemia.

Dzisiaj za cel obrali Najemców. Nie ma ostrzeżeń, nie ma wątpliwości.

Wstrząsające niebem okrzyki „Żadnych bogów, żadnych Ziemia” wznoszą się niczym przerażające potwory. Rebelianci walczą. Wszędzie dokoła Terrafortu rozgorzały bójki, są jak fale oceanu. Nigdy wcześniej nie widziałam, by Arka Wolności tak wyraźnie zaznaczyła swoją obecność.

Coś się zmienia.

Obok przejeżdża jakiś wóz. Z tyłu siedzi kilku chłopaków, zmieściłoby się jeszcze więcej. Mają skrępowane ręce i czarne worki na głowach. To są ludzie, którzy znikają z ulic. Ludzie, o których wszyscy mówią, że niedługo zostaną wypuszczeni. O których ginie słuch.

Zupełnie jak syn sąsiadki Crane, Remide.

Wóz dudni po głównej arterii niczym bestia, wioząc swój łup w stronę kwater Najemców. Może chce się jeszcze obłowić. Czy jest z nimi Emrik?

– Emrik! – krzyczę.

Pędzę za wozem. Z rozpaczą. Każdy krok Złotej Burzy trzęsie ziemią.

Wtedy jednak alejka się rozwidła i pojazd znika. Im dalej jesteśmy, tym słabiej go słyszę, zupełnie jakby strażników pochłonięła wyspa. Gonię przez kamienne uliczki. Przed nami ściana. Musiałam dotrzeć do granicy. Teraz skręć...

Wysoko w ciemności nocy błyszczą srebrne łuki, przez ułamek sekundy odbijają pomarańczowe płomienie.

Zamieram.

Krab koszący wydaje głośny skrzek.

Jakim cudem uciekł?

A może został wypuszczony?

Szarpię Złotą Burzę do tyłu. Staram się nie narobić hałasu.

Krab wciąż jest kilkaset metrów dalej.

Jednak uderza ostrymi szczypcami o ziemię, wywołując jej drżenie. *Stuk, stuk, stuk*. Wykorzystuje ostrza, żeby poruszać się po kamieniu. Gdzie są koziorożce? Czy ktoś już został poinformowany?

Wiem, że skrywa mnie noc.

Na razie.

W ustach robi mi się sucho z przerażenia.

Cały czas powoli wycofuję maristagę, oddalając się od bestii.

Jednak krab wyrывa do przodu. Każde kłapanię szczypiec rozlega się głośno w nocnej ciszy. *Stuk*. Jeden krok. *Stuk*. Następny. *Stuk*. Coraz bliżej. Nie zwróciłam wcześniej uwagi, jaką ma ogromną paszczę. Jakie ma zakrzywione, żółte kły. Spokojnie wielkości moich rąk. Mogłyby mnie przeciąć w połowie. Jestem taka mała. Taka nieistotna wobec tego gigantycznego stworzenia. Jest poza moją kontrolą, poza moim rozumieniem.

Jestem *niczym*.

Coś zaczepia się o nogę Złotej Burzy. Nagłe szarpnięcie w żołądku wyrывa mi z gardła wrzask, przesywając noc – jest noc przed tym wrzaskiem i noc po. Krab od razu skupia na mnie uwagę. Jego wielkie czerwone ślepia wbijają się we mnie, płoną *głodem*.

Mogę tylko zaczerpnąć gwałtownie powietrza, a potem stworzenie już pędzi do mnie, uderzając gniewnie ostrzami o kamień.

Obracam Złotą Burzę i gonimy tak szybko, jak tylko się da. *Szaleństwo*. Nie ucieknę przed krabem koszącym. Jest zbyt duży, zbyt *silny*.

Maristaga macha dziko płetwą ogonową, chętna do walki; to smagnięcie mnie budzi. Znika niepewność i niepokój. W tej jednej chwili wszystko staje się oczywiste. Krab pędzi za nami. Jestem zwierzyną. Nie pozwoli mi uciec. Panika tylko popycha mnie do przodu. Wbijam pięty w boki Złotej Burzy, zmuszając ją do dalszego biegu.

Krab jest coraz bliżej.

Każę samicy przyspieszyć. *Szybciej*. Ocean się burzy. Ogień w sercu wyspy wznosi się wyżej. Jeśli jednak nie ucieknę przed potworem, to koniec. Dla Emrika, dla mnie, dla całej mojej rodziny.

Nie pozwolę, żeby tak to się skończyło.

Emrik. Liria. Mama. Ojciec. Emrik. Liria. Mama. Ojciec.

Drogę zagrażdza nam filar i maristaga zatrzymuje się tak nagle, że spadam. Uderzam ramionami w ziemię, ból rozłupuje mi kręgosłup. Nie puszczam lejców, nawet kiedy zaciskają się na moich palcach, prawie odcinając dopływ krwi. Z wysiłkiem się dźwigam, odpychając pięściami od śliskiego, drapiącego kamienia. Złota Burza zawodzi i próbuje się wyrwać, kamień zaczepia o brzeg moich spodni, rozrywa materiał nogawki, ale to mnie nie powstrzymuje. Samica walczy, skrzeczy, a ja przyciskam stopę do kamienia i wskakuję jej na grzbiet. Zaraz znowu pędzimy ulicami, od cienia do cienia, aż dotrzemy na róg.

To długa, pusta droga.

Oglądam się za siebie.

Krab jest tuż za nami.

Pędzimy ulicą i szybko chowamy się za skruszonym filarem, który wystaje pod kątem z ziemi.

Jest za mały, za wąski. Jednak markiza na budynku obok zakrywa go od góry. Błagam Złotą Burzę, ciągnę ją do maleńkiej groty wrytej w skałę za filarem.

– Chodź, Złota Burzo – syczę.

Wreszcie się rusza, wciąż ze mną walcząc. Wślizgujemy się do kryjówki i w tej samej chwili ziemia się trzęsie.

Ostrza stukają i stukają. Coraz bliżej i bliżej.

Bliżej.

Aż w końcu dzwonią mi w głowie.

Krab czeka.

Wystarczyłby jeden jego zamach, żeby markiza spadła, więżąc nas w ciemności. Nie miałybyśmy dokąd uciekać. Szeptem wnoszę rozpaczliwe błagania do wody.

Zaszum, zaszum i wezwij tego potwora z powrotem.

Uszy mi pękają od dzwonienia ostrzy, gdy krab nas mija.

Zalewa mnie ulga tak silna, że niemal krzyczę. Przyciskam dłonie do ust i duszę płacz, ledwo oddycham w oparach siarki, gdy ostre płetwy Złotej Burzy wypełniają niewielką grootę.

Zostaję w tym miejscu, ukryta we wnęce, wciągając do płuc mokrą zgniliznę. Wiatr wciska się do środka, marznę od zimna głazu. Drętwieję do tego stopnia, że wszystko dokoła też zamiera i cichnie. Mam dziwne wrażenie bycia poza ciałem, jakbym nie miała żadnej stałej postaci. Nic nie ma znaczenia, liczy się tylko ta ciemność, ta przemoc i stworzenia przerażającego oceanu, które walą do naszych drzwi, tylko czekając, by nas pożreć. Kulę się i zaciskam powieki, dopóki przez szczelinę nie przedostanie się pierwszy promień słońca.

W powietrzu niczym szara trucizna unosi się dym minionej nocy.



Dwadzieścia dziewięć

Pojedyncza świeca z trudem rozprasza mrok w domu Crane.

– Emrik jest w więzieniu centralnym – oznajmia dziewczyna. Jej dłoń jest owinięta gazą, co oznacza, że zeszłej nocy była na zewnątrz. Dzięki ci, oceanie, że jest bezpieczna. Gdybym rano nie znalazła jej w domu, chybabym oszalała. – Trzymają go z dala od pozostałych. Nic nie zrobią. Aż do końca Wyścigu Chwały.

– A jeśli przegram?

Wysiłkiem woli aż do teraz odpychałam od siebie myśli o tej ewentualności. Ale tak wiele straciłam. I co się stanie, jeśli nie będę miała złota, żeby wydostać Emrika? Najpierw zmuszą mnie do tego, żebym znowu dla nich polowała. Potem będą go torturować. Wrzucą go do wody albo do kopalni. Co, jeśli pewnego dnia pójde na polowanie i na dnie oceanu znajdę własnego brata?

Crane podaje mi zestaw ubrań i trochę ciepłej wody. Kiedy ostatni raz piłam wodę?

Siedzę cicho i sączę. Smakuje jak nic. Jak powietrze.

Jak mogę znowu stanąć przed rodziną?

Crane chodzi wokół mnie na palcach, bojąc się, że wpadnę w gniew.

– Co się naprawdę wydarzyło zeszłej nocy? Co zrobiła Arka Wolności?

Moja przyjaciółka drapie się po karku. Włosy wiszą jej smętnie, ma cienie pod oczami.

– Arka chciała przejść Sanktuarium i wykorzystać to do negocjacji z Radą.

Potrząsam głową. Nie mogę uwierzyć w ich arogancję.

– Doszło do pewnych komplikacji – ciągnie Crane. – Frakcje nie mogły się zgodzić co do planu napadu i dalszej akcji. Twoja odmo... O Sanktuarium wiedzieliśmy tylko od jednego służącego, który tam pracował. Moja grupa chciała się wycofać do czasu, aż uda nam się stworzyć sensowną mapę wnętrza całego Sanktuarium, a nie tylko części muzealnej...

Wciągam gwałtownie powietrze.

– ...ale ci starsi chcieli działać natychmiast. Nie chcieli słuchać, czekać. Chyba śpieszyło im się umierać. Tylko że wczoraj wszystko poszło nie tak. Rebelianci na pokładzie Sanktuarium weszli od złej strony i zaalarmowali tym strażników. Musieliśmy walczyć, żeby odciągnąć ich uwagę i wydostać bezpiecznie naszych ludzi, jednak strażnicy byli gotowi na dużą akcję. Mają jeńców. Tamci będą ich torturować, aż wydadzą nasze sekrety. Jeśli Magazyn zostanie odkryty...

– Jak weszłaś w to aż tak głęboko? – To wcale nie brzmi, jakby tylko rozdawała ulotki.

– Zaczęło się od małych rzeczy. Kilka przysług dla ludzi z ulicy. Wiedziałam, że są rebeliantami, ale nawet w samej Arce jest tyle frakcji, że nie czułam, bym pomagała właściwej Arce. To nie był jeden konkretny moment, po prostu wciągałam się stopniowo. Jednego dnia rozmawiałam z Arkistami, następnego już dla nich pracowałam. To stało się tak gładko, że wydawało się oczywiste, Koral.

– Powinnaś na razie trzymać się od nich z daleka – mówię.

Patrzy na mnie ostro i czekam, aż zaprotestuje, ale tylko kiwa głową.

– W rebelii jest rozłam. Myślałam, że praca dla mojej frakcji wystarczy, że możemy działać samodzielnie, pomóc naszym ludziom. Ale gdy poruszysz kroplę wody, wszyscy chcą dla siebie przeklęty ocean. Nawet nie wiemy, kim są liderzy stojący za tym podziemnym ruchem. Przepraszam,

że nie widziałam tego wcześniej.

Milknie, zamyślona, po czym mówi jeszcze:

– Każda z nas uderzyła głową w inną ścianę.

Przyglądam się jej. Oto moja najlepsza przyjaciółka, która uwielbia nosić żywe kolory i morskie kamienie, której spojrzenia nikt nie wytrzyma – a teraz siedzi pokonana. Błada jak trup. Słońce w niej zgasło. Wszystkie jej przekonania, wszystkie wysiłki rebeliantów, nie zdadzą się na nic, jeśli Mistrzynie wyśle swoje armie.

Zauważyłam też, co chciała powiedzieć wcześniej: że odmówiłam pomocy. Gdybym się wtedy zgodziła, czy wczorajsza akcja miałyby szanse nie skończyć się klęską rebelii? Wiedziabym, że planują coś w Sanktuarium i nie wzięłabym ze sobą Emrika.

Nie minęło nawet dwanaście godzin od jego zniknięcia. A już mam wrażenie, jakby to była wieczność.

Ale co, gdybym się zgodziła? Być może i tak wszystko by implodowało. Może ja też trafiłabym za kratki. I kto by skończył Wyścig Chwały? Czy pozwoliliby Lirii pozostać w Szpitalu?

Jeszcze nawet nie odwiedziłam siostry.

Popęłniłam zbyt wiele błędów. Nie mogę ich naprawić. Nie mogę cofnąć się w czasie i ściągnąć maristaga z Emrika. Gdyby pozwolił mi iść z nim, może nie musiałyby siłować się z nim sam. Nie wiedziałam też, że nienawiść rebeliantów do naszej rodziny nie jest moją walką. Wzięła się z działań osób trzecich – i niesprawiedliwie spoczęła na barkach mojej matki – ponieważ pragnienie władzy uczyniło ich okrutnymi i żądnymi zemsty. Przez tę nienawiść straciłam rozsądek, trzymałam głowę nisko i podążałam bezmyślnie za Ziemcami.

Crane rozgląda się po pustym pokoju. Co to w ogóle za dom? Skała wydrążona dla kogoś, kto ma kłamać aż do śmierci.

– Jesteś zmęczona? – pyta. Wiem, o co naprawdę jej chodzi.

– Zabrnęłam zbyt daleko, żeby siedzieć i odpoczywać – mówię na głos, do Crane, i niemal przynosi mi to ulgę. – Myślałam, że zdobędę trochę złota i tyle. Ale popatrz na nich wszystkich, od rebeliantów po Mistrzynię. Co to jest, jeśli nie walka o władzę? Walka o to, by mnie kontrolować?

Słyszę głośny lament i myślę o matce, która obwinia siebie za każde nieszczęście. Dlaczego liderka rebeliantów obróciła się przeciwko mojej matce? Dlaczego zdradziła sojusz na rzecz dobra dla wszystkich ludzi, jeśli nie przez to, że sama była jak elita Ziemców? Była do szpiku kości przesiąknięta żądzą władzy, chciała ją dzierżyć z innymi, a nie obalić. Miałam rację. Ci, którzy nazywają siebie liderami Arki Wolności, są tylko kolejną twarzą tej samej siły. Niczym więcej.

– Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla nas, Crane? Co z ludźmi takimi jak ja czy ty? Mam wrażenie, że ciągle tylko walczymy.

Crane, która woli poruszać się w cieniu i pracować dla rebeliantów w ukryciu – zeszłej nocy stanęła przeciwko strażnikom w zbrojach. Ja, mająca na względzie wyłącznie rodzinę, zabijałam aquabaty, nie wiedząc, czy atakują Najemców, czy Ziemców.

Teraz już wiem, że w tej grze o władzę tacy jak my zawsze mają nierówne szanse. I kiedy my walczymy ze sobą nawzajem, tamci robią, co chcą. Sprawiają, że czujemy się, jakbyśmy byli częścią tej samej społeczności, ale tylko pod warunkiem, że nie będziemy się wychylać.

Wezmę wszystko, co mi dadzą. Wykorzystam to przeciwko nim. Poprawię byt rodziny, wydając na to ich złoto. I jakkolwiek się to odbędzie, razem z Crane zmienimy świat. Dla każdego.

Musimy przestać spychać się nawzajem w dół. Musimy zakończyć tę nieufność, która rozrosła się jak rak i która sprawia, że stajemy przeciwko sobie, jakby ta planeta nie dość razy udowadniała nam, że razem mamy lepsze szanse na przetrwanie.

Starszyzna nie opuściła swoich domów, żebyśmy byli podzieleni.

Za swoją spuściznę zasługuje na więcej.

My zasługujemy na więcej.



Wracam do Opalowej Nory akurat w chwili, gdy starsza kobieta, Remide, nieśmiało wychodzi

z ulicy. Po omacku, od ściany do ściany, jakby stapała po odłamkach szkła. Gdy się potyka, wyciągam do niej rękę.

Chwyta mnie za ramiona i się prostuje. Chyba nie boi się maristagi za moimi plecami.

– Chcesz, żebym zaprowadziła cię do domu?

– Widziałam cię – mówi, przesywając mnie wzrokiem szarych oczu. Zanim zapytam gdzie, wciska mi coś zimnego w dłoń. To metalowa broszka w kształcie litery U z kwiatem o siedmiu płatkach. Z tyłu pośród rdzy widać wytarte już słowa: *Niech Wodny Koń ma cię w opiece.*

– Kiedy wygrasz, włóż to. – Klepie mnie po ramieniu.

– Dobrze – odpowiadam. Co innego mogłabym powiedzieć? Nie mam odwagi zobaczyć się z rodzicami. Nadal są z Lirią. Myślą, że Emrik został w sklepie i odpoczywa. Nie pozwolę im zmienić się w tę kobietę.

Raz jeszcze zostawiam Złotą Burzę na podwórku Crane. Samica szybko znajduje sobie miejsce, które – sądząc po wgnieceniu wielkości maristaga – jest jej ulubionym. Ona pamięta to podwórko. Uśmiecham się do niej, znowu zastanawiając się, co my właściwie wiemy o stworzeniach zamieszkiwanego przez nas świata.

Na razie jednak mam inne problemy. Potrzebuję nowego rydwanu.



Trzydzieści

Crane czeka na mnie w sklepie.

– Pomalujemy go na czerwono – mówi, wskazując farbę i pędzel. – I nikt nie zda sobie sprawy, że to rydwan Pierwszego Czempiona.

Przed zaginięciem rydwan był w idealnym stanie, zachowany jako relikw. Poza tym został ukradziony wyłącznie na złość Radzie Wyścigu za to, że nie dopuszczali Najemców. Gorzknica zawsze trzymała swoje skarby nienaruszone.

– To chyba nie zadziała – mówię, ale w moim głosie jest pogoda ducha, za którą tęskniłam.

To za Crane tęskniłam.

Śpieszymy się do Magazynu, przeciskając się przez wąskie alejki. Nawet z Crane u boku powietrze wydaje mi się tutaj inne. Pustka między Magazynem a czarnym rynkiem zatapia się w moją skórę, drapie mi gardło.

Pograżamy się w ciemności. Już po pierwszym kroku wyczuwam zmianę. Śliskie ciepło przykleiło się do tej otchłannej sali, wydrążonej przy samej krawędzi Terrafortu i ciągnącej się przez całą jego długość. Powietrze wypełniają upiorne głosy, jednak wydaje się, jakby nikt nie mówił. Wszyscy chowają się za maskami. A tych kilku Ziemców w Arce, którzy zawsze mnie intrygowali, gdzieś przepadło. Zupełnie jakby rebelianci Sollonii zniknęli w ciągu jednej nocy.

– To tylko kwestia czasu, aż ktoś wyjawia sekret – szepcze Crane.

Oto przepadły dekady tajemnic, namiastki bezpieczeństwa.

Poruszamy się cicho. Nikt nie może wiedzieć, kim jestem. Nie tylko dlatego, że trafiłam na czarną listę.

– Stój. – Crane ściska moją rękę. Zabiera mnie do niszy, której nie zauważyłam. Mija nas grupka Najemców ubranych w watowane ubrania. Są uzbrojeni. – Niektórzy szykują się na atak Ziemców, gdy ci już znajdą drogę. – Czekamy, aż odejdą.

Głupi są, jeśli im się wydaje, że rozproszona, rozchodząca się w szwach i źle dowodzona rebelia jest w stanie odeprzeć bezpośredni atak.

W połowie drogi do sklepu Gorzknicy korytarz się zwęża, a potem zaczyna opadać w alejki i nisze. Nigdy nie zaszłam tak głęboko. Każdy cień wydaje się węgorzem owijającym mi się wokół kostek. Każdy syk jest łukiem kosi. Dzień odpływa w noc, a ludzie wychodzą z czarnego rynku. Poruszamy się małymi krokami pod prąd, próbując na nikogo nie wpaść. Żeby nikt nie miał powodu, by się nam przyglądać.

Ktoś staje mi na drodze, jego twarz jest schowana za maską.

– Rozkaz pochodzi z góry – szepcze pośpiesznie do towarzysza. – Jeśli to załatwimy, Arka przynajmniej będzie miała czas, żeby się przegrupować na inną wyspę.

– Dlaczego w Dromie?

– W Dromie wszystko dzieje się za zgodą Mistrzynie.

Zaskoczona obracam się na piętach. Crane wyciąga do mnie rękę, próbuje chwycić moją dłoń, lecz ostatecznie zagradam przejście. Dokoła słychać gniewne mamrotanie. Szybko wracam, przepraszając pod nosem. To tyle, jeżeli chodzi o niewychylenie się. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie byli dość zirytowani, żeby mnie rozpoznać.

Co gorsza, tamtych dwóch już rozpułynęło się w ciemności.

Crane ciągnie mnie w kąt.

– Oszalałaś?

– Co się wydarzy w Dromie?

– Nie wiem, Koral. – Sprawia wrażenie jednocześnie nieszczęśliwej i rozgniewanej. Zeszłej nocy powiedziała, że nie chce tu więcej przychodzić. Wyrzeczenie się rebeliantów to nie jest łatwe zadanie.

Przychodzą do ciebie. Wciągają cię z powrotem. Zamykają ci usta.

A jednak ona podejmuje to ryzyko dla mnie i kiepsko jej się odpłace, jeśli zostaniemy przyłapane.

Dlatego przez resztę drogi wśród tłumu milczę, chociaż nie zapominam słów tamtych dwóch. Co właściwie może się wydarzyć w Dromie, gdzie niepodzielną władzę sprawuje Mistrzynie?

Kiedy wąską i wijącą się alejkę wieńczy ściana, która jest chyba końcem Terrafortu, brakuje mi już tchu.

Przez moment zbieram siły, po czym wychodzę za róg. Nigdy wcześniej nie widziałam wnętrza kwatery Gorzknicy. Crane również. Jednak raz dostałyśmy instrukcje, „na nagłe wypadki”. To zdecydowanie się kwalifikuje jako nagły wypadek.

Gorzknica siedzi przed drzwiami w małej, kwadratowej przestrzeni skąpanej w słabym świetle anemicznej świecy.

– Ładne biuro, Gorzka – rzuca Crane.

Niby jest taka stara, a jej spojrzenie mogłoby przeciąć ziemię na pół. Jednak to nie ono sprawia, że serce bije mi jak młot. W szarawym blasku wygląda jak zgniłe zwłoki wyrzucone na brzeg.

– Co ty tutaj robisz?

– Gorzka, daj spokój – wtrąca Crane.

– Nie, nasze prawa są tak samo prawdziwe jak prawa Ziemców na górze. Nie będzie wyjątków dla tych, którzy trafili na czarną listę. – Ścisła mocniej filiżankę, jej poczerwiałe palce przyklejają się do ucha.

– Jutro jest wyścig – mówię, przełykając strach. – Chcę tamten rydwan.

– Nie wygrasz tego wyścigu, dziewczyno. – Jej zmarszczki się pogłębiają, jakby skóra była w tych miejscach przecięta. – Słyszałam, że wzięli twojego brata. Powinnaś uciekać, zanim wezmą też ciebie. – W jej głosie wyraźnie pobrzmiwa ból.

– Nie mogę zostawić brata w więzieniu. Nie mogę pozwolić, by siostra po przebudzeniu dalej kaszlała i umierała. Nie będę patrzeć, jak moi rodzice cierpią z winy innych.

Gorzknica patrzy na mnie ostro. Jest dość stara, by wiedzieć, co się wydarzyło, kiedy poprzednim razem Arka Wolności próbowała się zjednoczyć. Musiała to widzieć na własne oczy. Wtedy dociera do mnie, że ona się nie gniewa. Ona się... boi.

O mnie? Czy mnie?

– Wygram ten turniej i potrzebuję rydwanu. Możesz mnie kazać stąd wyprowadzić siłą, ale całą drogę będę wrzeszczeć. Jeśli mogłam dołączyć do Wyścigu Chwały i wstrząsnąć fundamentami Terrafortu do tego stopnia, że Ziemcy wylali się stąd niczym mrówki uciekające przed wodą, z pewnością dam radę wstrząsnąć też tym miejscem, jeśli mi nie pomożesz. Nie mam już nic do stracenia, Gorzka.

Spojrzenie handlarki ciemnieje. Nie podoba jej się moja groźba, ale kończy mi się czas.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjdiesz.

Ponieważ milczę, ona wstaje. Zapewne po to, by na mnie nawrzeszczeć. Zamiast tego gwizdże. Przybiega dwóch mężczyzn. Handlarka pstryka palcami i tamci chwytają mnie za ręce.

– Ty tak na poważnie? – woła Crane.

Z łatwością uwalniam się z ich uścisku, moje odruchy są znacznie szybsze niż ludzi, którzy się wychowali tutaj. W jednej chwili pędzę na tył, poza ich zasięg, chyba że chcą zniszczyć siedzisko Gorzknicy.

Podnoszę noże, które wyszarpałam z ich pasków. Tamci gapią się na mnie jak na oszalałego

maristaga. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, mówię:

– Nie przyszedłam walczyć. Nie mogę jutro stanąć do wyścigu bez rydwanu. Kiedy wygram – spoglądam na handlarzkę i kątem oka widzę Crane kręcącą głową, jakby już wyczuwała, co zaraz powiem – podzielę się z tobą złotem.

Gorzknica prychna.

– Zawsze mi pomagałaś. Ufam ci. I wiem, że naprawdę ci zależy na naszych ludziach, a złoto może wielu z nich uratować życie. Akurat ty powinnaś wiedzieć, jak niebezpieczni są egoistyczni liderzy. Widziałas, co renegaci bez dobrego planu zrobili raptem wczoraj. Weź złoto, które oferuję. Pomóż mi je wygrać.

Potem spoglądam na tamtych dwóch i rzucam ich noże. Stukają o ziemię.

Wymieniamy z Crane spojrzenia. Wiem, że ona też czeka, wstrzymując oddech.

– Będziesz potrzebowała nowej podstawy do rydwanu. Wydaje mi się, że mam wystarczająco dużo zarguniny – odzywa się w końcu Gorzknica.



W naszym sklepie jest zbyt mało miejsca, ale nikt nie może mnie zobaczyć z rydwanem, więc nie zaciągnę go do domu Crane. Zostaniemy tutaj.

Muszę się nad tym zastanowić. Nigdy nie budowałam rydwanu. Taka umiejętność nie znajdowała się zbyt wysoko na liście moich zainteresowań. Ale za to wielokrotnie naprawiałam dach stajni.

Metalu wystarczy na *jedną* podstawę. Jeśli to źle wymierzę, nie będzie powtórki. Przygryzam usta i daję Crane znak, żeby podała mi piłę. Ostrożnie, z sercem bijącym w opuszkach palców, zaczynam wycinać kształt.

Kiedy jestem już pewna, że załapałam, naciskam trochę mocniej. Czuję ból w ramieniu. Ostry i przeszywający. Wgryza się i kłuje jak tysiąc małych kolców maristaga.

Witam go z szeroko otwartymi ramionami.

Każdy ruch to cierpienie. Pewnie to samo czuje teraz Emrik. Właśnie to musi budzić Lirię każdej nocy. Popycham i ciągnę, naciskając mocno lewym kolanem i podeszwą prawej stopy ziemię, i tnę w ten sposób zarguninę, którą Gorzknica załatwiła mi w zamian za jeszcze więcej złota.

Boli.

I kiedy już wszystko skończone, kiedy lampy na tarasie Agory są wyłączone, rydwan stoi na środku sklepu, błyszcząc pasami srebra i żywej czerwieni. Moje ramiona pulsują, ale to tylko echo agonii, do której jestem przyzwyczajona. Echo, które przypomina mi każdym swoim uderzeniem, że muszę wygrać jutro Wyścig Chwały.

– Idź do Lirii – mówi Crane przez ściśnięte gardło. – Cokolwiek się jutro wydarzy, poszukaj u niej dzisiaj otuchy.



Ostra biel Szpitala wciąż jest dla mnie szokiem. Co powiem rodzicom o Emriku? Czy jadł coś? Czy dobrze śpi?

Nie minął nawet jeden pełny dzień.

Zdarzało nam się nie widywać siebie dłużej. Czasami szukaliśmy niebki, czasami wychodziliśmy na polowanie. Czasami, kiedy kłótnie między rodzicami były zbyt intensywne, spaliliśmy u Crane i wracaliśmy po dwóch dniach. Rodzice wiedzieli, że nic nam nie jest.

Dzisiaj też nie muszą niczego podejrzewać.

Ale co, jeśli zapytają?

Wchodzę pod detektor metalu i słyszę pischczenie. Od razu podchodzi do mnie trzech strażników, żądając, żebym podniosła rękę.

Cała moja odwaga umyka.

– Proszę, to tylko broszka – wyduszam z siebie.

Z lufą wycelowaną w oczy wyjmuję ozdobę od staruszki. Błyszczą mi w twarz.

Ściskam ją w palcach całą drogę do pokoju siostry.

Liria leży wyprostowana na łóżku – jej upiorne oparzenia zniknęły – a do jej ciała przyłączono pipczącą maszynę i kroplówkę.

Mama śpi na krześle obok, z jedną ręką wyciągniętą do córki, a drugą zwiniętą na brzuchu. Na jej ramionach spoczywa chusta. Nawet we śnie mama wygląda na spiętą. Zupełnie jakby nigdy nie opuszczała rzeczywistości. Jakby nie miała żadnych snów.

Klatka piersiowa Lirii unosi się i opada w równym rytmie. Jej usta nie są sine.

Gdy była mniejsza, zostawiałam jej prezenty przy łóżku. Kolorowe dzbanki. Muszle (zawsze znajdowane przez Emrika). Morskie kamienie. Liście o wyjątkowych kształtach. W niektóre poranki siostra piszcziała z radości; w inne zapominała o podarkach, zanosząc się kaszlem.

Spędziła tutaj już więcej niż dzień. Zdążyła trafić do medmuszli ze względu na oparzenia. W tej chwili chyba pracują nad wybudzeniem jej ze śpiączki. Czy nie byłoby cudownie, gdyby im się to udało przed jutrzejszą Ceremonią Koronacji? Przeczesałam jej włosy i cmokam w czoło.

Nie ma sensu budzić żadnej z nich. Zasługują na odpoczynek.

Odwracam się, wciąż dotykając palcami wykrochmalonej białej pościeli. I wtedy omal nie odskakuję do tyłu.

– Ostrożnie – mówi z progu ojciec.

Chociaż to tylko on, pozostając napięta, a palce instynktownie sięgnęły po nóż, który zostawiłam w sklepie, i nie chcą się rozluźnić.

– Były jakieś problemy z harmonogramem ze względu na Wyścig Chwały – tłumaczy ojciec. – Inaczej potraktowaliby ją priorytetowo. Wyszłaby stąd w ciągu dwóch dni. – Nie patrzy mi w oczy, lecz na Lirię.

Mama się wierci, jednak jej palce tylko się zaciskają mocniej na dłoni Lirii. Poprawiam jej chustę na ramionach, przyglądając się zmarszczkom na twarzy. Trzy kosmyki włosów leżą na czole, niemal niewidoczne na tle ciemnych tatuaży.

Odsuwam się od niej i mówię:

– Powinam już iść, jutro mam wyścig.

Wychodzę szybkim krokiem, a gdy zamykają się za mną drzwi, słyszę cień głosu ojca.

Brzmi jak *powodzenia*.



Trzydzieści jeden

Ostatni zmierzch Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały jest nieprzyjemnie zimny i wietrzny. Mam nadzieję, że chociaż deszcz odpuści – na torze mógłby się okazać śmiertelnie groźny.

Wstaję, żeby się rozprostować, i zaciskam zęby, powstrzymując jęk. Moje ciało jest sztywne i obolałe od spania na zimnej podłodze. Rozciąganie tylko pogorszy sprawę. W ogóle prawie nie zmrużyłam oka. W głowie płaczą się myśli o przeszłości.

Do sklepu wpada światło i odbija się od srebrzystego rydwanu. Nie ma miejsca, żeby się ruszyć, więc zaczynam się powoli przeciskać, a wtedy mój wzrok pada na niebieski dzbanek na skądinąd pustej półce. W środku znajduje się suche źdźbło morskiej trawy.

Dom.

Czuję w piersi ostry ból.

Jest jeszcze wcześniej, jednak to już ostatnie wydarzenie w ramach turnieju na następne cztery lata, więc wszyscy zdążyli wstać. Tłumy krążą, sprzedawcy wciskają turystom koszulki i czapki z kolorami frakcji. Na środku Wielkiego Bazaru ktoś chodzi po linie przebrany za maristaga. W powietrzu już się unosi zapach smażonych krewetek.

Idąc do domu Crane, staram się zasłaniać twarz włosami. Ulice raz jeszcze stały się dzikie, nagle wszyscy zapomnieli o godzinie policyjnej, jakby żadne pożary nie strawiły wyspy i żadne strzały nie rozbrzmiały zaledwie dwie noce temu.

Dzisiaj wszyscy będą pamiętać, że jesteśmy na tej planecie jednością.

Crane wyciągnęła kurtkę, którą mam włożyć na zniszczone ubrania – wygląda na drogą, jest czarna i wysadzana morskimi kamieniami tak pięknymi, że wyglądają jak klejnoty.

Nigdy wcześniej nie miałam na sobie czegoś podobnego. Przynajmniej poza wydarzeniami, na których musiałam się pojawić jako dziecko. Na polowania zawsze wkładałam proste rzeczy. Kurtki, które mieliśmy wspólne z Emrikiem. Właśnie taka byłam. Taka jestem. Jestem Łowczynią.

Moja dłoń muska kołnierz koszuli, którą dali mi w Szpitalu. Nawet oni wiedzieli, jakie ubrania noszę.

– Jesteś kimś więcej, niż oni by chcieli, żebyś była – mówi cicho Crane.

Wkładam kurtkę, świadoma serca dudniącego w swojej klatce, gdy przeciągam ręce przez dopasowane rękawy. Związuję włosy i wpinam metalową broszkę od sąsiadki Crane.

W lustrze widzę siebie taką, jaka jestem. Córkę swojej matki.

W taki czy inny sposób to wszystko się skończy za kilka godzin. Jedyne pytanie brzmi, czy zdobędę zaszczyt tytułu i chwały, czy raczej poczuje smak piasku i oceanu w ustach.

Crane czeka na mnie w głównym pomieszczeniu.

– Śniadanie?

Potrząsam głową.

– To takie do ciebie niepodobne.

– Co takiego?

– Ta cisza i ten brak kąśliwych uwag.

Podnoszę rękę i przytrzymuję. Tylko że sama z siebie drży.

– Nie mogę odpocząć. Nie mogę w tym stanie zbliżyć się do maristagów. Wyrwą mi głowę.

– Hej, co się dzieje? – pyta Crane.

– Co, jeśli wszystko pójdzie nie tak? – mamroczę. – Co, jeśli Ziemia sprzymierzą się, żeby wyeliminować mnie na samym początku? Mam świadomość, że dałam Arlene dość powodów. Arlene chce wygrać, żeby pomścić ojca.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz obiecałaś, że nigdy nie zostawisz mnie samej?

Gdzieś w oddali słychać pomruk chmury burzowej.

Lata temu wypowiedziałam te słowa do Crane pod innym burzowym niebem, na szybko ciemniejącym brzegu oceanu. Obiecałam jej przyjaźń, miłość i rodzinę. Poprosiłam, żeby mi zaufała, mimo że życie nauczyło ją czegoś zupełnie innego.

Byłam bardzo poważną sześciolatką.

Crane chwyta moje dłonie.

– Cokolwiek się dzisiaj wydarzy, obiecuję, że nigdy cię nie zostawię. – Kiedy nic nie mówię, dodaje: – I bardziej niż ktokolwiek inny wiem, jak bardzo kochasz rodzinę i że zrobiłabyś dla niej wszystko. Nawet zrezygnowałabyś z marzeń. Chciałam powiedzieć, żebyś z nich nie zrezygnowała.

– To nie jest marzenie. Robię to, żeby siostra dostała leczenie, którego potrzebuje.

Crane uśmiecha się pod nosem.

Patrzę na kamienny stół obok nas, starając się nie myśleć o tym, jak się czułam kilka nocy temu, jadąc na grzbiecie Złotej Burzy.

– Widzisz? Okłamujesz nie tylko mnie, ale i siebie. Im szybciej zaakceptujesz powód, dla którego tutaj jesteś, tym lepiej.

Posyłam jej groźne spojrzenie.

Nieruchoma beznamietność jej twarzy przywodzi mi na myśl Emrika, mamę, nawet ojca. Crane zawsze była jedną z nas.

Tacy właśnie jesteśmy: rodzina na pierwszym miejscu. Nawet jeśli kłócimy się zażarcie, nigdy nie odwrócimy się od siebie.

A kiedy wygram, wrócę do domu, w którym życie mojej siostry nie będzie zależeć od maristagów w stajni. Do rodziny, która będzie znała lepsze życie.

Dlaczego Wyścig Chwały?

W mojej głowie zaczyna się formować odpowiedź na pytanie Emrika. Szkoda, że go tutaj nie ma.

Wstaję.

– Dokąd idziesz? – pyta Crane.

– Muszę zaprowadzić Złotą Burzę do Dromu. Później przejście z nią ulicami będzie zbyt ryzykowne. Zabierzesz tam mój rydwan za godzinę?

– Oczywiście.

Nawet w starszych dzielnicach atmosfera się zmieniła. Może nie czuć tutaj świętowania, ale pojawił się ruch tam, gdzie wcześniej panował spokój. Przed wejściem dla widzów zbierają się reporterzy i rozprawiają podekscytowani do kamer. Słyszę dobiegający z zewnątrz harmider. W ostatnim dniu turnieju odbywają się wyścigi przygotowawcze i różne wydarzenia towarzyszące, w których udział biorą sportowcy z uczelni Ziemiców.

Nie mam czasu, żeby się tym przejmować. Złota Burza jest wyjątkowo kapryśna. Dojście do Sali Woźniców zajmuje mi piętnaście minut dłużej. Samica krąży, zamiast iść prosto, ciągle prycha i kłapie, zmuszając mnie do wycofania ręki.

– Co się z tobą dzieje? – syczę.

Na razie jest tylko Saran, ale mnie ignoruje. Za to jego maristag obnaża kły. Strach wślizguje mi się pod skórę.

Złota Burza odrzuca poroże do tyłu, jakby chciała uciec.

– Ty też masz w sobie zieloną krew – mówię, próbując ją uspokoić. – Jeśli się ich boisz, pokaż im.

Ostrożnie wyciągam do niej rękę. Ucieka. Pozwalam jej na to. Do wyścigu jest jeszcze mnóstwo czasu, więc nie ma sensu jej naciskać. Tak czy inaczej, nic nie zrobię, dopóki Crane nie

przyprowdzi rydwanu.

– Koral.

Rozpoznaję głos Doriana, jeszcze zanim się do niego odwrócę.

Chłopak stoi w połowie długości jednego z korytarzy, w cieniu filaru, co wyjaśnia, dlaczego nie zauważyłam go, wchodząc do Sali. Jego srebrna korona jest przypięta do paska czarnych spodni.

Kładzie dłoń na filarze i patrzy Złotej Burzy w oczy. Nie robiłabym tak z maristą, który nie jest mój, nawet z oddali.

– Jak się trzyma?

– Jest trochę nerwowa – mówię neutralnym tonem. Zdaję sobie sprawę z ruchu za moimi plecami w Sali i z tego, że inni zobaczą nas, jeśli tylko wychylą się kawałek i zajrzą za filar. Pewnie nie jest dość szeroki, żeby nas zasłonić.

Dorian tego nie dostrzega.

Nad brzegiem był inny. Łagodniejszy, niepewny. Zaskoczony, gdy odnaleźli go ludzie jego ojca. Zawsze się starał, by nie widziano nas razem, i chyba nie bez powodu. Teraz wydaje się na to nie zważać.

– Rhyton też jest zaniepokojony. – Ogląda się na swojego srebrnego maristę, który zerka zza jednego z boksów.

– Był tam całą noc?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada oburzony Dorian. – Przyprowdziłam go tutaj dzisiaj. Myślałam, że przyzwyczał się do Dromu i będzie mniej... Nieważne, nic mu się nie stanie. To przez ocean.

– Słucham?

– Padało całą noc. Maristę się nakręcają...

– Jestem Łowczynią, prowadzę stajnię. – Nie musi wiedzieć, że nie połączyłam kropek. A potem sobie przypominam. Nie ma żadnej stajni. Już nie. Może dla mnie już nigdy nie będzie.

– Nie o to... Wiem. To znaczy oczywiście, że o tym wiedziałas.

Milkniemy.

Treserzy sprawdzają strzemiona po kilka razy. Z zewnątrz dobiegają dźwięki tłoczących się widzów.

W prawej brwi Doriana widać skaleczenie, które znika pod włosami. Nie jestem pewna, co powiedzieć. Kiedy patrzę na niego z tak bliska, przypominam sobie naszą ostatnią rozmowę na plaży. Co by się wydarzyło, gdyby nie przyszła straż jego ojca? Czy spotkałabym ponownie Doriana, którego straciłam?

Szkoda, że nie mogę pogadać z Crane. Szkoda, że to akurat Dorian Akayan wprawia mnie w takie zakłopotanie.

– Słyszałam, co się stało z twoim bratem – mówi, przerywając ciszę. – Przykro mi.

– Dlaczego nie przyszedłeś do Sanktuarium? Wiedziałaś, prawda? Rozgryzłeś to.

Ściąga brwi.

– Co takiego rozgryzłem?

– Arka zamierzała zaatakować. A teraz mój brat trafił do więzienia. Myślę, że jest jednym ze spiskowców. Poszedł tam *ze mną*, więc gdybym nie poszła, gdybyś mnie ostrzegł...

– Koral, przestań – przerywa mi, tym razem łagodniej. – Nie wiedziałem.

Oczy mu błyszczą. *Dziwne*, myślę sobie. Nigdy wcześniej tak na mnie nie patrzył. Co to oznacza? Krzyżuję ręce na piersi.

– To jak wydobędziesz brata? – pyta.

– Kiedy wygram, będzie bratem Czempionki. Wtedy nie będą mogli udawać, że znaleźliśmy się w Sanktuarium z innego powodu.

Dorian ucieka wzrokiem.

– Nie wygrasz.

Mówi to z nonszalancją, jakby stwierdzał fakt, że ziemia Sollonii jest dość czarna, by pochłaniać każdą drobinę światła. Ja tylko mrugam. On nie rozumie, jak *ostateczne* wydają mi się jego

słowa.

– W Dromie wszystko dzieje się za pozwoleniem Mistrzynie – tłumaczy. Przypomina mi tym coś, ciemną noc i mgłę głosów, lecz myśli mam splątane. – Możesz walczyć, ale czy zdołasz z tym wygrać? A jeśli wygrasz, co wtedy?

– Wzniosę się.

Zaskoczyłam go.

– Wzniosę się, chociaż nikt tego nie chciał. Chociaż chcieli, żebym była potulna i żebrała o godność. To tak proste.

Dorian robi krok do przodu.

Hałas w Sali Woźniców zrobił się ogłuszający.

– Całe życie stosowałem się do zasad ustalonych przez ojca. Jesteśmy reprezentantami ludzkości na tej planecie, zawsze powtarzał. Pewnego dnia wszystko będzie nasze. On szedł ścieżką wytyczoną przez przodków. Ambitny, zorientowany na przyszłość. Zaciekle bezwzględny. Wszyscy go szanują. Wszyscy się go boją. Nawet jeśli go nienawidzę, muszę taki być, żeby nie zaprzepaścić dorobku rodziny.

Nawet oddech wydaje się zakłócać ten moment.

– Ojciec zabrał mi wszystko, na czym mi zależało. Zniszczył, zamknął na klucz, rozerwał na strzępy. Utonął we własnej pysze. Kazałby cię zabić, gdybym do niego nie wrócił. Ale ty... – Jego oddech staje się płytki. – Próbowałem zrobić to, co ty, i zawiodłem. Próbowałem cię skrzywdzić i zawiodłem. Próbowałem cię nienawidzić i zawiodłem. Opierasz się temu, co zbudował, rzuciłaś mu wyzwanie i zrobiłaś coś, co wydawało mu się niemożliwe. Zatrzęsałaś ziemią pod jego stopami. – Dorian wychyla się w moją stronę, a ja wbrew sobie wciągam głęboko powietrze. Przyglądam się konturom jego twarzy, gdy mówi: – Trzymaj się z daleka od przepychanek. Nie zбочą dla ciebie z drogi. Nie dzisiaj. To ostatni wyścig. Wszyscy chcą wygrać.

– Tak samo jak ty.

– Miałaś dla mnie jakikolwiek szacunek, gdybym celowo przegrał?

– Zrównoważy go uczucie triumfu.

Broszka na moim kołnierzu stuka o jego guzik, kiedy Dorian przykłada miękkie usta do mojego policzka, a we mnie rozpala się żar jak na czubku zapałki.

– Powodzenia, Korol z Sollonii.

Mimo dudniącego serca nie łudzę się, że Dorian położy wyścig dla mnie. Nie może tego zrobić i nie zrobi. Jest tylko jeden zwycięzca i muszę to być ja.

Powtarzam to wielokrotnie – z początku mocno, potem powoli, żeby ten obraz wbił mi się do głowy – aż w końcu nadchodzi ten moment.

Dach nad Dromem nie pozwala, by deszcz zniszczył tor, ale maristagi wyczuwają wilgoć w powietrzu. Są napięte. W Sali Woźniców stawiło się więcej treserów niż zwykle.

Ostatni wyścig odbędzie się w środku. Tym razem przygotowania są bardziej intensywne, stawka wyższa. We wszystkich płonie strach. Arlene jest na końcu korytarza, jej maristag walczy z zieloną krwią w żyłach. Ona nie wie, jak nad tym zapanować.

Jeśli to nie jest szczęście, to nie wiem, co nim jest.

Uśmiecham się mimo groźby ulewy, mimo świadomości, że kiedy ten wyścig się skończy, bardzo możliwe, że już nigdy nie będziemy mieli z Dorianem nic wspólnego.

Crane wreszcie przyprowadza rydwan na wózku. Blask srebra ściąga wzrok wszystkich obecnych w Sali Woźniców.

– To coś przyciąga uwagę ludzi jak krew raptory – mówi moja przyjaciółka. Nie wydaje się tego żałować. Wspólnie zdejmujemy rydwan z wózka i przypinamy do strzemion Złotej Burzy.

Mija nas Judas i zatrzymuje się, patrząc mi w oczy.

– Hej, jak twoja siostra?

– Leczą ją w Szpitalu. Bardzo ci dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że jej się polepszy. – Pociera dłonią kark. – Jesteś dobrą woźnicą. Lepszą niż większość tutaj. – Zerka na Arlene, po czym się uśmiecha. – Życzę ci jak

najlepiej, Koral. Zobaczymy się później.

– Dzięki, Judas. I nawzajem.

Pozdrawia Crane kiwnięciem głowy i odchodzi do swojego rydwanu. Może to małostkowe, ale cieszę się, że ignoruje Arlene.

– Co takiego zrobił dla Lirii? I kto to jest? – szepcze Crane.

– Ktoś, kto nie potrafi nie wtykać nosa w nie swoje sprawy – odpowiada Dorian z rydwanu obok nas.

Znowu się czerwienię.

– O ironio – rzuca chłodno Crane, ale całe szczęście na razie postanawia nie zwracać na niego większej uwagi. Wiem, że to tylko ze względu na mnie, żeby nie denerwować mnie przed wyścigiem. Crane nigdy nie wybaczy Dorianowi, nawet gdybym ja wybaczyła.

Wśród widzów robi się coraz większy harmider. Widocznie uporządkowano już tory po ostatnich wydarzeniach.

W sali rozlega się głos Mistrzyni. Odsuwam się trochę od głośników, które wiszą mi tuż nad głową. Maristagi na nowo się płoszą. Uciszam Złotą Burzę, kładąc nieśmiało dłoń na jej szyi.

– Wiedziałaś, że nie zostaniesz w stajni sama, prawda? – Przyciskam policzek do jej ciała. Jej kolczasta szczeka daje mi kojące ciepło. – Grzeczna dziewczynka.

– Już czas, Koral – odzywa się Crane ciszej niż zwykle.

Głos Mistrzyni niesie się po całej Sollonii.

– Sto Pięćdziesiąty Wyścig Chwały to wydarzenie, które zapisze się w naszej historii. Od dekad nikt nie rzucił takiego wyzwania. Jednak woźnice stawili mu czoła mężnie i z honorem. Witajcie, Dzieci Gwiazd, na Sto Pięćdziesiątym Wyścigu Chwały!

Nie powinnam mieć dreszczy. A jednak. W Dromie woła Mistrzyni jest najważniejsza. Kiedy mówi, wszyscy słuchają. Kiedy się uśmiecha, świat się otwiera. Gdyby chciała, mogłaby wyzwolić na Sollonii furię, której nikt z nas nie mógłby się przeciwstawić.

– W czasie ostatniego wyścigu woźnice wjadą do labiryntu ze szkła i cieni. Ten labirynt pokaże im ich wrogów, ale też ujawni ich prawdziwe oblicza. Będą ścieżki prowadzące do ślepych zaułków, będą takie, które wyrzucą ich z labiryntu i z wyścigu – cały Drom wciąga gwałtownie powietrze – a do linii mety prowadzi tylko jedna droga.

Ziemia pod moimi stopami się trzęsie. Z początku powoli, przeciągle, a potem się *rusza*. Złota Burza chrapie i odsuwa się do tyłu. Rozlega się nieznośny ryk i zaraz zapada cisza. Po Dromie niosą się okrzyki i oklaski.

Wygląda na to, że mamy nowe tory.

– Piękność, prawda? – rzuca radośnie Mistrzyni. Już to wystarcza, żebym zacisnęła zęby. – Zwycięzca musi przekroczyć pierwszą bramę i przejechać pełne okrążenie wokół Kolca, po czym opuścić tor wyłącznie przez bramę przed linią mety. Będą wiedzieć, gdy to zobaczą. Pierwszy, który przekroczy tę złotą linię, zdobędzie koronę i chwałę.

Pod naszymi stopami przetaczają się echa ogłuszającego ryku. Serce wali mi jak młot i panika zaczyna wlewać się do żył. Podłoga rydwanu jest zbyt blisko...

Jest okej. Jest okej. Jest okej.

– Gotowa? – pyta Crane.

Unoszę głowę. *Nie, nie jestem gotowa.*

– Liria na pewno chciałaby obejrzeć wyścig – ciągnie Crane. – A teraz go dla niej wygrasz.

Tak strasznie bym chciała, żeby siostra mogła być świadkiem tej chwili.

– Dla Lirii – mówię.

Poruszenie widzów jest jak wąż z wieloma głowami, nie da się przed nim uciec. Złota Burza drży. Nie, zaraz mnie rzuci...

Crane chwytą mój nadgarstek, kojąc mnie i ratując przed paniką, która znowu rozpala się w moich żyłach.

– Nie zgiń.

Z tymi słowami moja najlepsza przyjaciółka się odsuwa. Zostaję sama między falą

zielonokrwistych maristagów, które ledwo nad sobą panują.

Bramy się otwierają.

I ostre światła odbierają mi wzrok.



Trzydzieści dwa

Wyścig już się rozpoczął. Jednak cała nasza szóstka stoi zdumiona przed czymś, co wygląda jak gigantyczny biały labirynt. Zewnętrzne ściany błyszczą jak kryształy odbijające promienie słońca. Ale ja *wiem*, że to nie mogą być prawdziwe kryształy. Cokolwiek to jest, przenika przez nie oślepiające światło. Ciągnę za lejce. Złota Burza rusza powoli do przodu, jakby wyczuwając moją niepewność. Mrugam wiele razy, zanim oczy przyzwyczajają się do blasku. Rydwan drży pode mną.

Dorian przejeżdża pod łukiem jako pierwszy. Potem Arlene i ja. Ściany się zwężają. To sieć alejek. Mimowolnie szczerzę zęby. Nie ma nad nami dachu, ale pod nami ziemia błyszczy niebiesko-czarno, jakbym jechała nad tonią oceanu. Jednak pod nogami Złotej Burzy wiruje piasek.

Rozglądam się. Ściany są prawdziwe, ale podłoga to miraż stworzony z luster i światła.

Zaskoczenie mija, zanim zaczerpnę znowu tchu. W środku, gdy zaczynamy ostrożnie przyśpieszać, ściany stają się lustrami. Gdy je mijamy i nasze cienie padają na szkło, pokrywa się szronem. Pokazuje wykrzywiony obraz. Potem tuż przed nami labirynt rozwidła się w różnych kierunkach.

Wysoko nad nami górują filary Kolca.

Labirynt go otacza.

Ten, kto wybierze środkową ścieżkę, będzie miał największe szanse pozostać jak najbliżej Kolca. Wszystkich nas jednocześnie uderza świadomość, że to naprawdę trzeci wyścig i zaraz rozpocznie się walka na śmierć i życie.

Daleko przed nami widzowie tworzą ogromną masę, falującą do rytmu wielkich bębnow.

Jestem między dwoma rydwanami. Maristag po mojej lewej jest jasnozielony – należy do Emmanuela. Odchylam się do tyłu, ściskam mocniej lejce. Knykcie mi bieleją, bębny dudnią głośno w uszach. Docieramy do wąskiej alejki i przypominam sobie, żeby się lekko wycofać. Daję znak Złotej Burzy, a ona zwalnia.

Dwa rydwany mnie wyprzedzają. A ja skręcam w uliczkę wiodącą w prawo. Pode mną alejka się mieni, projekcja chwilowo znika, odsłaniając piasek na torze. Pędzę między ścianami, które szybko zachodzą mgłą, by zaraz stać się znowu przejrzystymi. Blokują nas w taki sposób, że nie widać, kto wyskoczy zza rogu. Dobrze, że widzowie na górze mają lepszy widok.

Czuję pot spływający mi po skroni. Ze wszystkich stron dociera do nas słony zapach oceanu, niepokojąc Złotą Burzę.

Szarpię za lejce, żeby znowu skupiła się na wyścigu. Podłoga jest śliska, jakby zrobiona z metalu.

Dzisiaj Kolec ugina się pod ciężarem ogromnych bębnow i conchy. Na wspornikach jest pełno uzbrojonych strażników. Są przygotowani na bitwę i krew. Górują nad nami ze środka labiryntu.

Skręcam w lewo i niemal zderzam się ze szklaną ścianą. Szybko robi się ciemna. Skręcam w prawo. Lewo. Znowu prawo. I lewo. Pędzę, ale nie mogę zwolnić. Ktoś goni następną alejką. To gigantyczna zagadka. *Musimy* być ostrożni, inaczej powpadamy na siebie nawzajem. To jednak oznacza tyle, że muszę być szybsza od tego drugiego woźnicy.

Z lewej niosą się krzyki. Zaczęła się jakaś potyczka, przede mną na drodze wzbijają się obłoki kurzu. Zamykam oczy i zanoszę się kaszlem, piasek szczypie mnie w oczy i mogę tylko pozwolić, by

łyżę obmyły. Złota Burza wie, co robi – skręca w prawo i unika kolizji z kolejną ścianą na końcu ślepego zaułka, o którym nie wiedziałam.

Przed nami wiruje piasek i zatrzymujemy się gwałtownie. Z trybun niosą się wiwaty. Prawie nie słyszę pozostałych woźniców. Jak poznam, że ktoś zdołał przekroczyć linię mety przede mną? Serce zaczyna mi dudnić. Nie, muszę się stąd wydostać *pierwsza*.

Ręce mam obciążone ciągnięciem Złotej Burzy, czuję palenie w ramionach podobne do ognia.

Nie dam rady jej dłużej powstrzymać, muszę ją uwolnić. Muszę zaufać, że wie, co robi.

Popuszczam lekko i rwiemy do przodu. Kurz opada tak szybko, jak się pojawił. Przed nami leży woźnica, ma rozerwane rękawy, dłonie obtarte do krwi. Zbiera mi się na wymioty.

Proszę, niech to nie będzie Dorian.

Wychylam się w lewo, żeby go wyminąć. Maristag drugiego woźnicy traci panowanie. Uderza w ścianę, która niebezpiecznie ciemnieje. Nie może się zbić, prawda? Stworzenie rzuca się na mnie, próbuje wciągnąć Złotą Burzę do walki. Jest zielone jak morska trawa. Pcham do przodu i jednocześnie zalewa mnie ulga. To nie był Dorian.

Oglądam się przez ramię. *Emmanuel.*

Teraz w wyścigu jest nas pięcioro. Nie wiem, gdzie jest Dorian. Pewnie daleko przed nami. Już czas, żeby pogonić Złotą Burzę. Nie możemy dłużej trzymać się z tyłu.

Pędzimy alejką, podążając za odgłosami znajdującego się niedaleko maristaga. Znowu rozlegają się krzyki, gdzieś blisko. Złota Burza zaczyna przyspieszać. Mijamy przejrzyste ściany, skręcamy w lewo, w prawo i znowu w lewo.

Następną alejkę blokują dwaj woźnicy. Poznają po tym, jak ściany ciemnieją i klarują się, słyszę też maristagi. W którym kierunku biegnie tamta uliczka? Jeśli moja się rozwidli na końcu, znajdę się bezpośrednio na ich drodze.

Judas nie będzie próbował mnie zabić, ale co z Arlene i Saranem? Muszę koniecznie ich wyminąć.

Jakiś rydwan uderza w ścianę i nagle cieszę się, że dzieli nas mur. Odgłosy potyczki na poroża brzęczą mi w uszach. Po mojej stronie kończy się alejka.

Wpadają na mnie Judas i Arlene. Nagle w jednej uliczce są aż trzy rydwany. Jednak ich maristagi walczą ze sobą nawzajem i *każde ze sobą samym*. Atakują lustra na szklanych ścianach, odwracają się i odwracają, goniąc za własnymi odbiciami. Wycofuję się – nie mam miejsca na ucieczkę.

Mimo zawodzenia wiatru słyszę, jak ludzie w najniższych rzędach skaczą i domagają się krwi. Tak mnie to zbija z tropu, że ledwo udaje mi się nie wpaść z powrotem między Judasa i Arlene.

Maristag Judasa wydaje mrozący krew w żyłach ryk – takie coś słyszysz tylko w chwili śmierci. Ledwo jedno okrążenie i ten wyścig już sprawia, że poprzednie wydają się żartem.

Wzbiera we mnie frustracja, gdy ślimaczę się za Judasem i Arlene. Gdy pod wpływem zniecierpliwienia zaczynam rozważać zrobienie czegoś fatalnie głupiego, przed nami pojawia się drugie rozwidlenie na pięć alejek i z jakiegoś powodu wiem, że to oznacza drugie okrążenie. Droga rozszerza się na kilka cennych chwil. To moja jedyna szansa, żeby wyprzedzić tę dwójkę, zanim Dorian i Saran wrócą na moją ścieżkę. Złota Burza zawodzi niespokojnie. Nie zdołam jej dłużej przytrzymać, nie przecinając sobie rękawiczek. I skóry dłoni. Potrzebuję odpoczynku.

Pot spływa mi do oczu. Płuca palą żywym ogniem. Pędzimy przez kałużę krwi.

Złota Burza prycha, za bardzo zbliżając się do rydwanów Judasa i Arlene. Odciągam ją do tyłu i samica skręca w prawo. Prosto w alejkę, która jest zbyt wąska dla większości rydwanów, ale idealna dla mojego, starego. Może uda mi się podstępem zwabić tu innych.

Wykonuję swój manewr.

I jesteśmy po drugiej stronie.

Złota Burza zostawia za sobą walczące maristagi, a przed nami znowu otwiera się szeroka alejka. Podłoga w tym miejscu błyszczyci mocniej, lecz oddaliłyśmy się od Kolca. Skoro Arlene i Judas walczą, muszę uważać już tylko na Sarana i Doriana. Nie pamiętam, żeby ich mijala. Kto wie, gdzie teraz są. Ich maristagi też mogą się spłoszyć.

Zwiększam dystans między mną a Arlene i Judasem.

I wtedy, akurat gdy mijam róg nowej ścieżki, widzę Doriana. Jednak Saran wyjeżdża z alejki na ukos po mojej prawej i blokuje mi drogę. Obracam się dziko, ledwo utrzymuję samice. Potem Saran znika po mojej lewej. Według moich obliczeń jedzie w przeciwnym kierunku do Kolca. Podążam ścieżką, z której przyjechał.

Jednak to, co wydawało się prostą alejką, okazuje się zamknięte przez szklaną ścianę. Cofam się i trafiam w ślepy zaułek. Potem kolejny. Serce mi dudni. Labirynt zmusza mnie do powrotu do dużego rozwidlenia.

Bębny biją w rytmie mojego tętna.

Złota Burza reaguje na tę kakofonię głośnym zawodzeniem.

Popędzam ją.

Prędkość sprawia, że wiatr szumi mi w uszach, zagłuszając dźwięki z trybun. Nad naszymi głowami burzą się chmury. A daleko nad oceanem trzaska piorun.

Strach wypełnia mi usta.

Jeśli będzie mocno padać, maristagi przebiją się przez kamień, żeby dotrzeć do wody. Ten labirynt nam nie pomaga. Tylko wyprowadza stworzenia z równowagi.

Nikt z nas nie przeżyje.

Skup się, powtarzam sobie. To nie czas na zastanawianie się. Muszę tylko pamiętać o drodze i trzymać się z dala od innych rydwanów.

Znajduję następną dużą aleję, której ściany wyglądają jak błyszczące białe minerały. Mogę tutaj przez wiele cennych sekund pędzić z pełną prędkością.

Wyjeżdżamy za róg przy akompaniamencie grzmotów i tętnienia kopyt. Nie wiem, czy dochodzi z mojej lewej czy prawej – Złota Burza jest tak szybka, że nie wiem, czy ściany obok są z kryształu czy zamglonej szyby. Wypadamy za kolejny róg. Dwóch treserów zbiera resztki rydwanu.

– UWAGA!

Treserzy uciekają mi z drogi.

– Przepraszam! – wołam za nimi.

Złota Burza przeskakuje przez szczątki, a ja tracę równowagę.

Wbijam się w bok. Dodatkowy pas, który przypięła Crane, nie pozwala mi wypaść. Jednak mój ciężar popycha rydwan...

Jedno z kół jest w powietrzu, podłoga mknie zbyt blisko mojej twarzy.

Piasek wpada mi do ust, mam go też w uszach i oczach.

Jadę za swoją maristagą bokiem.

Koło terkocze nade mną, zaskakująco szybkie na tle jaśniejszego Dromu.

Lejce wypadają mi z lewej dłoni. Rzucam się, by złapać rydwan. Gdy tylko mi się to udaje, pcham z całej siły. Rydwan pada na ziemię, niebezpiecznie dudniąc o migoczącą czarną podłogę, ale zaraz się prostuje.

Z gardła wyrywa mi się strumień przekleństw.

Tyle czasu im zajęło dostanie się do zniszczonego rydwanu Emmanuela. Co, jeśli komuś stanie się krzywda bliżej środka labiryntu?

Co, jeśli to mnie się stanie krzywda i nikt mnie nie znajdzie? Co, jeśli Dorian...

Z alejki obok wypada rydwan. Maristag ignoruje Złotą Burzę, całkowicie skupiony na drodze. Jest szybki i zacięty. Sprawdzam dystans i woźnicę.

– Jesteś tu! – wołam z ulgą.

Dorian ma jedną stopę na krawędzi rydwanu i skrócone lejce.

– Arlene! – krzyczy. – Jedzie po ciebie!

Zanim przyjdzie mi do głowy podziękować mu za ostrzeżenie, on skręca w inną alejkę. W następnej sekundzie drogę znowu blokuje mi Saran. Mogę albo na niego wpaść albo zwolnić. Przeklinam i ciągnę za lejce.

Przed nami pojawia się szeroki plac. Alejki zbiegają się raz jeszcze na jego przeciwległym końcu.

Na całej kwadratowej przestrzeni wyrastają pod kątem wysokie ściany niczym ogromne karty. *Dziwne, jak to ma powstrzymać woźniców?* Pytanie ledwo zdąży się pojawić w mojej głowie, kiedy jedna z tych kart się obraca i kieruje prosto na mnie. Wrzeszczę. Lawirujemy między atakującymi nas ścianami.

Przeklinam Mistrzynię i każdą osobę związaną z tym turniejem.

W głowie mi łupie. Teraz jest obok mnie ktoś jeszcze, też umyka przed kartami. Zerkam. Judas kuli się na przedzie rydwanu, marszcząc brwi w koncentracji. Jest daleko. Nie skrzywdzi mnie.

Wtedy jednak mój wzrok pada na woźnicę za nim.

Za wielobarwnym, monstrualnym porożem maristaga widzę Arlene.

Tak rozpaczliwie pragnę wygrać, ale jeśli przegram – chcę, żeby wygrał Dorian. Nie Arlene.

Proszę, tylko nie Arlene.

Patrzy prosto na mnie. Muszę przed nią uciec.

Błyskają kły jej stworzenia. Żądza przemocy woźnicy przeszła na maristaga.

– Jedziemy! – wrzeszczę do Żółtej Burzy.

Ruszamy zygakiem od jednej ściany do drugiej, zmuszeni do wycofania się, zwolnienia, spróbowania jeszcze raz, inną drogą. Wszyscy utknęliśmy w kwadracie śmierci.

Wtedy to do mnie dociera: mam Arlene na ogonie.

Judas powoli prze do przodu obok mnie. Umyka przed obracającą się ścianą-kartą. Zapominam o Arlene i zamiast tego ścigam się z Judasem. Może i gra fair, ale jest poważnym rywalem. Jego maristag prycha i przyspiesza. Zbliżamy się do ostatniego rzędu ścian-kart. *Nareszcie.*

I nagle Judas krzyczy.

Odwracam się.

Oś rydwanu Arlene krzesi iskry o koła rydwanu Judasa.

– Zjedź mi z drogi! – warczy Arlene.

Maristag Judasa uderza o ścianę, przecinając mi drogę.

Udaje mu się wycofać i wrzeszczy do Arlene:

– Zwariowałaś? Przez ciebie zginiemy!

Stworzenie dziewczyny uderza porożem w rydwan Judasa.

Niech ją szlag. Wiem, co próbuje zrobić. Tworzy większą przestrzeń między mną a Judasem.

To ja jestem jej celem.

Maristag Arlene to bestia, ma ogromne mięśnie i poroże, a zęby wielkie jak moje palce. Zatapia je w ciele maristaga Judasa. Ciemnozielona krew tryska mi na twarz i na Żółtą Burzę.

Wstrząsa mną dreszcz obrzydzenia. Żółta Burza też się trzęsie, obraca i kieruje w złą stronę – do Arlene i jej żądy krwi. Omal nie wpadam na ścianę-kartę.

Arlene jedzie prosto na mnie.

– Już nie opuścisz Dromu!

Luzuję lejce, wrzeszcząc na Żółtą Burzę, żeby się ruszyła.

Maristag Judasa się uwalnia – uchylam się, gdy strzemiona pękają i lecą w moją stronę. Żółta Burza wycofuje się przed atakującym ją potwornym zielonym maristagiem. Odwraca się i pędzi do przodu, zostawiamy ściany-karty za plecami.

Pasy, którymi byłam przypięta do rydwanu, są zerwane. Nie mogę ich sięgnąć, nie wypadając.

Zbliżamy się do szeregu alejek. Muszę szybko zdecydować, w którą wjeżdżamy. Musi być ta bliższa Kolca. Wybieramy jedną, ale wpadam na szybę. Ślizgam się i ciągnę Żółtą Burzę z powrotem na kwadrat, żeby zabrać ją inną drogą. Tylko że tam rozpętała się walka – Arlene i Judas próbują się dostać we właściwe miejsce.

Judas stara się odsunąć. Wie, że Arlene tak naprawdę chce mnie. Jego rydwan się sypie, pasy fruwią przy ciele maristaga niczym węże wodne. Chłopak patrzy na mnie, jakby przepraszał za ratowanie siebie.

Właśnie wtedy z dłoni Arlene leci nóż.

Trafia Judasa między łopatki.



Trzydzieści trzy

Cios nożem przetacza się po Dromie niczym grom. Najpierw słycać, jak wszyscy jednocześnie wciągają gwałtownie powietrze, a potem cichną.

Jesteś dobrym woźnicą, powiedział mi i życzył powodzenia. Już nic więcej od niego nie usłyszę. Mrugam, żeby pozbyć się łez z oczu, i próbuję zignorować wspomnienie z odwiedzin Judasa w Agorze. To był jedyny Ziemca, który nigdy nie podchodził do mnie ze wstrętem. Spierał się z lekarzem Lirii, pomógł mi zdiagnozować właściwą chorobę.

Wrzeszczę, zanim w ogóle zdam sobie sprawę z tego, co robię. Zdzieram sobie gardło, palce też mam poobcierane pod rękawiczkami. Nic nie słyszę, mój mózg nie jest w stanie przetrwać tego, co się wydarzyło. Nie umiem się skupić i jeśli nie zbiorę myśli...

Duszę swój krzyk, pozwalam mu ucichnąć, a potem blokuję niechciane myśli.

Oglądam się za siebie.

Z miejsca, gdzie leży ciało Judasa, unoszą się drobinki piasku. Ściany Dromu rozsuwają się niczym drzwi i do miejsca zbrodni pędzą trzy maristagi, których jeźdźcy są uzbrojeni w zarguninowe pałki.

Zakrwawiony maristag Judasa wpada w szal i zawodzi, uderzając w ściany.

Arlene utknęła za nim. Mam nadzieję, że już nie ucieknie.

Bo to ja będę jej następnym celem.

Potrząsam głową, dopóki wiatr znowu nie zadzwoni mi w uszach. Zaraz za nim czai się kolejna chmura burzowa. Podążam alejką, która daje trochę wytchnienia; na tę chwilę jestem tutaj sama.

Dorian i Saran są gdzieś indziej, każdy skupiony na sobie.

Arlene może nie przetrwać potyczki z maristagiem Judasa.

Gdybym ich teraz dogoniła...

Ta myśl napędza moją krew.

Zostało nas tylko czworo. Szanse na wygraną raz jeszcze rosną.

Przez to wszystko przebija się równy rytm potwornych bębnow, coraz intensywniejszy, którego wstrząsy niosą się po podłodze, ścianach i rydwanach. Zupełnie jakby ocean przyjął nową formę i uderzył w wyspy. Sądząc po ekscytacji na trybunach, widzowie uwielbiają rytm śmierci maszerującej przez Drom.

Podłoga pode mną migocze, płosząc Złotą Burzę. Samica zwalnia, uderzając w nią płetwą ogonową, jakby to była woda. Daję jej znak, żeby przyspieszyła; lepiej, żeby nie dała się nabrać. Ale to nie jej wina. Dopiero co Drom był wypełniony wodą.

Zastanawiam się, ile czasu już minęło. Cały czas prę do przodu, zwiększając dystans między mną a Arlene.

Po mojej lewej rozbrzmiewają krzyki. Coś się dzieje na trybunach. Wyciągam szyję, ale mineralna ściana labiryntu zasłania niższe rzędy, podobnie jak bębniarze i dziennikarze tłoczący się na Kolcu.

Już czas, żeby przestać się guzdrać. Ale gdy tylko wjeżdżam w nową alejkę, dociera do mnie chaos.

Maristagi, ludzie, jatka.

Wierzchowiec Judasa wskoczył na trybuny. Wspina się coraz wyżej, rozganiając ludzi i zostawiając za sobą płacz. Będą ofiary. Serce wali mi jak młot.

Co, jeśli jest tutaj Crane? Co, jeśli mama i ojciec postanowili obejrzeć wyścig?

Odchylam się do tyłu i patrzę zmrużonymi oczami przez kurz unoszący się w Dromie na trybuny. Strażnicy z ogłuszaczami zapędzili maristaga w róg.

Mogę tylko mieć nadzieję, że moja rodzina jest cała i zdrowa.

Złota Burza odzyskała rytm i uczy się sama unikać ścian.

– PO PRAWEJ! – krzyczy ktoś z trybuny. Gwałtownie skręcam, żeby nie uderzyć w Arlene, która nagle wypada z alejki równoległej do mojej.

Teraz wszędzie w labiryncie zbierają się piach i szczątki. Mimo projekcji podłoga pozostała taka, jaka była wcześniej. Czyli jeździmy w kółko.

Daleko przed nami przez szklane ściany widzę, jak dwie alejki ciemnieją i stają się przejrzyste jednocześnie.

Dorian i Saran walczą z szybko pochłaniającą ich burzą piaskową. Zbliżam się do nich i już czas, żeby za nimi podążyć. Wyminąć, zamiast zgadywać i się wycofywać.

Gdybym tylko nie musiała tak jak oni pokonywać oceanu piasku i kurzu.

Na krótko przed tym, jak znikają, mój wzrok pada na koła Sarana. Jego osie wystają. Ma kolce, tak samo jak w pierwszym wyścigu. Jeśli znajdzie się choć trochę bliżej Doriana, może uszkodzić koła jego rydwanu.

Nie mamy już luksusu w postaci innych woźniców, którzy by odwracali uwagę naszych wrogów.

I wtedy to do mnie dociera.

Arlene już się nie ściga.

Po prostu pragnie zemsty.

Zupełnie jakby chciała to udowodnić, ciągnie maristaga w moją stronę w chwili, gdy wpadamy w sieć krzyżujących się alejek, w których przed chwilą byli Dorian z Saranem, dusząc się piaskiem.

– JEDŹ!

Złota Burza odskakuje w lewo, żeby uciec przed obracającym się kołem zniszczonego rydwanu. Złoto jest pokryte czymś brązowym. To rydwan Emmanuela.

Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Wypluвам piasek. Przyczepia się do każdej powierzchni. Mam go na twarzy, w załamaniach obdartej skóry, w ubraniach. Wypadamy na otwarty kwadrat – prosto przed Arlene.

Zaczyna się rozpędzać. Każę Złotej Burzy przyspieszyć. Robią mi się odciski od lejców, zebra mi zaraz pękną. Nie jesteśmy daleko od Doriana i Sarana. Słyszę gdzieś blisko dudnienie ich rydwanów. Jeśli do nich dotrę – jeśli ich prześcignę – uda mi się powstrzymać Arlene. Ich nie skrzywdzi. Ojcowie Sarana i Doriana rozerwaliby ją i jej rodzinę na strzępy.

– Było warto, Najemko? – krzyczy Arlene.

Jej maristag kłapie pyskiem, atakując tył mojego rydwanu, zęby zaciskają się na urwanym pasku, a oddech zwierzęcia pełza po odsłoniętej skórze mojej nogi. Poroże uderza mocno w bok. Odrobinę wyżej i by mnie przeszyły. Włoski na karku stają mi dęba.

Potem z nieba zaczyna się lać gorzka woda.

Wyścig musi zostać przerwany. Jednak nic na to nie wskazuje.

– Maristagi nie zniosą deszczu! – ryczę, mając nadzieję, że nagra to jakaś kamera i zwróci uwagę Mistrzynie.

Nic się nie dzieje. I nic się nie wydarzy.

Niczym bogowie świata Starszyny Empirejskiej, władcy marionetek stojący za Wyścigiem Chwały jedyne źródło rozrywki upatrują w tragedii.

Arlene wrzeszczy na swojego maristaga.

I zanim pojmem, co się dzieje, jej rydwan uderza w mój.

Ślizgam się, ale jakoś odzyskuję równowagę. Poprzednie wyścigi może i odbyły się dla samej zabawy z oglądania zmagających się ze sobą woźniców, ale wszystkie nauczyły mnie ich taktyki.

Docieramy do rozwidlenia.

Arlene wyciąga szybko rękę, próbując wyrwać mi lejce. Atakuję. Nie obchodzi mnie, czy cios spadnie na jej klatkę piersiową, czy twarz.

– Zostaw mnie! Czy ty chcesz zginąć?

Wybucha śmiechem, a ja wykorzystuję ten moment, żeby otrzeć twarz o rękawy.

Na zewnątrz leje jak z cebra. W środku powietrze jest przesycone mokrym ciepłem piasku.

Złota Burza zarzuca głową, jej poroże mija mnie o włos. Próbuję ściągnąć jej uwagę, ale jesteśmy tak blisko ściany, że iskry lecą z moich kół, gdy wyjeżdżamy za róg. Przez przerażający, gorączkowy moment rozpala się ogień, zaskakując nas obie, ale zaraz znika.

Jednak odgłos ognia jest tak donośny, że pół Dromu wciąga gwałtownie powietrze. Kilkanaście metrów przed nami Dorian przejeżdża z jednej alejki w inną, a potem patrzy prosto na mnie. W tej samej chwili odwraca się do Sarana i coś krzyczy.

– Ostrożnie! – wołam do niego, ciągnąc Złotą Burzę w prawo. Oglądam się za siebie i mam czasu tylko tyle, by zobaczyć, jak Arlene batem zmusza swojego maristaga do kolejnego przyspieszenia. Przestała udawać. Nie szuka własnej ścieżki, tylko podąża za mną.

Szarpię za lejce, krew się we mnie burzy, a mój wierzchowiec pędzi na środek, dając mi chwilę na złapanie oddechu. Niestety krótką, bo Arlene zbliża się od lewej.

Może mogłabym ją pchnąć na ścianę.

Ktoś woła moje imię. Nie mam czasu, żeby spojrzeć.

Droga zaczyna się zwężać i kierować w prawo.

Odchylam się do tyłu i poluźniam lejce. Złota Burza uwalnia pełne zasoby energii i oddalamy się od Arlene, której maristag jest zajęty groźnym potrząsaniem porożem w kierunku przezroczytych ścian.

O ile Arlene nie zdoła nad nim zapanować za pomocą bicia, mój najbliższy problem to przedostanie się przed Sarana i Doriana.

Mijamy w pędzie treserów, którzy próbują utrzymać maristaga Judasa; stworzenie zeskokczyło z powrotem na tor. Wszystko jest rozmazaną plamą wiatru, hałasu i bębnow.

To wtedy Arlene znowu mnie dogania.

Jest zaraz obok, obrzuca mnie inwektywami. Ściany w tej alejce są nieprzejrzyste, błyszczące i białe, żadnego szkła. Patrzę przed siebie – nie pozwolę, by mnie rozproszyła. Sądząc po tym, jak jej głos rozbrzmiewa raz blisko, raz daleko, a towarzyszy mu syk bicia uderzającego w ciało, Arlene ma problem z kontrolowaniem swojego wierzchowca.

To jak szansa podana na tacy.

Jedno małe pchnięcie i pofrunie.

Nie muszę się zastanawiać. Już mam wykonać ruch, kiedy w Dromie znowu rozlegają się wiwaty i krzyki. Coś się wydarzyło. Patrzę zmrużonymi oczami na jeden z ekranów na Kolcu.

Saran jest zaraz za rydwanem Doriana.

Będzie atakował koła.

– Dorian! – wrzeszczę.

– Nie możesz go uratować, a on nie uratuje ciebie! – woła Arlene. Ostrze błyszczy jej u paska. Przypięła się wyprostowana do rydwanu. Może puścić lejce i nie wypadnie.

To wbrew zasadom.

Taki właśnie był ich plan: rozdzielić mnie i Doriana, żeby wyeliminować nas pojedynczo. Arlene może teraz złamać tysiąc zasad. Po wyścigu żadne zażalenie nie będzie miało znaczenia. Nie pożyję dość długo, by zobaczyć, jak dostaje reprimendę.

Muszę się jej pozbyć.

Wiem, co robić. Każę Złotej Burzy biec do przodu. Zanim ocean przyklei się do jej myśli, muszę sprawić, żeby mnie posłuchała.

Pędzimy do najwęższej alejki, jaką mogę znaleźć.

Arlene podąża za nami, polując na mnie, a ja zwabiam ją w pułapkę. Po obu stronach rydwanu sypią się iskry. Trzymam się tuż przed nią w taki sposób, jakbym próbowała przed nią uciec.

Dziewczyna łapie haczyk. Ignoruje nagrzewający się rydwan i trzyma się kursu – trzyma się mojego ogona, nie zbacza nawet na chwilę.

Raz jeszcze wjeżdżamy między szkło. Chociaż zachodzi mgłą, na torze jesteśmy tylko my dwie. Ściany szybko pokrywają się szronem i zaraz stają przejrzyste. Dzięki temu mój wzrok sięga dalej, do miejsca, gdzie Dorian i Saran najwyraźniej naprawdę walczą. Saran wychyla się z rydwanu, wyciąga ręce. I prędko wyjeżdżają za róg.

Opuszczam się niżej, rozciągając lejce. Złota Burza rozumie. Słysząc dudnienie deszczu i bębnow. Samica zbacza do alejki dość szerokiej, by pomieścić przynajmniej trzy rydwany jeden obok drugiego.

Mam nadzieję, że to nie potoczy się fatalnie.

Arlene smaga swojego maristaga, który rzuca się do przodu i mnie dogania.

Szarpię lejcami. Złota Burza przyśpiesza.

Arlene robi to, czego się po niej spodziewałam – próbuje zajechać nam drogę, gdy docieramy do rozwidlenia. Stara się zablokować alejkę i zrzucić mnie z rydwanu. Jest zmuszona do odchylenia całego swojego ciała w prawo.

– Twoja rodzina wszystko zniszczyła! Jesteś trupem! – wrzeszczy, jedną ręką smagając biczem maristaga, a drugą ściskając lejce. Nie odrywa ode mnie wzroku. Muszę sprawić, żeby tak zostało.

– Nie tkniesz mnie! – krzyczę, prowokując ją.

Przeklina. Cała jej uwaga jest skupiona na mnie. Próbuje sprawić, żebym się na niej odegrała. Powstrzymuję się. Nie dam kamerom żadnej pożywki, chociaż wiem, że wierzchowiec Arlene może mnie nadziać na swoje poroże, a ona i tak uniknęłaby kary.

Według moich obliczeń okrążamy Kolec.

– Nigdy nie wy...

Słowa przerywa w połowie potworny ryk. Rydwan uderza w ścianę i rozbija się w drobny mak, posyłając dwa wirujące koła na jaśniejącą niebieską podłogę.

Arlene utknęła pod rydwanem. Wrzeszczy o pomoc, lecz Złota Burza już wyrwała do przodu. Wypuszczam powietrze, przypominając samej sobie, że nie miałam innego wyboru. Musiałam zadziałać.

Zgubiła ją jej własna pycha.

Jednak świadomość tego nie zagłusza jej krzyków i ryku wściekłego maristaga.

Kolejne sekundy mijają szybko. Muszę je dobrze wykorzystać. Dorian i Saran wciąż znajdują się w zasięgu wzroku, za szklanymi ścianami, spowalnia ich tylko walka.

Rzucam się w ich stronę i ten jeden raz jest zupełnie tak, jakby droga sama się przede mną otwierała. Nie trafiam na żadne ślepe zaułki.

Jeszcze chwila i dotrę do tej samej alejki.

Zostało nas już tylko troje.

Zaczął się finał Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały.

Jednak chociaż nad wierzchowcem Judasa udało się zapanować, ogromne stworzenie Arlene oszalało po rozbiciu się o ścianę i od deszczu.

Deszczu, który teraz bije szybciej – dość mocno, by wlewać się do Dromu przez szpary po obu stronach dachu. Powietrze jest gęste od zapachu mułu i oceanu.

Jego wpływ jest tak silny, że przez jedną szokującą sekundę projekcje znikają ze ścian labiryntu i zostajemy odsłonięci. Zewsząd rozlegają się jęki i wrzaski, po czym równie nagle labirynt znowu wystrzeliwuje z ziemi.

Już wiem, jak daleko do mety. Jesteśmy naprzeciwko Wieży Mistrzynie. Muszę jechać przed siebie.

Rzucam się w bok, żeby nie wpaść na wierzchowca Arlene. Jego poroże jest skierowane w dół, na pysku widać zabarwioną na różowo pianę. Klnę pod nosem. Czy to krew Arlene?

Dorian i Saran rozdzielają się przy niedużym rozwidleniu, wreszcie przerywając walkę, a maristag pędzi za nimi, zmuszając mnie do wybrania złego kierunku. Gdy prowadzę Złotą Burzę na prostą ścieżkę, spoglądamy sobie w oczy z Dorianem podążającym równoległą alejką. Tym razem

szkło nie pokrywa się szronem. Saran klnie dość głośno, żebym go usłyszała, po czym ogląda się i dociera do niego, że Arlene nie zdołała mnie wyeliminować.

Że nie będzie mógł pokonać i Dorianą, i mnie.

Że nie pozwolimy mu wygrać.

Przez długie sekundy jedziemy równo, z geometryczną precyzją, po równoległych torach. I wszyscy troje w kierunku przeciwnym do linii mety. Tłum zaczyna się burzyć. Bębny grają inny rytm, szybszy, dzikszy, jakby to one prowadziły całe show.

Muszę wygrać ten wyścig. Muszę sprawić, by ci dwaj woźnice nadal ze sobą walczyli. Muszę ich do tego zmusić.

Wyjeżdżamy z alejek na trzeci plac.

Kieruję Żółtą Burzę na Sarana. Tego się nie spodziewał. Zaraz jestem na wyciągnięcie ręki od niego, a on trzyma się za rydwanem Dorianą.

W ten sposób Dorian jest narażony na kolce na kołach Sarana.

Jeśli będą to kontynuować, ja będę miała prostą, pustą drogę prowadzącą do miejsca, które powinno być ostatnią siecią alejek.

Rydwany moich rywali są zbyt blisko. Na zakręcie uderzają o siebie, wskrzeszając iskry, dość jasne, by oświetlić cały róg mojego pola widzenia. Dorian ryczy, jego rydwan podskakuje i ląduje ciężko.

Luzuję lejce i Żółta Burza przejmuje prowadzenie.

Oto moja szansa na wygraną...

Coś twardego i ostrego jak brzytwa łapie mnie za gardło i ciągnie.

Wydaję zduszony okrzyk i odruchowo unoszę prawą rękę, żeby się uwolnić. Świat się przekrzywia i patrzę na sufit. To bicz. *Saran*. Czuję szorstkie uderzenie, które rani mi palce, i moja dłoń traci napięcie. Żółta Burza cały czas przyśpiesza.

Duszę się i zanoszę kaszlem. Ciemność zbiera mi się przed oczami, w uszach głośno szumi.

Nie mogę puścić palących lejców, inaczej wyfrunę z rydwanu.

O ile wcześniej bicz nie zmiażdży mi gardła.

Coś oplata się wokół dołu moich pleców i krzyczę.

Z trudem łapiąc powietrze, sięgam po bicz i ciągnę go, zamiast próbować go zdjąć. To zaskakuje Sarana, który traci równowagę. Teraz to on luzuje chwyt, co jego maristag interpretuje jako znak, by przyśpieszyć, i wyrывa do przodu – po czym uderza prosto w jakieś resztki na torze.

Pękają strzemiona.

Rydwan się przewraca. Saran robi obrót w powietrzu, po czym kilka razy koziołkuje po torze.

Jedno z kół rydwanu Sarana, wirując, trafia prosto w bok rydwanu Dorianą, odrywając mu pół koła. Jego maristag skrzeczy. To nagły, pełen udręki dźwięk, którego nigdy nie zapomnę. Rydwan Dorianą rozbija się o ziemię i wlece po podłodze, skrzypiąc

i terkocząc, gdy zaczynają mu odpadać śruby. Wszystko zasłania chmura piasku i kurzu.

Żółta Burza robi piruet.

Plac znowu rozchodzi się na alejki. Są węższe niż wszystkie inne do tej pory. Nie mogę...

Jedziemy za szybko.

Tracę kontrolę.

Rydwan przechyla się na bok i podskakuje nad roztrzaskanymi szczątkami rydwanu Arlene oraz kawałkami rozpadającego się rydwanu Dorianą – i wtedy do mnie dociera, że jesteśmy *prowadzeni* po labiryncie, wciąż ścigając się w okrążeniach.

Moja twarz uderza o podłogę, młoty łupią mi w czaszkę. Mam zdarty policzek, szczypie niemal oślepiająco. Rzuca mną jak piłką o ziemię.

Siła tego uderzenia jest jak eksplozja w głowie, wszystkie zmysły na chwilę gasną, a ja pływam w ciemności.

Po torze niosą się donośne, głuche odgłosy.

Z trudem otwieram oczy. Mój zepsuty rydwan leci mi nad głową i rozbija się o ziemię, rozpada na kawałki. Słyszę koła – jedno koło – tuż obok.

– Wstawaj, Koral! – woła do mnie Dorian, pędząc po równoległej alejce.

Twarda podłoga pode mną wciąż przypomina mieniący się czarny ocean. Migocze tak blisko moich oczu, które palą, jakbym od roku ich nie zamykała. Krew płynie mi z nosa, zbiera się w gardle. Chciałabym zwinąć się w kłębek, zacisnąć wokół bólu eksplodującego mi w żebrach. Jednak nie ma czasu. Czy udało mi się pokonać alejkę? Wciąż jestem w środku...

Kogo ja próbuję oszukać?

Przegrałam. Umarłam, to koniec

I właśnie wtedy trącają mnie kolce pyska maristaga. Słyszę krzyki i hałasy, opuszczam wzrok. Ten niewielki ruch wystarcza, żeby wzniecić ból za oczami.

Złota Burza patrzy na mnie tak, jak tamtego dnia, gdy weszłam do stajni – jak gdyby na mnie czekała.

Cały Drom znika jakby za mgłą. Jarzeniówki za Złotą Burzą świecą mocno, ściany odbijają zniekształcony obraz widzów, deszcz dudni wściekle o dach, a ona jest tutaj, klęczy przede mną.

Z jej pomocą przetaczam się na bok, krew wycieka mi z nosa i ust. Przede mną stoi lustrzana ściana.

Patrzy na mnie nie dziewczyna urodzona, by wykrwawić się na piasku, lecz ta z burzącym się czarnym oceanem w żyłach.

Zaciskam dłoń na porożu Złotej Burzy. Ona nawet nie jęknie.

Za nią przez szklane ściany widzę, że Dorian nie jest zbyt daleko z przodu, bo spowalnia go rozpadający się rydwan, a deszcz ma fatalny wpływ na jego maristaga.

Jednak Złota Burza jest tutaj. Spokojna. Opanowana.

Moje palce zaciskają się mocno na płetwie grzbietowej, wbijam kolana, żeby się podnieść. To jest szaleństwo. Jaki to ma cel? Nie mogę ukończyć wyścigu w ten sposób. Nikt wcześniej w Dromie nie jechał na grzbiecie maristaga, nikt prócz...

Pierwszego Czempiona. Więźnia, który nie chciał dać się stratować na torze. Ten, którego rydwan w końcu został przeze mnie zniszczony. Ale od początku nie należał do niego, prawda? Podarowali mu go zaraz po tym, jak zmusili go do poddania się, zmiany swojej narracji.

Wygrasz, Koral. Wiem to.

Głos Lirii sprzed kilku tygodni staje się namacalny, powietrze szepcze mi go prosto do ucha. Wspomnienie siostry jest jak grzmot w żyłach. Płaczące się nogi znajdują sobie miejsce po obu stronach ciała Złotej Burzy, która wstaje i się prostuje.

Nie mam lejców w dłoni.

Jednak jechałam już na tej maristag.

Widzę swoje zniekształcone odbicie w ścianie. Wiem, dlaczego tu jestem. Dlaczego wybrałam Wyścig Chwały.

Bo chcę wygrać.

W Dromie stałam się kimś innym. To jedyny sposób, żeby udowodnić światu, że moim przeznaczeniem nigdy nie było zniknąć z niego bez śladu.

Podciągam nieco nogi i opieram się nisko, mój oddech muska skórę Złotej Burzy. Mięśnie moich ud palą tak samo jak na plaży, ale ciało z łatwością dopasowuje się do grzbietu maristagi. Dorian szamocze się z rydwanem – ale jeśli wydostanie się z labiryntu, wygra.

Wbijam pięty w boki maristagi.

– Jedź!

Złota Burza pędzi z całą energią, jaką ma. Jest mocarna, jej ciało jest twarde i umięśnione, zbudowane właśnie na taką chwilę. Bez ciężaru rydwanu rozpędza się w mniej niż sekundę, pędząc do przodu niczym płonąca gwiazda.

Biegniemy zygzakiem przez alejki, wokół nas krystalizują się ściany. Rwiemy do przodu, nie pozwalając, by zagroziły nam nawet ślepe zaułki. Wiem, że to właściwy kierunek.

Zaczęłam od samego dołu i całe życie ciężko pracowałam, jestem tutaj z jednym maristagiem i walczyłam o każdy skrawek tego, co mam. Nie odbiorą mi zwycięstwa.

Jadę przez Drom niczym lustrzane odbicie Pierwszego Czempiona. Wrzeszczę do całego

świata. Nie umrę.

Przetrwam, przetrwam, przetrwam.

Każda sekunda zbliża mnie do Doriana, aż w końcu jest na wyciągnięcie ręki. Przez chwilę pędzimy z tą samą prędkością. Jestem gotowa poprosić Złotą Burzę o więcej.

Linia mety migocze w zasięgu wzroku, tuż za trzema alejkami, z których tylko jedna doprowadzi nas na miejsce. Wściekłe złoto, które rozpaczliwie próbuje zmienić się w zieleń. Symbolizuje wszystko, czego pragnę w tej chwili: zaszczytu, chwały, bogactwa. Wszystko to zmieni życie mojej matki, mojej siostry, mojego brata. I moje.

Mokry wiatr całuje moją skórę.

Gonię go tak szybko, jak tylko potrafię.

Gdy się do niego zbliżam, Dorian wjeżdża w jedną z alejek.

Wypełnia mnie strach. Co, jeśli wybierze tę właściwą? Co, jeśli dotrze na metę jako pierwszy?

W ostatecznym rozrachunku to właśnie on od początku był moim prawdziwym rywalem.

To Dorian, syna Solomona Akayana, muszę w tej chwili pokonać.

Jest silny i zna różne sztuczki. Obciążył jeden bok, balansując rydwanem w taki sposób, by jak najbardziej pomóc swojemu maristagowi. A Rhyton ufa Dorianowi tak samo, jak Złota Burza ufa mnie.

Może dojechać do zwycięstwa.

Moje palce zaciskają się na płetwie grzbietowej samicy, prosząc o więcej. Ufam swojemu instynktowi i wybieram alejkę biegnącą równoległe po prawej od niego.

Spoglądam mu w oczy i mijam go przez najkrótszą z chwil. Jego wargi są pęknięte, przez porwane rękawy widać krew na rękach. Ma tylko tyle czasu, żeby rzucić z niedowierzaniem okiem na moją maristagę. Jednak jego twarz jest dzika, jakby miał się zaraz roześmiać.

Potem jest już za mną, Drom znika, a ja szybuję.

Złota linia płonie zielenią.



Trzydzieści cztery

Zatrzymuję Złotą Burzę i spadam z niej, łykając powietrze i czując metaliczny posmak krwi wzbierającej mi w gardle. Nie obchodzi mnie to. Nogi mi się trzęsą, wrażenie latania mija. Wyścig się skończył.

Przekroczyłam metę jako pierwsza.

Wygrałam.

Jestem Czempionką.

W Dromie wybucha anarchia; przez dudnienie deszczu przebijają się okrzyki i wiwaty, wszędzie wybuchają bomby proszkowe.

Treserzy nadbiegają ze wszystkich stron, wyciągając ręce po Złotą Burzę.

– Trzymajcie się z daleka – ostrzegam ich.

Potem chwytam maristagę za szyję. Na mojej twarzy krew miesza się ze łzami, lecz i tak wtulam się mocno, ze złamanymi palcami i cała roztrzęsiona. Moje nogi płoną żywym ogniem i płaczą, płaczą, płaczą.

Unoszę wzrok, słysząc drapanie metalu o podłogę. Cały Drom pokrył się trzepoczącymi białymi banerami, tonąc w piskach i harmidrze. A z labiryntu wyłania się Dorian, powłócząc nogami obok swojego maristaga, opierając się sile grawitacji.

Niepewnie próbuje zdjąć Rhytonowi strzemiona.

Dokoła nich pojawiają się treserzy z kijami i odsuwają go. On im na to pozwala. Krwawiącą ręką obejmuje się w pasie i rusza do mnie chwiejnym krokiem.

– Ukończyłaś wyścig – mówi z trudem, patrząc oczami pełnymi krwi i zachwytu. – Jako pierwsza.

Jednak nie patrzy na mnie. Jego wzrok jest skierowany do góry – tam, gdzie stoi Mistrzynie, doniosła i błyszcząca srebrem figura woskowa, która spogląda na nas, gdy świat dokoła wybucha fanatyczną radością.

Zanim zdążę mu odpowiedzieć, bramy się otwierają i przez jedną szaloną chwilę spodziewam się maristagów.

Jednak to Solomon Akayan.

Maszeruje tak szybko, że pewnie wolałby biec, gdyby nie to, że cała wyspa zebrała się na trybunach, żeby obejrzyć prawdziwe ostatnie okrążenie Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały.

– I na to poświęciliśmy osiem lat, chłopcze? – krzyczy Solomon.

Staram się nie patrzeć, ale jest tak głośny, że równie dobrze mógłby puścić swoje słowa na każdym ekranie. Przedstawiciel Wyścigu i pomocnicy stanu doganiają go, razem ze strażnikami Mistrzynie.

Nagle Solomon się zatrzymuje. Teraz wskazuje na mnie palcem. Ma czerwoną twarz i zaciśnięte szczęki.

– Ta dziewczyna oszukiwała!

Oskarża mnie z taką samą pewnością, z jaką ja wiem, że wygrałam sprawiedliwie.

– Pierwsza przekroczyłam linię mety – zwracam się do przedstawiciela Wyścigu.

– Na grzbiecie maristaga! – grzmi Solomon. – To jest wyścig rydwanów.

– Słuszna uwaga, Koral z Sollonii – odzywa się pomocnik stanu. Nie mówi tego kąśliwie ani nawet jakby chciał, żeby to była prawda, ale po prostu daje mi szansę na obronę.

– Jeśli Wyścig Chwały powstał, aby uhonorować Pierwszego Czempiona, w takim razie nie wydarzyło się nic niesprawiedliwego. – Unoszę podbródek, krew nadal cieknie mi po twarzy.

– Sprawiedliwym zwycięzcą jest Dorian – warczy Solomon.

– Uznałem jej zwycięstwo, ojciec – oznajmia Dorian. Patrzą na niego wszystkie pary oczu w pobliżu. On też krwawi i otarcie na moim policzku szczypie ciepło.

Czy ja w ogóle mam jeszcze skórę na policzku?

– Uznałem je – powtarza. – Alejka, którą wybrałem, okazała się ślepym zaułkiem. Musiałem się cofnąć i wrócić, żeby opuścić labirynt. Koral już zdążyła ukończyć wyścig. Ja tylko sprowadziłem swojego maristaga. – Spogląda na labirynt, gdzie u wyjścia leży jego korona i błyszczy samotnie. – Możemy spierać się o użycie rydwanów, ale ponieważ żaden inny woźnica nie przekroczył tej linii, Koral z Sollonii jest prawdziwą zwyciężczynią Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały.

Po jego przemowie zapada pełna zdumienia cisza.

– Cóż, to wszystko jasne. Jeśli drugi woźnica uznaje zwycięstwo, kimże jesteśmy, żeby się z nim spierać? – oznajmia pomocnik stanu. I daje mi znak, żebym weszła do Sali Woźniców. Powstrzymuje nas głos Solomona. Jednak to nie na mnie krzyczy.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że wszystko zniszczyłeś, ty głupi gówniarzu?

Rozpala się we mnie nienawiść.

– Wróć tutaj! – woła za nim Solomon i Dorian przystaje. – Myślisz, że Mistrzynie jest po twojej stronie? – krzyczy, plując. Przedstawiciel wyścigu wierci się nerwowo, a pomocnik stanu zaciska usta. Strażnicy jak jeden mąż prostują broń. – Tego właśnie chcieliśmy uniknąć od pierwszego dnia, kiedy ta dziewczyna postanowiła wszystko sabotować!

Nikt się nie odzywa, nawet na trybunach trochę ucichło. Ludzie tłoczą się na dole, próbując podsłuchać rozmowę.

A potem dzieje się coś jednocześnie cudownego i okropnego.

– Och, zamknij się, Solomonie Akayanie! – woła Crane, wychodząc z Sali Woźniców. Zatrzymuje się obok Dorian, który jest biały na twarzy. Patrzy z niepokojem na mnie, a potem na moją przyjaciółkę.

– Co ty...

– Nie wtrącaj się – przerywa mu ostro Crane. – A ty posłuchaj – zwraca się do Solomona. – Nawet jeśli Dorian przegrał, to z honorem. Dał z siebie wszystko. To więcej, niż można powiedzieć o tobie, bo się wściekłeś jak na wół oszalały aquabat. Nie masz za grosz godności?

Świat w tym momencie zamiera. To trwa zbyt długo.

– Już czas, żeby pan odszedł – mówi jeden ze strażników. Unosi brew, podbródek, jedną rękę trzyma na broni. Wszyscy wiemy, co to oznacza: nie obchodzi ich, kim jest Solomon, rozkazy pochodzą od Mistrzynie.

Solomon patrzy na Dorian, który uśmiecha się pod nosem. To jasne, że on również dokonał wyboru.

Jednak kiedy Solomon odchodzi, mam wrażenie, jakby fala wycofała się tylko po to, by za chwilę znów uderzyć w wybrzeże.

Crane odwraca się do mnie.

– Wyglądasz, jakbyś była jedną nogą na pokładzie łodzi pogrzebowej. Zabierzmy cię stąd. – Obejmuje mnie ramieniem. Syczę z bólu. Jej przeprosiny to ostatnie, co słyszę przed tym, jak ostatecznie moje ciało się poddaje i tracę przytomność.



Budzę się w znajomym białym pomieszczeniu Szpitala Ziemców.

Ciekawe, czy próbowali mnie zatrzymać, bo miałam metalową broszkę na kołnierzu.

Z rurki podłączonej do mojego przedramienia sączy się przezroczysty płyn. Moje policzki są ciepłe, lecz gładkie. Nic nie boli. Oczywiście. Nie mogę wejść do łóżka Mistrzynie, wlokąc pół ciała po

podłódze.

Bo wygrałam.

Bezwiednie szepczę gorączkowe podziękowania dla wszechświata.

– Obudziłaś się. – Głos pielęgniarki unosi się nad moją głową. Znowu ten upiorny uśmiech. –

Gratulacje!

Cóż, to potwierdza, że jednak wygrałam.

– Mogę się zobaczyć z rodzicami? – pytam, próbując się podnieść. – Są tutaj.

– Och, skarbie, będziecie mieli na to czas później. Musimy cię przygotować na Ceremonię Koronacji. – Mimo entuzjazmu w słowach jej uśmiech pozostaje taki sam. Szybko sprawdza moje funkcje życiowe, po czym wychodzi, żebym mogła się ubrać – w nowy zestaw czarnych spodni z białą koszulą. W tym momencie mam wrażenie, że to żart.

Za drzwiami czekają na mnie dwaj uzbrojeni strażnicy. Cała droga od Szpitala przez tunele Terrafortu do Sali Woźniców jest pusta. Wszyscy są gotowi na Ceremonię Koronacji, albo czekają w Dromie, albo już świętują na głównej arterii.

Gdy strażnicy są już na schodach, ktoś woła z korytarza.

– Nie mogę w to uwierzyć! To Czempionka!

Rozpoznaję głos Crane, a potem jej twarz skrytą pod warstwą makijażu, kiedy przyjaciółka podbiega. A jednak zachowuje się, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała.

– Nie mogę uwierzyć, że złapałam cię tuż przed ceremonią. Jakie to ekscytujące!

– Proszę się cofnąć... – mówi strażnik.

Jednak Crane dalej zasypuje mnie komplementami. Zdumiona już mam jej powiedzieć, żeby przestała, kiedy zdaję sobie sprawę, dlaczego strażnicy nie pogrozili jej ogłuszaczem: jest cała ubrana na białe, a twarz pomalowała białą i srebrną farbą. I dlatego widzą w niej Ziemkę z Białej Frakcji.

– Tylko jeden uścisk – piszczy. – I możecie ją zabrać!

Zanim któryś się odezwie, Crane ściska mnie, miażdżąc mi żebra, i szepcze do ucha:

– Musimy porozmawiać.

– Co się stało? – odpowiadam równie cicho.

– W czasie wyścigu uratowali Arkistów z więzienia. Emrik odszedł razem z nimi. Ukrywa się u mnie, ale nie możemy tam zostać zbyt długo.

Strach mrozi mi krew w żyłach, myśli się płaczą. Emrik uciekł i jest bezpieczny.

Tylko czy na pewno?

I czy ja też?

Crane mnie puszcza, emanując fałszywą ekscytacją.

– Powodzenia! – dodaje dla lepszego efektu, kiedy strażnicy w końcu stają między nami i kierują mnie na górę do Sali Woźniców.



Trzydzieści pięć

Kilka minut później jestem z powrotem w Sali Woźniców, żeby wziąć udział w Ceremonii Koronacji. Serce wciąż mi wali po tym, co powiedziała Crane. Dochodzący z zewnątrz gwar wiruje mi w głowie razem z myślami o bracie. *Ogarnij się, do cholery*. Jednak im bardziej się staram pozbierać, tym wyraźniej słyszę dziwne głosy.

Zdecydowanie nie mogę mieć teraz ataku paniki.

Muszę przewietrzyć głowę.

Złota Burza ma na sobie szarfę Białej Frakcji. Chwytam materiał, którego satynowy dotyk przywraca mnie do rzeczywistości. *Myśl o oceanie, spokojnych błękitnych falach, skaczących flonnerach, szarym piasku*. Pod szarfą czuję twarde łuski maristagi. Jej poroże mieni się zielenią, odbijając chłodny blask lamp.

Myśl o polowaniu.

To wreszcie przegania wszystkie inne myśli. Biorę głęboki oddech i się prostuję.

Niedaleko bramy czeka też Dorian ze swoim maristagiem. Jako drugi woźnica przyjmie gratulacje przed moim Koronowaniem. Ubrany w prosty czarny bezrękawnik i ze srebrną koroną wiszącą u paska wygląda dokładnie tak samo, jak przed wyścigiem.

Kiedy mnie widzi, jego ramiona opadają. Wygląda, jakby chciał mnie przeprosić. Za zachowanie ojca? To nie może być dla niego łatwe – mimo wszystko nadal nie wiem, czy sama potrafiłabym się odciąć od swojego.

Nie rozumiem, co się dzieje między mną a Dorianem. Czy to niepewne ciepło, jakie do niego czuję, to tylko sympatia zrodzona ze wspólnych krzywd. Czy może wzbiera we mnie coś, co nie wydawało mi się możliwe. Coś, co wypiera gniew, z którego nie potrafiłam zrezygnować.

Nie wiem, czy to kwiat, czy grzyb.

Proszą go, żeby wszedł do Dromu na czas Ceremonii. Po nim przychodzą po Złotą Burzę. Zamiast podążyć za swoją maristagą, jestem prowadzona do Wieży Mistrzynie. Ceremonia Koronacji jest transmitowana na żywo z łoży – co, oczywiście, odbija się na moich świeżo wyleczonych kolanach.

Mimo to idę dalej. Strażnicy Mistrzynie, zapewne zażenowani, udają, że wcale się zaraz nie przewrócę.

Chociaż przystali mi znajome ubrania, materiał przykleja mi się do ciała i powoduje dyskomfort. Do tego jest absurdalnie ciężki. Polowanie w nim byłoby koszmarem. Wlokę się przez korytarz pełny zdjęć poprzednich Czempionów i Czempionek.

Jak mam w ten sposób polować na maristagi?

A potem sobie przypominam. Nie będę więcej polować. Czy nazwisko zostanie przekazane kolejnej rodzinie? Pokolenia Łowców nagle będą miały nowych członków. I wszystko dlatego, że puściliśmy z Emrikiem jednego maristagą.

Powietrze jest przesycone muzyką z Dromu. Jestem coraz bliżej. Tlen w moich płucach zmienia się w kamienie.

Razem z eskortą wychodzimy za róg na końcu korytarza i oślepiają mnie jasne światła wpadające na łożę. Mrużę oczy i odwracam się – do zdjęcia Solomona z jego Ceremonii Koronacji.

Szybko uciekam wzrokiem w drugą stronę i zauważam swoje odbicie w srebrzystej powierzchni filara. Nie ma we mnie znaczącej zmiany, nie licząc zapadłych policzków wiszących dziwnie nad okrągłym podbródkiem. Włosy mam proste, zasłaniają pozostałą połowę mojego tatuażu. Powstrzymuję chęć, by je spać jak zawsze. Ręce mam zbyt lepkie.

Kiedy Mistrzynie dowiaduje się o moim przybyciu, rozpoczyna Ceremonię Koronacji. Po krótkiej przemowie o zakończeniu Wyścigu Chwały strażnicy przy wejściu wskazują na łożę.

– Koral Łowczyni, Mistrzynie Minos czeka na ciebie.

Niczym fizyczny cios uderza mnie świadomość, że za chwilę zostanę Czempionką Wyścigu Chwały.

Każdy krok do przodu oddala mnie od dawnego życia. Niepokój w żołądku dopomina się uwagi. Jednak nie mogę teraz o nim myśleć. Przekraczam próg. Obmywają mnie jasne światła.

– Witaj, Koral z Sollonii, Czempionko Sto Pięćdziesiątego Wyścigu Chwały – oznajmia Mistrzynie. Ma na sobie mikrofon wpięty w kołnierz błyszczącego srebrzysto-niebieskiego sari, drobny paproch w jej skądinąd idealnym stroju. Jej chropawy, nasycony autorytetem głos niesie się wzmocniony po Dromie.

Wciągam głęboko powietrze i idę do przodu. Gdy podchodzę do balustrady, witają mnie setki maleńkich luster, które odbijają fluorescencyjny blask Dromu, przywodząc na myśl migoczące gwiazdy. Widok jest tak piękny, że zatrzymuję się, oczarowana. Potem sobie przypominam, że nagrywają mnie kamery. Szybko ruszam do przodu i wtedy witają mnie błękitne oczy Mistrzynie z białą obwódka.

Kąci jej ust unoszą się nieco. Jakby znała jakiś sekret. Jakby nie mogła się doczekać rozpoczęcia najlepszej rozrywki swojego życia.

– To wielki zaszczyt móc włożyć tę koronę na twoją głowę zgodnie z tradycją przekazywaną z Czempiona na Czempiona. – Robi pauzę, a ja drzę, słysząc te słowa. Tradycja to nie jest coś, co można by łączyć ze mną. – Koral z Sollonii, przyjmij koronę. – Wskazuje za siebie, gdzie otwierają się drugie drzwi, identyczne jak pierwsze.

Wychodzi stamtąd Czempion Sonny, bez uśmiechu. Trzyma w ręku aksamitną poduszkę. Na niej spoczywa błyszcząca korona ze srebra i złota, wytworna i wysadzana setkami małych błyszczących kamieni. Ta korona jest spuścizną, podarunkiem od Starszyny. I przez cztery lata będzie należeć do mnie.

– Powtórz za mną – mówi poprzedni Czempion. – Ja, Koral z Sollonii, przysięgam w imię Starszyny Empirejskiej, że będę stać na straży chwały korony i zachowywać posłuszeństwo wobec Rady Ofiru zgodnie z prawem...

– Ja, Koral z Sollonii...

W Dromie rozlegają się krzyki.

Pośród białych banerów rozwija się ciemny, zasłaniając ćwiartkę widzów. Kolory mieszają się ze sobą. Mrużę oczy, żeby dojrzeć, co się dzieje – ale wtedy zauważam, że Mistrzynie jest skupiona na ekranie w kącie łoży.

Serce mi zamiera.

Baner jest wyszywany srebrnymi łańcuszkami z jednym napisem na środku.

ARKA WOLNOŚCI.

Trzyma go grupa zamaskowanych ludzi.

Coś śpiewają, echo ich głosów wciska się w każdy zakątek wyspy: *Koral z Sollonii. Koral z Sollonii. Koral z Sollonii.*

Przez trybuny przechodzi fala ukradkowych ruchów – strażnicy są już w drodze.

Początek mojego czasu jako Czempionki zostanie splamiony krwią i niepokojem.

– Chronicie Mistrzynie! – woła ktoś blisko. – Jest ciagle w łoży! Zabierzcie ją stamtąd!

Moje dłonie zostają skrępowane, jeszcze zanim zdążę wciągnąć powietrze. Nawet nie zauważyłam strażników w łoży. Zdumiona wpatruję się w kajdanki, a potem w mężczyzn tłoczących się w korytarzu. Otacza mnie ściana niebiesko-rdzawych mundurów. Podłoga pode mną się przekrzywia.

Na ekranie widzę, jak Złota Burza macha wściekle płetwą ogonową. Kłapie i obnaża zęby. Ten akt agresji sprawia, że treserzy uderzają w nią zarguninowymi kijami.

– Nie! – wybucham w końcu. – Co wy robicie? Mistrzynie Minos, co się dzieje? – Próbuję się uwolnić kopniakiem, a strażnicy od razu odciągają mnie od Mistrzynie.

Minos poprawia idealne nakrycie głowy, strzepuje czyste srebrzysto-niebieskie sari i ostrożnie odsuwa się ode mnie niczym od dzikiego maristaga.

– Koral z Sollonii – grzmi ponad chaosem w Dromie. – Dostałaś szansę życia, ale postanowiłaś zdradzić zaufanie Ofiru i sprowadzić rebeliantów do naszego domu. Wpuściłaś ich do Sanktuarium i pomogłaś im nas okraść, a ponieważ twój brat został uratowany w chwili, gdy ty odwróciłaś naszą uwagę na Wyścigu Chwały, stało się jasne, że jesteś tutaj na ich żądanie. Nie należy ci się gloria naszego świata.

Uciekaj! Wydostań się!

Słyszę w głowie wrzask Emrika, ostatnie jego słowa przed aresztowaniem. Powinnam była go posłuchać. Teraz już za późno.

Ziemcy w końcu postanowili wyrwać mi z rąk ostatnią linę.

Jestem Ikarem.



Trzydzieści sześć

Odgłosy conchy Sollonii nie docierają tak głęboko.

Nie wiem, czy minęły godziny czy dni. Ciemność na Ofirze powinna być bezpieczna, powinna być naszym zbawieniem, lecz nie dla mnie. Dla mnie jest więzieniem. W ciemności twarz Mistrzynie przybiera kształt tak wyraźny, że mogłabym jej dotknąć, gdybym tylko wyciągnęła rękę. Jej białe włosy świecą niczym słońce, jednak klejnot na jej kiju przywodzi na myśl krew, zamarznąłą i twardą jak lód.

Przygląda mi się i mówi: *Szkoda.*

Zgadzam się. Więc nie płaczę.

Myślę o rodzinie i wtedy strach przeobraża moje serce w kulę ołowiu. Byli w Szpitalu. Co się z nimi stanie? Czy jeszcze ich kiedyś zobaczę? Żałuję, że nie powiedziałam im o Emriku. Może chociaż oni zdołaliby uciec.

Ale jak? Z nieprzytomną Lirią?

Proszę, niech wyjdą z tego bez szwanku. Niech zapomną o mnie i żyją.

To wszystko dla mnie, powiedział Dorian.

Dla mnie, dla tej celi, głęboko pod ziemią. Z dala od Dromu. Przelykam frustrację po raz setny. Jeśli skrzywdzili Złotą Burzę... jeśli...

Biję pięściami twardą, zimną podłogę.

– Mam nadzieję, że ocean wedrze się wam do domów!

Mój głos odbija się echem i umiera w ciszy. Po chwili zaczynam nucić. Byle tylko nie oszaleć. Ale po chwili kosztuje mnie to zbyt wiele wysiłku. Zimno wnika mi do płuc. Nie mam się czym okryć. Przyciskam się do ściany. Stopy chowam pod siebie, dotykają zimnej podłogi.

Poruszam się i ostry ból przeszywa mi kości. Dlatego staram się tego nie robić.

– Nie powinnaś była pozwolić tamtemu maristagowi uciec – mówi Emrik.

– Nie powinnaś była mnie ignorować, kiedy był jeszcze czas – mówi Crane.

– Nie powinnaś była walczyć z rebeliantami – mówi ojciec.

Najgorsze słyszę od mamy, która ściska dłoń Lirii.

– Potrzebowaliśmy cię. Wszystko zniszczyłaś.

– Nie – szepczę w ciemności, wyciągając do nich ręce, lecz moja rodzina to tylko kłamstwo opowiadane przez mrok.

Wreszcie rozlegają się kroki. Może też nie są prawdziwe. Mam halucynacje. Może...

Światło rozpala się w otwartych drzwiach, w tej czerni wydaje się, jakby same gwiazdy zstąpiły z nieba, żeby wszystko spopielić. Rozpala się ból, który pożera mi mózg od środka. Chciałabym sięgnąć do wnętrza czaszki, wyciągnąć to, co boli, i to wyrzucić. *Proszę, zabierzcie to światło gdzieś indziej.*

– Jestem rozczarowana, Koral z Sollonii – mówi znajomy, pełen nienawiści głos Mistrzynie. Jej czyste, świeżo wyprasowane ubrania wydają się nie na miejscu, zupełnie jakbym to ja, a nie chłopak Ziemców, włożyła srebrną koronę.

Etykieta wymaga, żebym wstała. Ukłoniła się. Jednak tylko patrzę na nią z podłogi.

– Ostrzegałam cię, że ambicja w tym świecie może istnieć tylko zgodnie z jego zasadami.

Historia o Ikarze i jego źle wykalkulowanych skrzydłach.

– Twój brat niedługo zostanie odnaleziony, podobnie siostra.

Unoszę wzrok tak szybko, że słyszę szum.

– Co z moją siostrą? Coście z nią zrobili? Moja rodzina nie miała z tym nic wspólnego. Przecież pani to wie, Mistrzynie.

– Nie mów, dopóki nie dam ci głosu, dziewczyno. Jeśli chodzi o twoją rodzinę, dziękuję za dostarczenie jej prosto do naszych rąk. Gdyby nie byli w Szpitalu, aresztowanie mogłoby się skończyć nieprzyjemnie. Oczywiście zajmimy się nimi. I obiecuję, że gdy tylko znajdziemy twojego brata i siostrę, spotka ich ten sam los.

Serce bije mi tak szybko, że *plonie*. Naprawdę nie pojmała Lirii? Czy Emrik i Crane mogli ją wydostać? Nie, to nierealne. Nagły napływ emocji dźga mnie w oczy. Trzymam się kurczowo tej odległej nadziei.

– Rebelianci wzbijają się niczym kurz w powietrzu. A potem opadają. – Macha ręką i światło za nią rzuca wielkie cienie w klaustrofobicznej celi. – Chciałam, żebyś była lepsza, niż jesteś, Koral z Sollonii. Chciałam zobaczyć, czy posłuchasz. Szkoda, że nie posłuchałaś.

– Posłuchałam – szepczę gniewnie. – Zrobiłabym wszystko. Nie wychylałabym się, nie...

– Nie potrafiłaś trzymać się nawet najprostszycy wytycznych, Łowczyni. Wiele mówisz, ale rzadko się to przekłada na czyny. Szkoda – mówi tym samym głosem, który sobie wyobraziłam.

Sukienka, którą mi wysłała na Pierwsze Świętowanie. To był test. Żeby sprawdzić, czy wykonam jej polecenie. Nie wykonałam.

– Gdybyś posłuchała, Koral, wszystko potoczyłoby się inaczej. Gdybyś pozostała na swoim miejscu, wiodłabyś znacznie lepsze życie.

Niemal udaje mi się nie prychnąć.

– Czyli ten Wyścig Chwały nie będzie miał swojego Czempiona?

– Obie dobrze wiemy, że od początku był tylko jeden Czempion. Dorian Akayan był wychowywany na Czempiona od dziecka. Nigdy byś nie zdołała mu tego odebrać, bez względu na to, co was kiedyś łączyło.

Zasłaniam dłońmi usta, niemal wbrew woli. Wpatruję się w Minos. Ze wszystkich elementów, które wskakują na swoje miejsca w układance i udowadniają, że Mistrzynie przyłożyła rękę do zniszczenia Doriana i mnie, ten jeden wstrząsa mną dogłębnie.

– Śledziła nas pani? Byliśmy aż takim zagrożeniem?

– Zabawna jesteś, Koral.

– Czyli tak – chrypię. – I co mu pani powiedziała? Że pozwoli mi pani żyć, jeśli on do pani dołączy?

Patrzy na mnie beznamiętnie i nie potrzebuję innego potwierdzenia. Solomon Akayan groził mi śmiercią. Jednak Dorian ostrzegwał, żebym nie ufała Mistrzynie. Jak to możliwe, że *teraz* jej wierzy?

Może nie chciał, żebym zginęła, ale od samego początku zamierzał mnie zdradzić.

Skrzywdzić mnie i nazwać to ratunkiem.

– Nie lubię stagnacji, Koral. Jednak zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, kiedy wstrząśniesz małym światem. Tym światem nie można potrząsać. Dorian będzie robił to, co robił wcześniej. – Bierze głęboki oddech. – Jest Ziemcą, który wie, że skrzypce nas nie uratują. Jedynie świadomość ograniczeń i tego, co możemy poświęcić.

– Czy to naprawdę była Arka Wolności, Mistrzynie? W Dromie?

– Arka Wolności – mówi, smakując te słowa. – Wolność chyba oznacza różne rzeczy dla różnych ludzi. Jeśli masz na myśli tych, którzy rozumieją, kiedy nie są na fali, i uginają się w obliczu silniejszej woli, to tak.

Fracje. Podział wśród rebeliantów. Byli tam, w Dromie, rozmawiali o woli Mistrzynie. Liderka Arki już raz spiskowała z Ziemcami i wtedy moja matka została wygnana. Teraz jedna z frakcji wyciągnęła rękę do Mistrzynie i postanowiła, że nastąpi moja kolej.

– Chciałaś, żebym wygrała – mówię i opuszczam ramiona. – Ty to zrobiłaś.

Każdy Najemca, który ośmieli wznieść się wyżej, zostanie zmiażdżony. Nikt więcej nie wystąpi

przeciwko Ziemcom. Podporządkują sobie tych, którzy już zdążyli wyjść przed szereg. Wykorzystają mnie jako przykład tego, co się dzieje, gdy się przeciwstawia bogom. Najemcy już zawsze będą żyć i umierać na powierzchni.

Czuję się, jakby ktoś zepchnął mnie z klifu.

Nie tylko swoją rodzinę doprowadziłam do upadku – ale cały lud.

Podnoszę wzrok na Mistrzynie. Zapada długa, martwa cisza, w czasie której uważnie mi się przygląda. Wydaje się dziwnie nierzeczywista, kiedy w końcu mówi:

– Zrobiłam to dla nas wszystkich.

Po tych słowach wychodzi.

Przyciskam dłonie do ust, żeby zatrzymać szloch, a wtedy zaczepiam o broszkę. Taka absurdalna rzecz. Pocieram palcem o grawer. Nawet w ciemności pamiętam słowa na tyle, żeby je zobaczyć. *Niech Wodny Koń ma cię w opiece.*

Podoba mi się. Jeśli we wszechświecie jest jakaś siła, jeśli ktokolwiek mnie słucha, błagam, żeby chroniła moją rodzinę. Rodziców, Emrika i Lirię. Gdziekolwiek teraz są.

Wierzę teraz w bogów Starszyny. Wierzę, że istniały kiedyś siły zdolne przynieść głód, plagi i trzęsienia ziemi, zdolne zmieść ludzi z powierzchni za pomocą zaledwie jednego słowa. Być może tę tragedię też oni napisali.

Tragedię o dziewczynie zbyt zagniewanej, zbyt ambitnej, aby dobrze na tym wyjść.



Przychodzą po mnie Helix Stratis. Nie opieram się, gdy mnie podnoszą, wciąż zapiętą w kajdanki. Język mi wysechł na kamień. Pozostałe opary gniewu zniknęły w ciemności i zimnie. Nawet maleńkie przebłyski zza rogu nie robią żadnej różnicy.

Mrużę oczy i widzę, że jesteśmy w wąskim korytarzu z celami.

Samo patrzenie już pozbawia mnie sił.

Pozwalam się ciągnąć, nie mogąc nawet *zaplakać*.

Dopiero kiedy do moich uszu zaczynają dobiegać ciche odgłosy tłumu, podnoszę wzrok.

Zabierają mnie do Dromu – zegar odmierzający sekundy nad wejściem do Sali Woźniców pokazuje tę samą godzinę, w której rozpoczęły się wyścigi.

Ostatni spektakl z woźnicą Najemców w roli głównej.

Moje dłonie ocierają się o metalową broszkę – błogosławieństwo matki – na porwanym kołnierzu moich zniszczonych ubrań.

Na trybunach siedzą głównie Ziemcy, przestrzeń Najemców jest pusta. Nie ma śladu po mojej rodzinie. Nad nami góruje Mistrzynie. Obok niej – Dorian. Wyglądają jak dwie strony Ofiru, jasny wypłowiwały dzień i głęboka ciemna noc.

Dorian ostrzegwał mnie, że to Mistrzynie wybiera zwycięzcę. Jego srebrna korona została zastąpiona przez Koronę Czempiona, która błyszczy w fluorescencyjnym świetle.

Nie patrzy mi w oczy.

– Tchórz – mamroczę, nie odwracając od niego wzroku.

Tłum mnie przeklina. Cóż za kapryśne stworzenia. W mroku w moich żyłach krążył strach o to, jaki czeka mnie los, ale teraz widzę, że i tak nie mogłam zrobić nic, co by wpłynęło na te potwory.

Ta świadomość jest uwalniająca. Prostuję ramiona.

Jeśli mnie teraz uduszą, nie będę błagać.

– Witajcie, Dzieci Gwiazd. – Lodowaty głos Mistrzynie niesie się po Dromie. Rozbrzmiewające po nim wiwaty są ogłuszające. Spragnione krwi raptory. Dzisiaj w Dromie są wyłącznie Ziemcy. Tak, jak zawsze tego chcieli.

– Kiedy zabraliśmy głos w imieniu tej dziewczyny Najemców, kiedy otworzyliśmy dla niej serca – z trudem powstrzymuję śmiech, słysząc słowa Mistrzynie – nie mieliśmy pojęcia, jak zdradziecka płynie w niej krew. Okazaliśmy jej dobro, a w nagrodę dostaliśmy tylko szyderstwo i cierpienie naszego ludu. Jednak dziękuję Koral z Sollonii, ponieważ przypomniła nam, że dźwierzmy ogromną siłę. Od tego dnia już nigdy więcej nie damy się zwieść.

Za swoją absurdalną przemowę otrzymuje dzikie okrzyki i oklaski. Za chwilę zażąda mojej krwi. Napina się we mnie każdy mięsień i każde ścięgno. Jeśli tak pragną rozrywki, dam im ją. Już zdążyli mi wszystko odebrać, dlaczego miałabym się wycofać?

– Zacniemy od źródła tego problemu i zgnilizny, która się rozprzestrzeniała, gdy my daliśmy im miejsce do życia. Emrik Łowca i jego siostra, Liria z Sollonii, zostają niniejszym uznani za uciekinierów. Każdy, kto przekaze informacje na ich temat, otrzyma nagrodę w postaci tysiąca złotych monet.

Na trybunach wybuchają chaotyczne wiwaty.

Mistrzynie ucisza je krótkim nowym rozkazem:

– Sprowadźcie ich.

Otwiera się brama pod Wieżą Mistrzynie. Wieża jest tak ogromna, a brama wydaje się komicznie wręcz mała. Wychodzą z niej dwie postaci z czarnymi workami na głowach. Mają ręce związane na plecach. Widzę, jak się chwieją, a ich ubrania są zakrwawione. Helix Stratis ciągną ich przed Kolec.

Idź do nich, mówię sama do siebie. Jednak grzechotanie kajdanek jest zbyt głośne. Nawet niewielki ruch drażni rany na moich nadgarstkach, więc nieruchomieję, stojąc i zagryzając zęby, przełykając syk bólu.

Popychają ich na kolana. Wtedy gdzieś głęboko zaczynam rozumieć.

Głos mi więźnie w gardle. Mimo to krzyczę. Wiem, że krzyczę. A kiedy czarne worki zostają zdjęte z ich głów – głów moich *rodziców* – szarpnię się w chwycie strażników, którzy nagle się materializują, by mnie powstrzymać.

Jednak walczę dalej, wierzgam jak oszalała. Nie myślę o niczym innym, dopóki coś twardego nie uderzy mnie w tył głowy i nie polecę do przodu. Siła ciosu wyciska mi powietrze z płuc. Czyjeś potężne dłonie przyszpilają mnie do podłogi.

Próbuję podnieść głowę, odpycham się od piasku, który przykleja się do ran na mojej twarzy, szczypiąc mocno.

– Damy ci ostatnią szansę, ponieważ każda śmierć człowieka na Ofirze jest stratą dla nas wszystkich. Powiedz nam, Koral z Sollonii, gdzie ukrywają się liderzy Arki Wolności. Powiedz nam, gdzie ich znajdziemy, by wymierzyć sprawiedliwość. Powiedz nam to, a odeślemy cię do kopalni w Kar Atish, byś tam spędziła resztę życia.

Patrzę na nią oniemiała. Czy to na poważnie? Może na poważnie, może nawet pracujący dla niej rebelianci nie chcą wszystkich wydać. Może chcieli tylko zemścić się na Łowcach. Nie wiem, jaka jest prawda. Nie wiem, czy taka wiedza miałaby jakieś znaczenie. Mogę jedynie zebrać resztki sił, co do ostatniej kropli, i krzyknąć łamiącym się głosem, z piaskiem między zębami:

– Nie wiem!

Mistrzynie unosi elegancką, okrutną dłoń. Strażnik obok mamy i ojca wyciąga pałkę.

– Nie. – Szarpnię się, wierzgam i wrzeszczę. – Nie! Przysięgam, że nie wiem. Nie wiem!

– Kto cię wysłał, by wprowadzić zamęt na Wyścig Chwały? – W jej głosie pobrzmiwa pretensja.

– Zgłosiłam się tylko po to, żeby się ściagać! Wypuście moich rodziców, oni tego nie chcieli!

– Zbyt długo pozwalaliśmy, żeby nasze prawa i nasza ziemia były lekceważone. Tak długo, że w końcu zbezczeszczono Sanktuarium i pogrywano sobie z naszą historią. – Robi pauzę, żeby wybrzmiał przetaczający się po Dromie szyderczy okrzyk. – Czas położyć temu kres.

Opuszcza dłoń.

Kopię i szarpnię. Przysięgam jej zemstę.

Strażnicy opuszczają głowę mojej matki. Nie ma mi nic do powiedzenia, ale wiem, co nosi w sercu. Jednak odnajdują mnie oczy ojca.

Właśnie tak to się kończy, myślę odrętwiała. Uparta nienawiść między mną i ojcem, cała nasza relacja zostanie ucięta jednym ciosem pałki.

Zargunina błyszczy, a moi rodzice padają na ziemię.

Przeszywa mnie oślepiający ból, rozrywa mi środek ciała. To za dużo, tego się nie da znieść.

Nic nie widzę. Zalewa mnie czerń i biel. Krzyczę, ale niczego nie słyszę. I mimo tego wszystkiego strumień krwi płynie w moją stronę, gęstniejąc od piasku i rozlewając się na boki. Szarpnię do tyłu.

To krew moich rodziców.

To się nie dzieje, to się nie dzieje, to się nie dzieje.

Zrobię wszystko, *wszystko...*

– Mów, dziewczyno. Wydasz pozostałych spiskowców?

– Zrób to – chrypię. Wściekle. Rozpaczliwie. – Zakończ to.

Na długą chwilę w Dromie zapada nienaturalna cisza. Nie istnieje nic prócz mojego bezwstydnie bijącego serca. Łzy płyną wartkim strumieniem po mojej twarzy, a usta mamroczą ciche słowa ostatniego namaszczenia dla moich rodziców.

Niech Wodny Koń ma nad wami pieczę,

Gdy popłyniecie oceanem gwiazd

I znajdziecie dom starszyzny,

A koniec rozpocznie się raz jeszcze.

– Koral z Sollonii – grzmi Mistrzynie – za splamienie naszego świętego Wyścigu Chwały, za spiskowanie z bojownikami z Arki Wolności zostajesz niniejszym skazana na śmierć...

Zamykam oczy. Dudniące we mnie prerażenie próbuje przygnieść moje ciało do ziemi. Jednak wyobrażam sobie moich bliskich: cichy chichot Lirii, pełne irytacji prychnanie Emrika, brak szacunku Crane do wszelkich zasad.

Myślę o rodzicach. Może niedługo ich zobaczę.

– ...w szczękach Ofiru.

Po jej słowach w Dromie niesie się sadystyczny wiwat. Resztki powietrza opuszczają moje płuca. Nie, nie... Ona nie może...

Ze zgrzytem otwierają się boczne bramy Dromu. Z początku słyhać tylko świst białobrązowych rogów na zewnątrz.

A potem pojawia się koziorożec.



Trzydzieści siedem

Powiedziałas, że ją wypuścisz! – grzmi Dorian, a jego głos niesie się wzmocniony przez mikrofon Mistrzynie. Unoszę wzrok i widzę, że zacisnął dłonie na balustradzie. *Dobrze*. Niech widzi, co zyskał na swoich układach: nic.

Raz jeszcze znaleźliśmy się na tej samej ścieżce, a on, raz jeszcze, postanowił zawrócić. W pewien smutny sposób znam tę pieśń złamanego serca równie dobrze, co własną skórę.

Stojąca obok niego Mistrzynie Aiala Minos jest dumna i obojętna na krzyki Koronowanego Czempiona wzywające ją do zatrzymania tego horroru. Otacza ją blask, jakby krążąca w niej krew nie była ludzka.

Nie, myślę sobie, jest bardzo ludzka.

Przemoc w tym świecie nie pochodzi od wodnych stworzeń. Należy do nas. To my sprowadziliśmy ją ze sobą.

Koziorożec ryczy tak głośno, że powietrze drży. Gdyby Drom nie był wykonany z marmuru, już by się rozpadł. Światło odbija się od łusek pół-kozy, pół-ryby, gdy stworzenie wchodzi na tor. Niucha. Jest zaniepokojone.

Jego wzrok pada najpierw na zakrwawione zwłoki moich rodziców. Koziorożec podąża za strumieniem krwi – i znajduje mnie. Przez nieskończenie długą chwilę otwiera szczęki, a potem ogłusza mnie grzmiący ryk. Stworzenie uderza mocno płetwą ogonową o ziemię. Pęknięcie ciągnie się w moją stronę.

Uciekaj, mówię sama do siebie.

Koziorożec rzuca się do ataku. Umykam pod jego ciałem, prześlizguję się na drugą stronę. Oblewa mnie smród jego oddechu. Uderzam pięściami w bramę do Sali Woźniców.

– WYPUŚCIE MNIE!

Padający na mnie cień rośnie i odskakuje. Sekundę później trzy pazury drapią metalową bramę, zostawiając poszarpane ślady. Nade mną słychać okrzyki okrutnej radości prowokujące koziorożca.

Stworzenie się podnosi, balansuje za pomocą ogona. Jego rogi niemal sięgają dachu Dromu.

Próbuję uciekać, lecz gigantyczny róg uderza we mnie bokiem. Całe szczęście udaje mi się chwycić krawędź. Koziorożec ryczy, potrząsając głową, żeby mnie zrzucić. Frunę i wtedy skacze w moją stronę z szeroko otwartą paszczą, ale uderzam w pokryty łuskami grzbiet.

Dzięki łuskom mogę się wspinać. Zaczynam powoli przesuwać się w górę. A przynajmniej do czasu, aż koziorożec zaczyna się poruszać i po jego cielsku przetaczają się fale. Dłoń mi się ślizga. Stworzenie uderza pazurami o ziemię i tym razem lecę w stronę szczytu Kolca. Zderzenie z kamieniem wywołuje agonalny dreszcz, ale chwytam się krawędzi i wiszę na czubku filara.

Koziorożec i ja mamy teraz wzrok na tej samej wysokości. Stworzenie atakuje, celując we mnie rogami.

Pędzę do przodu, aż nagle odpada kawał kamienia łączącego filary i teraz między środkowymi nie ma przejścia. Oglądam się, czując pulsujący w moim ciele strach, i zeskakuję z filaru na filar, oddalając się jak najszybciej od koziorożca. Fala bólu sprawia, że nogi mam jak wstążki. Dwa razy już prawie spadam. Jednak potworna wizja skończenia jako przekąska koziorożca pcha mnie do przodu.

Stworzenie tnie filary pazurami. Kamień pęka. Spadam z ostatniego, chwytając się resztek,

i ląduję na ziemi.

Wszędzie dokoła pada deszcz odłamków.

To wreszcie wywołuje strach Ziemiców. Nie mogą jednocześnie kontrolować koziorożca i pozwolić mu mnie zabić.

Może uda mi się wytrwać na tyle długo, żeby musieli nad nim zapanować. Pędzę w stronę Wieży Mistrzynie. Jednak zanim zdążę dobiec, otwiera się wejście do Sali Woźniców.

I wyrzucają stamtąd absolutnie zdziwiałą Złotą Burzę.

Samica ryczy z żądzы krwi – nigdy wcześniej czegoś takiego u niej nie słyszałam. Walczy z niewidocznymi pazurami. Klnę pod nosem. Na jej szyi widać ślady po uderzeniach zarguninowymi pałkami. Rozwścieczyli ją, doprowadzili do szaleństwa.

Koziorożec uderza w nią i Złota Burza ucieka. Zieleń błyszcząca na jej łuskach jest wyraźniejsza, pulsuje kosmicznie w rytmie jej serca.

Zarzuca głową i patrzy do góry. Prosto na mnie.

Z jej gardła wydobywa się upiorne warknięcie. Strach bije mi w kościach. Jest ich dwoje. Jak mam uciekać? *Dokąd* mam uciekać? Maristaga jest *szybka*, koziorożec *gigantyczny*. Jestem już trupem...

Nie mam nawet czasu na kontemplację nadchodzącej śmierci, bo Złota Burza pędzi w moją stronę, na ślepo, jakby miała mnie połknąć w całości.

Mój umysł zamarł, ciało zamieniło się w kamień.

– To ja! – próbuję przekrzyczeć na nowo rozgorzałe szydercze głosy domagające się mojej krwi. Moje serce dudni z siłą sztormu. – Na ocean, to ja! Otwórz oczy i spójrz na mnie!

Jednak ona ciągle walczy z wpływem zarguniny. Pewnie w ogóle mnie nie pamięta...

Zostaje mi już tylko jedno.

Odwracam się – i biegnę.

Tylna brama Dromu! Muszę się tam dostać. Tylko że ryk Złotej Burzy rozbrzmiewa coraz głośniejsz w moich uszach. A Koziorożec szybciej niż kiedykolwiek rusza w kierunku drugiej strony Kolca. Zabłokuje mi drogę.

Piasek wlatuje mi do ust, drapiąc wargi i język. Uciekam przed dzikością Ofiru, manifestującą się w postaci tych dwóch stworzeń.

Ból przeszywa moje kończyny.

Najeżony cień maristagi, którą kocham, zaczyna mnie doganiać. Mimo to biegnę. Serce zaraz mi pęknie. Biegnę. Nogi mi się trzęsą. I biegnę.

– To ja! – Tym razem słyszeć tylko prychnięcie i westchnienie.

Ciemność zalewa mi oczy, ciało zużywa resztki energii. Wzrok mi szwankuje, moje serce rzezi, błagając, żebym się zatrzymała.

Padam na twarz i turlam się kilka metrów. Niewiele już we mnie życia i nawet ta odrobina zaraz zgaśnie, lecz krew tłocząca się w żyłach jeszcze każe mi myśleć o Emriku i Lirii. Przetaczam się na brzuch i unoszę głowę. Czuję pulsowanie w palcach, spoczywa na nich zbyt duży ciężar.

Koziorożec teraz naciera prosto na mnie.

Za moimi plecami Złota Burza skacze, jej oczy błyszczą, a zieleń poroża tętni obłąkańczo.

Nie ma już dokąd uciec.

To koniec.

Zbieram siły na to, by stanąć po raz ostatni, i w milczeniu zamykam oczy.

Mama. Ojciec. Emrik. Liria.

Obmywa mnie chłód akceptacji, moje ciało nagle jest lżejsze niż kiedykolwiek. Próbuję sobie przypomnieć modlitwę żałobną. Wracają do mnie tylko pojedyncze wersy.

– Z siłą przekroczysz ostatnie morze, z nadzieją odnajdziesz następny brzeg – mamrocze.

Świat dzieli się na *przedtem* i *potem*, popiół i piasek wypełniają mi usta przy akompaniamencie dudniącego serca.

Za miesiąc jest Księżycowy Festiwal. Szkoda, że nie zabiorę tam Lirii.

Koziorożec ryczy, robi się większy, jego paszcza zaraz pochłonie mnie w całości.

Sukienka mamy była piękna. Chciałabym ją w niej zobaczyć.

Za moimi plecami coraz głośniejsz rozlegają się kroki Złotej Burzy. I jeszcze głośniejsz. Mam nadzieję, że ona dotrze do mnie jako pierwsza. Wyciągnęła mnie z otchłani. Sprawiała, że zapragnęłam żyć. A oto co ja jej ostatecznie dałam: obłęd wywołany zarguniną.

Wiatr ryczy mi w uszach, ocean uderza w żebra.

Zaopiekuj się Lirią, Emriku. Zawierzam ją tobie. I mam nadzieję, że nauczysz się żyć z żalem i rozpaczą, które nadejdą.

Już idę, mamó...

Złota Burza przeskakuje mi nad głową. Przez szalony moment jest zawieszona w powietrzu. Potem uderza w koziorożca. Jej poroże tnie mu pysk. Tryska na mnie czarna krew. Zataczam się do tyłu, zdumiona.

Złota Burza skacze po grzbiecie koziorożca, ma wysunięte pazury. Dwa stworzenia ścierają się w zacieklej walce. Koziorożec rzuca się do przodu i obraca. Jednak jego zwaliste ciało nie daje sobie rady z szybkością maristagi. Samica atakuje porożem jego białe podbrzusze, leją się strumienie krwi. Koziorożec cofa się, zaskoczony, i przewraca.

Wciągam gwałtownie powietrze.

Złota Burza pędzi z powrotem do mnie i boję się, że teraz to ja stanę się jej ofiarą, że powinienam była wykorzystać tamtą chwilę na ucieczkę, lecz ona zwalnia. Zatrzymuje się nagle, na wyciągnięcie ręki ode mnie. Jej pazury ociekają czarną krwią, oczy błyszczą czerwienią, a poroże zielenią. Wygląda jak stworzenie Ofiru.

Jedna sekunda i jej poroże się unosi do tyłu, jedna sekunda przyzwolenia i już siedzę na jej grzbiecie. Miękkie włoski pod jej pletwą wypełniają moje dłonie, w moich żyłach płynie słabo adrenalina.

Koziorożec próbuje się jeszcze wyprostować, skrzecząc. Gdy wreszcie udaje mu się wyciągnąć pletwę ogonową spod ciała, Złota Burza pędzi już do przodu.

W Dromie niosą się krzyki. Każdego Ziemcę arogancja przepelnia do tego stopnia, że żaden nie wyobrażał sobie, żeby maristag był w stanie uratować człowieka. Skoro im zwierzęta zawsze tylko pokazywały kły i pazury, jak jedno z nich mogło zaprzyjaźnić się z Najemką?

Chciałam wznieść się wyżej, lecz łańcuchy, którymi Mistrzynie przykuła nas do ziemi, nigdy by mi na to nie zezwoliły. Pewnego dnia ktoś pokona ludzi wrzeszczących tutaj w Dromie ich własną pychą. Nawet jeśli nie będę to ja, sama myśl przynosi mi w tym pandemonium ukojenie. Stary świat upadnie, a nasiona nowego wykiełkują w jego ruinach; ci, których nazywają potworami, zostaną zrodzeni i stworzeni.

Koziorożec ryczy.

Daleko w tyle otwiera się brama. Wyjeżdżają z niej strażnicy z ogłuszaczami i kijami.

Tym razem chcą nas obie.

Jesteśmy blisko drugiego końca Dromu. Drewniane drzwi dzielą nas od podwórza, gdzie czekałam przed rejestracją.

Wiatr napiera ze wszystkich stron, niemal zrzucając mnie z grzbietu Złotej Burzy, ale pędzimy do przodu. Drzwi nie mają szansy w starciu z siłą zielonej krwi burzącej się w maristadze.

Odpycham ciągnący się za nami kawałek drewna. Potem jesteśmy już pod otwartym niebem.

Jeśli wydawało mi się, że jazda na grzbiecie Złotej Burzy w Dromie była wolnością, zupełnie pomyliłam znaczenie tego słowa. Oto czym naprawdę jest wolność. Pędzimy przez Sollonię, nie przejmując się zszokowanymi twarzami czy okrzykami niedowierzania.

Nikt nie może nas dogonić. Nikt nie może nas zatrzymać.

Wydobywa się ze mnie nieposkromiony, pełny życia wrzask – i Złota Burza przyłącza się do niego. Śpiewamy naszą pieśń chwały, zostawiając za plecami świat, i nawet kiedy ulice ustępują piaskowi, piasek kamieniom, a ocean zaczyna się do nas raptownie zbliżać, nie proszę, żeby się zatrzymała. Za nic nie oddam tej wolności.

Nawet za nieznane.



Podziękowania

Za każdym razem, kiedy kupuję nową książkę, najpierw przewracam strony na podziękowania. Z przyjemnością patrzę na wszystkie więzi i relacje, które miały wpływ na autora wybranej przeze mnie pozycji. Zapewne właśnie z tego powodu jestem jednocześnie *przeszczęśliwa* i *przeżazona na śmierć*, pisząc podziękowania (!) do swojej pierwszej powieści.

Dziękuję Renie Rossner za niewzruszoną wiarę w tę książkę. Rena, próbowałyśmy sprzedać ją w szczyście pandemii w 2020 roku i twoje przekonanie, że to się uda, pozwoliło mi jakoś utrzymać się na powierzchni w tym potwornym czasie. Dziękuję za twój upór.

Dziękuję Annie Berger za entuzjazm. Od naszej pierwszej rozmowy ta współpraca była zwyczajnie *ekscytująca*, miałam ogromne szczęście. Dziękuję Annette Pollert-Morgan za grację i geniusz, z jakimi zajęłaś się tą historią. Jestem niezmiernie wdzięczna za twoje wskazówki.

Jenny Lopez, Cassie Gutman, Neha P, Kelsey Fenske, Michelle Mayhal i wszyscy inni, którzy pracowali ciężko, żeby sprowadzić tę powieść na świat – bardzo wam dziękuję. Liz Dresner, Natalie C. Sousa i Sasha Vinogradova, wam należą się podziękowania za okładkę z moich snów. Gdy tylko zobaczyłam projekt, byłam zachwycona i do czasu, aż powstała wersja ostateczna, płakałam jakieś tysiąc razy. Dziękuję Travisowi Hasenourowi za magiczną sztuczkę w postaci przeobrażenia mojego rysunku godnego trzyletniego dziecka w piękną mapę.

Dziękuję Valerie Pierce i całemu zespołowi PR-u i marketingu za ogrom pracy włożony w promocję książki, a także Madison Nankervis, która zawsze szybko i cierpliwie odpowiada na moje absolutnie idiotyczne jednolinijkowe e-maile. Nie potrafię wyrazić słowami, ile dla mnie znaczyły wasz entuzjazm i wsparcie oraz w jakim stopniu przyczyniliście się do tego, że nie popadłam po drodze w obłąd. Dziękuję zespołowi bibliotecznemu i edukatorom, szczególnie Emily Luedloff – wydaje mi się, że to dar losu, że wylądowałam w Sourcebooks, nie uważasz? Dziękuję za przyjaźń i dobroć, zwłaszcza w ostatnich paru latach.

Nieustraszony Dominique Raccah to najlepszy wydawca, jakiego mogłam mieć. Dziękuję.

Jestem wdzięczna również rodzicom, którzy kupili mi te wszystkie książki z baśniami i folklorem, chociaż woleli, żebym najpierw dokończyła pracę domową. Dziękuję, tato, że jako pierwszy po mamie nieustająco nas wspierałeś i zajmowałeś się nami, zapewniając nam najlepsze życie, jakie mogłam sobie wymarzyć. A najbardziej dziękuję za cierpliwość, gdy podążałam za marzeniami, mimo że się martwiłeś. Dziękuję za wszystko.

Mini, zawsze mnie motywowałaś, nawet jeśli ciągle się kłóciłyśmy. Nie potrafię wyrazić słowami tego, jak bardzo cię kocham. Jesteś moją najbliższą przyjaciółką i kupię ci wszystkie tablety do rysowania, jakie tylko zechcesz.

Dziękuję Dadajowi, bez którego nie znalazłabym się w tym miejscu. Był naprawdę prawym człowiekiem i moim marzeniem jest to uhonorować. Dziękuję swojej Dadi, która również tworzyła opowieści i przez lata przekazała mi mnóstwo historii o naszej rodzinie, zawsze kusząco rzeczywistych dzięki jej mistrzowskim umiejętnościom malowania obrazów słowami. Dziękuję swoim dwóm Buas za tych wiele, wiele bajek na dobranoc w czasie pustynnego lata. Właśnie tam narodziła się moja miłość do opowiadania i nigdy nie zdołam się za to odwdziaczyć. Chacha – nie znam większego psychofana *Drakuli*, dajesz czadu. Dziękuję także dalszej rodzinie Madhukar za błogosławieństwa.

Brenda Drake, Pintip Dunn i cały niegdysiejszy komitet Pitchwars – dziękuję wam za mentorstwo, bez którego bym sobie nie poradziła. Dziękuję Rebecce Schaeffer – mówiłam ci to już setki razy przez lata, ale powtórzę: zobaczyłaś iskrę w absolutnie fatalnym szkicu i pomogłaś mi to naprawić. Bez ciebie ta książka by nie zaistniała.

Dziękuję rodzinie z Fork – rany, gdzie ja bym teraz była, gdyby nie wy? Dziękuję za śmiechy, nieustanne wsparcie i przyjaźń. Bardzo się cieszę, że stoicie za mną murem, i chciałabym mieć wymienić was wszystkich tak, jak zrobiła to Whitney w swojej przemowie.

Dziękuję #22Debuts – to prawdziwy przywilej móc jako raczkujący pisarz przebyć tę drogę w towarzystwie tak dobrych dusz. Jestem podekscytowana w imieniu nas wszystkich.

Dziękuję Michelle Wong i Megan Scott za nieustający entuzjazm dla tej książki.

Dziękuję Wildcasts – moim pierwszym przyjaciółom w branży. Chelsea Beam, dziękuję ci za cierpliwość dla mojego hiperaktywnego procesu myślowego i za polecanie mi najlepszych anime. Crystal Seitz – Sansa na zawsze! – za niezmordowane współczucie. Nie mogę się doczekać, aż twoja kariera poszybuję. Rosie Brown – za absolutnie prześmieszne memy; może jeszcze za tę pomocną wiedzę, którą mi z dobrego serca przekazujesz. Swati Teerdhala – dziękuję za otwarcie mi drogi, za geniusz i dyscyplinę. Jesteś dla mnie nieustającym źródłem inspiracji.

Janello Angeles – dziękuję ci za te wszystkie rzeczy, których mnie nauczyłaś o pisaniu, i za niezachwianą wiarę w mój talent. Byłaś tak miła dla pisarki z mlekiem pod nosem. Shveto Thakrar – zawsze witałaś mnie z otwartymi ramionami i byłaś dla mnie miła. Emily XR Pan i Novo Ren Suma – jestem wam wdzięczna za doskonałą szansę, jaką było Foreshadow. Dzięki niemu zdobyłam pewność siebie, której tak bardzo trzeba w ten branży. Macie moją wieczną wdzięczność. Podobnie jak Melissie Albert za wybranie mojej dziwnej historyjki.

Dziękuję VS Holmes, Sofii Fiondzie i Maggie Fisher za uwagi do moich wcześniejszych prac. Wasze zachęty pozwalały mi iść do przodu, nawet kiedy stapałam po omacku.

Aimalu Farooq, Aishwaryo Tandon, Ayesho Mubasshar, Bidisho Das, Elyse Eisenberg, Hayly Mallary, Kelly Tse, Marcello W, Maryam Khan, Meg McGorry, Niylo Farook, Sairaa, Sharon Sibyl Gatt oraz Zermeen – dziękuję wam wszystkim za wsparcie, wiele dla mnie znaczy.

Yasmino, Nikito, Akshito i inni starzy przyjaciele – dziękuję za niesamowitą tolerancję wobec moich częstych ucieczek. Jestem szczęściarą, że jeszcze mnie znosicie.

Onaizo – dziękuję, mam-przyjaciółko, że jesteś sobą. Twoja obecność czyni moje życie o wiele, wiele lepszym. Nikt nie robi tego tak jak ty. Samridhi – znamy się, odkąd miałyśmy pięć lat, dziękuję za przyjaźń w czasach, gdy byłam dziwnym przedszkolakiem ze źle przyciętymi włosami.

Udayu – cieszę się, że mam takiego przyjaciela i brata.

Dziękuję booktokerom, bookstagramerom, booktuberom i blogerom za nakręcanie zainteresowania tą książką.

A na koniec dziękuję wam, czytelnikom, za sięgnięcie po tę powieść. Pomagacie mi spełniać długoletnie marzenie.